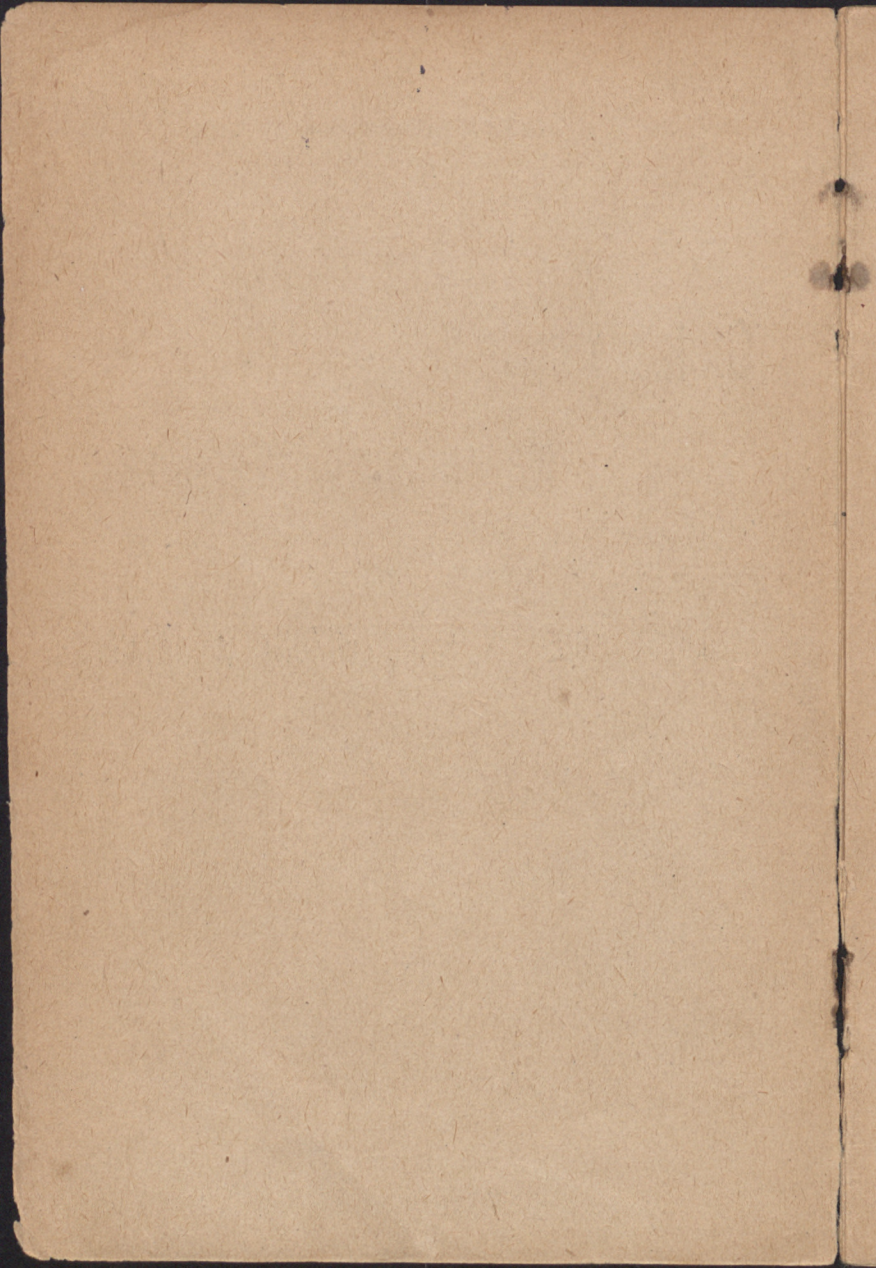



Porok ston od 173-128

nr 105 u III.

OJCIEC KONDELIK I NARZECZONY WEJWARA.



IGNÁT HERRMANN.




Ojciec Kondelik 
 i Narzeczony Wejwara.

ZA POZWOLENIEM AUTORA

z czeskiego
przełożył

PAWEŁ I. ASKOWSKI.


Część I.


WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Ноября 1902 года.

227 564



I.

Nasza rodzina,

Mistrz *Kondelik!* Prawie cała Praga wie od dawna, że jest to malarz pokojowy. Ale nie jakiś tam zupełnie zwyczajny partacz, lecz malarz, któremu zależy na reputacyi, malarz, który się uważa za kawał artysty, malarz, który zna „style” — krótko mówiąc malarz, który umie coś wymalować!

Historya pana Kondelika podobną jest na włos do historyi wielu set małych i jeszcze mniejszych przemysłowców, zaludniających Pragę.

Urodził się gdzieś na prowincyi, wyuczył się tam i przed trzydziestu mniej więcej laty wszedł przez bramę Porzecką do Pragi, jako chudy, młody czeladnik, z zielonym tłomokiem na plecach, na piersi zaś miał portmonetkę skórzaną, w której troskliwie pościadał świadectwa. Wędrował — a w Pradze kończyła się jego wędrówka. Znalazł pracę, malował niezmordowanie, oszczędzał dziesiątki i złote reńskie, ładnie się ubierał, miał otwarte oczy, a także uszy, pochwycił coś od towarzyszków zawodu, którzy mieli za sobą naukę w akademii, i prawie dalej zaszedł,

niż oni. Była w nim świeża, prowincjonalna, pojętna krew, dużo chęci i siły do życia i do pracy.

Po jakichś latach dziesięciu, czy dwunastu stał się samodzielnym i ożenił się. Rzemiosło szło mu doskonale, natrafił na chwilę żywego ruchu przedsiębiorczego i owocem jego pracowitości jest ładny dom przy ulicy Czelakowskiego na Winohradach. Sam wszakże mieszka w Pradze przy ulicy Jecznej. Zapisał się do ksiąg ludności Pragi, później został mieszczaninem, i to jest jego chluba.

„Na górze”—na Winohradach—osiądzie dopiero wtedy, gdy będzie miał dość pracy, gdy pójdzie na odpoczynek, gdy komuś innemu zakład odstąpi.

Już nie jest chudy. Jego postać się we wszystkich kierunkach ładnie zaokrągliła, „pas” zniknął zupełnie.

Jest więcej niż średniego wzrostu, okrągłego, zdrowo zabarwionego oblicza. Włosy jego są dotąd „w komplecie”, jak zwykł dumnie mawiać, niegdyś kasztanowate, dziś rozkosznie po tatusiowsku przekwitłe, (meliorowane, mawia mistrz Kondelik), i krótko ostrzyżone. Pod nosem grube, gęste, czarne wąsy, również „na siwo przemieszane”, mówiąc jego językiem, reszta twarzy zawsze jaknajstaranniej ogolona.

Jest zdrow, blizki pięćdziesiątki, ba! nawet kipi zbyt zdrowym zdrowiem, i okoliczność ta jest przyczyną pewnej niemitej myśli, obawy, która, choćby ją jaknajusilniej odpędzał, ciągle i ciągle się odzywa. Nie wyraża jej otwarcie, by nie wywoływać wilka z lasu, ale nie pozbywa jej się od lat kilku, t. j. od owej chwili, gdy mu w łaźni parowej po raz pierwszy oznajmiono, że waga jego cielesna dosięgła osiemdzie-

sięciu dziewięciu kilogramów. Opiera się całą siłą konsekwentnym następstwem tej swojej wagi, a jednak obawia się, by go czasem „nie capnęła apopleksyjka...”

Rzekłem, że kipi zdrowiem. Niestety, muszę się poprawić. Cierpi peryodycznie „na gęsiora”, a nieprzyjemna ta rzecz odwiedza go ze dwa razy na rok i obezwładnia zawsze na dni kilka.

Mistrz Kondelik wie, przynajmniej domyśla się, powodów cierpienia. Tak, kiedy jeszcze sam „tańcował na tych zatraconych drabinkach” w mieszkaniach z pootwieranymi oknami i drzwiami, cały spocony, poddmuchnął go przeciąg i zmroził mu grzbiet. Mistrz Kondelik uroił sobie, że ma stos pacierzowy obłożony jakgdyby skrzeplym rosołem, i że tam siedzi coś jakgdyby porcyja gęsiny,—to jest ten gęsior przeklęty!

Mimo to wszystko pogardza salicylem i pije pilzeńskie, tomaszowskie i flekowskie. Bóg oddzielił wody od ziemi suchej, a „Pan Bóg wie, dlaczego tak uczynił,” mawia mistrz Kondelik — i wody się nie dotknie.

Oto nasz mistrz i ojciec *Kondelik*.

Pani *Kondelikowa*, jego wierna towarzyszka, jest prawie o lat dziesiątek młodszą od niego. Życie jej mniej bogate było w wydarzenia wogóle, burzliwych nigdy nie było.

Była córką z „porządnej rodziny praskiej.” To jest papa był mieszczaninem i miał „swój zakład.” Przed laty malowano u nich i zadanie to powierzono młodemu wówczas mistrzowi Kondelikowi. Kondelik malował,

panna Elżunia pokrywała sprzęty gorszymi prześcieradłami, starymi powłokami z sienników i tym podobnymi całunami. Od tej chwili nie spuszczał Kondelik Elżuni z oczu i — co jest jeszcze ważniejsze — nie wypuszczał jej także z głowy.

Jak nań spoglądała, kiedy szurgał w pokojach swojemi malarskiemi drabinami, w pochłapanem odzieniu z grubego płótna, o tem nie wiadomo nic pewnego. Ale kiedy pewnej niedzieli w świątecznem ubraniu przyszedł z rachunkiem za malowanie, było jej tak, jakby jej spadły łuski z oczu. Wszak to był elegant skończony! Jej ojcu podobał się Kondelik z przyczyny daleko praktyczniejszej. Pod wpływem uprzejmości panny Elżuni, wypadł rachunek Kondelika o pięć reńskich taniej, niż pierwotnie obliczono. Dziwne losy! Ojciec miał w kieszeni piątkę, a mistrz Kondelik po kilku dalszych wizytach, miał w kieszeni tatkę, a z nim i serce i rękę Elżuni. Elżunia miała ładną zapomogę i po ślubie malowało się mistrzowi Kondelikowi niezmiernie wesoło. Było na farby i na szablony, i mistrz, śpiewając, brał do malowania całe domy.

Temu wszystkiemu będzie dobrych lat dwadzieścia. Ale było to dwadzieścia lat porządnego, spokojnego życia rodzinnego, z wyjątkiem drobnych nieporozumień. Ale gdzieby ich nie było?

Pani Kondelikowa jest o głowę niższa od swego małżonka, bielutka, jak z ciasta, o jasno piwnych oczach, a w jej ciemnych włosach przebłyskuje tu i owdzie srebrna nitka. Ale na chwałę jej niechaj będzie zaznaczonem: ani jednego z tych srebrnych włosów nigdy sobie nie wyrwała. Ba, czasem się niemi

prawie pyszniła. Sądziła, że jej dodają powagi, poszanowania. Wszak jest *matką!*

Dobra żona, dobra kucharka, zna słabości swego męża, kocha córkę Pepcię i kładąc się, czy wstając, miała od pierwszego odezwania się Pepci jedyne pragnienie: Boże, daj mojemu dziecięciu dobrego męża!

Córka Pepcia! Co chcecie słyszeć o stworzonku ośmnastoletniem? A Pepcia ma już blisko ośnaście! Czytaliście już tyle opisów rozkosznych dziewcząt ośmnastoletnich. Rozkoszną też jest Pepcia! Oczy i włosy wzięta po matce, i wiele dobrych przymiotów! Nigdy nie miała tajemnego stosunku miłosnego, przynajmniej nie przypomina sobie tego. Wprawdzie, kiedy chodziła na lekcye tańca, odzywały się takie dziwne struny; ale żadna z nich nie rozebrzmiała pełnym dźwiękiem. Wszystko w niej drzemało. Wreszcie zdawało jej się, że ci uczniowie ojca Kaska są zbyt młodzi. A byli, byli. Z lekcyi tanecznych mało bywa wesel. Rozpierzchnie się to po kursie w świat, na wszystkie strony, może czasem na balach spotka się taka para. Miłosny romans Pepci (romans z najpiękniejszym epilogiem), nie powstał w szkole tanecznej, gdzie się uczyła pierwszych kroków kadryla i dworzauki; była to dopiero *repetycyjna* godzina tańców, gdzie Przypadek komponował pierwszy jego rozdział.

Pan Wejwara!

Z tym swoim bohaterem miałbym najwięcej pracy, ale proszę, przeczytajcie szczęśliwie ten wstęp i poczytajcie sobie kawałek dalej, a przedstawi się wam pan Wejwara sam.

Jestem co do niego w kłopotcie, ten mój bohater niema w sobie właściwie nic a nic bohaterskiego.

Nie, kochany pan Wejwara nie był żadnym rycerzem z bajki. Nie był obdarzony ową wytrwałością, jakiej potrzeba do zwalczania tysięcznych przeszkód, do zdobywania świata. Franciszek Wejwara sumiennie „przeorał” gimnazyum i był również sumiennym słuchaczem fakultetu prawniczego. Każde jego świadectwo dawało obraz wzorowego, doskonałego studenta. Ale tem oraniem była także cała jego energia wyczerpana. Kiedy ukończył prawo i z dobrym rezultatem złożył jaki taki egzamin rządowy, stanął bezradny.

Czy ma się poświęcić adwokaturze? W duchu przyznawał sobie, że do tego najsamodzielniejszego powołania nie ma dosyć... samodzielności. Lękał się odpowiedzialności, jaką by nań zwałili klienci procesami, w których ciągle chodzi o pieniądze, o tysiące, może o setki tysięcy. Nie umiał sobie wyobrazić, jak by poczynał będąc obrońcą w jakiej sprawie kryminalnej, gdzieby się nań zwracały oczy szerszej publiczności. Bywały chwile, kiedy Wejwara w swoim kawalerskim pokoiku, zupełnie pewny, że go nikt nie słyszy, próbował bronić fikcyjnego, niewidzialnego oskarżonego, i nagle zląkł się własnego głosu, zająknął się, zaczerwienił—i nie mógł dalej. Nie, adwokatem nie będzie!

Państwowym urzędnikiem? Sama myśl o ciasnych, złotych kołnierzykach, o ciasnych mundurach, wstrzymywała mu oddech w piersiach, a gdy pomyślał o ustawicznej gonitwie za karyerą, o wiecznem współzawodnictwie i wyścigach wzajemnych, ugięła

się pod nim kolana. Nie będzie urzędnikiem państwowym.

Cóż więc pozostawało do zużytkowania odpowiedniego studyów uniwersyteckich? Po dobrej rozwadze doszedł Wejwara do przekonania, że tylko magistrat jest spokojną przystanią, do której wpłynie na łódce swego żywota.

Nie czeka go, co prawda, w magistracie sława, głów nie wieńczy się tam wawrzynem: ale jest to bezpieczna egzystencya. Powoli stąpa się tam od kancelisty wyżej, szczebelek po szczebelku, nikt nikogo nie goni, pracuje się w cieple, a odpowiedzialność ma zawsze wyższy pan: pan sekretarz, pan dyrektor kancelaryi, pan radca, pan burmistrz, wysoka rada miejska. Podwładny pracuje zawsze podług rozkazu przełożonych; dostanie może czasem „nosa,” ale nigdy nic popsuć nie może. Każda rzecz da się załatwić dziesięciu różnemi sposobami, naprawa złego jest zawsze możliwą.

Pan Wejwara wstąpił przeto do magistratu, gdzie go już kilku jego kolegów wyprzedziło. Stał się praktykantem, będzie koncepistą, będzie sekretarzem, dociągnie może i do radcy. Mój Boże, radca magistratu! To także nie małe zwierzę!

Ale jeżeli brak było Wejwarze wytrwałości do szerokich zapasów w życiu wogóle, to w jednym kierunku miał jej dosyć: w miłości swej ku Pepci. Od pierwszej chwili jej ujrzenia, dojrzywało i dojrzało w nim pewne postanowienie: Pepcia będzie moją! Nie było mu danem, aby walczył ze smokami, ale też w rodzinie Kondelików nie było smoka. A jakkolwiek i ta historia jego cywilnej, prawidłowej

i zupełnie moralnej miłości miała swoje przykre, chwilami śmieszne rozdziały. Wejwara nie uląkł się i nie odstraszył. Zapału jego dla Pepci nie mogło ostudzić żadne słowo kolące Kondelika, zamiar jego nie rozbił się o żadną z tych drobnych przeszkód.

Nie miał w sobie żadnej zarozumiałości, żadnej przekorności, lub chorobliwej uczuciowości.

W dali błyszczał przed nim jedyny jasny cel— ołtarz, przy którymby uklęknął, pobłogosławiony przez rodziców, jako narzeczony, obok swej drogiej, ubóstwianej Pepci, ubranej w białą szatę, z wianeczkiem mirtowym na głowie.

Co się przytrafiło po drodze do tego celu, zanim Wejwara doszedł szczęśliwie, pokusiłem się pochwycić w rozdziałach następnych. Nie jest to romans, nie jest to wogóle całość powieściowa. Są to tylko drobne wypadki z życia porządnej rodziny praskiej, do której Wejwara należał niemal od pierwszego ukazania się na scenie.

II.

Przyszło zaproszenie.

Było to w niedzielę po święcie Trzech Króli, o godzinie mniej więcej pierwszej po południu, kiedy na schodach dały się słyszeć ciężkie kroki i wnet potem na słomiance przede drzwiami kuchni zaszur-gały czyjeś buty.

Na dworze padał śnieg.

— Aha, tatko! — zawołała pani Kondelikowa, kręcąca się w kuchni nad blachą i cała zaróżowiona od żaru ognia, pośpiechu i kłopotu o obiad niedzielny.

Był to mistrz Kondelik.

Otworzył drzwi i nim jeszcze wszedł, strząsał na progu śnieg, którym było palto jego poprószone.

— Nareszcie, zdaje się — zawołał, otwierając drzwi na dobre—że będzie jakaś zima. Śnieg pada, a przytem jest tęgi mrozik.

— Niech tam marznie — odpowiedziała, zamiast powitania, pani Kondelikowa.—Z pewnością piwowarzy i wędliniarze już rozpaczali. Dziwne to są zimy, dziwne zimy! Jako żywo nie bywało tego dawniej.

— A to jest dopiero trzecia taka—mówił mistrz Kondelik—a ma ich być siedem. Utrapienie z temi puhaczami i tymi prorokami pogody! A w rezultacie nikt nic nie wie.

Teraz dopiero, niby od niechcienia, spojrziała pani Kondelikowa na zegar kuchenny i wymówiła z wyrzutem, ale z łagodnym, dobrotliwym, jakby żartobliwym wyrzutem:

— Staruszk, staruszk! Pięć minut po pierwszej, a mówieś, że będziesz w południe w domu.

— E, ja chciałem — odpowiedział mistrz, jakby się sam na siebie gniewał—ale kiedym już zapłacił, przyszedł dopiero pan radca Holárek i *nolens volens* musiałem sobie jeszcze kazać podać...

— No, no — mówiła uspokajająco pani Kondelikowa—wcześniej nie czekałam też na ciebie. Cią-

gle mi się zdaje, że to jeszcze święta. Przypuszczałam, że się przy winie trochę zabawicie.

Kiedyindziej byłyby pani Kondelikowa swego małżonka trochę ostrzej napomniwała, że pozwala, aby obiad stygł, choć wogóle nie była do żadnej rodzinnej Ksantypy podobna. Ale dziś, dziś za nic na świecie nie chciała zamącić różowego humoru, w jakim „tatusz” regularnie powracał z niedzielnego śniadanka w winiarni.

Teraz szybko wytarła o szeroki fartuch kuchenny okrągłutkie ręce i usłużnie pomagała małżonkowi zdjąć palto.

W jadalnym pokoju ucichło w tej chwili stukanie przyborami i brzęczenie talerzy, i do kuchni wbiegła panna Pipcia, rozkoszne dziecię małżeńskiego stowarzyszenia Kondelików.

Potulnie pochwyciła rękę ojca, pocałowała ją i wymówiła łagodnym i jakby obiecującym głosem:

— Ale w samą porę, tatusiu, ażeby nic się nie popsulo.

Tymczasem ojciec Kundelik, uwolniwszy się głębokim westchnieniem z mroźnego, zatykającego oddech powietrza, którem był nasiąknął na dworze, ssał niezdrzami wonne wyziewy kuchenne, a oczy jego łakomie zajrzały do kuchni.

— Hm — hm — mruknął powoli, nabierając znowu pełnemi płucami łagodnej woni — cóżeście to tego...

I poszedł do kuchni, jakby chciał zobaczyć, co jest w garnkach i rondlach.

— Nie, nie pod pokrywką! — broniła mu żarto-

bliwie pani Kondelikowa, obróciwszy małżonka i pchając go obiema rękami do pokoju.—Nie można! Usiądź, a zobaczysz!

Starął się co prawda mistrz Kondelik wywiczonym nosem rozeznąć, co go oczekuje, ale odgadł tylko częściowo. Aa, zupa z kluskami z wątroby, jego ulubiony specyał. Niczem mu się tak „mateczka” nie umizgnęła, jak tym wytworem swej sztuki kucharskiej. Kluseczki z wątroby z korzenną wonią, szczypiącego czosnku, byle ich tylko gęsto było w złocistej zupie, piórkiem szafranu perfumowanej, ach, to nie było proste jedzenie, to rozkosz, przytrafiająca się w rzadkich momentach życia. To nie była prosta zupa, to był koncert, poezya, to była idylla w ramie odpoczynku niedzielnego.

I mistrz Kondelik śpiesznie zrzucił marynarkę, odpiął mankiety, wytarł sobie dokładnie nos i już siedział w fotelu, formy poniekąd starodawnej, co prawda, ale niezmiernie wygodnej, wcisnął sobie pod brodę róg bielutkiej, lewandą pachnącej serwetki, przekładał, jak bawiące się dziecko, przybór z prawej strony na lewą i znów na prawą, i wołał do kuchni:

— No, kobiety, dalej, dalej! Mnie po tej szklaneczce mielnickiego zawsze dokładnie wytrawi.

— Po szklaneczce, po szklaneczce—powtórzyła pani Kondelikowa w kuchni przedrzeźniając. — Było ich pewnie kilka, ty mądralo! Już biegniemy!

Wtem przybiegła właśnie Kaśka, jak burza, z drucianym koszyczkiem, w którym były trzy szklance pilzeńskiego, z czapeczkami piany, jak zbitej śmietany.

Pan Kondelik ujrzał ją przez otwarte drzwi i łakomie obliznął sobie językiem kątki ust. Szklanka pilzeńskiego, po kieliszku czerwonego samotoku, nie w świecie nie smakuje lepiej! Niech sobie mówi kto chce i jak chce: nie pij piwa po winie! Stara to i głupia zasada! Pochodzi ona chyba jeszcze z czasów, kiedy o pilzeńskim nie miano pojęcia.

Zupa! Pan Kondelik jadł z taką gorliwością, że mu na czoło wystąpiły iskrzące się krople potu. Po polewce sztuka mięsa, taki „chlebowy,” jak mawiał pan Kondelik, kruchy „ogonek kwiatowy” z sosem chrzanowym, z kilku grzybkami i rydzami w occie, a po mięsie...

Aaah! Teraz się dopiero wyjaśnia! Rajska potrawa! Cielece kotlety — z najlepszej części szyuki, sztucznie zwinięte i naszpikowane, nadziane serdelowym farszem z bułką, ciemno-czerwone, jakby złote!

A kiedy po tej rajskiej potrawie przyniosła szczęśliwa gospodyni na przekąskę cienki kołacz twarogowy na maśle, w ustach się rozplywający, nie wytrzymał już mistrz Kondelik, i łakomie żując artystyczny wyrób małżonki, z którym nie mierzyć się nie mogło, pogroził małżonce wesoło palcem i mówił pełnemi ustami:

— Matko, matko! Tyś dzisiaj ugotowała, jak w pierwszą niedzielę po weselu. Cóż cię tak usposobiło?

Mistrz Kondelik powiedział to bezmyślnie, ale zawierała się w tych słowach wielka zachęta. Nie na próżno gotowała dziś pani Kondelikowa tak starym, nie na darmo wybrała ze swego repertuaru

kuchennego łakocie najbardziej lubiane przez mistrza. Miała naprawdę coś na sumieniu. Okazało się to po skończonym obiedzie, kiedy Pepcia odniosła puste talerze i salaterki z resztkami, kiedy zmiotła wszystkie okruszki i kiedy pani Kondelikowa postawiła przed małżonkiem filiżankę mocnej, czarnej kawy dla strawności.

Równocześnie bowiem z tą filiżanką podsunęła „tacie” podługowatą kopertę z napisem:

„Wielmożne pani i panna Kondelikowe w Pradze, ulica Jeczna, numer..”

— Cóż to jest?—zapytał mistrz.

— Popatrz, staruszk—odpowiedziała pani Kondelikowa — wczoraj przyszło to pocztą, zapomniałam ci pokazać.

I troskliwa matka Pepci starała się głosowi swemu nadać jakunajwięcej miękkości i dobrotliwości, oraz obojętności, jakby jej na tem zupełnie nie zależało. Jeżeli wszakże powiedziała, że wczoraj zapomniała, to dopuszczała się nieprawdy, ale dopuszczała jej się z najlepszą myślą. Zostawiła rzecz na dziś umyślnie, na niedzielę. W dzień powszedni nie zawsze można było u mistrza wyjednać coś gładko. W niedzielę wszakże nie mógł jej uciec; tu nie miał wymówki, że musi iść dojrzeć jakich robót, nie starał się o nowy deseń szablonów, nie musiał kupować farb, nie miał gdzie pilnować robotników. Dlatego też zostawiła to na dziś, ażeby sobie „staruszka” do brym obiadem przygotować. Był to jej czysto kobiecey kawałek dyplomacji. Z takiego małego, niewin-

nego grzeszku sama się rozgrzeszała. Wszak to wszystko czyniła dla córki!

Mistrz Kondelik wziął w rękę kopertę, opatrzoną dwukrajcarową marką i wyjął z niej podługowaty, gruby papier, złożony po brzegach, na którym ozdobnemi literami i farbą ciemno-czerwoną było wydrukowane:

„Stara gwardya zawiązanego kołka młodzieży „Karafiatów” zaprasza Szanowną Panią jaknajuprzejmiej na repetycyjną (przedłużoną) godzinę taneczną w salonie Kaska dnia 15 stycznia.

Ubiór domowy.

Początek o godz. 8 ej.”

Mistrz Kondelik przeczytał, obrócił, przesyłabizował na stronie odwrotnej dwa podpisy organizatorów, położył zaproszenie i zapytał równie lakonicznie i sucho, jak przedtem:

— No i co z tego?

— No i co z tego? — rzekła pani Kondelikowa. — Widzisz, że zapraszają Pepcię do Kaska. Będzie to coś w rodzaju wieczorku w fartuszkach.

— No rozumie się — przypomniał sobie nagle mistrz Kondelik — jest mięsopust i dyabeł im nie da dobrze czynić! A cóż Pepa! Wszak już chodziła na lekcye tańca?

— No, tak, chodziła, staruszkul — potwierdziła pani uprzejmie. — W zeszłym roku chodziła, owszem, a w łośkim była raz. Od tej pory nic, nie chodzi o to, aby znów chodziła na jaki kurs, to jest osobna godzina repetycyjna.

— A cóż to, czy zapomniała, żeby musiała sobie powtarzać? — wymówił szybko mistrz Kondelik.

— E, staruszk, to się rozumie, że tego zupełnie nie zapomniała, bądź pewny, że pilnowałam, ażeby jej ojciec Kaska dobrze umiejętność zaszczepił, ale ćwiczenie, staruszk, ćwiczenie jest rzeczą niezbędną. Dwa lata minęło od lekcyj tańców, w ubiegłym roku ledwie trochę powąchała—w domu na pamięć uczyć się nie może, jak tabliczki mnożenia, i gdyby się w tem trochę nie poćwiczyła, to nie wiem, jakbym z nią mogła iść na duży bal.

Mistrz Kondelik przestał mieszać kawę, spojrział na małżonkę i rzekł z największem zadziwieniem:

— Ty chcesz iść na duży bal, Betty?

Na twarzy pani Kondelikowej mignęła chmurka.

— Nie, tatku, ja nie chcę iść na żaden bal, wiesz, że ja w życiu wytańczyłam się dość. Ale nie zapomnij, że mamy córkę, że ma ona osiemnaście lat, że jej za szkłem trzymać nie możemy, że nie będzie wiecznie w domu siedziała i że musi bywać trochę w towarzystwie, aby się otrząsała. I nie zapomnij, staruszk, że sam obiecałeś Pepci, iż w tym roku pójdzie na zabawę kostyumową do Mieszczkańskiej besedy. A teraz wyobraź sobie dziewczynę, która straciła wprawę. Ty, jak żyjesz, nie byłeś dziewczęciem, staruszk, ty sobie przedstawić nie możesz, jaka to tremal! W Besedzie bywają wszyscy: doktor, profesor, inżynier, przemysłowiec, urzędnik magistratu — taka dziewczyna jest między nimi jak sprzedana. I właśnie dlatego myślę sobie, że ta go-

dzina repetycyjna jest jak od Boga zesłana, aby się Pepcia trochę przygotowała...

Pan Kondelik znówu mieszał kawę, pociągnął trochę i rzekł teraz powoli:

— Pamiętaj, Betty, że Pan Bóg zsyła mór, głód i wojnę, ale żadnych godzin tanecznych. To jest wymysł ludzkiej przewrotności.

Póki się mistrz Kondelik trzymał kwestyi, umiała z nim pani Kondelikowa polemizować, chociażby całe godziny, a nawet zwykle z powodzeniem. Ale gdy jej zboczył na „weksel,” jak ona mawiała, i gdy zaczął tonem przedrzeźniającym, jak właśnie teraz, z niej pokpiwać, traciła spokój i równowagę, a czasem się nie opanowała, ażeby się także po dziecinemu nie rozsierdzić.

Pani Kondelikowa poczuła prawie żal. Więc napróżno nagotowała klusek z wątroby do zupy! Daremnie trudziła się kotletami! Daremnie gnioła kołacz twarogowy! Wszystko to uczyniła, wierząc mocno, że małżonek w dobrym humorze powie: ale to się rozumie—niechaj Pepcia idzie na repetycyjną godzinę.

Pepcia! Pani Kondelikowa przypomniała sobie teraz, że córka słucha w kuchni za drzwiami, śledząc z zapartym oddechem słowa rodziców i że może już się jej łzy cisną do oczu, gdy słyszy, jak ojciec jest nieubłagany!

A pani Kondelikowa nigdy nie znosiła łez córki. Wszak jest to jej dziecię jedyne! Wszak kto wie, ile płaczu ją czeka w życiu dalszem, gdy matki przy niej nie będzie.

Pani podeszła ku stołowi, wzięła zaproszenie od

„Karafiatów,” wsunęła je w kopertę i zмирzając z niem ku szafce, rzekła lakonicznie z naciskiem:

— No, więc dobrze, Kondeliku!

Dyplomacya pani Kondelikowej miała swój styl, swój język, swoje odcienie. Dopóki mówiła: staruszkę, była zupełnie jasna pogoda i zawsze nadzieja na pokojowe, zadawalające załatwienie wszystkiego, o co mianowicie chodziło. Słowem „staruszkę,” „tatusiu,” „tatu” mówiła dobrotliwa, potulna, łagodna żona; ale gdy przebrzmiało to pieścizotliwe imię na próżno, z ust niezadowolonej, lub nawet obrażonej małżonki i matki, wtedy padało chłodne imię: Kondeliku!

Więc i tym razem brzmiało to słowo zupełnie ostro. A gdy je wymówiła, otworzyła drzwiczki spiżarni, włożyła kopertę między filiżanki i szklanki, zamknęła i zaczęła zbierać ze stołu serwetki i składać je.

— Na cóż to?—wymówił Kondelik, który znał sposoby swej małżonki.

— Nic, Kondeliku, nic—odpowiedziała małżonka. — Kiedy ci się nie podoba, nie pójdziemy tam. Boże drogi, nie będziemy same. Ja za „Karafiatami” nie przepadam, a zresztą Pepcia to sobie także wyperswaduje...

— No widzisz, Betty—mówił Kondelik z powagą— to jest mądre zdanie. Sądzę, że jeżeli Pepa pójdzie na bal kostyumowy, to użyje karnawału aż za wiele.

Pani Kondelikowa, która właśnie dłonią gładziła ostatnią złożoną serwetkę, rzekła kategorycznie, nie patrząc bynajmniej na małżonka:

— Nie, Kondeliku! Jeżeli dziewczyna nie pój-

dzie na godzinę repetycyjną, nie pójdzie także na bal do Besedy.

Mistrz dopił resztę kawy, postawił filiżankę i spojrzał zadziwiony na małżonkę.

Nie spojrzała nawet na małżonka, ażeby poznać skutek swojego oznajmienia, lecz ciągnęła dalej:

— Tak, Kondeliku, tę sprawę zostaw mnie. Nie pójdę z nią na bal, ażeby mi tam siedziała przy murze, jak zarżnięta, jak anioł smutku na grobie, a po północy bym ją z płaczem odwiozła do domu. Ty tego nie wiesz, ale ja wiem, co się dzieje dziewczęciu, gdy tak wejdzie gdzieś po raz pierwszy i bez znajomości. Wiem, jak mnie było w podobnych okolicznościach. Siedziałam do północy, jak przylepiona smołą do krzesła, nikt o mnie nie zawadził, aż po północy jeden znajomy papy, oficyał, przerwał tę smołę. Rozumie się, że tak było tylko po raz pierwszy, potem miewałam tancerzy dosyć, tysiące...

— No widzisz, Betty — mówił Kondelik — każda miewa swój „pierwszy raz,” każda musi zacząć...

— Owszem, Kondeliku, i dlatego chciałam, ażeby Pepcia odchorowała swoją tremę u „Karaflatów.”

— Że też tak między tych chłopaków pędzisz, Betty!

— Nie, Kondeliku, to nie żadne chłopaki, to młodzieńcy już poważniejsi chodzili przed laty na tańce. Wszak widzisz, że jest to „stara gwardya.” Są między nimi członkowie Besedy i ci nie opuściliby Pepci na balu. Nie myśl, Kondeliku, abym ją pro-

wadziła między jakich chłopaczków. Osiemnastoletnie dziewczę, to nie żadna zabawka, zostaw to matce. Mogłeś dotąd zawsze ufać mi, a ja cię w niczem nie zawiodłam. Teraz byłoby również dobrze wypadło. Ale kiedy stanowczo nie chcesz—dobrze. Co mogłam, to uczyniłam. Na mnie dziewczyna narzekać nie może.

— A może na mnie, co?

— Nic ci nie wyrzucam, Kondeliku, uchwaj Boże. Tyś głową rodziny i ty sobie panuj, jak uważasz. Ale dziewczyna ma lat osiemnaście, o tem nie zapomnij!

— Nie, Betty, powtarzasz mi tak często, że o tem z pewnością nie zapomnę. Powtarzasz mi tę osiemnastkę, jakby Pepa miała iść na śmierć. Zresztą nie jest jej tak zupełnie osiemnaście lat. Powiedz mi na Boga, w czem się ona opóźnia?

W odpowiedzi na to pytanie Kondelika, przytłumiła pani głos; sama nie chciała, ażeby Pepcia słyszała:

— I spóźnionego nic nie ma, Kondeliku, masz świętą rację. A to mi musisz przyznać, że jej do niczego nie napędzam. Nie jestem narwaną matką, abym dziewczynę wodziła z zabawy na zabawę. Co do tego możesz być ze mnie zupełnie zadowolony. I nie myśl sobie, że jej się chce trochę pobawić, Kondeliku. Jest to nasze dziecię jedyne. Niech będzie tak długo w domu, jak Bóg osądzi. Nikomu jej nie chcę rzucić na szyję. Ale jeżeli się dziewczę ma rozejrzeć trochę po świecie, to musi nareszcie zacząć, a w tym wieku jest nasza Pepcia.

Nie, Kondeliku, za nic w świecie nie chcę na-

pędzać kawalerów na męża, ale także nie chcę, ażeby się przestarzała. Ma-li dziewczę użyć trochę zabawy, Kondeliku, to do lat dwudziestu, pamiętaj sobie. A choćby ją kto upodobał sobie, potrwa to rok i dwa lub trzy, zanim dojdzie do żeniaczki. To nie nie szkodzi, Kondeliku, szczęśliwe dziewczę, które użyje trochę swobody jako narzeczona! Wierz mi, że są na świecie kobiety, które przeżyły najpiękniejsze chwile w życiu tylko podczas tych tygodni lub miesięcy przed weselem i nigdy im się to już nie wróciło, małżeństwo było jedną łąką. Uchowaj Boże naszą Pępcię przed takim losem, a dlatego także chcę mieć dość czasu, aby się człek rozejrzał.

Mistrz Kondelik spoglądał na małżonkę zadziwiony, że się tak rozgadała, i zamrugawszy oczyma, jak czasami czynił, gdy miał jakiego figla spletać, wtrącił z uśmiechem:

— Mówisz dziś, jak prorok, Betty, a ja jestem jak oślepiiony!

— Nie, Kondeliku — ciągnęła pani tak samo stłumionym głosem i poważnie, jak Sybilla — nie docwipkuj i nie przycinaj! Mówię, jak matka, i to jest moje prawo i obowiązek! Ukrywaj sobie tak dziecko w domu przez lat dwadzieścia a przekonasz się, jaki będzie skutek. Ty nie wiesz, jak szybko się wędnie, jak świat się przykrzy. Jam tego nie poznała, pobraliśmy się dość wcześnie, ale widziałam u innych. A to mi wierz, Kondeliku: po dwudziestce następuje biegania, każdy rok staje się ciężki, jak centnar, z córką trzeba się śpieszyć, i bardzo często nie widzi się tego i owego. I to jest najgorsze, Kondeliku, bo potem nikt już złęgo nie poprawił

Panu Kondelikowi przebiegło teraz coś przez głowę. Spojrzał ostro na żonę i wyrzucił:

— Słuchaj, Betty, nie masz ty już kogo dla niej na oku?

Spojrzenie pełne wyrzutu spoczęło na mistrzu.

Pani Kondelikowa podniosła prawicę z serwetki, którą podczas swej produkcyi adwokackiej ciągle przekładała, położyła ją na lewą pierś i rzekła znaciskiem:

— Nie, Kondeliku, nikogo! Powiedziałabym ci, bo takich rzeczy rozumna matka nie ukrywa. Nikogo, Kondeliku. A gdybym miała, sądzę, że byłby to człowiek, którego bym ukrywać nie potrzebowała. Ale powiadam ci poraz trzeci: nikogo. Czyż mogło się co dziać za twymi plecami? Nie siedzisz stale w domu? Nie chodzimyż tylko z tobą? Ale kiedyśmy dziś o tem zaczęli, powiedziałam, co o tem myślę. Z kimże o tem chcesz mówić? Tyś panem i głową rodziny, tyś jest mężem, który się stara o byt, szacunek ci się należy słusznie, a sprawiedliwość wyznaczyć każe, że zadanie swoje dobrze i sumiennie wypełniałeś. Ale ja jestem matką i muszę myśleć o reszcie, tego mi za złe nie bierz. Wszak nie mam innego celu, jak tylko ten, ażeby Pepcia była szczęśliwą. Tak, Kondeliku.

Pan Kondelik przyznawał sobie sam zasługę starania się o rodzinę; „wymalowany” jego dom na Winogradach to poświadczał. Ale pochlebiało mu zawsze, gdy to potwierdziła małżonka; to było jego słabą stroną.

Powiedział więc:

— Tyś powinna była zostać kaznodzieją, Bet-

ty. Powiem ci: jak żyję nie słyszałem o tych Karafiatach, chciałbym wiedzieć, po czemu łokieć. No dobrze, teraz wiem. Pozwól Betty, że pójde się położyć i godzinę sobie zdrzemnę, chcę mieć spokój! A do tych zaprzepaszczonych Karafiatów idźcie sobie! Ale ja, Betty, ja z wami nie pójde. Ja sobie posiedzę na górze w Mieszczkańskiej, nie namawiajcie mnie na tę zabawę.

— Uchowaj Boże, staruszk—odpowiedziała pani Kondelikowa — tam wystarczę sama najzupełniej. My potem wstąpimy tylko po ciebie.

Karafiaci zwyciężyli, po twarzy pani Kondelikowej przebiegł nieznaczny uśmiech.

Pan Kondelik wdział szlafrok, pośpieszył do sypialni i położył się na starej, skórzanej kanapie.

Pani Kondelikowa zabrała filiżankę po kawie i wyszła do kuchni. Kasia, cała spocona, szorowała naczynia, miała dziś dzień wychodni. Pepcia stała wkącie przy szafce i wycierała miękką ścierką szklanki. Gdy skrzypnęły drzwi, odwróciła się do połowy, oczy jej były zaczerwienione. Słyszała pierwszą połowę rozmowy matki z ojcem i nie obroniła się łzom żalu.

Pani Kondelikowa postawiła kufelek, wzięła jakiś ronderek z resztkami obiadu i pokazując inny, rzekła do córki:

— Chodź Pepciu, weź to do spiżarni.

Pepcia wzięła ronderek i bez słowa wyszła za matką do sieni.

— Postuchaj, dziecię—przemówiła pani Kondelikowa, gdy się drzwi kuchni zamknęły — zawsze ci mówię: nie naciągaj mi zaraz multanków. Wiesz, że

nie tak tatki nie gniewa, jak płacz, jeszcze gorzej robisz tym sposobem.

— Kiedy mam taki żal, mateczko, że o wszystkim tyle zaraz gadania.

— Żal, żal! Czy mnie tu niema? Czyż stała ci się kiedy krzywda? Wszystko w porządku, *pójdiesz na repetycyjną godzinę!* A teraz namocz sobie ręcznik i otrzyj oczy, ażebyś nie wyglądała, jak Marya Magdalena, gdy się tatko przebudzi. Na dworze pięknie, pójdziemy potem na spacer.

III.

Przedłużona godzina.

Godziny i godzinki wszystkich systemów mają po sześćdziesiąt, dobrze wyliczonych minut. Kiedy tych sześćdziesiąt minut upłynie, utonie cała godzina w owem znanem morzu wieczności. Żadna siła ludzka nie może jej powołać do nowego życia, nie może jej przedłużyć. To rzecz znana każdemu zegarmistrzowi, każdemu astronomowi. Ale czego by sobie nie pozwolili ci uczeni i mistrze, którzy nam życie odmierzają, to powiodło się mistrzom tanecznym. Dla rozkoszy i uciechy wychowauek swoich i wychowańców odważyli się na czyn śmiały, wbrew wszelkim prawidłom systemu słonecznego i stanowczym ustanowieniom kalendarzy, a czyn ich uwieńczył powodzenie zupełne.

Kiedy młodzieńcy i dziewczęta, pragnący nale-

żytej oglądy towarzyskiej, stali się żakami szkoły tanecznej, która dla niejednego znaczy przygotowanie do szkoły życia—i kiedy ci elewowie i elewki sztuki tanecznej po trzy, lub czterotygodniowem niezmordowanem ówczeniu swego mistrza pozbywają się niezgrabności młodych niedźwiedzi, kiedy mogą sobie zaufać, że bez namysłu zgadną, która noga jest prawa, a która lewa, i kiedy po licznych instrukcyach zaczynają pojmować jasno, że własnymi nogami nie powinni deptać i skakać po nogach obcych, po nogach swoich *vis à vis* i współtańczących, oznajmia pewnego dnia mistrz tańca z głębokiem odetchnięciem: „tak więc panowie i panienki, w sobotę pierwsza godzina przedłużona!”

Taka godzina przedłużona jest oazą w kursie tańca. Przedewszystkiem właśnie dla tej długości. Są „przedłużone”, które trwają od 8-mej do północy, do 2 ej i do 4 ej po północy, na wyspie Strzeleckiej może i do rana. A najsurowszy tatko nie może mieć nic przeciw temu, i ta przedłużona bowiem jest w „planie nauki”, jest podstawową i ważną częścią całego kursu.

Po drugie w takiej przedłużonej panuje regularnie większa swoboda. Tu nie brzmi tak surowo komenda, jak w godzinach zwykłych: „teraz weź pan tamtą panienkę, teraz pani będzie tańczyła z tamtym panem...”, którym to rozkazom czyni się zadość czasem ze wstrętem wewnętrznym, nie bywa nam bowiem zawsze obojętnem, z kim tańczymy. W przedłużonej godzinie mogą sobie elewowie swobodnie wybierać—i to niezmiernie zwiększa powab i znaczenie lekcyi.

Krótko mówiąc, „przedłużona” jest jakby przegrywka, wstępem do balu. Na niej po raz pierwszy uczuwają wychowawcy trochę samodzielności. Na niej przy wyborze tancerek młodzież jest wolna, może się już rzucić „głosem serca”.

Ale są jeszcze inne „przedłużone”, niezależne od nauczyciela tańców. Są to lekcye, ciągnące się choćby od 8 ej wieczorem do białego rana, urządzone przez wychowawców, którzy w roku ubiegłym lub przed kilku laty kurs taneczny ukończyli. Wielu z tych byłych wychowawców zatęskni do takiej miłej zabawy domowej w salonie tanecznym, który bywał dla nich do niedawna jeszcze światem całym. Radziłyby zejść się z kolegami, jeszcze chętniej z ówczesnymi tancerkami. Co się stało z tych dziewczątek? Jak porosły, jak dojrzały na duchu i ciele? Co przed dwoma lub trzema laty było nieznaczną i niezgrabną żabką, chudą i rogatą. może dziś podobne jest do ludzi, może nas nawet olśnui? Wiek, w którym się takie „postępujące”, „repetycyjne”, „przedłużone” godziny urządza, ma tyle powabu w sobie, gdy możemy odnawiać „stare” znajomości, odświeżać stosunki z delikatną płcią piękłą.

Na takie „przedłużone” wchodzi się także w zupełnie innym rynsztunku, niż na godziny taneczne. Powstają, prawda, i w zwykłych godzinach tanecznych drobne romansiki, ale rzadko kończą się ślubem. Wszak jest to sama młódź zielona! Lecz w dojrzałej godzinie repetycyjnej? Ach, tam bywają już mężczyźni, których palce nie zajeżdżają napróżno pod nos, którzy mają wąsy, bródki — mężczyźni między dwudziestką a trzydziestką! Jeżeli studyowali, są

dziś już praktykantami, a jeżeli poświęcili się służbie boga Merkurego, mają już kilka setek jako buchalterzy, korespondenci, a może nawet dysponenci!

Otóż na taką „przedłużoną” gotowała się Pepcia, właściwie pani Kondelikowa z Pepcią. Tylko troskliwa matka bowiem pojmuje zupełnie znaczenie takiego wieczoru. Pepcia miała radosną ochotę, pani Kondelikowa miała doświadczenie. Pepcia cieszyła się na przyszłe tańce—matka prowadziła córkę poraz pierwszy między ludzi. Nie po to, aby właśnie w tem towarzystwie szukała męża, dla Pepci; nawet jej to na myśl nie przyszło. Prowadziła córkę, a taki wieczorek jest pierwszą cenzurą. Tu się dziewczę poraz pierwszy dostaje do spisu panien.

Pani Kondelikowa słyszała już w duchu różne pytania, a czasem i odpowiedzi:

— Kto jest ta panienka w tej wiśniowej princesse?

— Z temi kasztanowatemi włosami?

— Tak.

— Poczekaj, zapytam pana Hupnera.

Pan Hupner bowiem był niezbędnym kawałkiem inwentarza wszystkich balów, wieczorków, zabaw, a nikt nie pamiętał od jak dawnego czasu. Były damy, które przyprowadzając swoje córki na bal, pokazywały im małego mężczyznę, ruchliwego jak rtęć (którego wieku nie umiał oznaczyć nawet najdoświadczeńszy profesor fakultetu medycznego), i miały:

— Patrz, Eminko, z tym panem tańczyłam będąc pauną, w pierwszej Narodowej Besedzie szłam

z uln w pierwszą parę, wszak on cię także poprowadzi.

Idą się pytać pana Hupnera.

— Ach, ta dziewczynka tam? To jest panna Kondelikówna, ojciec jest znakomitym malarzem pokojów, ulica Jeczna Nr..., na Winohradach ma dom, jest członkiem Besedy, we wtorki grywa w taroka przy trzecim stole od drzwi w pokoju do gry, dobra rodzina, mieszczanin, ładna partya...

A teraz się po Pepcię pogarnie jeden za drugim.

Kiedy nadeszła sobota, której wieczór miał powitać Pepcię w towarzystwie starej gwardyi Karafia-tów, było u Kondelików pracy wiele od samego rana. Kuchnia była ową tajemną pracownią, w której przygotowywano zawoje, mającemi owinąć wieczorem Pepcię.

Wyjaśnijmy słowo: tajemną.

Pan Kondelik pozwolił co prawda, ale wiecie dobrze, jak się podobne rzeczy ukrywa przed tatka-mi, choćby o wszystkim wiedzieli i nie przeciw temu nie mieli. Staraniem mam bywa, aby ojcowie jaknajmniej byli utrudzani, aby się nie musieli gniewać na te „gałgany”, porozwieszane wszędzie, aby nie musieli omijać sukien i staników, rozłożonych po wszystkich krzesłach, aby się nie plątali w tiule i koronki, krótko mówiąc, aby ich wieczorek nie rozgniewał przedwcześnie. Dopiero gdy tatko odejdzie, za-ciągnie się to do pokoju.

Zresztą ubiory wisały już od wczorajszego wieczora w sypialni na wieszaku, pod białem prześciera-

dłem, aby się nie zakurzyły i nie pobrudziły. Przyniosła je szwaczka, panna Sztrajblówna, której dawną klientką była pani Kondelikowa.

Rozkoszny ubiórek „woalowy”, „princesse”, jakie wówczas noszono, koloru wiśniowego, który tak dobrze się zgadzał z kasztanowatym włosiem i piwnemi oczyma Pepci.

Po śniadaniu matka i córka pośpiesznie sprzątnęły w pokoju, napaliły dobrze w piecu, aby sobie takto wygodnie przeczytał gazety, i zniknęły potem w kuchni.

— Tak, dziecię — mówiła pani Kondelikowa — a teraz sobie wszystko przypomnij, czego będziesz potrzebowała, abyśmy się tatce nie potrzebowały kręcić po pokoju. Suknię teraz zostaw, przymierzysz ją sobie po obiedzie, gdy tatko pójdzie za swojemi interesami. Teraz pamiętaj o bieliznie dziewczyno. Trzewiki weźmiesz sobie te lakierowane, a pończochy w paski...

— Ja myślałam, że te pomarańczowe, mateczko...

— Nie, dziewczyno, nie, te już były dwa razy prane, nużby potem jakie oczko pękło, to byłby ładny wypadek! Weźmiesz te zupełnie nowe, czarne z czerwonym, błyszczą jak jedwabne i to jest efektowne. Odprasuj sobie spodniczkę, także tę nową, z tem szerokiem przybraniem. Gdybyś przypadkiem upadła, czego nie daj Boże, suknią się odwinie, bielizna musi być jak alabastrowa. Nie te podwiązki do zawiązywania, Pepciu, te gumowe. Te zwyczajne rozwiązać się mogą czasem, i ładna to rzecz, kiedy tak spadnie. I spadną właśnie, kiedy tego człowiek naj-

mniej potrzebuje. Bywały już takie rzeczy, ła
 dna uciecha! Człowiek wolałby wtedy w piekle sie-
 dzieć. Chusteczkę przygotuj sobie koronkową, dwie
 zwyczajne wezmę z sobą do koszyczka. Otrzyj na
 czysto żelazko, Pepi, i połóż je sobie na stoliku, wie-
 czorem niczego nie szukajmy. Mamy w domu spiry-
 tus, Kasiu? No dobrze, dobrze. Skrzywankowa przyj-
 dzie cię uczesać, jeszcze do niej skoczysz przed po-
 łudniem, Kasiu, aby tu była o pół do szóstej. Wło-
 sianki i kilka szpilek wezmę z sobą, Pepciu, o to się
 nie kłopotcz. Na chusteczkę kapnij sobie trochę ko-
 lońskiej lub tego milferu, tylko nie przelejl! Nie jest
 przyjemnie, kiedy dziewczyna pachnie, jak sklep
 apteczny. Rękawiczki weźmiesz te makowe, te dłuż-
 sze, obejrzyj dobrze guziczki, aby ci potem po sali
 nie latały. Bransoletę granatową na prawą rękę, a na
 lewą możesz wziąć tego wężyka. Tak, dziewczyno,
 wszystko sobie wyjmij, ażeby wieczorem nie było
 bieganiny...

Wszystko to mówiła pani Kondelikowa półgło-
 sem, ale rozkazująco, jak generał, który wydaje rozkazy
 przed bitwą.

Wszak takie odwiedziny salonu tanecznego, to
 jakby wyprawa wojenna. Jeżeli się uda pierwszy
 szturm, zwycięża się potem lekko dalej.

Ale podczas gdy udzielała tych rozkazów, zno-
 siła sama z pudełek, szufladek i przegródek wszyst-
 ko, o czem mówiła, nie czekając, aż to uczyni Pep-
 cia. Była może sama więcej wzruszoną, niż Pepcia.
 Powodzenie bowiem córki było jej własnem powodze-
 niem. Wiedziała dobrze, że w tym czasie wszystkie

inne matki kłopotczą się również o swoje pisklęta, i wiedziała, że wieczorem każda z tych matek krytycznym okiem będzie obserwowała inne tancerki, konkurentki jej córki.

O, Pepcia nie będzie między ostatniemi! upewniała się w duchu pani Kondelikowa. Jej w tem głowa, jako troskliwej matki, a pani Kondelikowa dumną była ze swego zadania, dumną bowiem (mówiła sobie również w duchu z zadowoleniem) może być ze swej córki.

Ojciec Kondelik zjadł śniadanie, poczytał sobie trochę i gotował się wyjść z domu.

Z największą chęcią zносиła mu pani kołnierzyk, marynarkę, palto, kapelusz, aby go tylko wyprawić.

Nie będzie im przeszkadzał, to główna rzecz.

Po odejściu małżonka była pani Kondelikowa dopiero w swoim żywiole.

Goniła Pepcię od skrzyni do skrzyni, z kąta do kąta, i znów ją napominała:

— Nie zmęcz się, dziewczyno, ażebyś wieczorem była żywą, aby cię nogi nie bolały nim zacznieś tańczyć. Zresztą ku wieczorowi możesz sobie natrzeć trochę łydki octem. To robi bardzo dobrze, zawsze tak robiłam. Po obiedzie obmyj sobie nogi wystudzoną wodą, a będziesz je miała jak gumowe, zobaczysz, będzie ci się tańczyć, jak w bawełnie. Tak! A ty, Kasiu, pójdź-no tul..

Kasia latała wogóle całe przedpołudnie, jak ordynans.

Tak upłynął dzień na setnych drobnych kłopo-

tach, a o siódmej wieczorem stała Pepcia przed dużym lustrem, przygotowana do boju.

W tej chwili wszedł pan Kondelik.

Pani Kondelikowa szybko zrzuciła białe prześcieradło, w które była odziana, aby to małżonka nie pobudzało do jakich uwag niewczesnych, i witała go.

— No, no, o wilku mowa, a wilk tu! Właśnie mówiłam o tobie, staruszk, na łóżku masz czystą bieliznę i święteczny surdut...

— Przecież ja na bal nie idę...

— Dobrze, staruszk, wiem, pójdziesz sobie na górę, ale w przerwie zejdziesz do nas na dół do restauracyi, abyśmy nie siedzieli jak opuszczone przy kolacyi. Poślę po ciebie.

Pani Kondelikowa wcisnęła fryzjerce w rękę półtora reńskiego i odprowadziła ją do drzwi.

Ojciec Kondelik poszedł do sypialni i ubierał się.

Teraz, kiedy widział matkę i córkę w pełnej paradzie, poczuł chęć również „wystrychnięcia się.” Po upływie dziesięciu minut pokazał się znowu w jadalni, w ubiorze godnym swej małżonki i córki.

Wskazówka na zegarze w jadalni oznaczała właśnie pięć minut po pół do ósmej, kiedy Kasia, wysłana przed dom, powróciła z zawiadomieniem, że powóz zajechał.

— Przysłał Czerwiczek faeton? — spytała pani Kondelikowa.

Kasia dyabła wiedziała, co to jest „fajton”, ale przyświadczyła:

— Powóz wspaniały, proszę pani!

I rodzina Kondelików — Pepcia naprzód, rodzice za nią — wychodziła z mieszkania.

Pani Kondelikowa zwróciła uwagę, ażeby pierwszy krok uczyniła prawą nogą. Nie była pewną, czy Pepcia o tem pamiętała — uczyniła to za nią.

— Dzięki Bogul — westchnęła sobie Kasia, kiedy kroki państwa cichnęły na schodach. — Już mam nogi ubiegane po kolana. Żebym ja się tak gotowała na muzykę, byłoby dopiero utrapienie.

*
*
*

W salonie Kaska było jeszcze dobrze chłodno, jak zwykle na początku w salonach balowych, zanim się piece należyście rozgrzeją i zanim młodzież tańcem i zabawą zagrzana nie udzieli trochę żaru mroźnej temperaturze.

W przedpokoju, służącym do przyjmowania, a równocześnie będącym garderobą, dzięki ciemno-czerwonej kotarze, rozciągniętej na całej szerokości sali, dreptało uroczyście ośmiu członków starej gwardyi kółka „Karafiatów”, po większej części w czamarach; niektórzy jednak byli we frakach.

Wszystkich zdobiła odznaka stowarzyszenia: dwa gwoźdźki, biały i czerwony, wetknięte w dziurki lub przypięte szpilkami, a oprócz tego spływały im z lewego ramienia czerwono-białe wstęgi jedwabne, na których wyciśnięto srebrnymi literami: *Kółko—Karafiatów*.

Wstęgi te przypięte były do ramiom agrafą wielkości reńskiego, której srebrne brzegi otaczał biały gwoźdźnik w czerwonym polu.

Takie odznaki, wstęgi, emblematy i monogramy są przy uroczystościach tanecznych rzeczą arcy-poważną, czasem najpoważniejszą. Zwykli członkowie Karafiatów, bez tych ozdób, spoglądali na dekorowanych towarzyszków z pewną zawiścią i tylko jedna myśl ich pocieszała:

„Za rok, może, będę wybrany.”

W salonie tanecznym obchodził fortepian pianista, chudy mężczyzna w „cesarskim” surducie, szarym prawdopodobnie na postać chudsza jeszcze. Mąż ten zdejmował co chwila binokle z nosa i ocierał je, z pewnością po raz już dwudziesty. Chwilami znowu wstępował na podyum i pajęczynowemi palcami przebiegał niektóre klawisze, jakby się przekonywał, czy fortepian nastrojony.

Nie był to codzienny pianista pana Kaska, lecz specjalnie zamówiony „mistrz koncertowy” Karafiatów, który grywał im już dawniej i o którym byli organizatorowie przedłużonej godziny przeświadczeni, że jest w nich najlepiej „wgrany.”

Już od godziny pół do ósmej schodziły się zaproszone damy.

Matka i córka, matka i córka, czasem także matka i dwie córki. Zresztą były tu i panienki z opiekunkami, czy „przyzwoitkami” pożyczonemi, z ciotkami, matkami chrzestnemi, sąsiadkami i t. p.

O trzy kwadranse na ósmą weszła do przedpokoju pani Kondelikowa z Pepcią.

Jakkolwiek pani się starała, aby patrzeć jaknajładodniej, „ciepło”, miał wyraz jej twarzy jednak coś w sobie sztywnego. Zawiniła tu ważność chwili. Pani Kondelikowa czuła, jak jej w tej uroczystej chwili

mięśnie twarzy drętwiały. Zwykły to stan osób, wykraczających po zużyty, powszedni tryb życia.

Pepcia przy boku matki weszła do salonu wesoło, prawie biegła obok niej.

Widziała wprawdzie szereg postaci, schylających się, widziała tuzin głów i twarzy, tuzin par oczu, utkwionych w siebie, ale nie rozpoznawała tych twarzy.

Słyszała całą skalę głosów, wymawiających: „moje uszanowanie”, „całuję rączki”, „padam do nóg” — ale nie wiedziała, które usta mówią.

Podobną się stała do debiutantki, która spogląda na setki głów na sali i nie rozeznaje ani jednej.

Instynktem wiedziona podreptała przed matką do garderoby, aby odłożyć płaszcz, i wnet pomagała matce.

Jeden z członków podszedł ku niej z białą tacą, wypełnioną programami tańców. Ukłoniła się lekko i drżącą ręką brała karteczkę z cieniutkim ołówkiem. W tej chwili już podchodził inny członek z inną tacą, na której były małe bukietki gwóźdźków, symbol dzisiejszego wieczoru. Pepcia wzięła sobie bukiet i znów się skłoniła. Jej szepnięcie „dziękuję”, utonęło prawie zupełnie w tym łagodnym szmerze, spowodowanym jej nadejściem.

Potem trzeci członek podał jej ramię, aby ją do sali wprowadzić.

Zawiesiła się tylko na jego ramieniu i z ogromną nieśmiałością wchodziła przez kurtynę, którą tymczasem czwarty członek jaknajszerszej rozgarnął.

Organizator zaprowadził ją na krzesło przy ścianie, rzekł „proszę”, ukłonił się i odszedł.

Pepcia zorientowała się we wszystkim dopiero wtedy, gdy siedziała przy boku matki, i odetchnęła głęboko.

Po sali powiała chłodna woń perfum.

Na krzesłach wzdłuż ścian tworzyły się małe grupy, rozrzucone po całej sali. Zawsze matka i córka, matka i córka, te córeczki tuliły się ku swoim matkom, jak młode jaskółeczki, a główki ich wyglądały, jak główki ptasząt, spozierających na świat z gniazdka. Różniły się tem od ptasząt, że nie szczebiotały. Nie wzięłyby tego nawet nikt za tłumioną rozmowę. Szeptano, a żadne z tych ustek nie do-
były się na głośne słowo.

— Nie zimno ci? — zapytała pani Kondelikowa.

— Nie, mateczko — odpowiadała Pepcia, obserwująca po kolei resztę dziewcząt; same nieznanne twarze.

Ale gdyby jej kto był odgarnął rękaw „princesse”, byłby na jej ręku spostrzegł kropki gęsiej skóry.

— Gorąco tu nie jest, Pepciu — rzekła znów pani Kondelikowa, patrząc badawczo na córkę — zatnij trochę wargi, są podobne do fiołków.

Tymczasem postaci kobiecych przybywało, przerywy przy ścianach się zapępniały, szum się wzmagął. Dochodziła ósma, pianista miętosił w powietrzu cienkie palce, jakby im dodawał elastyczności. Za chwilę zaczniesz!

Kurtyna, która zasłaniała wejście, nie opuszcza-

ła się wcale. Była cała odchylona, zaproszone damy wchodziły szeregiem. Drzwi z zewnątrz nie zamykały się prawie. Pojedynczy tancerze, którzy tymczasem poddali zgromadzone dziewczęta dokładnemu obejrzeniu i w wyborze swoim się decydowali, podchodzili, kłaniali się, odlepiali wybrane tancerki od krzeseł i rozpoczynali promenadę po sali.

— Przynajmniej się trochę rozgrzeją — zauważyła pani Kondelikowa.

I badawczo patrzyła na gromadę młodzieńców, skupionych w kącie obok wejścia. Który też weźmie Pepcię?

Niestety, gromadka ta składała się z owych młodzieńców nieśmiałych, których na każdym balu, na każdym wieczorku jest większy lub mniejszy procent. Są to młodzieńcy z małą dawką samodzielności, odwagi, przedsiębiorczości. Zdaje im się, że całe towarzystwo wie, iż czarny ich surdut jest wypożyczony od szczęśliwszego przyjaciela, stale w duchu przeliczają skromną liczbę swoich dziesiątek w kieszeni i stale myślą o słabości reparowanych butów. O nieszczęśliwy niedostatek, który jesteś tak liczny! Tym bohaterom balowym macieś chwile, które w innych warunkach byłyby zaliczone między najszcześniejsze w życiu!

Później, za godzinę lub za dwie, rzuca się i oni w ten wir, ale te gorzkie, pierwsze chwile, gdy się boją, gdy im się zdaje, że oczy całego towarzystwa spoczywają tylko na nich, na ich błyszczących łokciach, na jakiejś tam niewinnej bliźnie buta, są do prawdy straszne!

Ósma godzina!

Poważnie i z zupełną powagą wstąpił teraz pianista na podium, na którym do tej chwili milcząco stał trzynogi aparat. Pianista utkwiał w niemym fortepianie wzrok z ową pewnością siebie, z jaką torreador spogląda na byka w arenie. Ten kolos będzie za chwilę podrażniony i wyda z siebie dźwięki, które rozleją życie po całej okolicy wśród tych zgromadzonych na arenie tanecznej. On zawładnie swemi palcami nad tym modnym przyrządem.

Po raz ostatni mąż w ciasnym surducie otarł binokle, uroczyście odpiął mankiety, położył je obok siebie na ławeczce, ukłonił się w nieokreślonym kierunku, rozłożył na pulpicie nuty, dla większego efektu, był bowiem pianistą „z pamięci,” i uderzył trzy potężne akordy.

Był to znak, ażeby przechadzające się pary przygotowały się do tańca, było to wezwanie do turnieju.

Prezes Karafiatów z rękami lekko wzniesionemi i rozłożonemi, stanął na sali, kłaśnięciem wskazał pianiście, ażeby „zabrział dźwięk trąb i kotłów”, ale wzmocniony szum w przedsiönku zatrzymał go. Jak na ostatnie wezwanie garnął się jeszcze tłum dziewcząt z mamami i ciotkami do sali. Pośpiesznie już przy drzwiach uderzenia pianisty, pośpiesznie zrzuciły płaszcze i szturmem wtargnęły do sali, nie chcąc utracić pierwszego tańca.

Pani Kondelikowa patrzyła z zadziwieniem na to wtargnięcie i mimowoli spłynęło jej z ust:

— Chryste Panie, ileż tu kobiet!

Uwaga jej była zupełnie słuszna. Rzeczywiście straszne mnóstwo dziewcząt znalazło się na sali, a ró-

wnocześnie niepokojąca mniejszość tancerzy. A może tancerze skrywają się za zasłoną?

O, gdyby była wiedziała, że tam jest pułstol

Znów kłaśnięcie w dłonie i fortepian się rozśpiewał. Po jego strunach ślizgał się żebrzący, łudzający walczyk, ukochany taniec Pepci.

Przygotowane pary rozkołysały się i falowały dalej i dalej, z załogi nieśmiały tancerzy w kącie odrywał się jeden po drugim i każdy odprowadzał towarzyszkę z szeregu dziewcząt siedzących, kupka ich szczupłała, nareszcie rozpędził się młodzieniec ostatni, ukłonił się przed panienką w modrym ubiorze—a Pepcia siedziała.

Nie siedziała sama, siedziała dobra połowa, nawet dwie trzecie wszystkich dziewcząt, pokazało się, że dyabelna statystyka o przewadze dziewcząt rzuca swe cienie na kółko Karafiatów.

Mimo to wyraz twarzy Pepci nie pozbył się łagodności.

Nie wiedziała w swojej niewinności i nieświadomości, że to próżniactwo mogłoby się przeciągnąć przez cały wieczór. Za to z oblicza pani Kondelikowej zniknął uśmiech. Po wszystkich tych przygotowaniach czyż może być, ażeby córka „siedziała”? Nie! bronila się przed tą myślą. A jednak im dłużej to trwało, tem było jej smutniej. Już dwa, trzy razy przewalila się fala tańca przez salę, walczyk zaczynał się nanowo. Długoż to będzie trwało? Już niektórzy tancerze odprowadzali tancerki na miejsce i brali inne—Pepcia siedziała.

— Może usiadła zbyt blisko kurtyny—rozważa-

ła pani Kondelikowa—może trzeba było się z Pepcią wyżej?

Wtem zaskrzyptały drzwi przedpokoju, pomiędzy kurtyną mignął jakiś cień spóźniony, śpieszył do szatni, składał tam paltot i już stał przy wejściu do sali. Przystojny, zgrabny, młody mężczyzna w czamarcie. Pośpiesznie dopiął guziczek prawej rękawiczki, kiwnął głową niektórym znajomym, którzy właśnie tańczyli wokoło, i zapatrzył się na szereg dziewcząt siedzących.

Zupełnie bezmyślnie spojrzała Pepcia ku wejściu, oczy jej spotkały się nagle ze spojrzeniem młodego mężczyzny. Pepcia spuściła oczy i już się nie ośmieliła spojrzeć w tamtą stronę. Za to spojrzenie młodzieńca spoczęło na niej dłużej, niż na innych, a teraz, gdy mu pokazała swój profil, osadził lepiej binokle, zapatrzył się na nieznajomą i jakby się był nagle zdecydował, zamierzył ku niej. Ale początkowa jego stanowczość upadała, im dalej szedł, a gdy doszedł ku Pepci, wymówił ledwie dosłyszalnym głosem:

— Czy mogę panią prosić?

Pepcia wstała.

Nie zwróciwszy uwagi tancerza, poprawiła na niej pani Kondelikowa szybko sukienkę z tyłu—i już się para wplotła w wieniec tańca. Nikt nie przeczuwał, że w tej chwili z głębi odetchnęła pani Kondelikowa. Lody były przełamane, zakłęcie zdjęte, „smoła przerwana” — jak mówiła pani Kondelikowa. Pepcia znalazła się w kole tancerzy i matka wiedziała teraz już z pewnością, że nie będzie siedziała. Wszak ją tu nie po to przyprowadziła. Siedzieć mogłaby w domu!

Pani Kondelikowa się nie myliła: Pepcia nie siedziała.

Młody mężczyzna, który ją pochwycił, nie mógł się już od niej oderwać. Pianista po trzykroć przegrał całego walczyka, wielu tancerzy zmieniło po dwie i trzy damy, a Pepcia nie powracała. Fortepian zamilkł, odezwał się oklask, pierwszy organizator śpieszył do pianisty i przemówił doń kilka słów. Gracz obtarł tylko obfite krople potu na czole i nosie, z którego mu binokle zmykały — i znów zanurzył ręce w klawisze. A Pepcia była w nowym locie.

Nareszcie umilkł instrument na dobre i młody mężczyzna w czamarze, rozpalony jak żelazo, prowadził Pepcię przez salę. Gorzała także jak ogień, oboje ledwie dech chwyтали, obojgu potrzeba było uspakajającego spaceru.

Pani Kondelikowa zauważyła, że niektórzy z organizatorów, spotykając się przy spacerze z tancerzem jej córki, szeptali doń słów kilka. Młody mężczyzna kiwał głową, jakby potwierdzająco, zaśmiał się trochę kłopotliwie, jak jej się zdawało, ale już znowu cały poświęcił się Pepci, rozmawiając z nią, o ile spracowane jego płuca na to pozwalały.

Nareszcie nie pozostawało nic innego, jak odprowadzić ją do krzesła. A gdy się zbliżał, patrzył młodzian uważnie, która z obu opiekunek, między którymi siedziała Pepcia, zwróci się ku niej. Ta będzie jej matką.

Pani Kondelikowa ułatwiła mu mimowolnie to rozpoznanie. Gdy się Pepcia zbliżała ku „przystani”, wyjmowała matka chusteczkę i roztrzepując ją, wołała z łagodną wymówką:

— Dziecię, dziecię, zgrzałaś się! Chodź tu, obetrzyj się...

Tancerz czuł, że wyrzut ten należy się raczej jemu. Ukłonił się więc pani Kondelikowej, i gdy mu się Pepcia wywinęła z pod ręki, rzekł tonem prośby:

— Szanowna pani raczy wybaczyć, ale panienka tańczy tak lekko, tak leciutko, że sobie zaszkodzić nie mogła.

Pani Kondelikowa kiwnęła uprzejmie głową, a młodemu mężczyźnie wydało się, że nań patrzy dziwnie pytająco. I już sobie przypomniał, że właściwie chciał zacząć inaczej. Ukłonił się więc powtórnie, głębiej niż przedtem, i wymówił z pewną ceremonialnością:

— Nazywam się *Franciszek Wejwara*, szanowna pani, jestem praktykantem koncepcystą przy magistracie królewskiego, głównego miasta Pragi.

To był pełny, uroczysty, tak zwany wielki tytuł młodego mężczyzny. Zwykle, a szczególnie w mężkiem towarzystwie, rekomendował się lakonicznie, „praktykantem magistratu.“

Gdy się już młodzian przedstawił, spojrzała nań panna Pepcia pełnemi oczyma. Wie tedy z kim tańczyła, i dobrze, że wie. Od tej chwili jej tancerz wydał się lepszym znajomym. Jeśli też mówił przedtem do mamusi: „że panienka tańczy tak lekko,” to teraz Pepcia powtarzała sobie, że i on tańczy niemniej lekko. Ślizgał się prawie po posadzce, nawet go słychać nie było...

Pani Kondelikowa skinęła głową po raz wtóry i jeszcze uprzejmiej niż przedtem, rzekła też bardzo łagodnie:

— Bardzo mi przyjemnie, szanowny panie!

Pepcia była mamusi w duchu tak wdzięczną za te słowa! I ją bowiem cieszyło. Pan Wejwara polecał się tymczasem pamięci i oddalił się, a Pepcia, jakkolwiek zdawałoby się, że gorliwie się wachluje i nie ma innej troski, śledziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął za kotarą.

— Zdaje mi się, że jest to jakiś przyzwoity młodzieniec — wtrąciła pani Kondelikowa — i zna formy, nie każdy się przedstawi. Porwą dziewczynę i znów ją posadzą, z kąd ją wzięli, i idą sobie...

Po chwili zwróciła się do córki:

— A nie zmęczył cię bardzo, Pepciu? Trwało to przecież bardzo długo, i wiesz, że właściwie dobrze się to nie przedstawia, kiedy dziewczę tańczy z jednym tancerzem całego walca i jeszcze cały dodatek. Ha! dlatego tu przyszedłaś, ażebyś się wytęńczyła, ale inni zmieniali; wygląda to trochę familiarnie.

— Jeżeli mnie nie odprowadził mamusi — broniła się nieśmiało Pepcia.

— Dobrze, dobrze, Pepciu, nie nie mówię, ale w takim razie powinno dziewczę samo podziękować: „racz pan wybaczyć, jestem zmęczona, przepraszam, odpocznę sobie trochę,” coś w tym rodzaju. Posiedzisz trochę, przyjdzie inny, i tak dalej. Wszak on by się nie obraził, a jeżeli tak dobrze tańczyłaś, przyszedłby znowu...

Za kotarą w przedpokoju w tej samej chwili przechadzali się nietylko dygnitarze, ale i zwyczajni Karafiaci, zmęczeni pierwszym tańcem, aż się z nich kurzyło, jak konie podczas wyścigów na Królewskiej łące, ocierali gorliwie czoła, twarze i szyje, aż chu-

steczki wyciskać można było, a przy spotkaniu mówili do siebie:

— Dziś mamy znojny dzień... Dziewczyn, rany boskiel! Na każdego z nas przy każdym tańcu wypadają najmniej po cztery...

.... A przy kadrylach i besedach wywieziemy chyba te nadliczbowe, bo im serca pękają.

W tej chwili wchodził pan Wejwara.

Gdy go prezes Karafiatów zoczył, zawołał skwaszonym głosem:

— Słuchaj ty, Wejwaro, dziś nie wolno przylepiać się do jednej panienki—i tańczyć jak bliźnięta! Siedemdziesiąt pięć procent siedziało.

— Ależ panowie — próbował bronić się Wejwara.

— Nie, nie wypadal! — wołał prezes. — Któż obtańczy całą resztę!

— Ależ pozwólcie, panowie — tłumaczył pan Wejwara—ja przecież nie byłem zamówiony do pracy, przyszedłem dla zabawy i zapłaciłem, co się należało.

— Czyż my nie płaciliśmy?—oponował prezes.— Wszyscy płaciliśmy, a jeszcze inne koszta mieliśmy, któż temu winien, że tamta hałastra została w domu!

— Nie psuj pan sobie warg — odkrzyknął niegrzecznie chudy tancerz, nad którego czołem szerzyła się przedwczesna łysina. — Pan Wejwara ma rację: cóż to, czy orać tu przyszliśmy?... Ja chcę zabawy, a nie żadnej pracy przymusowej.

Było widocznem, że są tu dwie strony: jedna, która chciała zachować honor proporca Karafiatów

i zadowolić wszystkie damy — druga, która podjęła walkę o politykę „wolnej ręki.”

Prezes zdecydował się na czyn stanowczy i odstrasżający. Odpiął teatralnie znak z lewego ramienia i zwiijając wstęgę, wygłosił na pozór obojętnie:

— Panowie, nie chcę być odpowiedzialnym za fiasko i nie chcę brać w niem udziału! Nie jesteśmy solidarni, więc zrzekam się funkcyi i odchodzę!

Rozumie się, że pogróżka poskutkowała. Porwali go czterej inni członkowie, wyrwali mu wstęgę, przypięli ją gwałtem na ramieniu (prezes wiedział, że się inaczej nie skończy!) i zwracając się do opozycyjnego pana Wosyki, rzekł:

— Panowie, będzie to poruszone na najbliższem zebraniu członków, ale tu działajmy solidarnie, rozumiecie panowie, solidarnie!

— Wybornie! — zawołał mały mężczyzna w okularach. — Solidarnie!

I zadowolony z satysfakcyi, którą otrzymał prezes, kręcił sobie dostojnie szorstkie, sterczące wąsiki.

Wejwara nie czekał zakończenia.

Przerwa minęła, pianista znów wstąpił na podium i usiadł przy fortepianie, a instrument rozdzwierał się powabną polką. Pan Wejwara zmierzył ku Pepci.

Ale nim doszedł, była już Pepcia w kole. Wyprzedził go mały mężczyzna w okularach.

Pana Wejwarę ukłóto prawie w sercu. Dziś widział Pepcię po raz pierwszy, nie wiedząc kto ona, z kąd ona, po raz pierwszy tańczył z nią, kilka słów z nią zamienił, ale teraz, kiedy mu ją uprowadził drobny mężczyzna, było mu tak, jakby mu ktoś zabrał skarb drogi.

Ale poddał się losowi. Poprosił dziewczę najbliższe i znalazł się w kole. Ale ach, gdzież się podziała słodycz pierwszego walczyka!

Gdy tańczył, ciągle zwracał oczy na puste krzesło, które nieznamoma zostawiła po sobie i stale trzymał się w jego bliskości, ażeby wnet mógł przymusową tancerkę posadzić, jak tylko współzawodnik „wiśniową” odprowadzi. Gdy się też tak stało, podbiegł Wejwara, jak strzała, i promieniał szczęściem. Pepci również lepiej podobał się Wejwara, niż mały człowieczek.

Polka się skończyła, Wejwara odprowadzał Pepcię ku matce. Pani Kondelikowa nie mogła stłumić pytania.

— Ale, panie szanowny, że też tak mało przyszło panów?

Prostoduszny Wejwara objaśniał:

— Tak bywa, szanowna pani, na naszych wieczorkach. Panowie muszą płacić reńskiego za wejście, dlatego tylu ich pozostało w domu. Ale damy przychodzą regularnie wszystkie dlatego, że nic nie płacą...

Twarz pani Kondelikowej pokryła się kłopotliwym rumieńcem, a panu Wejwarze zdawało się, że powiedział jakieś głupstwo. Było mu już dość gorąco od tańca, ale spojrzenie pani Kondelikowej oblało go dopiero ukropem. Śpieszył więc, aby błąd swój poprawić.

— Był, co prawda, już w roku ubiegłym podany projekt, aby i damy również płaciły za wejście, przynajmniej połowę; ale projekt upadł w wielkiej

większości, bo wszyscy doświadczeni członkowie mówili, że znów damy zostawałyby w domu i...

Pan Wejwara nie dokończył, ledwie bowiem tych słów domawiał, uczuł, że wpadł w bryndzę jeszcze gęstsza.

Lecz pani Kondelikowa, jak gdyby pojmowała kłopoty młodzieńca, przymuszała się do uśmiechu i mówiła łagodnym głosem:

— No, no, nie byłoby znów chyba tak źle, szanowny panie. Jeżeli damy ofiarują tyle na toalety i na fiaków, nie zrobiłaby różnicy opłata wejścia, a gdy wiedzą, że idą w przyzwoite towarzystwo, zapłaciłyby także z pewnością tego reńskiego...

Pan Wejwara zrozumiał i byłby ręce ucałował współczującej pani, że mu tak z kłopotów wybrnąć pomaga. Jak tonący chwycił się podawanej słomki i mówił szybko:

— Owszem, szanowna pani, takie jest również moje zdanie, którego broniłem! Wszak kółko nasze wie, z jakim się liczy społeczeństwem, wszak my zapraszamy tylko przednie rodziny i wiemy, jak swoją obecnością zdobią nasze wieczorki, a gdyby nasz deficyt wzrósł z każdą damą jeszcze o reńskiego, „Karafiaci” bowiem za każdym razem i ze wszystkiego mają deficyt, to byśmy, to byśmy...

Wejwarze drętwiał język, włosy mu się jeżyły na głowie. Nie wiedział, „co byśmy” i umilkł. Pasmu myśli się rwało, język odmówił mu służby — skończył.

Pepcia może nawet nie pojmowała, w czym jej tancerz ugrzązł, nie przeczuwała, że byłby on się

teraz najchętniej zapadł w ziemię, i chłodziła się gorliwie wachlarzem.

Pani Kondelikowa spojrzała na nią i przerwała milczenie, tak męczące dla młodzieńca:

— Tobie gorąco, prawda, Pepciu? Czy nie chciałabyś może wyjść trochę na chłodniejsze powietrze, do przedpokoju?

Powstała, a pan Wejwara doprowadził obie damy aż do kotary, poczem skłonił się niemo i powrócił do sali.

Stanął w kąciку za fortepianem, przyłączył się tam do kółka „nieśmiałych,” i męczył głowę, jak poprawić „straszne wrażenie,” które sobie malował barwami najciemniejszymi.

Nic nie wymyślił, gdy już zabrzmiała przegrywka do besedy.

Pepcia była znów na swoim miejscu, panu Wejwarze nie pozostawało nic innego, jak odprowadzić ją i stanąć w czworoboku.

Zabrzmiały takty „kominika,” początek drugiej połowy, kiedy pan Wejwara zauważył, że jego tancerka, obracając się, uśmiechnęła się do kogoś w kierunku wejścia.

Kwadrat, w którym Wejwara i Pepcia tańczyli, był prawie przy samej kurtynie. Spojrzał tam i spostrzegł pana Hupnera, honorowego członka „Karafia-tów,” starego wojownika na polu balowem, a obok niego starszego pana, pełnej tuszy, patrzącego do-brotliwie i wesoło na ten rój taneczny.

Panna Pepcia odgadła spojrzenie swego kawalera i szepnęła jedyne słówko:

— Tatko!

Stał tam ojciec Kondelik. Przyprowadził go pan Hupner, który miał na górze w wydziale zabaw jakieś ważne posiedzenie *à propos* balu kostyumowego. Posiedzenie odbył „łotem błyskawicy,” jak mówił — nie trwało nawet dwie godziny — a potem śpieszył, aby swoim udziałem dodać większego blasku wieczorowi „Karaflatów.” Spotkał się w sali Besedy z panem Kondelikiem, dowiedział się od niego, że córka Pepcia jest na dole i przymusił starego pana, aby z nim poszedł na to „fikanie” popatrzeć.

— Na chwilę, panie ojczel!

A mistrz Kondelik się zgodził. Taniec był w pełnym biegu, kiedy weszli i stanęli pod „baldachimem,” jak pan Hupner dumnie nazywał kurtynę, i zapatrzyli się na rój tańczących.

Pan Hupner przeglądał pary, jak generał manewrujący armią; oczy mu się iskrzyły, każda żyła w twarzy grała. Wyglądał tak, jakby chciał skoczyć w ten wir, wyrwać któremu tancerzowi jego družkę i dotńczyć z nią sam besedę. Był wcieloną namiętnością taneczną.

Natomiast mistrz Kondelik patrzył na tańce spokojnie i twarz jego pokrywał wyraz widocznego zadowolenia, że wyszedł już z tych lat.

Kiedy panna Pepcia powiedziała „tatko,” spoczęły oczy mistrza akurat na rycerzu jego córki i Wejwara ukłonił się z uszanowaniem.

W tej chwili miał dziwne uczucie. Oto ojciec dziewczęcia, które mu się od pierwszego spojrzenia tak podobało. Matkę już poznał, matka jest sympatyczna, miła panie! Jaki jest ojciec? Czy zabawi tu przez całą besedę? Czy będzie Wejwarze sądzonem,

aby mu swoje uszanowanie wyraził? Czy będzie przez ojca mile przyjęty i jakie to wszystko mieć będzie następstwa? Wejwara bowiem czuł, że mu przy boku żadnego dziewczęcia dotąd tak błogo nie było, jak dziś przy boku panny Pepci.

Był zadowolony, że się pan Hupner zna z tym ojcem. Pan Hupner był przyjacielem Wejwary, był on zresztą przyjacielem całego świata, „tykał” się z tysiącem ludzi, pan Hupner musi mu o tej rodzinie powiedzieć wszystko, co wie o ojcu, o matce i—o panie.

Wejwara tańczył z całą puwagą, ale i z całym zapalem, aby uczynić na ojcu swej miłej tancerki wrażenie jaknajlepsze. Przy zataczaniu koła, usłyszał pan Wejwara rozmowę pana Kondelika. Głos przyjemny, prawie wesoły, ale mówił coś dziwnego.

— Chciałbym tylko wiedzieć — mówił mistrz Kondelik, pochylając się ku panu Hupnerowi—dlaczego ten pan tańczy w kaloszach?...

Mistrz Kondelik mówił dość głośno, ale myślał, że mówi tylko do pana Hupnera, że słowa jego tłumione są dźwiękami fortepianu i szurganiem tańczących.

Pomimo to przeniknęły dalej, niż do pana Hupnera, kilku bowiem tancerzy obejrzało się, a Wejwara uśmiechnął się w duchu. Któżby tańczył w kaloszach — i ktoby tego nie czuł... Jego oczy mimowoli osunęły się na własne jego nogi — i w Wejwarze zastygła krew.

Fatalne kalosze siedziały na jego nogach!

Gdy przedtem wpadł do salonu Kaska i spieszył, aby nie stracić pierwszego walca, zapomniał na

śmierć, że jest w kaloszach, które wdział w domu na lekkie, nowe lakierki, na wszelki przypadek. Wleciał w nich do sali, chwycił Pepcię, przetańczył walca, polkę, przystąpił do besedy — i o kaloszach już nie wspomniął. Nikt mu nie zwrócił uwagi, a jeśli który z Karafiatów zauważył, to może przez złoliwość nie odezwał się wcale.

Niestety, Wejwara nie miał charakteru, aby to w żart obrócić, jakby może każdy inny był uczynił. Cała krew się w nim ścisnęła i teraz dopiero poczuł, że mu kalosze ciężą, jakby miał na nogach centnary. Uważał to za straszną *blamage*, był ogromnie zawstydzony i stracił zupełnie cały rezon. Chętnie byłby schował nogi i mieszał wszystkie ostatnie figury tak, że prawie zupełnie zepsuł swój kwadrat. O, gdyby mógł schować nogi do kieszeni! Oby się beseda skończyła! Oby nagle pogasty wszystkie światła, aby mógł uciec, nim o tem dowie się całe towarzystwo. To czuł ukrop na sobie, to znów mroziło go na plecach, a teraz zdawało mu się, że i oczy panny Pepci osunęły się ku podłodze i że ujrzały tam niewidzianą i niesłychaną jego ozdobę — ubiór, w jakim jeszcze chyba nikt i nigdy nie tańczył..

Jak skończył tę najfatalniejszą ze wszystkich swoich besed, nie przypomniał sobie Wejwara nigdy. Jak doprowadził pannę Pepcię do matki i jak się uklonił, zginęło mu na wsze czasy z pamięci. Później miał tylko niejasne wspomnienie chwil, gdy się wzdłuż ściany zaszurgał do szatni, pochwycił tam swoje palto, jak złodziej przeciskał się między grupami w przedpokoju, wypadł na schody, ubrał się w sieni, a potem uciekał do domu z poczuciem ogro-

mnego wstydu i z gorzkim wyrzutem na los złośliwy, który w ten śmieszny sposób zabił w nim wszystkie nadzieje, poczynające w nim rosnać przy boku panny Pepci.

— Koniec, ze wszystkiem koniec! — jęczało w nim.—Okazałeś się tak śmiesznym, że tego nigdy i nijak poprawić nie możesz!...

Daremnie czekała panna Pepcia na Wejwarę przed tańcami, na które się zapisał. Zniknął w niewyjaśniony sposób, jakby go był kto porwał i nikt nie wiedział, gdzie się podział.

Pani Kondelikowa również była zaniepokojona zniknięciem Wejwary, czego nie umiała sobie wyjaśnić. Dopiero o przerwie północnej, kiedy się matka i córka zeszły z ojcem w restauracyi, dowiedziały się, co się stało, zrozumiały przyczynę ucieczki pana Wejwary. A właściwie nie rozumiały! Przecież mógł kalosze poprostu zrzucić i mógł tańczyć dalej!

— Owszem—wtrącił ojciec Kondelik—mógł je zrzucić, ale miał prawdopodobnie podarte buty!...

— Nie, staruszk—opierała się pani—ten młodzieniec ma z pewnością najmniej trzy pary butów i to dobrych, wszystko było na nim tak porządne, ale zawstydził się twoją uwagą! Jest to uczuciowy człowiek i dlatego żal mi go. Innyby się tem chlubił, zrobiłby z siebie błazna, pan Wejwara nie! Wierz mi, staruszk, że tak jest, a nie inaczej:

Pepcia nie próbowała wynajdywać żadnych wyjaśnień i usprawiedliwień. Zjadła w milczeniu swoje smażone kotlety, napiła się, jak gołębnica z „hal-

by" matczynej i zapatrzyła się na stoły, przy których pozasiadały inne matki z córkami.

Wszystkie te dziewczęta bawiły się wybornie, wszystkie się śmiały, przy każdej siedział któryś z Karafiatów, czasem i po dwóch, a rozmawiali z żywieniem.

Wieczorek udał się wybornie, po przerwie będzie jeszcze więcej zabawy.

Pepcia się nie bawiła, nie śmiała. Odejście Wejwary napełniło ją pustką. Chwytał ją oddalony, zamierający płacz, a uczucie takie wstępowało coraz wyżej i silniej, były chwile, że już, już lękała się, ażeby jej nie wytrysnęły łzy z oczu. Sama nie zdawała sobie sprawy, z kąd się bierze ten smutek. Wszak widziała pana Wejwarę dziś po raz pierwszy.

Kiedy też tatko odszedł na chwilę do piątego stołu, gdzie siedział pewien jego znajomy, pochyliła się Pepcia do matki i rzekła zebrałym głosem:

— Prawda, mamusiu, że już nie wrócimy do sali, że pójdziemy potem do domu?..

Pani Kondelikowa spojrzała na córkę i odgadła wszystko. Ale jako rozsądna matka, nie pytała o nic, nie przymuszała i przyświadczyła:

— No, dobrze, Pepciu, jeżeli cię to już nie bawi, to pójdziemy. Ale moglibyśmy zostać i do drugiej, tatuś jest właśnie w takim dobrym humorze!

— Jak więc chcesz, mamusiu—rzekła martwym głosem Pepcia.

Kiedy po powrocie od „Karafiatów” w domu Kondelików wszystko ucichło i tylko lekkie chrapanie mistrza się odzywało, spojrzała pani na białe

drzwi, za którymi spała córka Pepcia, w zasypiającej głowie po raz ostatni odezwała się myśl:

— Byłżeby to on—pan Wejwara?..

Pytania tego nikt nie mógł rozwiązać.

IV.

Powtórne spotkanie. Tajemna wycieczka pana Kondelika.

Dawno minął karnawał. Panna Pepcia była na balu kostyumowym w Besedzie, ale jej tajemna nadzieja, że tam ujrzy pana Wejwarę, nie spełniła się. Powiedział Pepci, co prawda, owego wieczoru u „Karafiatów,” że się także wybiera na bal, że chce iść w przebraniu „Fausta,” ale oko jej go nie widziało. Przygoda z kaloszami stała się dla niego ogromnym pogromem. Z nikogo na świecie nie byłby sobie nic robił, przed wszystkimi Karafiatami i przed besedą całą byłby tańczył, choćby w dwóch parach kaloszy, tylko pannie Kondelikównie nie mógł się odważyć pokazać. Już znał jej imię, pan Hupner powiedział mu przy najbliższej okazji drobniejsze szczegóły.

Tak przeszedł mięsopust, post, rozwinęła się wiosna, a młodzi ludzie się nie ujrzeli.

Franciszek Wejwara, który błogo wspominał swoją „wiśniową” tancerkę u Kaska, nie ośmielił się szukać okazji, ażeby się z nią spotkać. A kiedy mu czasem przyszło do głowy, że mógłby się z nią spotkać, oko w oko, zdawało mu się, że przepadłby ze wstydu.

Wiosna była bardzo ciepła i wszystko wróżyło przedwczesne nadejście pięknego lata.

Było to na początku czerwca, kiedy boisko pamiętnej „Gwiazdy” zaczerwieniło się pewnego niedzielnego południa czerwonymi koszulami sokolskimi, zabrzmiało wesołemi pieśniami i ożywiło się setkami i tysiącami praskiej i okolicznej publiczności, bądź przybyłej koleją żelazną już rano lub pierwszym pociągiem po południu, bądź też towarzyszącej Sokołom, udającym się o godzinie pierwszej w drogę do Lubawy. Dnia tego urządzał praski „Sokół” pierwszą półdniową wycieczkę do „Gwiazdy,” połączoną z małemi ćwiczeniami na łące.

Mistrz Kondelik siedział tu już od obiadu, ażeby zachować to miejsce dla siebie. Przewidywał, jaki potem będzie tłok, i wyszukał wcześniej miejsce, gdzieby sobie po obiedzie mógł posiedzieć dłużej. Lubił wygodę i pierwszą troską na wycieczkach było dla niego wyszukanie kąta, gdzieby w cieniu mógł posiedzieć i odpocząć. Wycieczki pana Kondelika były właściwie wyjażdżkami. Wiemy, że był korpulentny i dłuższe chodzenie narażało go na pewne nieprzyjemne następstwa, jakim podlega większość spacerowiczów jego tuszy. Nie łatwo było wydostać go z Pragi, ale gdy się dał namówić na jaką wycieczkę w okolicę, wyjeżdżał najchętniej już przed południem, nie chcąc przy popołudniowym tłoku bić się o miejsce.

— A potem te zatracone lury na prowincyi! — gniewał się mistrz Kondelik.— Za karę trzeba je lać w siebie.

Pani Kondelikowa bardziej lubiła przechadzki

na otwartych miejscach. Nie dla siebie, lecz dla Pepci, której dobrze robiło świeże powietrze.

— Wiesz, dziewczyno, takie powietrze konserwuje świeżą płeć, spaceruj przeto, dopóki możesz! Przyjdą czasy, że się nasiedzisz i nie będziesz mogła wyjść z domu.

Pani Kondelikowa i Pepcia popijały właśnie kawę, mistrz Kondelik zalewał się piwem i gryzł piankową cygarniczkę, w której siedziało mocne „britanika.”

Naraz Pepcia odstawiała szklankę i twarz jej okryła się rumieńcem. Oczy jej utkwily na małej grupie Sokołów na skraju pobliskiej gęstwiny.

Pani Kondelikowa nie przeoczyła wzruszenia córki. Rzuciła okiem w tym samym kierunku i oto, tam obok gęstwiny zasiadło towarzystwo, złożone z młodzieńców w szarych uniformach przy beczułce piwa. Tylko jeden Sokół stał jeszcze, jakby szukał najodpowiedniejszego miejsca, gdzieby usiąść, a Sokołem tym był pan Franciszek Wejwara. Po raz pierwszy ukazał się tu damom od owego fatalnego wieczorku w salonie Kaska.

— Patrz-no, Pepciu—rzekła pani Kondelikowa, jakby nawet nie przeczuwała, że go córka już spotrze-gła — czy to czasem nie ten pan, co z tobą tańczył u Karafiatów?

Pepcia chętnie byłaby poprosiła mateczkę, aby milczała. Przecież tatko! Ale już się stało. Kivnęła więc tylko głową.

— Co, ten z temi kaloszami? — zawołał mistrz Kondelik.—Gdzież on?

Pani rzuciła karcące spojrzenie na małżonka, jakby chciała rzec:

— Ależ, tatku, miej przecież rozum.

I powróciła znowu spojrzeniem ku Wejwarze.

Wtem młody człowiek, jakby na sobie poczuł dotknięcie dwojga oczu, spojrzał nagle i prosto ku towarzystwu pod dębem. Poznał odrazu te trzy osoby, z którymi łączyły się dziwne wspomnienia i zarumienił się, jak przedtem Pepcia. Zdawało się, że chwilę rozważa, co czynić, ale już uchylił czapki, ukłonił się głęboko, a usta jego się poruszyły. Widocznie tu pod drzewo biegło jakieś uczciwe pozdrowienie.

— No, ukłonił się także, staruszk—rzekła pani Kondelikowa—kiedy nas wszystkich spostrzegł.

— Wszakże go nie znam nawet — odpowiedział mistrz Kondelik, zdjawszy kapelusz i machając nim ku Wejwarze.

— Ale wiesz, kto to jest—odparła pani—wszak pan Hupner powiedział ci wszystko.

— Wiem tylko, że chętnie tańczy w kaloszach—mówił mistrz—ale dziś ich nie ma.

— Daj już spokój, mężu — gniewała się pani.—To się może przytrafić każdemu.

I jakby chciała poprawić gadatliwość męża, która wprawdzie nie mogła dolecieć do ucha Wejwary, skinęła głową powtórnie i jaknajprzejmiej.

Czy był pan Wejwara ośmielony tem uprzejmem skinieniem? Czy zdecydował się przedtem już, że się przybliży, czując, że musi coś wyjaśnić, lub wytłómaczyć? Krótco mówiąc, młody człowiek wyrzekł kilka słów do towarzyszków na ziemi — i zmie-

rzał ku stołowi, przy którym siedzieli Kondelikowie. Jak na Wejwarę, był to krok bardzo odważny, nie byłby się też ośmielił do tego stopnia, gdyby tu stał jako prosty Franciszek Wejwara, w jakimś ubiorze w kratkę, pozostawiony sam sobie. Nie, wtedy byłby się schronił do gęstwiny, odwaga jego byłaby poniosła jedną porażkę więcej. Ale świadomość, że jest w uniformie sokolskim, dodawała odwagi jego nieśmiałoemu charakterowi. Przypomniawszy sobie teraz dewizę sokolską: „W sercu śmiałość, w ręku siła!” i kroczył.

Dopiero teraz spostrzegła pani Kondelikowa, jak to młodzian przystojny. Czapkę sokolską miał przesuniętą ku prawemu uchu tak, że nie pokrywała zupełnie jego ciemno-łowych kędzierzawych włosów. Twarz Wejwary otoczona była młodziutką bródką, cokolwiek ciemniejszą od włosów, pod równym nosem widniały dwa prążki wąsów, niedotkniętych jeszcze brzytwą. Lica Wejwary opalone od słońca; modre oczy szczerze, z ufnością spoglądały z pod rzęs. Dziś podobał się pan Wejwara pani Kondelikowej jeszcze bardziej, niż wtenczas u Karafiatów.

Pepcia wyrobiła sobie własne zdanie daleko wcześniej, niż matka. Jej się podobał Wejwara już u Karafiatów i dziś także, bez całej długiej obserwacji. Więc też, gdy się Wejwara przybliżał, jej serce żywiej bić zaczęło z rozkoszy. Tylko coś jej mąciło radość z tego powtórnego spotkania: myśl, że jest przy tem tatko. Tatko jest co prawda bardzo dobry, ale bywa czasem tak wesoły i mówi, co mu ślina na język przyniesie. Oby czasem nie dotknął Wejwary, oby go nie obraził...

Wejwara ukłonił się damom, wyrzekł swoje: „całuję rączki!” i „moje uszanowanie!” i kłaniając się mistrzowi Kondelikowi, przedstawiał się:

— Franciszek Wejwara, szanowny panie, praktykant-konceptista przy magistracie królewskiego, głównego miasta Pragil...

— Na zdar, Sokole — rzekł głośno mistrz — ja jestem Kondelik, malarz Kondelik, a pana znam już, panie Wejwaro; widziałem pana tańczącego z naszą Pepcią — u Karafiatów — besedę — bardzo pięknie pan tańczyłeś — mnie beseda nigdy nie szła w głowę...

Wejwara zaczerwienił się powtórnie, aż po za uszy, zdawało mu się, że się pod nim ziemia chwieje. Myślał, że w słowach pana Kondelika spoczywa dyabelna ironia. O mało nie stracił pewności siebie. Ale „Sokole, Sokole” wołało w nim coś: „Trzymaj się!”

— Niestety — zaczął mówić drżącym głosem — był to mój ostatni taniec z panienką, stała mi się wówczas przygoda, miałem nowe, leciutkie lakierki (pani Kondelikowa rzuciła na małżonka zwyciężkie spojrzenie: widzisz, że miał dobre buty!), nawet nie czułem, że wchodzę w kaloszach do sali, a kiedym to spostrzegł — no, jednym słowem, proszę szanowną panią i panienkę bardzo o przebaczenie, że odszedłem bez pożegnania — ale — bardzo mi się wstydziło. Dziś śmieję się z tego, ale wtedy zdawało mi się, że się ze mnie cały świat śmieje, i nie chciałem, ażeby choć cień z tego, co się mnie należało, padł na panienkę, z którą miałem jeszcze tańczyć...

— Aaach! — pani Kondelikowa w duchu głąskała Wejwarę po głowie! Wybornie to powiedział! Na-

wet nie myślała, że w taki delikatny sposób wytlómaczy swoje zniknięcie.

Teraz więc odezwała się prędzej, zanim mógł odezwać się Kondelik:

— Ależ, panie Wejwaro, ktoby przywiązywał do tego wagę! Pepci było tylko bardzo przykro, że pan dla takiej drobnostki odmówił sobie zabawy. Gdybyś pan tylko słowo powiedział..

Wejwara tymczasem odetchnął po długiej mowie. Powiedział, i naprawdę poczuł ulgę.

— Owszem, szanowna pani, teraz wiem, ale wtedy... i właśnie przed panią za nic w świecie nie chciałem...

Wejwara umilknął. Zląkł się prawie, że zbyt wiele powiedział. Wszak mogli sobie pomyśleć: cóż tobie na nas zależy! A nam na tobie! Przyszędłeś, odszedłeś, jakież dalsze ceremonie! Byli tam inni!

Z pewnością nic innego sobie nie myśli pani Kondelikowa. Patrzy nań tak poważnie, zdawało mu się prawie, że surowo.

Jakże się pan Wejwara mylił! Patrzyła pani Kondelikowa poważnie, prawda, ale tylko dlatego, by go nie zmieszać, dobrze zaś, jasno czytała pomiędzy wierszami jego mowy. To jest pewne, że wszystkie jego słowa oznaczają, że Pepcia wywarła na Wejwarze wrażenie głębokie, głębsze, niż pani do tej chwili sądziła. Kiedy też wspomniała o smutnem usposobieniu, w jakie popadła córka wtedy, po odejściu Wejwary, miała w następstwie tylko jedyną myśl: no, jeśli to wola Boża!...

Twarze matek były dla Wejwary do tej doby tablicami tajemnego, nieczytelnego pisma. Jaka ra-

dość przeniknęłaby jego serce, gdyby był odgadł, co teraz właśnie przez tę głowę przebiegło, a ponieważ przerwa trwała już pięć sekund, on zaś nie miał nic do powiedzenia, sięgnął po czapkę, uklonił się i rzekł:

— Państwo raczą wybaczyć, że utrudzałem; ale uważałem za obowiązek, aby się wytłómaczyć...

Pepcia drgnęła przy ruchu Wejwary. Jakżeż, znów odejdzie, ledwie się pokazał? I mimowoli spojrzała ku matce, jakby u niej szukała pomocy, ale wnet znów opuściła oczy.

O, matki rozumieją nieomylnie pewne spojrzenia córek! Wszak także były młodemi, także miały chwile podobne. Pani Kondelikowa zrozumiała i pomogła. Zdecydowała się odrazu.

— No, panie Wejwaro, ale dziś niema przyczyny, abyś pan tak szybko nas opuścił. Jeżeli pan łaskaw, to siądź pan z nami na chwilę, oczywiście jeżeli pan się nie pozbawi przyjemniejszej zabawy tam, wśród panów Sokołów i jeżeli panu tam nie wygodniej...

Wejwara nie oczekiwał tego zaproszenia.

— Jeśli państwo raczą pozwolić — jąkał się uszczęśliwiony i zadziwiony mile, patrząc z zapytaniem na panią, na córkę, ale najdłużej na pana Kondelika, i jeśli nie będę przeszkadzał, osmielę się więc... na chwilę... wśród braci jestem trzy razy tygodniowo, a na krześle jest zaiste wygodniej...

— Naturalnie — wtrącił sucho pan Kondelik — znalazłoby tam na pana mrówek, a i do tych hajdawerów wlaźłoby ich trochę!

Pani Kondelikowa nie była co prawda wcieloną poezją, ale czuła, że pan małżonek mówi chwilami

straszną prozą. Zdawało jej się, że teraz po niej łążą mrówki, tak była zakłopotana. Prędko głaaskała czerwony obrus na stole, zmiatała okrucy, odstawiała szklanki, ażeby zrobić Wejwarze miejsce. Znalazło się gdzieś osierocone krzesło, Wejwara chwycił je i już siedział.

Siedział—i nic więcej. Przez cały ten czas pragnął spotkania z Pepcią całą duszą, całym sercem, ale teraz, gdy siedział obok niej, ledwie się oczy podnieść ku niej odważył.

Mistrz Kondelik czuł się w obowiązku także coś powiedzieć. Nie dlatego, ażeby dla Wejwary zbudować złoty most, nie przeczuwał nawet na chwilę, co się u obu młodych dzieje, ale czuł na sobie spojrzenie swej małżonki.

— Kondeliku — zdało się mówić spojrzenie pani—teraz kolej na ciebie, abys rzekł słowo.

Mistrz Kondelik odetchnął głęboko, napił się, sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął cygara.

— Może pan pozwoli cygarko, panie Sokole — rzekł do Wejwary.

Wejwara z wdzięcznym uśmiechem przyjmował i w duchu sobie postanawiał, że to rzadkie cygaro schowa na wieczną pamiątkę. Ale już wyjął ojciec Kondelik nożyk.

— Masz pan nożyk, obetnij pan.

Nie nie pomoże, musiał zapalić, kiedy mu sam Kondelik zapalił zapałkę.

— No, wyskakaliście się i wybiegali—ciągnął mistrz. — Za młodu i ja to lubiłem, ale nie było na to czasu, miałem gimnastyki dosyć. Cały dzień by-

łem na powietrzu, ciągle na drabince, człek wtedy doświadczy, co to jest „balans”. No! teraz mam czeladników, ale to panu powiadam, że gdybym był o lat dwadzieścia młodszy, wnetbym się do waszego towarzystwa zapisał. Podobą mi się ono, choćby już dla samego munduru. Ale na moje lata wyglądałoby to dziko.

Jak na zawołanie przyszła Wejwarze ta rozmowa sokolska.

— O, szanowny panie — jął mówić gorliwie — wszak pan jest w najpiękniejszych latach. Takich członków mamy wielu, a niektórzy ćwiczą się, wielu zaś chodzi na wycieczki. Cóż, gdyby się szanowny pan raczył bliżej rozpatrzyć, widziałby pan, jakie to piękne, i wstąpiłby pan także. Na wiek się nie partry, członkiem może być każdy porządny obywatel, a na wycieczki może chodzić każdy, kto ma zdrowe nogi. Mamy wielu starszych panów, i to dodaje stowarzyszeniu powagi. Są tam doktorzy, adwokaci, burmistrzowie, profesorowie...

— No widzisz, Kondeliku — trąciła pani łagodnie małżonka — nie myśl, że jesteś dziadkiem. Wszak jesteś mężczyzną w pełni sił!

— O tak, proszę pana — ciągnął Wejwara, a im dalej, tem z większym zapałem. — O tak, a gdyby szanowny pan miał zamiłowanie i wstąpił, dodałby pan znów chęci innym!

Pan Kondelik palił, palił, i jakoś mu pochlebiało namawianie Wejwary. Nareszcie wyjął cygarnicę z ust:

— Dobrze, dobrze, panie Wejwaro! Brakuje mi coś jeszcze do pięćdziesiątki, ale do tych skoków

nie nadałbym się już, ani do tego konia i trapezu. W tym wieku kości miękną, a człowiek musi być jak z kauczuku!

— Proszę pana to jest tylko dla nas młodszych—odpowiedział Wejwara — ale pan mógłby się zapisać tylko na członka wspomagającego i brać udział tylko w wycieczkach. Pięć reńskich rocznie, proszę pana, a wycieczka jest zdrowa!

— Paneczku — wzruszył ramionami Kondelik— widzi pan, na wycieczki nie jestem dobrze okuty! Człek się uchodzi, mnie to już nie idzie, jak panu. Zapytaj pan tu matki, ledwie mnie na Szarkę wyciągnie!

— Proszę pana—zapalał się Wejwara—w szkach chodzi się inaczej! Na czele muzyka, lub przynajmniej sokołówki, chwilami śpiew, równy krok, ach, w takim pochodzie nie czuje się zmęczenia, ziemia biegnie pod nogami sama, i zanim się spostrzeżemy, jesteśmy na miejscu.

— Ja ci także mówię, Kondeliku — wmieszała się w rozmowę pani — że się swojej wygodzie zbyt poddajesz. Trochę tyjesz, a w tym wieku jest otyłość niebezpieczną. Pod tym względem pan Wejwara ma rację. Mógłbyś się zapisać i pójść czasem na wycieczkę, choćby nie na każdą, ja zaś z Pepcią chodziłybyśmy za tobą, albo pojechałybyśmy koleją.

— Jabył także chętniej jeździł koleją — zauważył pan Kondelik, jakby upadł na duchu.

— Jeździmy również, proszę pana — ciągnął Wejwara — na większy dystans, potem się idzie do lasu, lub do jakiej ruiny, wogóle w malownicze miej-

scowości. Już jako *artystę* cieszyłoby to pana! Bywają ładne widoki.

Po tych słowach wyprostował się mistrz Kondelik i pociągnął sobie kamizelkę. Oczy jego osunęły się na chwilę z Wejwary i zaleciały gdzieś w nieokreśloność. Jedno słowo Wejwary padło nań, jak ciepły promień. Artysta! Wybornie, mistrz Kondelik uważał się w duchu za artystę, choć miewał chwile kłopotliwej wątpliwości, czy tak jest w rzeczywistości, a tu nagle wymówił to słowo tak poważnie człowiek inny, jakby się to samo z siebie rozumiało. Od chwili, kiedy je Wejwara wymówił, wzrastało w mistrzu zajęcie dla sprawy sokolskiej.

— To prawda—potaknął ojciec Kondelik—czasem naprawdę potrzebuje człek dla dekoracyi czegoś nowego, kiedy sobie klienci życzą w sieni lub na schodach jaką ruinę...

Pepcia zadrżała radosnem oczekiwaniem. Namówi-ż Wejwara tatkę? Poruszy go? A serduszko jej wróżyło piękną przyszłość...

— A czy przyjmą każdego? —pytał ojciec Kondelik z małym powątpiewaniem. — Czy trzeba mieć jaką rekomendację?...

— Panie szanowny!—zawołał Wejwara podwyższonym głosem.—Męża, jak pan, praskiego mieszcza-nina, patryotę!

Mistrz Kondelik wahał się jeszcze chwilę, rozważał.

— Weź to, staruszkę do serca—trąciła go pani. — Właściwie dawno powinienesz być zostać Sokolem. Wiesz dobrze, że pan budowniczy Beczka należy także...

— A gdzie się potrzebuje człowiek zgłosić? — wyrzekł mistrz, jakby się decydował.

— O, szanowny panie, o tobym się postarał, ofiarował się Wejwara, promieniejąc radością. — Nawet pan nie wie, jak się każdy z nas cieszy, gdy zyskamy nowego członka.

— Pięć reńskich to kosztuje?

— Pięć, proszę pana, i może pan uczestniczyć w wycieczkach, a w mięsopuście może pan iść na „szybrzynki” ¹⁾ z szanowną panią i panienką...

Słowo „szybrzynki” zelektryzowało panią Kondelikową i Pepcię.

— Weź to, tatku, weź do serca — przymawiała się pani.—Jak żyję nie byłam na „szybrzynkach”. Podobno to coś niezwykłego...

— Nawet opisać się nie da, szanowna pani — zawołał z zapalem Wejwara.

Pepci zabłyśły oczy.

— No, pal dyabli!—zdecydował się ojciec Kondelik.

Wyciągnął juchtową portmonetkę, wyjął pięć reńskich, podał Wejwarze i rzekł:

— Więc tedy z Panem Bogiem, Sokole, zapisz mnie tam pan...

Pepcia spojrzała ku niebu, jakby tam wysyłała dziękczynienia.

Wejwara schował radośnie pieniądze, zapisał sobie w notesie imię pana Kondelika i rzekł:

¹⁾ Wieczorek na sposób starostwianiński z bajkami; coś w rodzaju wieczornicy.

— Za dwa tygodnie będzie piękna wycieczka, tajemna, może nawet nocna, toby pan już mógł iść z nami, proszę pana.

— *Tajemna wycieczka?* — pytał Kondelik nieufnie. — Czy to nie jest coś zakazanego?

— Ależ, proszę pana, ona tylko dla członków jest tajemna. Idzie się i nikt nie wie dokąd. Uczestnicy dzielą się na dwie, trzy grupy i na oznaczonym miejscu się zejdą.

— Jak się tam zejdą, gdy nikt nie wie, dokąd dzie? — pytał Kondelik.

— Dowódcy otrzymują zapieczętowane koperty, w których jest kierunek drogi i cel pochodu oznaczony — objaśniał Wejwara.

— A nie może się to jakoś popłatać? — pytał Kondelik ciągle jeszcze nieufnie.

— O, nigdy! W jednej chwili zejdą się wszystkie szyki na miejscu. Rzecz wypróbowana.

Kondelik miał jeszcze jakieś *ale*.

— Ale to muszę mieć uniform!

— Za dwa dni można mieć gotowy, proszę pana — zapewniał Wejwara.

— Któż to szyje? — pytał Kondelik.

— Mnie szył Wawruszka — rzekł Wejwara i powstawszy, dodał: — dobrze leży!

Cała rodzina Kondelików oglądała Wejwarę, który się dwa razy ochoczo obrócił, i wszyscy przekonali się, że leży wybornie.

— Gdy nam się tak tatuś ubierze... — rzekła półgłosem Pepcia.

— Wyśmiewaliby się ze mnie, mnie to już nie uchodzi! — obawiał się ojciec.

— Proszę pana—zawołał Wejwara poważnie.—
Stary mieszczanin i długoletni Sokół Styblo, Gabryel
Żyżka, doktor Tomasz Czerny, Henryk Szmid, nasz
stary szermierz Mülller, brat tatuś Różyczka, i ktoby
ich wszystkich wymienić!—wszyscy ukazują się w uni-
formach...

Mistrz Kondelik znał niejednego z wymienio-
nych, resztę przynajmniej ze słyszenia, i był spo-
kojny.

Pani Kondelikowa słuchała wszystkiego jakby
w zachwycie. Gdy patrzyła na Wejwarę i słyszała
jego rozmowy ze „staruszkim”, zdawało jej się, jak-
by im do rodziny przybył syn. Później, gdy sobie
to spotkanie w Gwieździe wspominała, sama się dzi-
wiła, jak gładko to poszło, jak się Wejwara mile
przedstawił, jakby się już sto razy przedtem byli wi-
dzieli. „Są przeznaczenia” mawiała sobie pani Kon-
delikowa, wspominając te chwile.

Pepcia owego popołudnia niedzielnego mówiła
mało. Słuchała tylko i było jej niezmiernie błogo.
Jej również wydawał się Wejwara starym znajomym,
a bywały momenty, że nie mogła uwierzyć, iż tu sie-
dzi pan Wejwara, tancerz jej z Karafiatów—Wejwa-
ra, który jej zniknął, ledwie go ujrzała.

Za to tem gorliwiej z rosnącym zapałem mówił
Wejwara, wtajemniczając mistrza Kondelika w bieg
życia sokolskiego, wykonywając małe prelekcye ówi-
czeniowe z odpowiednimi wyrażeniami, opisując ró-
żne przygody na wycieczkach, jak skończony apostoł
sprawy sokolskiej. A mistrz Kondelik słuchał i im
więcej popijał, tem więcej żałował, że się „w to już
dawno nie włożył” i że nawet nie wie, dlaczego do

tego nie doszło prędeż. Ale dogoni wszystko. W Gwieździe coraz było głośniejsze, a także pan Kondelik ulegał rosnącemu ożywieniu. Sam nie przeczuwał, jakim dziś jest bohaterem.

Nareszcie ku wieczorowi zabrzmiał trzepoczący dźwięk sokołówki, pobudka do ustawiania się w szeregi, znak do pochodu ku Pradze.

— My pójdziemy wolno ku kolei — rzekła pani Kondelikowa, żałując, że piękny ten dzień tak szybko upłynął.

— Nie, Betty — zdecydował stanowczo mistrz Kondelik. — Pójdziemy pieszo, z Sokołami! zszeregujemy się w tyle, przeprowadzimy pierwsze ćwiczenie...

Poszli pieszo, i prawdziwie, panu Kondelikowi wiodło się wybornie. Zrobił to lekki, równomierny marsz!

Wejwara zwracał po drodze uwagę, aby mu rodzina Kondelików nie zginęła z oczu, i gdy tylko mógł, odskoczył z szeregu, ażeby rzec jakie słówko do pana Kondelika, przyczem naturalnie głównym celem było przybliżyć się do Pepci. Wejwara łągał całym sercem do sprawy sokołskiej, w sercu tem wszakże dość było jeszcze miejsca dla główki panny Pepci, dla całej miłej tej postaci.

Mistrz kroczył za ostatnim szeregiem Sokołów, mając po lewej stronie drogą połowicę, w prawicy zaś trzymał parasol, jak pałasz, podniesiony w górę. Pepcia dreptała z boku tatusia i co chwila gubiła krok. Pan Kondelik widział właściwie dziś po raz pierwszy Sokołów z tak bliska i wszystko mu się w nich

podobało. Zauważył sobie, jak naczelnik i jego pobocznicy oglądali się chwilami za siebie, jak równali czworobok i jak chwilami rozkazywali: „w kierunku na prawo zrównać czworobok!”, „zrównać krok” i t. d. A kiedy panna Pepcia krok gubiła, to rozkazywał już sam Kondelik: „Pepi, zrównać krok!” przyczem panna Pepcia się rumieniła, a Wejwara uśmiechał się błogo. Ach, wychowa on z mistrza Kondelika Sokółka, a z panny Pepci Sokolicę!

Po drodze dowiedział się Wejwara, że Kondelikowie mieszkają przy ulicy Jecznej, co mu było bardzo na rękę, pójdą bowiem niemal do samej hali, gdzie się złoży chorągiew. Gdy mistrz Kondelik zauważył, że chciałby jeszcze zająć ze swoimi gdzieś na *dobrą* szkanke piwa i czyby Wejwara nie poszedł z nimi, był młodzian zupełnie szczęśliwy. Jakżeby nie poszedł z miłym malarzem pokojów, którego dla sprawy sokolskiej pozyskał, jakżeby nie poszedł z panną Pepcią, którą miał nadzieję zyskać dla siebie, ale nie, o tem nie odważył się jeszcze nawet myśleć!

Droga się skracała, nawet się nie spostrzegł, gdy już byli w hali.

Chorągiew złożono, naczelnik zawołał: „rozejść się” i pan Kondelik z rodziną „rozszedł się” do Pokornych przy ulicy Jecznej.

Wejwara szedł o pół kroku w tyle, nieśmiało, ale pełen radości. Szedł dziś poraz pierwszy „z rodziną”, a gdy usiadł obok Kondelików w ogrodzie pod werandą, czuł na sobie spojrzenie wszystkich obecnych i słyszał w duchu ich pytania: „kto tam siedzi z Kondelikami?”

Był nieskończenie szczęśliwy, to znów roztar-

gniony, byłby się śmiał, to znów chwilami odzywały się w nim struny ogromnie tkliwe, pragnął, a nie mógł pić, spoglądał ukradkiem na Pepcię i spuszczał oczy przed panią Kondelikową, byłby śpiewał, a chwilami biło w nim serce lękliwie: czy to nie sen? „Czy to ja jestem i jak się to wszystko stało?”

A mistrz Kondelik, widząc, że się goście oglądają ku jego stołowi, przy którym migotała w ogrodzie czerwona koszula Wejwary, dumny był ze „swego Sokoła” i rozglądając się wokoło, obiecywał sobie w duchu: „no, poczekajcie, aż ja się wam pokażę!”

Było po północy, kiedy powstali. Wejwara szczęśliwy, że wolno mu było odprowadzić. Przy domu stanął Kondelik i zwrócił się nagle do Wejwary:

— Słuchaj pan, przyjacielu, jakże, nie mógłbyś pan po mnie jutro na chwilę wpaść, abyśmy zaszli razem do tego Wawruszki? Pan już umiesz zamówić i rozkazać, jak ma być, a potem musisz mi pan wskazać jakiego szewca, względem tych butów sokolskich?

— O, proszę pana — odpowiedział jak najchętniej Wejwara—buty robi dobrze szewc Krakora, tak że brat. Raczy pan być spokojny. Jeżeli pan pozwoli, mógłbym po południu, po obiedzie...

I dodał nieśmiało:

— Tylko gdzie pana znajdę, proszę pana?...

— Gdziebyś mnie pan szukał! — rzekł wesoło mistrz.—Gdzież indziej, jak nie w domu! Tu w tym baraku na drugim piętrze, na prawo od schodów,

mam tam tabliczkę. Tylko niech pan przyjdzie na pewno, abym wszystko miał w porę.

Tego było zawiele!

Najśmielsze nadzieje Wejwary były prześcignione tem nieoczekiwanem zaproszeniem. Jest zaproszony do domu, przez samego mistrza, ojca! Jakaś się prawie, gdy zapewniał, że „na chwilę” zajdzie, ścisnął wdzięcznie prawicę pana Kondelika, z bezbrzeżnem uszanowaniem wycisnął pocałunek na nicianej rękawiczce pani Kondelikowej i już tylko szeptem żegnał się z panną Pepcią.

— No, Pepciu, podaj rękę Sokołowi, wszak ci jej nie ukąsil—rozkazał mistrz Kondelik.

Pepcia się zarumieniła, wyciągnęła rękę, malutką, okrągłutką, w rękawiczkach bez palców, tak, że Wejwara poczuł w swej dłoni ciepłe kończyki jej drobnych, różowych palców. Zdawało mu się, że drża trochę, ale może to była jego ręka, co się tak trzęsła.

— Całuję rączki pani!...

Niech się stanie co chce. Wejwara rzucił się na głowę w to morze szczęścia. Schylił się i pocałował te miłe kończyki palców dziewczęcych.

— Patrzcie na tę żabę! — zawołał mistrz.—Ona się pozwoli w rękę całować!

Pepcia się złąkła, urwała. Wejwara nie zauważył, jak pani Kondelikowa gadatliwego małżonka trąciła pięścią w bok.

— Czego mnie trącasz, matko!

Pani Kondelikowa nie mogła wytrzymać i wybuchnęła śmiechem, a było to najładniejsze zakończenie. Wymieniły się ostatnie ukłony, mistrz wło-

żył klucz w zamek, otworzył, trzy postacie weszły, brama się zamknęła, klucz zgrzytnął, Wejwara stał na ulicy sam, trzymając jeszcze czapkę w rękę.

W ciemnej sieni domu dreptała Pepcia, jak ukropem oblana i rumieniając się o tę „żabę”, potem biegła po schodach na górę.

Pani Kondelikowa szturgnęła teraz małżonka powtórnie i wymyślała mu szeptem:

— Stary Kondeliku! Nie powinieneś jej przed ludźmi zawstydząć. Zresztą już nie jest żadną „żabą!”

A mistrz Kondelik mruzczał wesoło:

— No poczekaj, Betty, aż na górze zaświecisz lampę, zobaczę, czy jej nie ubyło czasem..

— Et! idź kmotrze! — gniewała się pani, ale półzartem i bardzo szczęśliwa, że tak dobrze wypadło.

I znowu jej się zdawało, jakby im ktoś przybył w rodzinie...

Wejwara wtedy kroczył sokolskim krokiem niżej ku placowi Karola, a potem przez Spalaną ulicę, gdzieś na Stare miasto. Ale im dalej, tem więcej zwalniał kroku, nie zdając sobie z tego sprawy. Ciągle trzymał czapkę w rękę. Noc była ciepła i Wejwara sam jakby się palił. Ach, jaki to był dziś dzień! Czy wszystko jest rzeczywistością, co się w tych kilku godzinach stało? Ścisnąłże on rękę Pepci? Całował jej palce? Jak się to stało, że po straszonym wieczorze u Karafiatów nadszedł dzień dzisiejszy!?

Pepciul Pepciul! Złota moja, spotkamy się jeszcze kiedy? Wejwarze kołatało serce. Tak szczęśliwy nigdy jeszcze do domu nie powracał.

Przypomniał sobie tajemną wycieczkę. Czy pójdzie rzeczywiście pan Kondelik? Ach, gdybyż i Pepcia mogła iść z nimi! Czy to zgoła niemożliwe? Wejwara postanowił sobie, że się starać nie przestanie, aby się dowiedzieć o celu tajemnej wycieczki, potem może szanowna pani (Wejwara nawet sam do siebie mówił z takim uszanowaniem o matce drogiego dziewczęcia) i Pepcia mogłyby pojechać koleją naprzód, spotkałyby się tam z ojcem i z nim, z Wejwarą. Nie był wcale zarozumiałym, ale cieszył się na samą myśl, jakby bracia Sokoły patrzyli na niego, że jest w stosunkach z taką porządną, solidną rodziną i że za nim (*za nim!* mówiło coś wyraźnie Wejwarze) przyjeżdża takie lubie stworzenie!..

Wejwara wydawał się samemu sobie niemal bohaterem, gdy też wszedł do swego kawalerskiego pokoiku, wstydził się niemal, że ma dziś spać w tych miękkich poduszkach. Dzisiaj usnąłby nawet w koszu gimnastycznym, lub przynajmniej na mostku pod koniem. Głowę oparłby, choć o kłodę i przykryłby się twardym udeptanym materacem z hali, a pomimo to spałby jak na różach.

Pomalutku zasypiał.

Dobranoc, panie Kondeliku, dobranoc szanowna pani, i ty miła, droga, najdroższa Pepciu, dobrej, szczęśliwej, błogiej nocy!

Śniło mu się, że leży na mostku, że ma pod głową kłodę i że się przykrył tym materacem, na który brat Lwowski tak ciężko skoczył, gdy

po raz ostatni z bratem Herzmanem wykonywał skok na szesnaście i pół stopy w dal. Wejwara sam doskoczył tylko na czternaście i pół. Bracia Lwowski i Herzman byli to „pedaliści”, na których wołano w hali: „bracie Nogo!”

*
*
*

Nazajutrz towarzyszył Wejwara panu Kondelikowi do Wawruszki, ztąd do szewca Krakory i do kucharza Prochazki, gdzie sobie mistrz wybrał czapkę sokolską z najdłuższem piórem, jakie się znalazło. We wtorek był Wejwara w hali o pół godziny wcześniej, aby zapisać „brata Kondelika”, a w sobotę miał pan Kondelik w domu ubranie od Wawruszki i buty od Krakory. Tymczasem postarał się Wejwara o czerwoną koszulę i błyszczący pas sokolski z monogramem, i był zaproszony na niedzielę po południu, aby panu Kondelikowi pokazać, jak się to wszystko wdziewa.

Kiedy się mistrz na próbę wcisnął w to wszystko i przed lustrem stanął, oglądała go pani z pod okna, a Pepcia obchodziła tatkę ze wszystkich stron. Wejwara stał opodal pełen dumy i pychy, że to wszystko jest jego dziełem, i wołał chwilami skromnie i wstrzemięźliwie:

— Wybornie, proszę pana! Takich Sokołów jest niewielu! Pan raczy mieć figurę i dużo ciała, to główna rzecz!

A pani Kondelikowa potwierdzała:

— To prawda, tatku, jakbyś się urodził Sokołem.

Pepcia mówiła na stronie do matki:

— Widzisz, mamusiu, taką bluzę mogłabyś mi także kazać uszyć...

Mistrz Kondelik obracał się, obracał, a potem, patrząc na obecnych, mówił z powątpiewaniem:

— No dobrze, ale ten spektakl, gdy się w tem pokaże! Ciągłe mnie zmuszali, abym się do „ostrostrzelców” zapisał, i nie zrobiłem tego, a teraz odrazu tutaj...

— No, owszem, proszę pana, „ostrostrzelcem” być, to także ładna rzecz—mówił Wejwara ostrożnie, aby się nigdzie nie potknął, dotąd bowiem nie miał nawet pojęcia o „politycznym” wyznaniu pana Kondelika — ale Sokołem, to zupełnie co innego. Sokolstwo ma zupełnie inne znaczenie i cel...

— ...a żadnych strzelb! — dopełnił mistrz Kondelik.

Potem zdjął ostrożnie mundur i Wejwara brał za kapelusz, ażeby się pożegnać.

— No, no, panie Wejwaro—mówiła pani—chyba nam pan teraz nie ucieknie. Jeśli pan nie ma nic lepszego, to niech pan siada, pójdziemy potem na spacer, a możemy iść razem.

Wejwara się wymawiał, potykał o kobierzec, zrzucił z konsolki szczotkę, i nim się z zakłopotania wytlómaczył, stała na stole kawa, babka, a woń wanilii rozlała się po jadalni.

Wypił kawę, nie obronił się, gdy mu pani Kondelikowa naląła po raz drugi, a gdy mu po tej porcy było strasznie gorąco i pot występował na czoło, nie chciał dopuścić, aby mu filiżankę po raz trzeci

napełniono. Ale kiedy kufelek wzięła panna Pepcia i kiedy pani z łagodnym wyrzutem powiedziała, że jeżeli jej dał odkosza, to może nie da pannie Pepci, Wejwara musiał uleźć i zaczął „pracować” nad trzecią filiżanką. Nie przypominał sobie, aby kiedy taką ilość kawy zmógł, bo pani Kondelikowa miała stare filiżanki dobrej, uczciwej miary.

Na przechadzkę wybrali się dopiero około szóstej.

Zamierzyli gdzieś do Tomasza na Małą Stronę, a pani Kondelikowa urządziła tak, że sama z Pepcią szła naprzód, a małżonka z Wejwarą zostawiła o jakieś dwadzieścia kroków w tyle. Było w tem dużo macierzyńskiej dyplomacyi. Utrzymać Wejwarę w pewnej bliskości, niechaj ma Pepcię przed oczyma, niech do niej tęskni; ale jednak jeszcze nie w takiej poufnej bliskości, aby świat mniemał, że to gotowy konkurent. Wszak niema nic pewnego, co będzie dalej? A jeżeli idzie z tatkiem — no, to jest „znajomy tatki.”

Ale życzyła Wejwarze dobrze, bardzo mu życzyła.

*

*

*

Tego wieczora, kiedy pan Kondelik powrócił od Tomasza i kiedy pocałował swoją małżonkę na dobranoc i ściągał na siebie przeszywaną kołdrę, obrócił się jeszcze do pani i rzekł:

— Dziwna rzecz, widzę tego człowieka po raz drugi, czy trzeci, ale wydaje mi się starym znajomym towarzyszem. Przytem takie ma dobre manie-

ry, nie bodzie, jak prawie wszyscy ci uczeni ludzie i nie rzuca ciągle swoją łaciną.

Prawdę powiedziawszy, pan Kondelik nie kochał bardzo ludzi uczonych. Zdawało mu się, że dają poznać ludziom swoją uczoneść i to go gniewało.

Pani Kondelikowa uśmiechnęła się zadowolona...

— Staruszkę, zna on ludzi, w magistracie się ich trochę przewinie.

Mistrz Kondelik wyciągnął rękę, zatrząsał palcami i rzekł:

— Daj im pokój, Betty! Są między nimi w magistracie także zarozumiałcy.

Pani Kondelikowa dmuchnęła w cylinder, płomień prysnął, wyskoczył, ściemniało. A po pięciu minutach odzywało się zgodne chrapanie małżeńskiej pary.

* * *

Przybliżyła się tajna wycieczka Sokołów i jak brat Wejwara w Gwieździe zgadywał, miała to być tajemna wycieczka nocna.

Wejwara cieszył się z tej sokolskiej tajemnicy, pan Kondelik spoglądał na nią z jakąś nieokreśloną obawą. Doznawał na myśl o pierwszej swojej wycieczce w mundurze tremy.

Nie było mu także bardzo na rękę, że jest to wycieczka nocna; lubił nadewszystko własne łóżko i bał się niewygody. Dokąd pójdą? Gdzie będą spali? Wejwara zauważył te kłopoty, kiedy przyszedł osta-

tnio w piątek do mistrza malarza, ażeby mu oznajmić godzinę, kiedy się mają spotkać na dworcu i ażeby mu poradzić, jak się najlepiej na wycieczkę wybierać.

— Tylko nie pończochy na wycieczkę, proszę pana—mówił. — Najcieńsza pończocha jest jeszcze za gruba i pali przy dłuższym pochodzie. Niech pan poprosi szanowną panią, ażeby dla pana urwała kawałek starego płótna na onuczki, te zaś nasmaruje się łojem, noga się w nie owinie, jak w masło i potem się idzie! Onuczka przylega, łój mile chłodzi i człowiek może iść pieszo aż do Amsterdamu.

— No, wiesz pan, panie Wejwaro, Amsterdam sobie zostawmy, aż do powrotu z wycieczki — odpowiedział pan Kondelik. — Powiedz raczej, bracie Wejwaro, czy i jakie jedzenie mam sobie wziąć na drogę?

— O proszę, to nie zaszkodzi, stanowczo nie zaszkodził Kawałek szynki, lub zimnej gęsiny, albo cielęciny, i małą buteleczkę wina, to się uniesie i jest zawsze na rękę.

— Słyszysz, stara — zwrócił się mistrz do małżonki — pamiętaj o tem! Idź wcześniej rano na targ, kup tam gęś i upiecz ją na obiad; kawałek możesz zjeść, a połowę mi zostaw na wycieczkę. Kawałek cielęciny mogłabyś także upiec, wiejskie powietrze trawi. A potem kupisz mi kilka płatków szynki—za jakie pół reńskiego. Wszak pan Wejwara mi trochę pomoże, ażeby się nie zepsuło.

I naraz przypomniał sobie coś pan Kondelik:

— Gdybyśmy wiedzieli, dokąd pójdziemy, po-

słałbym żonę i Pepcią naprzód, abyśmy się tam spotkali; byłoby to wesoło...

Wejwara oczekiwał z napięciem tego pytania i propozycji *à propos* pań.

Szperał, szperał cały tydzień, jaki jest cel tajemnej wycieczki i wczoraj, w czwartek, zwierzył mu się jeden z kierowników w wielkim sekrecie, że celem jest Karolowy Tyn.

Sokołowie wyjadą, częściowo wyjadą koleją zachodnią w sobotę wieczorem, damy mogłyby pojechać w niedzielę rano. Z pewnością pojedzie na Karolowy Tyn więcej Prażan, niż w każdą niedzielę letnią. Będzie tam jakaś zabawa, ach! sokolskie wycieczki i zabawy są wesołe!

Pani Koudelikowa przyświadczyła chętnie, że pojedzie, a Pepcia poskakiwała z radości, że będzie także na tajemnej wycieczce.

Oby tylko była pogodna!

W sobotę o godzinie szóstej wieczorem przyszedł Wejwara w pełnej paradzie do Kondelików, by mistrza malarza odprowadzić.

Przez jedno ramię wisił mu pled, przez drugie lorneta w futerał, na lewym boku bujała się na rzemieniu skórzana torba „oficerska”, nabita, jak kieszka.

Czego ten Wejwara nie niósł na wycieczkę!

Oprócz tego na prawym boku wisiła pod płaszczem sokolskim opleciona butelka, a za pasem miał kilka map „generalsztabek.”

Krótko mówiąc, był owieszony rekwizytami podróżnymi, jak choinka zabawkami.

Pan Kondelik kończył właśnie ubieranie — był już w koszuli i w spodniach i teraz obuwał w pocie czoła buty.

Nie była to lekka praca i mistrz sam jej nie mógł podjąć.

Siedział na krześle, panna Pepcia opierała się o niego z boku, aby nie spadł, a pani Kondelikowa ciągnęła za uszka; małżonkowie się pocili, Pepcia była jak róża.

— Tylko powoli, tatku—napominała pani;—gdy przerwiesz uszko, będzie koniec!

— Nie wywołuj wilka z lasu! — krzyczał wylekniony pan Kondelik.

Szczęście, że wszedł Wejwara, którego doświadczeniem udało się wsadzić mistrza w buty.

Mistrz, wycierając pot rękawem czerwonej koszuli, potupywał nogami.

Pani trzymała już płaszcz. Pepcia podawała czapkę, a Wejwara posuwał mistrzowi monogram na pasie, szukając starannie środka jego brzucha, aby to wyglądało symetrycznie.

Nareszcie mistrz był gotów, a pani śpieszyła po pled, opięty zupełnie nowymi rzemieniami i skrywający połowę gęsi, funt szynki i kawał cielęciny...

Z głodu nie mógł mistrz umrzeć.

— Ale już czas, ażebyśmy poszli, proszę pana — zauważył Wejwara, widząc, że wskazówka na zegarze doszła do pół do siódmej.—O ósmej odchodzi pociąg, zanim dojdziemy na Smichów, upłynie godzina, a nie powinniśmy się zmęczyć zaraz na początku.

— No, już idziemy — odpowiedział Kondelik, kładąc sobie w kieszenie drobne pieniądze, nóż, zegarek, zapaliki, klucz od mieszkania i inne drobiazgi.

Potem pożegnał się z żoną i córką, Wejwara kłaniał się głęboko i dodał nieśmiało:

— Więc do widzenia jutro na Karolowym Tynie, szanowna pani.

— Owszem, pojedziemy zaraz rano—potwierdziła pani.

A panna Pepcia zacierała z radości ręce.

Pani i córka odprowadziły obu Sokołów do sieni. Spoglądały za nimi, dopóki nie zeszli ze schodów, a potem prędko śpieszyły, aby wyglądać oknem.

Pan Kondelik wyszedł bardzo niepewnie z bramy i pierwszych pięćdziesiąt kroków szedł ogromnie nieśmiało, prawie wstydliwie.

Takim go Jeczna ulica jeszcze nie widziała. Ani głowy nie podniósł na ludzi i przyciskał się do Wejwary, jakby się za niego chował. Pewno się sąsiedzi napatrzeć nie mogą! Ale stopniowo się ośmielał, prostował, aż wreszcie kroczył zupełnie statecznie obok młodszego towarzysza.

— Tylko pan trzymaj krok, panie Wejwaro! — napominał go.

Kiedy minęli „Czternastu pomocników”, padł wzrok Kondelika nagle na oplecioną butelkę, która się bujała po boku Wejwary, mistrz stanął i zawołał:

— Do pioruna — wina zapomniałem zabrać z domu!

— To źle! — rzekł Wejwara.

— To bardzo źle — wołał pan Kondelik gniewnie.—To jest głupie! Takie wino sobie kupiłem! Co pan tam niesiesz?

— To karlsbadzka żołądkowa, proszę pana—odpowiedział Wejwara.

— Tysiąc piorunów!—kłał pan Kondelik.—Zapomnieć wina! Nic nie pomoże, muszę kupić po drodze inne. Tylko gdzie, naprędce?!

Szczęśliwie sobie przypomniał wędliniarza Czerwenego na Karolowym placu, który sprzedawał wino, i już tam podążył obok kościoła świętego Ignacego. Wejwara spojrział ukradkiem na zegar Nowomiejskiej wieży, było kwadrans do siódmej.

U Czerwenego wnosili właśnie świeże parówki z wędzarni i woni ich Kondelik się nie oparł. Obrócił się do Wejwary i rzekł:

— Słuchaj-no, młodzieńcze, tu moglibyśmy się trochę najeść. Kto wie, gdzie się jeść dostanie, a takich parówek niema na prowincyi.

Wejwara patrzył zaniepokojony na zegarek, ale nie odważył się oponować.

Usiadł i prosił Boga, aby się kolacya jaknajprędzej odbyła, i pochtaniał gorące parówki, aż sobie usta poparzył.

Mistrzowi Kondelikowi trzy pary nie wystarczyły. Kazał sobie dać jeszcze dwie i poprosił o butelkę wina. Wejwara dreptał niecierpliwie na progu sklepu, ociąganie się bowiem Kondelika napelniało go obawą, że się spóźnią.

Obawa ta była zupełnie uzasadniona i sprawdziła się, niestety!

Kondelik, wyszedłszy ze sklepu, przypomniał so-

bie, że właściwie powinny być dwie butelki i powrócił do sklepu. Nim drugą butelkę przyniesiono z piwnicy, upłynęła znów chwila. Potem przystawał przynajmniej w trzech trafkach po cygara, przypomniał sobie, że nie zaszkodzi, gdy sobie na drogę kupi łojową świecę, u niciarki kupił na wszelki przypadek pasemko nici i igłę, i kiedy nareszcie bohaterowie wpadli na dworzec Smichowski, odezwały się na peronie ostatnie trzy uderzenia dzwonka, złowieszcze gwizdnięcie lokomotywy i kilkakrotne ciężkie odsapnięcie maszyny.

Bez biletów w największym pośpiechu przebiegli Wejwara i Kondelik poprzez poczekalnię na peron — pociąg się rozpędzał i jak na śmiech powiewało naszym spóźnionym ze trzydziestu braci Sokołów czapkami i chustkami z okien wagonów.

— Zatrzymać! — zawołał mistrz Kondelik. — Zatrzymać! My jedziemy także!

Gromki śmiech braci z pociągu był mu odpowiedzią.

Wejwara spoglądał za odjeżdżającym pociągiem cały zmiążdżony.

— Musicie iść pieszo! — zawołał ktoś z ostatniego wagonu. — Przyłączcie się do pieszych.

I już pędził pociąg przez ostatnie zwrotnice stacyjne i odjeżdżał ku Chuchli. Wejwara patrzył za nim, jak skazaniec za okrętem, który go zostawił na pustej wyspie; Kondelik mierzył wściekłym wzrokiem uśmiechających się urzędników stacyjnych. Nareszcie zwrócił się do Wejwary i rzekł:

— To się wam udało, bracie Wejwaro!

— Raczy pan pozwolić — spróbował się bronić Wejwara.

— To wam się udało! — powtórzył mistrz, chmurząc się.

— I cóż teraz?

Wejwara spojrział na mistrza wzrokiem umierającej łani i odpowiedział smutnie:

— Nie pozostaje nic innego, jak tylko iść pieszo. Mam nadzieję, że znajdziemy ślady szyku, który poszedł pieszo, i że go dogonimy...

— Widzę już, jak go dogoniamy! — mruczał Kondelik. — Wszak nie wiemy którądy idą, i czy są w drodze wogóle!

— Na pewno, proszę pana, wyszli przed godziną, jak było postanowione. Gdybyśmy wiedzieli zupełnie na pewno kierunek, w którym poszli, mogliśmy ich łatwo dogonić, bo na pewno gdzieś w drodze będą odpoczywali.

— Gdybyśmy wiedzieli, *gdyby!* — powtarzał Kondelik gniewnie za Wejwarą. — To jest właśnie, czego nie wiemy! Jabym najchętniej powrócił do domu.

— Jak pan raczy rozkazać — poddawał się Wejwara. — Aczkolwiek sędzę, żebyśmy...

Zamilkł. Nie wiedział jak radzić.

— Znasz pan drogę na Karlsztajn? — pytał Kondelik, zdecydowawszy się nagle.

— Szanowny panie — odpowiedział Wejwara jak zmartwychwstały. — Mamy mapy, nie możemy się omylić...

— Więc tu nie stójmy i chodźmy! — zawołał Kondelik.

Rzucił wściekle spojrzenie na gapiących się urzędników stacyjnych, przebiegł przez poczekalnię, ledwie mu Wejwara podążył, i za chwilę byli na ulicy. Mistrz stanął i obrócił się do Wejwary:

— A teraz mów pan, panie Wejwaro, którą pójdziemy, byśmy nie zblądzili! Wyciągnij pan mapę!

— Mam ich kilka — sięgnął Wejwara za pas — ale teraz ich nie potrzebujemy. Do Chuchli trafimy bez mapy, potem pójdziemy na Radocin, to będzie połowa drogi. Jestem pewny, proszę pana, że w Radocinie zastaniemy pieszego sztyka, lub przynajmniej dowiemy się którą poszli. W najgorszym razie...

— Co znowu w najgorszym razie? — wyrzucił z siebie mistrz.

— W najgorszym razie moglibyśmy w Radocinie poczekać na nocny pociąg i jechać prosto do Tyna.

Mistrz Kondelik znowu przystanął i patrzył niezdecydowany na Wejwarę. To niezły projekt. Ale nagle się wyprostował, wypiął pierś i zdecydował.

— Nie, Wejwaro, teraz pójdziemy, właśnie teraz pójdziemy. Jesteśmy we dwóch, byłoby źle, byśmy nie zaszli! Idźmyż!

Niewiadomo co pana Kondelika popchnęło do tego bohaterskiego kroku. Byłaż to świadomość, że tkwi w uniformie, którego nie chciał zhańbić po raz pierwszy; przebudziłaż się w nim krew sokolska, lub uczynił tak pod wpływem ciekawych spojrzeń przechodniów, którzy przystawali i w małym oddaleniu otaczali obu Sokołów, stojących tu jak zmokłe kury i niewiedzących, czy udać się w nieznaną, tajemną

dal, lub powrócić do ciepłego ogniska rodzinnego? Co było, z tego mistrz Kondelik sam sobie sprawy nie zdawał, a później pojąć nie mógł, jak mógł się tak lekkomyślnie poddać tysiącnym niebezpieczeństwom i dzikim awanturom tej niesłychanej wyprawy.

Był to jeden z tych momentów, które popychają bohaterskie charaktery do nierównych zapasów z losem, które pobudzają wodzów do stanowczej bitwy.

— Pójdziemy, proszę pana? — odezwał się Wejwara, jakby jeszcze pozostawiał czas do namysłu.

— Do Radocina! — zakomenderował mistrz Kondelik.

Za chwilę mieli Smichów za sobą.

Wejwara posunął „oficerkę” w tył i kroczył po lewej stronie mistrza. Zdawało mu się, jakby obok nich kroczył jeszcze ktoś trzeci, coś niewidzialnego, co im się do pięt przyklepiło już na dworcu, coś jak los, który im dalsze próby gotuje. Wejwara starał się nieprzyjemną tę postać odpędzić, ale starał się daremnie. Nie mógł się pozbyć przeczucia, że się stanie coś niemiłego. O siebie się nie bał, co on sobie robi z jakiej przygody; ale pan Kondelik! Byle tylko się jemu nie stało!...

*

*

*

Niedzielne słońko wyskoczyło wesoło na niebo i grzało od rana. Nadchodził skwarny, gorący dzień letni, który będzie kosztował wiele potu. O godzinie siódmej mniej więcej przybliżyły się do Karolowego Tynu dwa szyki sokolskie, z dwu stron przeciwnych. Jedna szła od Trzebini, druga od Morzyn. Były je-

dnakowo oddalone od Karolowego Tyna i zbliżały się z jednaką szybkością. Było widocznem, że pochody dobrze obliczono. Sokołowie się dobrze wyspali — każdy szyk gdzieindziej — i kroczyli raźnie i wesoło ku starodawnemu i pamiętnemu grodowi Karola.

Po pół godzinie zeszły się szyki pod Karlsztajnem i w dwóch ogrodach restauracyjnych zawrzało życie. Było tu zamówione śniadanie i zgłodniaли piechurzy nie mogli doczekać się posiłku.

Po ósmej godzinie przyjechał od Pragi pierwszy pociąg z wycieczkowiczami, a między pierwszymi, którzy się przez rzekę przeprawiali, była pani Kondelikowa i panna Pepcia. Śpieszyły do Budnian i wstąpiły zaraz do pierwszego ogrodu, gdzie się czerwieniły sokolskie koszule. Były pewne, że się spotkają z panem Kondelikiem i z Wejwarą, i ciekawe były usłyszeć, jak się „tajemna wycieczka” tatusiowi podobiała.

Ale nie było tu ani Kondelika, ani Wejwary. Pepcia obchodziła badawczo stoły, raz i drugi, nie znalazła nikogo. Na swe pytania otrzymała odpowiedź, że także w drugiej restauracyi siedzi szyk Sokołów. Damy pośpieszyły więc tam, lecz i tu nie znalazły. Pytały Sokołów, ale Kondelika nikt nie znał — wszak był zupełnie nowym członkiem. Pytały o Wejwarę, i naraz odpowiedziało dziesięć głosów, jak bratu Wejwarze odjechał pociąg przed nosem i jak się wybrał z innym nieznanym bratem, najniezawodniej pieszo na Karolowy Tyn.

— Ależ to właśnie był mój mąż! — wołała pani Kondelikowa wylękniona. — To był Kondelik — proszę was, panowie, niema go między wami?

I w jednej chwili zahuczało po ogrodzie: „Kondelik! Brata Kondelika się szuka!”

Nikt się nie zgłaszał. Pani Kondelikowa odchodziła prawie od przytomności, pannie Pepci nie wiele brakło do płaczu.

— Mój Boże i Matko Boska! Co się z nimi stało? Dokąd poszli? Sami we dwóch! Nie zabił ich kto w drodze? Nie ograbił ze wszystkiego, co mieli?

Wnet rozniosła się po szeregach Sokołów w obu ogrodach wieść o zniknięciu braci: Wejwary i Kondelika. Nikt się nie domyślał, gdzie mogli być.

— Może pozostali w Pradze — wtrącił ktoś.

— Ale gdzie tam! — zaprzeczyła pani Kondelikowa. — Wszak my wyjechaliśmy rano z domu, mąż do domu nie powrócił!

— Ale dokądże więc poszli, u dyabła! — zawołał któryś z naczelników. — Wszak nie znali celu drogi!

— Ależ znali — twierdziła pani — wiedzieli, że się tu idzie! Wszak dlatego przyjechaliśmy za nimi!

— W takim razie, niech się panie nie troszczą — uspakajał damy. — Jeżeli wiedzą, gdzie jesteśmy, znajdą nas. Zatrzymali się gdzieś, może zaspali, zobaczą panie, że przyjdą!

Ale humor pani Kondelikowej i Pepci zniknął. Usiadły w kącie ogrodu i tęsknie spoglądały na wesołe towarzystwo sokolskie, w którym brakło dwóch członków, na których im najwięcej zależało. Później Sokołowie powstawali, by obejrzeć zamek. Damy pozostały na dole. Nie zajmowało ich nic.

Godzina mijąta za godziną, nadszedł obiad, nikt nie przychodził. Pani Kondelikowa zamówiła obiad na cztery osoby, pewną będąc, że tymczasem nadejdzie Kondelik z Wejwarą do Budnian — daremnie. Teraz siedziała nad zupą, sama z Pepcią, i jadła bez apetytu. Pepci do każdej łyżki, podnoszonej do ust, kapnęła łza.

Naraz, właśnie kiedy podawano mięso, powstał na dole przy szosie jakiś ruch. Od strony zupełnie przeciwnej, niż ta, od której przyszli Sokolowie rano, zbliżał się drabiniasty wóz, a przez poprzecznicę drabin świeciły dwie koszule czerwone.

— Maruderzyl! — krzyknął ktoś w ogrodzie, i pani Kondelikowa, upuściwszy widelec, wybiegła z ogrodu na szosę i wołała:

— Kondeliku! Panie Wejwaro!

Tak, byli to Kondelik i Wejwara. Wóz podjechał do ogrodu, Wejwara szybko zeskoczył — nie był więc chory. Ale w jakim stanie był mistrz Kondelik! Z wozu ledwie zlął i kiedy stanął, stał cały skrzywiony, prawie na palcach. Był boso, właściwie w niebieskich pończochach, pani Kondelikowa zaraz poznała, że to są pończochy obce, na ramionach bujały mu się dwie pary butów. Jedne własne sokolskie, drugie były to ciężkie buty wiejskie, czeladnicze, z podbitymi podeszwami, z podkówkami na obcasach, z niezliczonymi łatami, z wierzchem pomarszczonym, jak pancierz żółwi.

Pan Kondelik nawet nie przemówił, ale skinął na żonę, by go do stołu zaprowadziła, i szedł za nią, jakby w nogach miał igły. Wejwara płacił furmanowi, ten zawrócił i odjechał.

— Co się stało, Kondeliku, na Boga cię proszę—
pytała pani półgłosem.

— Nie proś, milcz i jedź! — odpowiedział Kondelik ochryplym głosem— a mnie dajcie także coś do jedzenia. Ginę z głodu!

Pauli napełniała małżonkowi talerz zupą i nie wytrzymała, ażeby się nie spytać powtórnie:

— Ale proszę cię, zkadże jedziesz Kondeliku!

— *Z tajemnej wycieczki!*— odpowiedział mistrz.—

Ale to nie jest właściwe określenie — odpowiedział, nie, zamruczał te dwa słowa, jak podrażniona bestya, która się gotuje skoczyć na myśliwca. Pani wiedziała, że nie dobrze jest nalegać na niego, i umilkła, spoglądając pytająco na Wejwarę. Wejwara opuścił głowę. Dręczyły go straszne wyrzuty sumienia.

Od obiadu do wieczora, aż do odjazdu pociągu, przykładał sobie pan Kondelik na nogi zimne okłady. Miał je strasznie starte i pełne pęcherzyków. Małżonka i córka siedziały jak trusie, Wejwara wypowiedział przez cały czas zaledwie kilka zdań, Kondelik chwilami zasypiał. Mniej delikatni, niż to najbliższe otoczenie malarza, byli inni bracia Sokołowie. Brat Kondelik został przez jakiegoś dowcipnisia „czworonogim Sokołem” przezwany, z powodu dwóch par butów, które przyniósł, a przezwisko rozbiegło się w okamgnieniu po całym towarzystwie.

Chwili, kiedy mistrz zasypiał, użyła małżonka, aby się coś bliższego o losach zbląkanych, obu Sokołów dowiedzieć. Poniekąd nieźmiało wyznał Wejwara, że wieczorem odbiegli od drogi, pomimo wybornych „generalsztabek,” przemilczał jednak nieszczęśliwiec, że to „trochę” wyniosło jakieś trzy godziny

drogi na północ, że nareszcie zmęczeni wpadli na jakąś wieś nieznaną, gdzie przenocowali i że rano nie mógł pan Kondelik obuć nowych butów, ponieważ nogi jego przez długą drogę ogromnie były poodgniatane. Musiał sobie pożyczyć od parobka w karczmie butów innych, aby mógł iść dalej. Ale pochód w tych grzbietówkach był jeszcze straszniejszy. Po dwugodzinnej drodze padł mistrz gdzieś w Trnienym Űjezdzie, a ponieważ chcieli być w Karlsztajnie, więc musieli wynająć wóz drabiniasty.

Wejwara przemilczał delikatnie o wyrzutach, jakimi go zasypywał mistrz i jak mu proponował, aby obrał sobie zawód przewodnika po Królestwie Czeskiem.

Na powrót do Pragi wybrali Kondelikowie z Wejwarą pierwszy pociąg wieczorowy i z dworca zachodniego odwoziła ich dorożka na ulicę Jeczną.

W dorożce było jeszcze dosyć miejsca dla osoby czwartej, ale nikt nie prosił Wejwary, aby siadała. Byłaby to chętnie uczyniła pani, ale nie odważyła się, spojrzawszy na małżonka. Wydawał jej się tak straszny, jak ten olbrzym z bajki o trzech złotych rogach.

Pan Kondelik ciągle jeszcze milczał i na nikogo nie spojrzał.

Gdy rodzina znalazła się w dorożce, podszedł Wejwara i prawie szeptem prosił mistrza:

— Prosiłbym o te buty... Jeśli pan pozwoli, postaram się je odesłać owemu parobkowi.

— Bądź pan tak łaskaw, bracie Wejwaro — mruczał pan Kondelik — a podziękuję mu w gaze-

tach! I zwróć pan uwagę, proszę pana, byś ich nie upuścił.

Każde słowo sprawiało na Wejwarze wrażenie, jak gdyby mu w ciało wbijano gwoździe. Ukłonił się, pożegnał, a woźnica brał za lejce, gdy wtem w ostatniej chwili wychylił się mistrz Kondelik okienkiem i zawołał z ironią do Wejwary:

— Bracie Wejwaro, gdy się znowu dowiecie o tajemnej wycieczce, nie zapomnijcie o mnie, do czekać się jej nie mogę. Ale weź pan z sobą i mapę Afryki! Człowiek nie wie, gdzie się z panem zapuścić może.

Zawstydzony, zmiażdżony, stał Wejwara, patrząc rozpaczliwie na odjeżdżającą dorożkę..

Serce Pepci biegło za nim, towarzyszyło mu do domu.

Ale o tem Wejwara nie wiedział.

* * *

W drodze nie mówił uic pan Kondelik. Sapał tylko, jak foka, a chwilami syknął, lub zaklął tłumionym głosem, w chwilach, kiedy pani Kondelikowa lub Pepcia mimowoli dotknęły bolących jego nóg.

Nareszcie wysypała ich dorożka na ulicy Jeznej.

— Gdzie cię boli, staruszkę? — spytała pani małżonka ze współczuciem, kiedy się wdrapał na drugie piętro i zaklął do mieszkania.

Mistrz Kondelik chwilę nie odpowiadał. Nareszcie otworzył usta i patrząc na małżonkę, jakby ją oczyma usiłował przewiercić, mruczał:

— Gdzie? ty pytasz, Betty, gdzie? Wszędzie, Pamiętaj ten szkielet, który widzieliśmy w muzeum? Tedy sobie wyobraź, że wszystkie te mosiężne krażki i haczyki z niego wypadły! A tak to wygląda we mnie. Każda kość znajduje się osobno, całe szczęście, że jeszcze w mięsie siedzą!

Pan Kondelik zamilkł, obmacywał sobie członki, czy mu się rzeczywiście nie rozlecą, nagle wyprostował się w fotelu, o ile na to jego potłuczenie pozwalało i wytrzeszczając oczy, jakby ujrzał jakiego upiora, ciągnął straszonym głosem:

— Będę dziękował Panu Bogu, Betty, gdy z tego jeszcze wyjdę szczęśliwie! Ale jeżeli sobie napędziłem coś gorszego, Betty, jeśli się jutro położę znowu z tym przeklętym gąsiorem, teraz, Betty, w sezonie!...

Pani Kondelikowa, która pomagała zmęczonemu małżonkowi się rozbierać, spojrzała na niego przerażona i pytała łagodnym głosem:

— Dać ci plaster z chrzanu, staruszk?

Pan Kondelik syknął:

— Gdzie byśś mi go dała, Betty! Toby musiał być plaster, jak dom!

— Mój Boże, staruszk, tyś niecierpliwy! Jam temu nic nie winna.

— Ja wiem, Betty, ja wiem! — mruczał mistrz. — Tobie nic nie mówię!

I nagle krzyknął:

— Ja stary błazen, ze starami kolanami, udaje się na tajemną wycieczkę — na tajemną wycieczkę! I z takim narwańcem!

— Ale pan Wejwara może temu także nie winien, staruszkul—wtrąciła pani!

— To właśnie najgorsze, że temu nikt nie winien, Betty, że na nikim gniewu wylać nie mogę. Sam temu jestem winien, dyabeł mi w uszy nagwiżdżał. Czyż mi tego było potrzeba? Mundur za trzydzieści reńskich, i błąkam się w nim po górach i dolach. Spójrz na moje nogi, to jest żywe mięso! I bez mała byłby mnie zaprowadził do Libercy! Zgorzkniał on mi ten Wejwara.

I nagle jakby sobie coś przypomniał, obrócił się mistrz i dodał:

— A powiedz mi, Betty, jak się ten Wejwara dostał do nas? Co wy z nim macie? Dlaczego tu chodzi? Poco się lepi do nas?

Pani patrzyła przez chwilę na Kondelika. Pytanie to ją stropiło, zadziwiło.

— Ależ, staruszkul — mówiła łagodnie, ażeby tatki jeszcze więcej nie pogniewać — co my z nim mamy? Czy sam go nie zaprosiłeś? I czy to jakie nieszczęście, że się z nami zapoznał? Młody, przyzwoity mężczyzna, urzędnik magistratu... Ale o to wszystko teraz nie chodzi, staruszkul, pogadamy, gdy będziesz w lepszym humorze. Teraz się ładnie rozbierz, włóż sobie nogi w kubeł i połóż się. To ci pomoże.

— Tak, Betty, tak—przyświadczał mistrz Kondelik, który nagle upadł na duchu i czując się niezmiernie chorym, rzekł: — Niech mi Kasia da kubełek, a ty mi uściel łóżko. Jakże chętniebym już leżał!

Kasia, która powróciła z kilku szklanicami pil-

żeńskiego, podsunęła mu kubek i mistrz zanurzył sterane nogi w zimną wodę, napił się, jak się patrzy, otarł wąsy, a podnosząc w górę trzy palce, wołał z grobową powagą do małżonki:

— Patrz, Betty, i słuchaj: gdybyś jeszcze kiedy usłyszała ode mnie, że chcę iść na tajemną wycieczkę, to poślij po pana doktora Czumpelika, tylko się śpiesz, prędko poślij po niego!...

V.

Jak się stało, że Franciszek Wejwara mógł się wogóle starać o pannę Pepcię.

Nastąpił szereg pochmurnych dni. Niebiosa, jakby tylko czekały na tę tajemną wycieczkę Sokółów, zaraz nazajutrz się rozpląkały i deszcz koncertowy trwał przez cały tydzień. Było chłodno i o mało, że ziemianie w czerwcu nie palili w piecach.

Ale nietylko w przyrodzie, u Kondelików również było bardzo chłodno. Mistrz goił nogi i wysmarowywał na nie całe pudełka waseliny, a zawsze, gdy się tem domowem leczeniem zajmował, trzęsła mu się na ustach jakaś kłątwa półgłówna, w której towarzystwie nie zabrakło nigdy imienia Wejwary.

Wejwara „zgorzkniał” mu rzeczywiście, jak się zdawało.

Pepcia płakała skrycie i sarkała na zawistny los. Wiedziała już bowiem jasno, że Wejwarę ko-

cha. Widywała się z nim mało w dniach minionych i spotkała się z nim przypadkiem; ale teraz czuła, że „on” jest tym prawdziwym, tym wybranym. A teraz było tak pusto bez niego! Brak było nietylko jego, ale nawet uprzejmej wzmianki o nim. Jeśli tatko wymówił jego imię, to dorzucił zaraz jakiegoś „narwańca,” lub „waryata,” a Pepci przytem serce się krwawiło. Ach, ten miły człowiek! Czyż sobie na to zasłużył!

Pepcia bowiem była w duchu przekonana, że jemu nie może i nie powinno być przypisywane niepowodzenie fatalnej tajemnej wycieczki.

Czasem ją zapłakaną zastawała matka.

Z początku ją strofowała i ostrzegała, ażeby „tutki nie jątrzyła,” choć się Pepcia w takich chwilach nigdy nie odważyła rozgniewanemu ojcu pokazać na oczy. Ale potem było jej żal córki i pani Kondelikowa ją pocieszała:

— Milcz, dziewczyno i nie zważaj na to, co tatko powiada. To wszystko z płuc, a nie z serca. Wszak go znasz, że się musi trochę wygniewać. Niechno się tylko znowu spotka z panem Wejwarą, sam go przyprowadzi, zobaczysz!

Po takich słowach pociechy mijało regularnie usposobienie Pepci do płaczu i oczki jej błyszczały radośnie, pełne nadziei.

Było to w czwartek; pan Kondelik powrócił w południe do domu i gniewnie sapał. Widocznie był jakoś pogniewany. Wszak miał o co. Pomocnicy jego malowali w pewnym domu, na którym mistrzowi bardzo zależało i gdy przy zwykłej kontroli szedł obejrzeć ich pracę, widział, że mu zupełnie

popsuli „pompejański” sufit w salonie. Cała robota na nic, farby jak popiół, wszystko musiało być zdrapane, uczeń, obdarzony szturchańcem, musiał biegnąć do domu po świeży klej, właściciel domu, dla którego malowano, srożył się ogromnie, cała robota się przez to wstrzymała, pan Kondelik zwymyślał pomocników na czem świat stoi i powrócił zły do domu.

Porządnie „usposobiony,” jak w takich razach mawiała pani Kondelikowa, na którą zwykle także spadała część złego humoru męża.

Pani Kondelikowa zmadrzała, miała swoje doświadczenie, w podobnych chwilach mówiła jaknajmniej i starała się, aby każdą przyczynę jakiej dalszej nieprzyjemności z drogi usunąć. Wszystko czyniła, ażeby mistrz jej ostrożności nawet nie zauważył i z tego bowiem mógł powstać hałas nowy. A Pepci mawiała:

— Dziś uważaj, Pepciul W tatce się znów wszystko gotuje.

Pan Kondelik owego czwartku, przyszedłszy na obiad, rzucił kapelusz, surdut na łóżko (ogromnie gniewało panią Kondelikową, gdy jej pan małżonek kładł surduty na łóżko starannie posłane, na pierzyny, jak ulane, ale dziś nawet nie pisnęła), cisnął lewy but pod okno, a prawy pod piec, wdziewał w pocie czoła trzewiki i szybko zwrócił się do kuchni.

— No, a obiad?!

— Już, już, staruszk, usiądź tylko, niosę zupę — odpowiedziała pani usłużnie i odstawiła garnek z zupą na brzeg kuchni.

Nie mieć gotowego obiadu, tożby się pan Kondelik na śmierć gotów rozgniewać.

I już była w pokoju i nalewała zupę na talerze.

Rozglądał się mistrz, jak lew, w coby kąsnąć, ale nigdzie nic, na co mógłby gniew swój wylać. Wszystko było w porządku! Były tu już przybory, solniczka, na serwetce stały przygotowane szklanki do piwa. Wziął się do zupy i snadź, że w niej były kluseczki z wątroby, które on lubił śmiertelnie, bo go jedzenie uspakajało, uciszało. Czerwoność z jego twarzy stopniowo zniknęła, chmury na czole się rozpraszają.

Pani Kondelikowa wielbiła w duchu Boga, że właśnie dziś ją natchnął zrobieniem kluseczek z wątroby do zupy. Wygrana! Dziś jej bowiem potrzeba dobrego humoru małżonka.

Kiedy dojedli i kiedy pan Kondelik pił małemi łykami piwo ze szklanki, wstała pani Kondelikowa, poszła do lustra przy ścianie, wyciągnęła szufladkę i powróciwszy do stołu, położyła przed małżonkiem jakąś kopertę.

— Dostaliśmy jakieś zawiadomienie, staruszkuro...

— Cóż znowu?

— Pan Wejwara je przysyła...

— Ten narwaniec?—wyrzucił z siebie mistrz.

— No, nie gniewaj się, wszak nie wiesz jeszcze...

Pan Kondelik wyrwał z koperty złożoną ósemkę, rozłożył i ledwie rzucił na nią okiem, zawołał gniewnie:

— A, to, to? O tem już wiem.

Pani Kondelikowa patrzyła zdziwionemi oczyma.

— List przyszedł właśnie przed obiadem, kiedy cię nie było w domu.

— Tak, i myślisz, że mi ludzie nie powiedzą wszystkiego? Wszystko powiedzą. To jest kawał białna narwanego! On, do teatralnego stowarzyszenia! On występuje na przedstawieniu! I jeszcze nas do tego zapraszał

— Ależ to grzeczność z jego strony, staruszkul! — wtrąciła pani.

— Grzeczność? — sapnął pan Kondelik. — To jest pycha, to jest furja! To znaczy: patrzcie, ja będę grał! Przyjdźcie zobaczyć! Ale ci powiadam, Betty, teraz już koniec! Wiesz, koniec. Dotąd nie nie mówiłem; myślałem sobie: magistrat, magistrat, coś z tego być może. Nie będzie ciągle siedział na swoich sześciu lub ośmiu setkach, wszak oni go popędzą naprzód, jaką taką znajomość także mamy, pan burmistrz nie jest ludożercą, panów radców wymalowałem już także. Ale teraz — koniec. Zatracony człowiek, on się wdaje w teatry! Tego jeszcze świat nie widział...

— Ale to przecież nie teatr, staruszkul! — tłómaczyła pani Kondelikowa, bardzo zdziwiona tym nieoczekiwanym wybuchem. — To są amatorzy, niema w tem nic złego!

— Tem gorzej, że amatorzy — gniewał się pan Kondelik. — Bał gdyby grał, jak Szambork, lub Szymanowski, i gdyby tam był, gdzie są oni, ale on jest w magistracie i powinien się o magistrat starać. On sobie myśli: ja także umiem, i idzie grać i będzie zaniedbywał obowiązki, potem go wypędzą, a potem

pójdzie do teatru i będzie tam nosił stoły i krzesła i będzie oznajmiał we drzwiach, że „stół nakryty, proszę państwa!” Amatorzy! Tak, każdy z nich myśli sobie, że gra lepiej, niż Zajfert i Moszna i niż Sklenarzowa i Bittnerowa i że mógłby zaraz iść do Narodowego...“

— No, no, staruszkę, tego sobie Wejwara nie myśli...

— Więc poco się w to płacze?!—krzyknął pan Kondelik.

— Ależ wszak widzisz, że to jest na cel dobroczynny...

— Na cel dobroczynny! — zaśmiał się koląco pan Kondelik. — Wiesz, jak jest z temi celami dobroczynnymi? Jak z balami! Zbierze się osiemnaście setek, siedemnaście setek kosztuje sala i dekoracye, i programy taneczne, i elektryka, i fiakry, i rękawiczki dla członków—a setkę dostanie cel dobroczynny! My to znamy!

— Ależ oni grają na gwiazdkowe obdarowanie biednych dzieci, Kondeliku, i tego wszystkiego Wejwara sobie nie myśli...

— Dla biednych dzieci! — srożył się pan Kondelik. — To także znam! Dzieciom każą uszyć półdziewięta szarych, areztanckich ubrań, aby każdy ulicznik wiedział, że byli „obdarowani,” potem wypowie im się kazanie, każda matka musi obejść sławnych organizatorów i całować ich po rękach z wielkiej wdzięczności, śpiewa się „Kde domow mój,” a potem dostaną twardą struclę. I na taki cel będzie Wejwara grał. I co grał Brzeczisław! On gra Brzeczisława i Jitkę! Powiadam ci, Betty, z Wejwa-

ra konieci! Owszem, byłby on mógł konkurować o Pepcię, daj mi dokończyć, Betty, może zostałyby potem zięciem, któregooby w magistracie wszystko paliło, któryby chciał być na afiszach Teatru Narodowego, któryby mi uczciwy chleb cisnął o ziemię i poszedł na scenę, a my oboje chodzilibyśmy na galerię i klaskali, podczas gdy reszta by syczała. Ojcowie i matki aktorów muszą tak robić. Ten magistrat stokroć mi jeszcze miłszy, choć mu w gazetach wymyślają siedem razy tygodniowo. To jest pewne i są emerytury...

Pani Kondelikowej było gorąco. Ładnie jej się udało! Chciała starego uspokoić, chciała go pozyskać na tę niedzielę i pokpiła sprawę. Nic nie pomoże, musi zakręcić.

— Nie gniewaj się, staruszk. Nie pójdziemy tam i będzie dobrze. Myślałam, że moglibyśmy ładnie spędzić niedzielę, a pana Wejwarę cieszyłoby i byłoby dlań pociechą za te wszystkie wyrzuty, którymś go zasypał na tej tajemnej wycieczce, a Pepcia się także cieszyła. No, ale skoro się nie zgadzasz, nie pójdziemy. Potrafimy sobie odmówić.

— Nie pójdziemy? — zawołał pan Kondelik. — Pójdziemy tam, paneczku, właśnie, że tam pójdziemy. Ja chcę, aby go sobie Pepcia obrzydziła, rozumiesz? Niech na niego patrzy, na tego błazna, jak będzie wyglądał w maszkarze. A jemu powiem także słówko, że tego będzie miał dosyć!

Pani Kondelikowa nie pisnęła już nawet ani słowa i prosiła w duchu Pana Boga, aby Kondelik o tem przedstawieniu do niedzieli zapomniał. Potrzebne jej było pochwalić się właśnie dzisiaj.

A zna przecież „tatkę” i wie, jak trudno z nim rozmawiać, gdy się w nim „gotuje.”

Pan Kondelik nie zapomniał.

W niedzielę w południe, ledwie podjadł, zaraz wstał, ubrał się i rzekł:

— Dziś pracujemy na budowlu, jak w dzień powszedni — mamy wykończenie, muszę dojrzeć ludzi, ażeby się nie lenili. Idźcie sobie gdzie na spacer, ale o szóstej być mi w domu. Powrócę także i pójdziemy na to przedstawienie.

Wziął kapelusz i poszedł.

Ledwie odszedł, wybuchnęła Pepcia płaczem.

— Ja tam nie pójdę, mamusiul! Tatus obmyśla coś strasznego, tatus mu sam zrobi jaki wstyd, ja tego nie przeżyję. Już wszędzie wiedzą, że Wejwara chciałby chodzić do nas — Koszwancowie, u Małych, Nowakowie — będę tam, jak pod pręgierzem, mamusi, ja się raczej utopię!

Żal córki chwycił panią Kondelikową za serce; była sama bardzo zmartwiona tą historią teatralną, ale widziała, że musi teraz działać jako matka.

— Wcale się nie utopisz, Pepciu, a co o tacie powiadasz, to jest bez sensu. Tatko jest mężem solidnym, mieszczaninem i malarzem, i wie, jak się ma między ludźmi zachowywać. Żadnego wstydu mu nie zrobi, tylko ty bądź rozsądną. Nie tracę nadziei, że się to wszystko skończy szczęśliwie. Wejwarze Pan Bóg jakoś dopomoże.

W „chwalebnie znanym” salonie ogrodowym na placu Karola schodziła się już koło siódmej wieczorem zaproszona publiczność.

Pięć minut przed siódmą wszedł do salonu pan Kondelik z małżonką i córką i zajął miejsce przy jednym z przednich stołów. Chciał widzieć porządnie i dobrze.

Nikomu nawet do głowy nie przyszło, ażeby się zaczęło „ściśle o 7-ej”, jak było na afiszu, i wszyscy dziękowali Bogu, gdy się chrapiący dzwoneczek odezwał o pół do 8-ej i gdy po pięciu dalszych minutach podniesiono kurtynę.

Kto nie zna „Brzeczysława i Jitki”, niech się przy okazji przypatrzy. Pana Wejwary nikt już i nigdy nie ujrzy w sławie rycerskiej, która go owego wieczoru otaczała. Właściwie i wtedy widział go mało kto w całej postaci i na środku sceny. Jego występy były nieskończenie nieśmiałe, o mało że nie drżał, kiedy miał się ukazać, jego odejścia były jeszcze smutniejsze. Nigdy nie miał daleko do kulisów, był obok nich właściwie ciągle i ztamtąd deklamował swoje mowy rycerskie. Jako żywo, nie doszły kulisy tej wagi, jak owego wieczora. Było widocznem jaką niezbędną są rzeczą dla tego najmłodszego kapłana Talii, jaką podporą z tyłu i zasłoną z przodu. Gdy by ich nie był miał ten Brzeczysław, byłby chyba upadł. Najwyższe Zmiłowanie wznosiło się nad nim, i uczyniło, że przynajmniej do końca domówił, co było w jego roli. Im dalej, tem mętniej brzmiał jego głos, olbrzymia trema zastaniała całego rycerza smutnej postaci. Kiedy porywał Jitkę, którą recytowała jedna z najcięższych amateerek tego stowarzyszenia, zdawały się siły jego zupełnie wyczerpane. Było widocznem, że za kulisami przytrafiło się coś, czego nie było w roli: falowanie płócien wzbudzało podej-

rzenie, że nieszczęśliwa ta grupa runęła na ziemię. Były nawet wśród słuchaczy uszy, którym zdawało się, że słyszą tłumiony krzyk: „Chryste Paniel” Potem kurtyna opadła.

Pani Kondelikowa nie odważyła się spojrzeć ani w prawo, ani w lewo. Jej wzrok ciągle opierał się prosto na scenie, nawet wtedy, gdy już zasłona dawno opadła. Za nic w świecie nie byłaby się rozejrzała po publiczności.

Pepci groziło omdlenie. W uszach jej huczało, przed oczyma skakały mroczki. Zdawało się jej, że to nie jest przedstawienie, ale jakiś pogrzeb. Padają tu rzeczywiście wszystkie jej nadzieje w grób? Ach, jej się Wejwara pomimo to podobał. Czują, że może nie wszystko jest w porządku, wszak ona nie szukała w Wejwarze artysty dramatycznego! Jako członek takiego stowarzyszenia teatralnego, musi grać, nakazują mu to widocznie reguły. Gdyby tu siedziała sama i gdyby nikt nie wiedział, jakimi ona oczyma spogląda na tego Brzeczysława, wszystkoby się dobrze skończyło. Ale tatko! Ach, okrutny tatko! Przywodził je tu, jak na egzekucję! Jakie to niemiłosiernie!

Tylko pan Kondelik siedział zupełnie spokojnie. Na początku, kiedy podniesiono kurtynę, patrzył na scenę uparcie, jak wampir, ale im dalej, tem więcej znikał pochmurny wyraz z jego twarzy i nareszcie zagościł na niej uśmiech prawie łagodny.

Pepcia tylko ukradkiem odważyła się spojrzeć na tatkę, a gdy widziała twarz jego tak dziwnie rozjaśnioną, brała to za wyraz piekielnej radości. I nie

pojmowała tej rozkoszy z upadku bliźniego. Nie, takim nie widziała tatki nigdy!

Ale dzięki Bogu, na szczęście dla Wejwary, a może na jeszcze większe szczęście dla obu dam, które tak zajęły się tem przedstawieniem, cała reszta towarzystwa nie była krytyczną, jak mistrz Kondelik. Ta młodzież, te matki i ojcowie, którzy się zeszli, przynosili z sobą niezmiernie skromne żądania, zapas wyobraźni prosto dziecinnej i naiwne podziwienie i zadowolenie ze wszystkiego, co się na scenie dzieje. Co tam grał! Dla nich *treść* była wszystkim. A płomiennie mowy niektórych przedstawicieli zasłoniły szczęśliwie słabe wykonanie innych, i kiedy kurtyna opadła po raz ostatni, rozległy się po sali burzliwe oklaski i ogłuszające wołania: „Wyborniel” Każdy tu miał na scenie jakiegoś syna, córkę, brata, siostrę, kochanego—i burzliwy ten hołd zdradzał nietylko zadowolenie artystyczne, ale i rodzinne. Rozklaskał się i pan Kondelik i wołał z innymi: „Wyborniel Wyborniel” A potem pochylił się do obu dam i rzekł:

— Ładne to było, bardzo ładne, co?

Po przedstawieniu nastąpiła zabawa. Kelnerzy biegali z kolacyami, z piwem, panowie zapalali cygara. Pojedynczy amatorzy, umyści, ukazywali się w sali. Tylko Wejwara nie nadchodził. Pani Kondelikowa uspokoiła się stopniowo, panna Pepcia po długim przestanku zaczęła śmieiej oddychać i nieśmiało rozejrzała się po sali. Wejwary jeszcze ani śladu.

Nareszcie, nareszcie się ukazał. Przeciskał się wśród publiczności, przy ścianie, twarzą do muru odwrócony, i z głębokim ukłonem stanął przy stole.

ze spojrzeniem, które rozpaczliwie prosiło o zmiłowanie.

— Na zdar, na zdar, panie Wejwaro—podawał mu rękę Kondelik. — Przysiądź pan do nas, przysiądź, tak, a teraz się pan napij, masz pan chyba sucho w gardle...

Wejwara z wyrazem wdzięczności przysiadł się i szeptem poprosił kelnera o kotlety.

Pan Kondelik czekał aż się nieszczęśliwy amator naje. Przytem spoglądał to na małżonkę, to na córkę, to znów na Wejwarę, a na twarzy igrał mu uśmiech ironiczny i kiedy po chwili odezwała się „muzyka”, fortepian w kącie salonu, która i w pani Kondelikowej i w Pepci stopniowo zacierała wrażenie przedstawienia, pochylił się mistrz ku Wejwarze i wyrzekł dobrodusznie.

— Miałem strach o pana, panie Wejwaro, ale dobrze wypadło.

Wejwara spojrzał wylękły na ojca ubóstwianej dziewczyny.

— Ja myślałem, że pan naprawdę coś umiesz, i było mi żal Pepci, że potem byłby z panem koniec. Ale coś podobnie nędznego, jak dziś, nie widziałem jeszcze. Już się o pana nie boję, pan do teatru nie pójdziesz, panaby tam wcale nie przyjęli. Kto pana dziś widział, ten panu to powtórzy. Możemy tedy być dobrymi przyjaciółmi.

Wejwara stał się podobny do raka; ale Kondelik ujął go za rękę, ścisnął ją szczerze i wymówił pogodnie:

— Nie wstydz się młodzieńcze, to nie hańba. Jabym także grał, jak szafa, i dlatego trzymam się

swego malarstwa. No, a pan trzymaj się swego magistratu, to bezpieczniejsze. Teraz — tu rozejrzał się po salonie, w którym już tańczono zawzięcie — może sobie trochę poskaczecie.

Wejwara wstał, ukłonił się Pepci i za chwilę znaleźli się w kole tancerzy.

Pan Kondelik, pochylając się do małżonki, mówił starym, dobrotliwym sposobem:

— Już się o niego nie boję. Wszystko po dawnemu, stara, zdaje się, że o Pepci myśli poważnie...

Nie, takiego obrotu nie oczekiwała pani Kondelikowa. Nie mogła się opanować, oczy jej zwilgotniały. Gdyby byli sami, padłaby mężowi na szyję. Była niezmiernie szczęśliwą i prawie żałowała, że nie może w tej chwili pofolgować wewnętrznemu nawałowi uczucia i wzruszenia. Tak w niej wszystko falowało, wzdymało się. Ach, szczęśliwe, piękne, błogie przedstawienie! Błogosławiony „Brzeczisław i Jitka!”

Pani pochwyciła pod stołem rękę małżonka i rzekła cicho, patrząc na niego pływającymi w łzach oczyma:

— Tyś dobry, staruszkule! Nigdy się co do ciebie nie myliła!

Pan Kondelik obcinał sobie świeże „britanika”. W ten sposób rozstrzygnęła się kwestya, czy pan Wejwara może się starać o Pepcię...

Po północy, kiedy Wejwara odprowadził rodzinę do domu na Jecznej ulicy, podał mu ojciec Kondelik zupełnie po przyjacielsku rękę i rzekł:

— Widzisz pan, panie Wejwaro, już się nawet

o tę tajemną wycieczkę nie gniewan na pana, nogi są dawno w porządku. Nawet niebym nie miał przeciw jakiej nowej solidnej wycieczce.

TRZY WYCIECZKI.

VI.

Po suchej ziemi.

Gorąca niedziela lipcowa. Zaledwie się rano słońeczko wysunęło nad Pragę, a już zaczęło palić, jakby sobie chciało wynagrodzić wszystko, co straciło przez niepogodną drugą połowę czerwca. Obłoczek nie ukazał się na niebie, wietrzyk się nie ruszył. Od rana wypiekała się cała Praga, tłusciejsi jej obywatele smażyli się pomalutku. Skrapiacze ulic mdleli od gorąca, wróble uciekały pod okapy dachów, na których popaliły sobie pazurki, a z najnowszych domów na Winohradach odlepiały się od gorąca całe fasady, które dzień przedtem z trudem były nalepione.

Owego dnia afrykańskiego pocił się mistrz Kondelik już od rana, a gdy zasiadł do obiadu, było mu, jakby gorąca zupa ryżowa była roztopionym ołowiem, jakby cebulowy sos do mięsa był gorącą lawą, a kiedy doszło do klusek, zdawało mu się, jakgdyby w siebie wchłaniał płonące meteory. Przetrwał wszakże wszystko szczęśliwie i ledwie zamknął usta po ostatnim kawałku, rzucił się na kanapę i zamknął oczy.

Po pokoju rozlewała się woń obiadu, otwartem oknem wnikał oddalony szum miasta i cichnął chwilami, jakby cała ludzkość przestała oddychać z gorąca, a kilka zrozpaczonych much tłukło głowami o szyby. W głupocie swojej nie mogły znaleźć drogi na wolność. Zmysły pana Kondelika pojmowały tylko przez chwilę wszystkie te dźwięki i wrażenia, poczem powieki jego zapadały coraz głębiej, uszy się zamykały, aż nareszcie nie widział, nie słyszał, nie czuł nic.

Zdawało mu się, że leży zaledwie minutę, kiedy go ktoś delikatnie trącił w bok. Pan Kondelik leniwie otworzył oczy i wtedy, jakby z pod szarego zawoju, ukazała mu się postać miłej jego małżonki. Panu Kondelikowi zaczęło się właśnie śnić, że wchodzi w kostymie kąpielowym w morze, głębokie tylko do pasa i pluskające lubym płynem pilżeńskiego. Wyrwanie z tego rajskiego snu podrażniło go.

— Po co mnie trącasz? — oburknął się na żonę.

— Stary, wstawaj — wołała pani Kondelikowa półgłosem: — już druga godzina. Wejwara może tu przybyć w każdej chwili, a mamy przecie iść na wycieczkę—Pepcia jest już ubrana...

Przed wzrokiem duszy pana Kondelika wznosił się straszny obraz—wycieczka.

Gorące powietrze w pokoju wydawało mu się ciężkiem jak ołów, po ciele spływały krople potu, żołądek jego walczył dotąd z trudem i bezsilnie z obfitym obiadem, nogi leżały nieruchomo na niższej części kanapy, jak centnary — i w tym stanie ma wstać

i iść na wycieczkę! Dla każdego słowo „wycieczka”, wymówione w dzień gorący, kiedy rtęć ciepłomierza podług Réaumura wdrapała się aż na trzydzieści sześć nad zerem, jest straszne, ale tem straszniejsze dla pana Kondelika, który się cieszył, że całe poobiedzie spokojnie prześni i wyjdzie ze swojej nory dopiero, gdy zawita wieczór chłodniejszy.

— No dalej, dalej — poganiała pani Kondelikowa, widząc, że pan małżonek nie okazuje chęci najmniejszej do wstania. — Skoro już sobie tak z Wejwarą uplanowałeś, to musisz iść, inaczej gotów sądzić, żeś go wystrychnął na dudka.

— Czyż ja z Wejwarą coś planowałem? — ze zdumieniem zapytał pan Kondelik.

— Przypomnijże sobie—zawołała pani Kondelikowa.—W czwartek umówiliście się, że zrobimy trzy wycieczki: jedną ładem, drugą koleją, a trzecią wodą...

Spacer ładem, straszna rzecz, więc też pan Kondelik długo nie myślał nad odpowiedzią:

— Ja tam nigdzie nie pójdę!—i obrócił się głową ku ścianie.

Pani Kondelikowa westchnęła ciężko, ale rzekła poważnie:

— Mój Kondeliku, trzeba to było powiedzieć Wejwarze w czwartek, a nie dziś. Obrazić się gotów.

— Idźcie sobie z nim samel — huknął mistrz, nie odwróciwszy nawet głowy.

— Tobi było pięknie! Jakto, bez ciebie, bez ojca, dwie kobiety?...

— Ja się o was nie boję—mruzczał pan Kondelik, zasypiając znowu—idźcie, idźcie same.

— Wierzę, że się nie boisz — zawołała pani — prawda, żebyśmy nie zginęły, ale czy to przyzwolicie? O tem nawet nie pomyślisz! Same z młodym człowiekiem, bez ojca, bez głowy rodziny! Dobrze, zostań sobie w domu, ale w takim razie zostanę i ja i Pepcia. Co pomyśli pan Wejwara? Łagodny on jest, jak owieczka, dobry, grzeczny, ale nareszcie i on może stracić cierpliwość. Czasem tak się zachowujesz, jakby ci na Pepci wcale nie zależało. Ale i oto mniejsza, Kondeliku, pamiętaj jednak o sobie, tyjesz coraz więcej, oddychasz ciężko, a stale wylegujesz się po kanapach. Paraliż zwykł chodzić najczęściej po kanapach...

Mistrz otworzył oczy i spojrzął na małżonkę z ogromnym wyrzutem.

— Widzisz, Betty, tegoś mi mówić nie powinna! Jesteś nieczułą i niewyrozumiałą. Czyż nie biegam cały tydzień, czy nie pomagam, czy więc nie zasługuję na tę odrobinę niedzielnego wypoczynku? Czym ja winien, że mi przybywa ciągle wagi?

Pani żał się zrobiło męża, chociaż mówiła to, co czuła, chciała więc zawrócić, ale już trzeszczała kanapa, pan Kondelik wstawał.

Z głębokiem westchnieniem i z jakimś straszniem przekleństwem na ustach zabrał się i otarłszy niebieską chustką czoło, zaczął szukać pojedynczych części ubrania.

Najwyższy już też był czas po temu, zaledwie bowiem się obuł i wdział kamizelkę, zapukano do drzwi i na grzeczne wezwanie pani Kondelikowej

wszedł Wejwara w lekkim, letniem ubraniu, ze słomkowym kapeluszem i siwym parasolem w ręce.

Pani podeszła na jego spotkanie i witała go uprzejmie, mistrz Kondelik zahuczał jakieś pozdrowienie i ubierał się dalej, sapiąc jak lokomotywa. Przeklinał wszystkie wycieczki i rzucał spragnione i bolesne spojrzenia na kanapę, od której tak nietościwie go oderwano.

Poruszyła się klamka u drzwi do bocznego pokoju i weszła panna Pepcia, w lekkim, kretonowem ubraniu, koloru bułki, w słomkowym kapelusiku, w siatkowych rękawiczkach, z nową parasolką w prawej ręce. Wyglądała bardzo powabnie i gorąco dzisiejsze nie dokuczało jej wcale.

Podeszła do Wejwary, podała mu rękę i szepnęła kilka słów, poczem zapytała głośno:

— Dokąd to dzisiaj pójdziemy, panie Wejwaro?

— Już w czwartek postanowiliśmy, że na Szarkę!

Pan Kondelik wstrzymał oddech, gdy usłyszał o Szarce.

Zapomniał o czem w czwartek przy wieczornym chłodzie w ogrodzie u „Tomasza” mówił, zapomniał, że ta piękna i odświeżająca wyprawa zmierza ku Szarce.

W całej grozie przedstawił sobie w duszy stromą drogę z ulicy Jecznej przez miasto ku Kamiennemu mostowi, przez most, Małą Stroną ku koszarom pod Bruską. Przed oczyma ukazał mu się, niby olbrzym, straszny kopiec: Bruska, na który zimą wchodzić nieprzyjemnie, a w lecie staje się wprost pie-

kielną zasadzką na nieszczęśliwych wycieczkowiczów...

— Na Szarkę mamy iść? — zawołał wylekniony.

— W czwartek tak postanowiliśmy — odpowiedział Wejwara — a w Czartowskim młynie mamy się spotkać z panem radcą Wonaskiem i jego rodziną — małżonka i brat pana radcy pojechali już rano koleją — a pan radca jeszcze w biurze uprzedzał mnie, ażebyśmy nie zapomnieli...

Pan radca był przełożonym Wejwary, nie było więc rady.

Pan radca lubił grać w „maksła” i bez kart nie chodziło się na wycieczki wogóle. Pan Kondelik będzie trzecim.

Mistrz zwiesił głowę.

Nic nie pomoże.

Po raz ostatni spojrzął na kanapę tak smutnie, że był bliski płaczu. Na niej było także gorąco, prawda, ale przynajmniej miał spokój, a teraz ma biegać na Szarkę, po tej nieskończonej długiej, zakurzonej, gołej szosie, to pod górę „do Macieja”, to znów pod górę obok Welesławina, i ciągle pod górę.

Jakież to straszne stworzenie taki konkurent, który obmyśla wycieczki i który ma ich całą seryę w pogotowiu.

Z temi uwagami schodził pan Kondelik ze schodów, ciężyły mu w głowie, gdy kroczył obok „swej starej” za młodą parą, i zupełnie był niemi zmożony, gdy przeszedł Kamienny most. Uszli dopiero z piątą część drogi, a mistrzowi Kondelikowi zdawało się, że chyba już ducha wyzionie, skorzystał prze-

to z chwili, gdy Wejwara kupował w trafice cygara, i kazawszy kobietom iść naprzód, poczekał trochę na niego.

Wejwara wyszedł z trafiki, przyszyły teść wziął go pod rękę i huknął nad uchem, jak mógł najweselej.

— Posłuchaj pan, panie Wejwaro — wy to nazywacie „suchą” wycieczką, ale ja jestem już mokry jak ryba. Powiedz zatem, czy nie byłoby pięknie, gdybyśmy pozostali u Tomasza? Wszak pan radca trafi bez nas do Pragi, co pan o tem sądzisz?

Na taki obrót nie był Wejwara przygotowany, nie uśmiechało mu się też siedzenie u Tomasza, na oczach ludzi. Jak dziecko cieszył się na trochę złotej swobody za miastem, gdzie się będzie mógł gonić z Pepcią po wzgórzach i w gaiku, gdzie nie będzie musiał z każdym słówkiem się liczyć. Ach, jakież byłoby zawód!...

Z panem Kondelikiem, z przyszłym swoim, daj Boże, teściem, chciał być jednak w zgodzie, rzekł więc cały zmieszany:

— Jak pan każe, co do mnie, zgadzam się na wszystko. Zaproponuję szanownej pani...

Wiedział, szelma, że pani Kondelikowa odmówi, i prosił ją o to w duchu.

— Nie proponuj pan lepiej—odparł mistrz gniewnie, i on bowiem również przeczuwał, jaką będzie odpowiedź.

Ale już mu się Wejwara wyrwał i biegł za damami.

A gdy pan Kondelik doganiał grupę, posty-

szał tylko ostatnie, stanowcze słowa swojej małżonki:

— Coby sobie pan radca pomyślał? Koniec świata, wieczór będzie bardzo piękny, ochłodzi się, a naszemu tacie trochę spaceru nie zaszkodzi. Potrzeba mu tego, bardzo potrzeba...

— Możeby więc pan Kondelik mógł sam na nas u Tomasza...—pośredniczył pan Wejwara.

— Broń Boże! nie, panie Wejwaro—odparła pani—zanudziłyby się tam bez nas.

Przyśpieszywszy kroku szła z Pepcią raźnie na przód na znak, że rzecz skończona.

Zgrzytając zębami szedł mistrz za paniami i za Wejwarą, i spoglądał z upragnieniem ku niebu z gorącym życzeniem, aby zesłało jaki deszcz ognisty, jak ongi na Sodomę i Gomorę; ale niebo było podobne do najczystszej ultramaryny i pan Kondelik musiał opuścić oczy przed palącymi promieniami słońca.

Weszli na Bruskę, przeszli bramę i znaleźli się na szosie, wysadzonej drzewami, które wszakże niewiele ulżyły przechodniom, cień bowiem jednego szeregu drzew padał w rów obok szosy, którymby się szło ogromnie niewygodnie, cień drugiego szeregu na środek szosy, gdzie kurzu było po kolana.

Naraz powionął ostry prąd powietrza i gdy się pan Kondelik rozejrzał, zauważył, że na niebie występuje podejrzana chmura.

Pani Kondelikowa obróciła się także przy pierwszym powiewie wiatru i zawołała wylękła:

— Chyba nas nie schwyci burza?

Przez mózg pana Kondelika przeleciała złośliwa myśl.

Nie powie nic, nie będzie ostrzegał nikogo, a gdy pioruny zaczną bić, to niechaj biją! Żona się boi burzy okrutnie, ale on nie — dobrze, niech ma nieczuła żona zasłużoną karę.

— Zkądże miałyby być dziś burza—uspokajał.— Niech sobie wiatr dmucha, lepiej się pójdzie!

Myśl o zemście niebios wzmacniała go, kroczył daleko raźniej, byle tylko znaleźć się jaknajdalej od Pragi.

Wpół godziny później opuścili szosę i udali się polną drogą.

Naraz zniknął blask słońca i wiatr zadał daleko silniej. Zboże na polu falowało, jak rozhukane morze, kobiety i pana Wejwarę opanował ów niepokój, jaki nastaje przed burzą. Tylko pan Kondelik kroczył wytrwale dalej, trzymając w ręku olbrzymi swój parasol.

Nagle spadło kilka dużych kropel i pani Kondelikowa stanęła wylekła. W dali zahuczał pierwszy grzmot, a z niedalekiej szosy wznosiły się chmury kurzu aż ku niebu.

— Kondeliku! — zawołała przerażona — wróćmy się.

— Tak, wróćmy się—odpowiedział mistrz chłodno—ciekawym dokąd? Teraz mamy na Szarkę bliżej już, niż do Pragi.

— Przecież zaczyna deszcz padać! — wołała pani...

Azaledwie dopowiedziała tych słów, gdy deszcz zaczął ciąć z boku, jakby z cebra łał.

— Jezus Maryja! — wykrzyknęła pani Kondelikowa.

— Jezus Maryja! — powtórzyła Pepcia i obie damy nadstawiły ulewie swoje jedwabne parasolki, któremi z trudem ochroniły swoje kapelusze.

Pan Wejwara otworzył także parasol i stał tu, jak zmokła kura, nie wiedząc co począć. Nawet mu do głowy nie przyszło, ażeby pożyczyć swego parasola panie Pepci i osłaniać ją dopiero zaczął, kiedy już dobrze zmokła. Tylko pan Kondelik stał spokojnie pod szerokim parasolem i patrzył z rozkoszą, jak jego towarzysze nasiakają wilgocią niebieską.

A kiedy znów zagrzmiał grom, mruczał przez zęby z zadowoleniem:

— Ja wam dam tę suchą wycieczkę, macie, napijcie się teraz.

Pani Kondelikowa nie słyszała, bo grzmiało, ale z tego spojrzenia wymiarkowała, że się mąż cieszy z nieudanej wycieczki.

Nie mogła mówić ze strachu, a Pepcia już chwilę łkała nad zmarnowanym ubiorem, nad zepsutym parasolem, a może i nad kapeluszem.

— Powinniśmy byli... iść do tego... Tomasza... kiedy tatko... chciał — wyrzucała z siebie urywanym głosem i patrzyła na Wejwarę przez potok łez tak żałośnie, aż go to kłuło w sercu.

Odwrocił się, aby uniknąć jej bolesnego spojrzenia i nagle zawołał radośnie:

— Proszę pani, dorożka jedzie po szosie, może pusta, jedzie z Szarkil

I już leciał ku szosie, nie zwracając uwagi na

deszcz, i machał parasolem i wołał na stangreta, który chętnie przystanął.

Powóz był pusty i jechał ku Pradze. Jakie to szczęście dla zmokłego towarzystwa.

Za kilka minut byli przy szosie, i kobiety i ojciec, i w oka mgnieniu dorożka była nabita.

— Gdzie mam zawieźć, szanowny panie?—pytał dorożkarz.

— Na ulicę Jeczną, numer...—odparła pani Kondelikowa.

— Nie! — wykrzyknął pan Kondelik tak głośno, że przegłuszył huk piorunu — do Tomasza, do świętego Tomasza, na Małej Stronie, do browaru, do Tomasza, rozumiecie?

Dorożkarz mrugnął okiem, kiwnął głową i świsnął batem.

Do Tomasza, w to mu graj!

Padło jeszcze mocno, kiedy po półgodzinnej jeździe wyszło towarzystwo z dorożki i przebiegłszy pośpiesznie podwórze i ogród usadowiło się pod gościnną strzechą werandy.

Kobiety po chwili uciekły do kuchni, aby tam przynajmniej zwierchni ubiór trochę osuszyć, a pan Kondelik, który najmniej był przemoczony, wypróbował już w doskonałym humorze jedną półlitrowkę za drugą i patrzył z dyabłą ironią na nieszczęśliwego Wejwarę, który nie odważył się nawet oczu podnieść, i który w swoim lekkim futeraliku ziębnął powoli.

— Posłuchaj pan, panie Wejwarko — rzekł pan Kondelik po czwartej szklanicy—kiedy będziesz znów urządził wycieczkę po *suchej ziemi*, to zrób podanie

do kolei Franciszka Józefa, ażeby nas wpuścili do winohradzkiego tunelu—tam deszcz nie pada!...

Wejwara westchnął i nic nie odpowiedział. Był zadowolony, że pan Kondelik tylko tak lekko żartuje sobie z niego.

VII.

K o l e j ą.

Upłynęły dni i tygodnie od fatalnej „suchej” wyprawy, a zbywały jeszcze dwie programowe wycieczki, jak je Wejwara nazywał. Dotąd nikt nie odważył się wspomnieć o nich mistrzowi Kondelikowi, po powrocie bowiem z Szarki, zakończonej u Tomaszka, rzekł mistrz zupełnie poważnie do małżonki:

— Nie wiem, Betty, co jeszcze ten narwaniec obmyśla, ale powiadam ci: po dzisiejszym dniu dajcie mi odpocząć! Wiesz, Betty, człowiek wytrzyma wiele, ale w końcu pęknie cierpliwość i świętemu...

Jakkolwiek mistrz wymawiał te słowa z ogromnym naciskiem i jakkolwiek starał się o pozory największego gniewu, to jednak przeczuwał nieborak, że rada „jego ludzi” znów coś postanowi i że on tego nie uniknie. Chwilę taką chciał od siebie oddalić. Zakochane dziewczęta i młodzieńcy niezmiernie są niecierpliwi, więc też przyszyła po czterech tygodniach, niezmiernie długich dla Pepci i Wejwary, owa chwila, oczekiwana z trwogą przez Kondelika.

Skończył się lipiec, ranek pięknej niedzieli sier-

pniowej tak miłośnie wstał uśmiechnięty, jakby całował cały świat z radości.

W całym domu było jeszcze cicho, gdy niezwykle żywo wyskoczył z łóżka mistrz Kondelik. Spojrzał na budzik na komodzie; była właśnie szósta. Pan Kondelik lubił niedzielę, bo wtedy nie musiał „orać”, nie musiał gniewać się na czeladników i uczniów, nie musiał biegać po całej Pradze, aby doglądać, czy dobrze malują na trzeciem piętrze przy ulicy Jerozolimskiej i czy nie próżnują na czwartym piętrze przy ulicy Napławnej, blisko mostu Palackiego; aby się przekonać, czy wystarczy farby pomocnikom na Porzeczcu, i aby dać jakieś ostateczne rozporządzenia kończącym pracę na Rejdziszczu.

Powszedni letni dzień nie dawał wygody malarzowi pokojów, jakim był pan Kondelik, którego dobry gust znany był powszechnie i którego robotnicy po całej Pradze ozdabiali i urządzali mieszkania.

Ale dziś jest znowu niedziela, dziś pan Kondelik odpocznie sobie doskonale. Takie sterane ciało wymaga trochę niedzielnego odpoczynku!

Podszedł do okna, otworzył i do pokoju wionęło czyste, kwaskowe powietrze, odświeżone nocnym deszczykiem, który do czwartej rano pluskał na bruku, szeleścił w rurach okapów i bębnił w okna, wymywając wszystek kurz z bruku po ostatecznych skwarnych dniach.

Ojciec Kondelik przystąpił do zwykłej pracy niedzielnej. Obciągnął sobie błyszczącą brzytwę, roztarł na miseczce kawałek wonnego mydła na bielutką, gęstą pianę i zaczął się golić.

Na przeciwległej, niskiej strzesze szczebiotały

wróble, w dali słychać było turkot wózka mleczarskiego, a na dole w ulicy pogwizdywał sobie uczeń piekarski, roznoszący żółte pieczywo. Wszystkie te dźwięki znał pan Kondelik bardzo dobrze, były dla niego każdej niedzieli miłym towarzyszeniem muzycznym do ruchów ostrą brzytwą, która niszczyła urodzaj tygodniowy na otyłej twarzy i tłusciutkiej brodzie. Tylko dostojne, gęste, siwiejące wąsy zostawały nietknięte.

W pół godziny był pan Kondelik odmieniony. Gładka twarz błyszcząca, jak natarta świeżą, złotawą politurą, ostatnie ślady snu zgładziła z oczu zimna woda, którą Kasia czerpała na dworze i mistrz przechadzał się już po pokoju w czystej bieliźnie.

Za jakąś chwilę zaczęło szeleścić w sypialni i niezadługo wsunęła się do pokoju pani Kondelikowa, również w śnieżno-białym negliżu.

Pani powiedziała małżonkowi dzień dobry, a widząc go ogolonym i umyтым, wpadła szybko do kuchni, aby przygotować śniadanie. Za chwilę wniosła do pokoju taczkę z dwiema filiżankami kawy i dwiema bułkami i szklanką wody studziennej.

Pan Kondelik pił pomalutku kawę i wyglądając oknem na piękny, modry błękit, mówił:

— Dziś będzie gorąco, Betty, i cieszę się, że przed obiadem się przejdę, a potem sobie po obiedzie chrapnę.

Pani Kondelikowa ugryzła kawałek bułki, napiła się kawy i rzekła miodowym głosem:

— Ba! z tego chrapnięcia nie będzie dziś nic, staruszku; chyba tam na miejscu mógłbyś się prześpać.

Pan Kondelik wytrzeszczył oczy:

— Na jakim miejscu?—spytał zdziwiony.

— No, gdzieś na wsi! — odpowiedziała pani Kondelikowa łagodnie — wszak wiesz, że mamy dziś tę drugą wycieczkę...

— Wy-ciecz-kę? — wyrzucił z siebie mistrz. — Jaką wycieczkę?

— Ależ, stary, stary — rzekła łagodnie pani Kondelikowa — jakoś słabnie ci pamięć. Wszak tu był Wejwara jeszcze w piątek, aby ci przypomnieć, że na dziś postanowiony został dalszy ciąg, że dziś pojedziemy koleją.

Mistrz Kondelik patrzył uparcie na małżonkę. Rzeczywiście, „jego ludzie”—żona, córka i konkurent Wejwara — użyli jego dobrego humoru w środę na koncercie w ogrodzie Mieszczeńskiej besedy i przypuścili z trzech stron atak, którego nie mógł odeprzeć. Dziś tedy jest z kolei druga „programowa” wycieczka koleją. No, dzięki Bogu, że przynajmniej koleją!

Mistrz odetchnął z głębi i zawołał:

— No, Betty, jeżeli się skończy znowu tak, jak ta po suchej ziemi, to nie życzę wam tego, co wam potem powiem...

— Et—uspakajała żona i wysseła ostatnią kroplę kawy z filiżanki—ktoby to myślał o tem, co było przed czterema tygodniami! Zresztą u Tomasza ci znowu tak źle nie było! Nie sarkaj! A dziś pojedziemy. Wsiądziemy do pociągu, na wsi wysiądziemy, spoczniemy sobie w lasku lub ogrodzie, będziesz mógł trochę się zdrzemnąć i...

— A dokądże pojedziemy? — zapytał pan Kondelik.

— O tem pomyśleć ma pan Wejwara, powiedział tylko, abyśmy byli o pół do pierwszej przygotowani, gdyż o pierwszej wychodzi pociąg z dworca Franciszka Józefa.

— Gdzież nas to dyabli poniosą! — zawołał pan Kondelik niechętnie. — Wszak w tej stronie nic niema.

— Tylko nie wymyślaj od samego rana—uspakajała pani.—Gdyby tam nic nie było, toby pan Wejwara nas nie prowadził.

Pan Kondelik wstał od śniadania i ubierał się. Ale zwykle zadowolenie niedzielne pierzchnęło bezpowrotnie. Dziękował teraz w duchu Bogu, że ma tylko jedną córkę. Gdyby ich tak było ze sześć i każda miała konkurenta, i gdyby każdy konkurent był tak opętany wycieczkami, jak Wejwara, to poszarpaliby go na kawałki.

Pan Kondelik lubił lato, ponieważ było co malować, ale w tej chwili wzdychał do jesieni i zimy, wtedy bowiem skończą się wszystkie dyabelne wycieczki.

* * *

Zanim pan Kondelik wyszedł na miasto, już przypomniła mu pani jaknajłagodniej, że go czeka z obiadem po jedenastej, że będą jedli „puncto punctum” o pół do dwunastej, że będzie dziś ładna gęsinka nadziewana i świeża kapusta... Ten święty ptak miał być dla pana Kondelika nagrodą za ofiarę, którą złoży na ołtarzu rodziny. Mistrza uspokoiło to

trochę rzeczywiście. Przyszło mu na myśl, co prawda, że to i po gęsi z kapustą śpi się dobrze, ba! że gęsi nawet dobrze się nie trawi, gdy się nie można po niej trochę zdrzemnąć, ale nie mówił nic i wyszedł na miasto. Ach, Boże, mawia się, że człowiek zbył się kłopotu, gdy dzieci dorosły! Ładne zbycie się kłopotu! Właśnie wtedy dopiero rodzą się troski! Oto wejdzie w dom taki konkurent i chce tylko latać, latać po świecie, jakby w Pradze nie było dobrze! A w niedzielę jest w Pradze tak przyjemnie! Ludzie wyjeżdżają za miasto, ogrody restauracyjne są jak wymiecione, jaka tu wygoda i jaka szybka a chętna obsługa! Ale tego młodzi ludzie nie chcą rozumieć. Dla nich trochę trawy i krzewów, a już mają zabawę. A te prowincjonalne lury nazwane „piwem!”

* * *

O dwunastej godzinie było u Kondelików dawno po obiedzie i kobiety stroiły się na wyścigi. Pan Kondelik ubierał się również, ale na sercu było mu wcale nie wesoło. Był najedzony, jak wąż, a oni każą mu gnać, Bóg wie dokąd! Co prawda, miał na sobie leciutkie, płócienne ubranie, ale pocił się już teraz; co to dopiero będzie w wagonie?

Pani nie podobał się także taki pośpiech; ale nie rzekła ani słowa.

Pepcia biegła z pokoju do pokoju, szukała parasolki, rękawiczek, chustki do nosa i ciągle otwierała drzwi do kuchni, nasłuchując, czy w sieni nie usłyszy kroków Wejwary.

O kwadrans na pierwszą stawiał się Wejwara. Miał na jednym boku pled na ramieniu, po drugiej stronie bujało na błyszczącym rzemyku puzderko z lornetką, a na trzecim rzemieniu wisiała znana butelka opleciona i skórą obszyta, tym razem z winem. Wszystkie kieszenie marynarki miał nabite. W jednej był zapas cygar, w drugiej jakaś książka, może wiersze dla Pepci, które odczyta, gdy siądą na darninie, w trzeciej płaska szklanka do wina, a w czwartej? Hml! któż odgadnie, co w niej był! Pan Wejwara był tak przygotowany, jak gdyby zamierzał z doktorem Holubem puścić się do Afryki.

Mistrz Kondelik, widząc młodzieńca tak nadzianego, nie mógł się wstrzymać od złośliwej uwagi:

— Posłuchaj pan, panie Wejwaro, może masz pan także jaką pięćofuntową szynkę lub przynajmniej salami węgierską?

— Tego nie mam, proszę pana — odpowiedział Wejwara zakłopotany — ale mógłbym jeszcze skoczyć...

I już wyciągał rękę ku klamce.

— Ależ, panie Wejwaro — napominała pani Kondelikowa — tatko sobie żartujel! Czyż jedziemy do Australii?

Zakłopotany, stanął Wejwara, spoglądając po domownikach.

— Dokąd pojedziemy? — zapytał Kondelik.

— Do Czernoszye, proszę pana, tam jest bardzo pięknie, jak mnie zapewniał przyjaciel. Jest to podobno niebiańskie zacisze. Ale już czas, abyśmy wyszli, pociąg odchodzi o godzinie pierwszej.

— Pójdźmy więc, jam gotów! — westchnął mistrz i przebiegł spragnionym, żalonym wzrokiem po pokoju.

Z Jecznej ulicy na dworzec Franciszka Józefa jest ładny kawałek drogi.

Przebrzmiał właśnie drugi dzwonek, lokomotywy różnych pociągów gwizdały, jak najęte, kasy były obłożone, zewsząd dawało się słyszeć ogłuszające nawoływanie. Wejwara dobił się ostatni do okienka i zażądał cztery bilety do Czernoszyc i z powrotem.

— Czernoszyc! — huknął kasyer po niemiecku. — Nie znam! Jak to będzie po niemiecku?

— Mój Boże, Czernoszyc! — wołał Wejwara rozpaczliwie. — Jest to czwarta lub trzecia stacya.

Kasyer przebiegł oczyma jakąś tabliczkę, pochylił ją ku Wejwarze i mówił niechętnie:

— Tu jest rozkład jazdy, poszukaj pan sobie, ja Czernoszyc nie mogę znaleźć. Może pan chce do Czerczan?

— Nie, panie kasyerze, do Czernoszyc, nie mylę się bynajmniej — mówił Wejwara błagalnie.

— Jesteś pan więc na niewłaściwym dworcu! — krzyknął kasyer, spuścił okienko i zniknął w swojej norze.

Wejwara stał zmiażdżony, nie decydując się powrócić ku towarzystwu.

Na peronie dzwoniło po raz trzeci, lokomotywa gwizdnęła przeciągle, ostatni wycieczkowicze pędzili szturmem do pociągu, przed którym biegali konduktorzy, nawołując:

— *Rasch, rasch, einsteigen, fertig!*

Wejwara patrzył zdrętwiały na rozkład jazdy,

nalepiony na okienku. Ach, choćby się nawet i spóźnili, ale gdyby tylko znalazł, gdzie leżą te Czernożyce! Gdzie one są? Przeklęty kolega!

Wtem pochyliła się ku niemu jakaś wielka, rozczochrana głowa, pokryta niebieską czapką i głos, jak tuba, odezwał się:

— Szanowny pan chce pewnie do Czernożyc, to jest na północno-zachodnim, ale szybko, bo pan nie zdąży.

— Aniele, zbawco! — wołał w duchu Wejwara, patrząc na zarosłego portyera i byłby go pocałował.

Wcisnął mu wdzięcznie grube cygare, prawdziwe „kuba,” wykręcił się i śpieszył ku Kondelikom, którzy nie pojowali w jaki sposób dostaną się do Czernożyc, skoro pociąg właśnie odjechał.

— Mała omyłka, szanowny panie — objaśniał zakłopotany Wejwara Kondelikowi. — Jest to nowe miejsce wycieczek, mało znane, kolega się widocznie pomylił, nie leży na tej linii kolei, ale na północno-zachodniej i nazywa się Czernożyce. Czasu mamy dosyć, będziemy tam niezadługo...

Mistrz Kondelik nie rzekł ani słowa, ale wyszedł z dworca, jak postrzelony jeleni. Za nim śpieszyła pani i mocno zaaferowany Wejwara obok Pepci. Nieszczęśliwy ten aranżer zniósł wściekłe spojrzenie Kondelika, ale ogromnie wstydził się Pepci.

— Dziwna rzecz, jak się kolega Havrda mógł tak omylić! Mam nadzieję, że się nie spóźnimy, ale pan ojciec się gniewa...

— Nie gniewa się — uspakajała go Pepcia. — Tatko się także chętnie przejdzie.

Spojrzenie pana Kondelika, którem tylko tak od niechcienia rzucił po za siebie, było niewątpliwem zaprzeczeniem jej słowom.

Pepcia zacięła usta, Wejwara zwiesił głowę. Bez słowa biegło towarzystwo pod dworcem ku ulicy Hybneriańskiej, przez Jezdecką na Porzecze i ku dworcowi północno-zachodniemu.

Mistrz walił laską o bruk, a Wejwarze zdawało się, że wszystkie te razy należą się jemu.

Pani Kondelikowa ocierała pot i moczyła już drugą chustkę.

Na północno-zachodnim dworcu było prawie pusto. Wejwara biegł ku kasie.

— Cztery bilety do Czernożyc i z powrotem!

— Do Czernożyc?—powtórzył kasyer.—Pójdzie dopiero o pół do piątej!

Wejwarze zrobiło się zimno. Czy się przeciw niemu zmówili wszyscy dyabli? Nareszcie i ten cierpliwy bohater zaczął się denerwować.

— Wybacz pan, pociąg spacerowy? O pół do piątej? Któż to jeździ na wycieczkę o pół do piątej?!

Kasyer, który był dziwnie dobrze usposobiony, jak mało który kasyer kolei żelaznej, chętnie zaczął tłumaczyć.

— To właśnie nie jest pociąg spacerowy, panie, to jest pociąg prawdziwie zwyczajny, w niedzielę, jak w dzień powszedni. Tu masz pan: Czernożyc—przez Osek, Chlumeć i Hradec Králowej—Czernożyc pod Smirzycami.

— Przepraszam pana—jęczał Wejwara, w którym budziło się niemile przecucie nowej, strasznej

omyłki—któżby jechał na pół dnia za Smirzyce, to jest aż pod Józefowem! My chcemy do Czernożyc, tuż pod Pragę...

— *Aaa pardon* — odpowiedział kasyer — to są Czernoszyce za Radotinem, kolej zachodnia, to musicie państwo na Smichów...

Wejwara zatoczył się od kasy, beznadziejny, zrozpaczony. Czernożyc—Czernoszyce!

Podniósł oczy, ale je znów opuścił. Trzy osoby, wobec których jest odpowiedzialny za to dzikie polowanie na wycieczkę, spostrzegły, że znów odchodzi z próżnymi rękami.

Mistrz Kondlik, tak się zdawało Wejwarze, patrzył na niego z podełba, pani Kondelikowa z napięciem oczekiwaniem, z niewysłowionem, tłumionem pytaniem na ustach, a Pepcia, ach, Pepcia z takim słodyczy pełnem politowaniem, z taką serdecznością kochającego dziewczęcia, które radeby wszystkie grzechy kochanego mężczyzny wziąć na swe barki!

Wejwara ze swemi pakunkami zbliżał się ku swej karawanie; niestety, było do niej daleko bliżej, niż sobie Wejwara życzył w tej chwili, i niemal nogi się pod nim uginały.

— Daj nam pan już bilety, panie Wejwarol — wyciągnął rękę mistrz Kondelik z straszną, palącą ironią.

Biedny Wejwara nastrojał po drodze twarz do uśmiechu bardzo kłopotliwego, ale uśmiech ten po słowach pana Kondelika, zamarł mu na twarzy.

— To jest szczególne nieporozumienie, proszę pana — mówił ogromnie zakłopotany — co do Czernożyc, których szukaliśmy, to jesteśmy tu na dworcu

właściwym, ale prawdziwie Czarnoszyce, dokąd się dostać chcemy, leżą przy kolei zachodniej, za Radotinem. Nie mogę sobie wytłómaczyć, jak ten kolega Hayrda, po pierwsze, a potem ten portyer na dworcu Franciszka Józefa...

Nie dokończył, nie mógł dokończyć.

Mistrz Kondelik prostował się, wąsy mu się języły. usta sapwały. Szybkim ruchem obtarł czoło, z którego spływały mu potoki potu i chrapiącym głosem wyrzucił z siebie:

— A teraz chcesz mnie gnać na Smichów, człowiecze? Oto macie...

Także nie dokończył, pani Kondelikowa ścisnęła go mocno za ramię i stłumiła wyrzut, który chciał wymówić i, jak anioł zgody, zaczęła sama:

— Niema rady, staruszk, pójdziemy na Smichów, ale prędko, abyśmy nie spóźnili!

— Nie, szanowna pani—pośpieszył Wejwara — tam się nie spóźnimy, tam odchodzi ostatni pociąg o trzeciej — i jeśli państwo raczą, wsiądziemy do tramwaju.

— Pieszobym nie poszedł, dobroczyńco! — mruzczał mistrz Kondelik. — Tego, tylko, jeszcze brakowało.

Kto umie, niech sobie namaluje usposobienie czterech nieszczęśliwców, w jakim wychodzili z dworca kolei północno-zachodniej.

Przed oczyma pana Kondelika majaczył dom przy ulicy Jecznej, miłutkie drugie piętro, kanapa w pokoju, lube *fata morgana*, złudny obraz utraconego raj. Jak pułkowy trębacz wybiegł pierwszy, kroczył przed rodziną, jakby sobie nie ufał, że się

nie dopuści jakiego czynu gwałtownego, gdyby miał „tego” nieszczęśliwca przed oczyma.

Pani wyciągała nogi, jak tylko mogła, a Wejwara pozostał tym razem zupełnie w tyle, nawet po za Pepcią. Wstydził się, śmiertelnie się wstydził, Było mu, jakby się pod nim ziemia paliła.

Na szczęście miejsce znalazło się w pierwszym tramwaju, zajęli je przeto jaknajśpieszniej.

Wejwara spojrział na zegarek — była druga. No, za pół godziny będą chyba na Smichowie, wsia-
dą do wagonu, a potem już wszystko będzie dobrze. Byle tam już był!

Jazda trwała czterdzieści minut, ale pociąg do-
tąd nie odjechał.

Portyer pobudzał wycieczkowiczów, aby wsia-
dali, kasa dotąd była otwarta, a przed nią dwoje,
troje ludzi.

Tym razem towarzyszył pan Kondelik panu Wej-
warze do kasy.

— Proszę—szeptał prawie Wejwara—cztery bi-
lety do Czernoszyc i z powrotem!

Z zatajonym oddechem oczekiwał odpowiedzi.

— Do Czernoszyc, do Czernoszyc? — powtarzał
kasyer, jakby się budził.

— Tak jest, do Czernoszyc — upewniał sta-
nowczo pan Kondelik za Wejwarą — tam i z po-
wrotem!

— Tak, tak — potwierdzał kasyer — ale mogę
dać tylko do Radotina! Ten pociąg nie stanie
w Czernoszycach, poprzedni staje, ale już odszedł.
Ten pociąg przystaje w Chuchli, w Radotinie, we
Všenorach, w Dobřichovicach.

— Ale tam my jechać nie chcemy! — huknął pan Kondelik—my chcemy do Czernoszycel

— Owszem—rzekł kasyer—to weźcie panowie bilety do Radotina, z Radotina do Czernoszyc jest trzy kwadranse drogi, piękna droga łąkami.

— To pan sobie tam jedź, kiedy taka piękna drogą!—zahuczał pan Kondelik wściekle w okienko.— Ja już trzy kwadranse chodzę.

Wykręcił się na pięcie, podskoczył ku kobietom i porwawszy małżonkę za ramię, rozkazywał:

— Chodźmy ztąd do wszystkich dyabłów, bo nas ten narwaniec pogna jeszcze na dworzec za Bruską!

— Ależ, tatku — prosiła Pepcia i łzy ukazały się jej w oczach — możebyśmy mogli teraz pojechać do Chuchli!

— Owszem, proszę pana — odezwał się za panem Kondelikiem Wejwara, cały zmiążdżony — może do Chuchli, gdyby pan raczył...

— Ależ naturalnie — powtórzyła pani Kondelikowa—kiedy już jesteśmy tutaj, pojedźmy do Chuchli. No, nie rób głupstw, stary!...

— Więc do Chuchli, do czarta! — zdecydował pan Kondelik, i Wejwara znów pędził do kasy.

Nikt z nich nie zauważył, że w tem okamgnieniu brzęknął na peronie dzwonek, drzwiczki wagonów zapadły za ostatnimi pasażerami, lokomotywa gwizdała, ktoś gromko krzyknął „fertig!”—i pociąg sapiąco ciężko odchodził.

— Cztery bilety do Chuchli—wołał przy kasie Wejwara i kładł pięć reńskich na okienku kasy.

— Już jedzie — uśmiechnął się kasyer — niechaj pan przyjdzie za tydzień! — i spuszczał powoli okienko.

Ta wycieczka Wejwary *koleją*, która się tak obiecująco zaczęła, skończyła się na „Pilzeńce” na Smichowie, dokąd pan Kondelik „rozbitków” zaprowadził.

Nie mówił do żony, do córki, ani do Wejwary, i rozwiązał język dopiero po szóstej szklance. A kiedy o dziesiątej wieczorem wybrali się do domu, zauważył mistrz Kondelik, patrząc ironicznie na pakunki Wejwary:

— Te rekwizyta, Wejwarku, mogłeś sobie deponować u portyera na dworcu zachodnim, kiedy bowiem znów gdzie pojedziemy, to gotów pan mieć nieprzyjemność z akcyzą...

Wejwara milczał. Spędził całe poobiedzie z Pepcią, dziękował Bogu za tę łaskę i był zrezygnowany cierpieć dłużej.

Mistrz usta swoje otworzył znów, kiedy stanęli przed domem przy ulicy Jecznej:

— Słuchaj kolego, co to za zwierzę, które Arabi nazywają *okrętem pustyni*?

Nie przeczuwając nic złego, odpowiedział chętnie Wejwara:

— To wielbłąd, szanowny panie, wielbłąd!

— Dobrze, wielbłąd — powtórzył mistrz Kondelik, mierząc Wejwarę od stóp do głów. — Posłuchaj pan, panie Wejwarko (a pani drętwiała teraz od strachu), gdybyś mógł mieć takiego wielbłąda, z temi

dwoma siodłami, to by się nam dobrze jeździło na wycieczki, bez tramwaju, bez kolei...

Idąc do domu, postanowił Wejwara, kupić sobie zaraz jutro Rivnača „Przewodnik po Królestwie Czeskiem”, ażeby go już nie spotkała podobnie niemiła przygoda.

VIII.

W o d ą.

Mistrza Kondelika godziło z dotychczasowemi nieudanemi wycieczkami „na świeże powietrze”, szczególnie ich zakończenie. Nawet ową fatalną „tajemną” wycieczkę wspominał później z pewnem zadowoleniem, gdy już dawno należała do przeszłości. W monotonnem jego życiu była to ogromna awantura, z której się czuł dumnym niemal, i która im dalej, tem więcej rosła w jego wspomnieniach. Pochlebiał sobie, że wykonał coś wielkiego, że ma rzadkie doświadczenie, jakim nie każdy śmiertelnik pochlubić się może.

Dalsze dwie wycieczki z rodziną były jeszcze niewinniejsze, a koniec ich jeszcze przyjemniejszy, ale takimi przedstawiały mu się dopiero wtedy, kiedy się po nich kilkakrotnie i należycie wyspał. Był prawie wdzięczny, że mu podawały tyle materiału do wesołego podrzucania sobie z Wejwarą, który cierpliwie znosił wszystkie wylewy mistrza. Wszak mu to znowu pani Kondelikowa swoją uprzejmością,

a Pepcia swoją łagodnością, stokrotnie wynagradzały.

Ojciec Kondelik pragnął po każdej wycieczce odpoczynku i tego musiano mu użyć.

W ciszy też upłynęły wszystkie niedziele sierpniowe i pierwsza wrześnieowa, podczas których musiały się damy i Wejwara zadowolić wieczornym spacerem, kiedy mistrz już dobrze sobie odpoczął i prowadził potem rodzinę do Kravina, do Zamkowego ogrodu w Nuslach, do Panoramy naprzeciw ogrodów Chotkowskich, najwyżej zaś na Petynkę za Strahowską bramę. Ale takie spacerowanie panią Kondelikową nawet nie cieszyły.

— Wiesz, stary — mawiała do małżonka — w ten sposób się człowiek właściwie tylko umęczy, pełza się stale tylko po tym praskim bruku, połyka się wszystek wirujący kurz, a gdy usiądziesz, to znów trzeba wstawać... Kto tylko ma zdrowe nogi, biegnie zaraz po południu za miasto, a my wychodzimy dopiero wieczorem, jak myszy...

— Czy ty myślisz, Betty — odpowiadał mistrz Kondelik — że to zdrowo, najeść się i biegać gdzieś z wysuniętym językiem, trząść żołądek? Czy to odpoczynek, kiedy nas Wejwara tak pędza, co? Z dworca na dworzec, po całej Pradze, ledwie człowiek ducha nie wyzionie! Nie, Betty, na to mnie nie weźmiesz.

— Z ciebie, mój stary, dziwny człowiek — rzekła pani poważnie. — Sam się o nic nie troszczysz, chcesz, by Wejwara wszystko przyniósł gotowe. Ale gdybyście się razem naradzili i każdy włożył w to trochę rozumu, moglibyśmy używać przez całe lato!

— Betty! — oburzył się pan Kondelik — już to

w tem lecie użyłem aż nadto i jak żyję, nie cieszyłem się tak myślą o zimie. Będzie święty spokój. On by nas ładnie wykierował swoim aranzowaniem wycieczek.

Pani za każdym razem milkła; ażeby nie było gorzej, ale zwolna, kropla po kropli przygotowywała pana małżonka. Nie chciała stracić trzeciej wycieczki, a właściwie nie chciała, ażeby ją straciła Pepcia. Wszak to dziecię niczego nie użyło! — myślała w duchu — może nam kiedy wymawiać, obstawała też za tą trzecią wycieczką. Chybaby się całe piekło sprzysięgło; ażeby się przynajmniej ta jedna nie udała!

Mijała już połowa września.

Pewnej soboty siedzieli Kondelikowie w ogrodzie Mieszczańskiej besedy. Wejwary tu jeszcze nie było. Miał dziś jakąś nadprogramową komisję, która widocznie się przeciągnęła.

Tego roku lato trwało niezwykle długo, nawet najstarsi ludzie nie pamiętali, ażeby wieczorem we wrześniu było jeszcze dwadzieścia stopni ciepła. Noce poprostu włoskie, albo raczej „italiańskie”, jak mawiał mistrz Kondelik. Kapela Nováčka rzeźbiła najpiękniejsze sztuki, Pepcia patrzyła w niebo, posiane gwiazdkami, i chwilami wlepiła wzrok w mamusię. Z mamusią i Wejwarą umówiły się, że jutro mogłaby być ta trzecia upragniona wycieczka.

Pani czekała tylko na Wejwarę, ażeby zacząć. Nareszcie przyszedł. Starannie wymyty, jak zawsze, i jak zawsze nieśmiały.

Przyszedł właśnie, gdy kapela grała jakiegoś walczyka hiszpańskiego, który się wybornie zgadzał z dzisiejszą pogodą i który po burzliwym okłasku musiał być powtórzony. Wejwara użył tej słodkiej kompo-

zycy, by na wstępie zjeść kolację. Skończył z ostatnimi dźwiękami i wtedy zwrócił się do pana Kondelika bojaźliwie:

— Podczas takiego wieczoru i przy tych dźwiękach zanosi człeka wyobraźnia aż do Hiszpanii.

— Nol — rzekła pani Kondelikowa — a na jutro zapowiada się nam pogoda, jak na obstalunek! To nam się uda dopiero.

— Co nam się uda? — zapytał mistrz Kondelik.

— Boże, staruszk — ciągnęła pani uprzejmie — o wszystkim zapominasz. Jutro chcemy sobie znów użyć trochę powietrza, pewno po raz ostatni w tem lecie.

Jakby przebudzony z miłego, spokojnego marzenia, mistrz spojrział wielkimi oczyma na żonę.

— Świeże powietrze? Dokąd to znowu chcecie lecieć, na Boga! — patrzył wylękły przed siebie.

Wejwara kręcił się niespokojnie na krześle, panna Pepcia rozsunała wachlarz i owiewała rozpalone lica, pani Kondelikowa znów mówić zaczęła:

— No, wszakże wiesz, że mamy w programie jeszcze jedną wycieczkę. Sam się z panem Wejwarą umówiłeś. Dwie odbyliśmy już...

— Ja wiem, tę „suchą” i tę kolejną! — kolnął pan Kondelik.

— Dobrze już, dobrze — rzekła pani Kondelikowa — widzisz więc, że pamiętasz. A na jutro postanowiliśmy tę trzecią — do trzech razy sztuka...

— Dziękuję — zawołał mistrz — i dokądże to chcecie mnie znowu wyciągnąć?

Wzrok pani Kondelikowej utkwiał teraz na Wejwarze.

— Szanowny panie — odważył się nareszcie Wejwara—ostatnia wycieczka, którą zakończyć chcemy sezon tegoroczny, ma się odbyć po morzu, jak było postanowione.

— Co pan mówisz, *po morzu!*

— To tylko żartem, staruszk — objaśniła pani. — Pojedziemy wodą, statkiem parowym po Wełtawie; najpiękniejsza pora po temu. Woda spokojna, pogoda stała, nie zmokniemy—kurzu nie lubisz, a na wodzie się nie zakurzysz...

— Ale za to dymi się, kobietol

— Siądziemy sobie na przedzie, staruszk...

— A dokąd popłyniemy, mamusiu? — zapytała Pepcia.

— Dokąd ojciec rozkaże, proszę pani—odezwał się Wejwara. — Do Chuchli, na Zbraslav, do Hodkoviček...

— No, jeszcze nie płyniemy! — wtrącił ojciec Kondelik. — W tem gorącu nie mam żadnej chęci smażyć się na słońcu i wędzić przy kominie!

— No dobrze, stary — przemówiła uspakajająco pani Kondelikowa — jeżeli nie chcesz, możemy odłożyć na przyszłą niedzielę. Ale pan Wejwara już się przygotował, miał mieć inspekcję i prosił o zastępstwo, a ja sobie przygotowałam krótki obiad, kluski ze śliwkami...

— Wy jesteście zawsze wszyscy przygotowani!—zawołał pan Kondelik—tylko mnie się nikt nigdy nie pyta, czy także jestem przygotowany! Naradzicie się

zawsze przeciw ojcu i pędzicie go potem na chybił trafił w świat!

— Ale, Kondeliku — rzekła pani poważnie, — jesteś niesprawiedliwy. Jakże znów naradzanie! Właśnie mówimy ci o tem, a kiedy nie chcesz, nie pójdziemy. Jesteś panem i głową rodziny, a czego nie chcesz, to się nie stanie. Jak żyję, nigdy nie postąpiłam przeciw twojej woli, to mi tu przed panem Wejwarą musisz przyznać...

— Przyznaję rzeczywiście, kolego — zwrócił się mistrz do Wejwary, w którym naraz ujrzał naturalnego sojusznika w walce z drugą płcią — ale przed sądem nie chciałbym przysięgać, rozumiesz pan? Kobieta zawsze w pana wmówi i przeprowadzi, co jej się podoba, a w końcu nawet sobie nie zdasz sprawy, kto zaczął. Naturalnie, że jesteś zawsze „panem i głową!” Pamiętaj pan o tem, przyjdzie i na pana kreska!

— Ależ, Kondeliku, co też ty mówisz!? — gniewała się pani.

— Szczerą prawdę, Betty! — kiwał mistrz głową. — Ciągłe mi dowodzisz, że te wściekłe wycieczki stworzył z Wejwarą, a gdybyś mi dała milion, nie przypomnę sobie, gdzie i kiedy to zrobiłem. Polityka, dziewczyno!

Pani się w duchu gniewała i byłaby chętnie przydepnęła małżonkowi nogę pod stołem, ale nie pozostawało nic innego, jak tylko w żart obrócić, ze względu na Wejwarę. Zaśmiała się więc i rzekła wesoło:

— Dobrze zatem, staruszkule! Niech się stanie rzeczywiście po twojemu, pozostajemy w domu! Wreszcie i w Pradze się nie zanudzimy!

Teraz odezwała się Pepecia z ogromnym żalem.

— Takie piękne lato, kto tylko może, ucieka z Pragi, tylko my nie...

— Widzisz pan! — zawołał Kondelik zwycięzko—to jest rezerwa naszej matki! Gdy zacznie Pe-pa, ojciec musi broń złożyć. Dobrze więc, dziewczyno, niech będzie, jak chcecie! Pojedziemy. Ale po raz ostatni, powiadam wam! Możesz pan to zaprotokulować, panie Wejwaro!

Wejwara zachował się przy całej tej żartobliwej potyczce zupełnie biernie. Jakkolwiek cała rodzina jego ubóstwianej Pepci i wszystko, co się z nią łączyło, było dla niego wzorem, i jakkolwiek był przeświadczony, że w jego małżeństwie z nią — ach z nią! — nie padłoby nigdy ostre słówko, przeczuwał jednak, że jakakolwiek uwaga mogłaby turniejowi małżeńskiemu państwa Kondelików dodać smaku gorzkiego. Czegoś podobnego nie chciałby być świadkiem—ze względu na drogą Pepeci!

Teraz, kiedy się wszystko dobrze skończyło podług życzenia pani Kondelikowej, starała się ona zawiosłować w innym kierunku i rzekła, jakby zupełnie od niechcenia:

— Wiesz co, staruszkę, mógłbyś pana Wejwarę poprosić, ażeby do nas jutro przyszedł na łyżkę zupy. W ten sposób się nie spóźnimy, nie będziemy potrzebowali dopiero się schodzić.

— Widzisz pan więc, panie Wejwaro — zaśmiał się mistrz—i do tego mnie namówił! Mnieby to jako żywo do głowy nie przyszło! Przyjdź pan tedy, jeżeli nigdzie nic lepszego mieć nie będziesz. Słyszałeś przecież, że będą kluski ze śliwkami.

Wejwara był radośnie zakłopotany. Pierwsze zaproszenie na obiad! Ach, jak to wszystko pięknie postępuję!

— Kupiłam śliweczek jak brzoskwinie, panie Wejwaro!—zauważyła pani Kondelikowa.—A jeśli pan lubisz kluski śliwkowe...

— Ktoby ich nie lubił!—zawołał mistrz.

— Śmiertelnie lubię, szanowna pani—potwierdził skromnie Wejwara.

Pepcia drżała ze szczęścia. Wejwara będzie u nich na obiedzie. No, teraz już wszystko zdecydowane.

Punktualnie przyszedł Wejwara na drugi dzień z uderzeniem godziny pół do 12-ej, jak było postanowione. Na stół podawała Pepcia; pani Kondelikowa wiedziała, jaki to wywiera skutek na uczucia konkuretna. Sama różowa, jak udane kluseczki śliwkowe, postawiła Pepcia po zupie i mięsie na stół olbrzymią salaterkę, na której była piramida nęcących, zaróżowionych wyrobów pani Kondelikowej, polanych złocistym masłem i uśmiechających się, jak drobne twarzyczki malowanych aniołków. Z piramidy wznosiła się pod sufit gorąca para i luba woń rozgotowanych śliwek, tu i owdzie wyglądających z ciasta. Panna Pepcia podała miseczkę jędrnej, własnoręcznie utartej gomółki. Śliwkowe kluski bowiem bez gomółki—eh, niema o czem mówić!

Zwykłą porcją pana Kondelika było trzydzieści klusek, ale ponieważ dziś czekała go „morska” wycieczka, zjadł ich przeto o pięć więcej. Wejwara

wstydział się, gdy brał dwudziestą piątą, ale wziął jednak. Pani Kondelikowa nie mogła prawie jeść z gorąca i dlatego, że „sama gotowała”. Panna Pepcia brała z salaterki nieśmiało po jednej. Lubiła śliwkowe kluski namiętnie, ale jakże się można wobec kochanka najadać do sytości! Wynagrodziła to sobie, kiedy odnosiła resztę do kuchni. Zjadła tam szybko jeszcze dwie czy trzy, a stygnące i powoli osychające są najlepsze.

Obiad był co prawda „krótki”, jak wczoraj zauważyła pani Kondelikowa, ale zanim wypili czarną kawę i zanim się damy i pan ojciec przygotowali do wyjścia, było przecie pół do 2 jej. Obok świętego Ignacego stanął nagle mistrz i zwrócił się do Wejwary, z którym szedł w pewnem oddaleniu od dam:

— Słuchaj pan, panie Wejwaro, umiesz pan pływać?

— Umiem, proszę pana — przyświadczał Wejwara.

— Wiesz pan, ja także umiem — mówił Kondelik — ale gdyby nam która z kobiet wpadła w wodę, skoczysz pan po nią sam? Ja nikogo wyciągać nie będę, jestem najedzony i mógłbym dostać paraliżu.

Wejwara uśmiechając się, odpowiedział:

— Ależ, proszę pana, ze statku parowego nikt jeszcze nie spadł, przecież tam jest balustrada.

— Balustrada, balustrada! — huknął mistrz. Ja wiem, że balustrada, ale czy myślisz pan, że przez balustradę spaść nie można? Co się to nie dzieje na morzu!

— Na morzu jest co innego!

— Woda jest wszędzie jednakowa! — srożył się

pan Kondelik. — A ja się w ubraniu maczać nie lubię!

Pani Kondelikowa obróciła się, gdy usłyszała, że małżonek kłóci się o coś.

— O co chodzi, staruszk, o co?

— O co? Oto chcę, ażebyście się trzymały ładnie w środku i nie łąziły ku balustradzie. W wodzie znaleźć się człowiek może łatwo; widziałem u wioślarzy, ale z powrotem na łódź lezie się ciężko!

Kroczyli dalej ukośnie przez ulicę Karola, ulicę Myślika i bulwarem Pałackiego, ku przystani dużych parostatków. Po drodze umówił się Wejwara z panem Kondelikiem, że popłyną aż na Zbraslav. Tam podobno w „Wielkiej karczmie” miło posiedzieć, a mogą odwiedzić i Závist. Podróż wprawdzie trwa długo, ale są ładne wieczory, a im później przyjadą na Zbraslav, tem dłużej będą mogli pobycć. Nic złego, gdy do Pragi powrócą ostatnim statkiem.

O, *fatum!* Przyszedszy do przystani ujrzeli, jak statek schyla już komin pod mostem Pałackiego, jakby im się na pożegnanie kłaniał. Drugi popłynie dopiero za godzinę. Pan Kondelik zmarszczył czoło, gdy to usłyszał.

— Tu na słońcu miałbym godzinę czekać? — mówił gniewnie, patrząc na Wejwarę. Nie jestem płótnem, które bielić trzeba na słońcu.

I obrócił się, jakby chciał iść napowrót do miasta.

— Ależ mężu, dokądże pójdziesz? — wołała pani wystraszona.

— Szanowny panie — doganiał Wejwara gniewnego mistrza. — Nie potrzeba przecieź czekać godzi-

nę na duży statek! Możemy wsiąść na mały statek Goldmana, tu na dole, w łasze.

— Na te orzechy? Toć utonięcie na pół pewne! Tam nie wsiądę nawet za...

— Szanowny panie — nalegał Wejwara — niema żadnej obawy, tylu ludzi niemi płynie...

Połączonym prośbom pana Wejwary i kobiet udało się nareszcie wzruszyć pana Kondelika, że zeszedł ku przystani małych statków, choć kiedyindziej przy samem spojrzeniu na nie doznawał strachu i zawrotu.

Pan Kondelik odważył się wsiąść w „orzech”, ale rodzina wyrzec się musiała Zbraslavia.

— Jeżeli chcecie, pojedziemy do Chuchli, ale dalej od Pragi nikt mnie na tych nieckach nie wyciągnie!

Nikomu nawet do głowy nie przyszło sprzeciwiać się, szczególnie Wejwara zgadzał się na wszystko. Miał ciągle w pamięci los pierwszych wycieczek i nie chciał panu Kondelikowi dać najmniejszej przyczyny do wyrzutów. Prosił w duchu Boga, aby los, który się tym czterem skromnym turystom do pięć przylepił, chciał dokonać swego dzieła.

Kasyerka w lakierowanej budce sprzedawała panom cztery bilety do Chuchli i dodała, że statek wkrótce wypłynie. Damy były pierwsze na mostku. Panna Pepcia skoczyła naprzód, za nią z rozwagą i ostrożnie postępowała matka.

Mistrz Kondelik odrzucił właśnie niedopałek cygara, spojrzął za nim, jak zasyczał w wodzie, i zapalał sobie na drogę wyborne *virginia*, przyczem Wej-

wara musiał trzymać kapelusz, ażeby zapałka nie zgasła.

Szczęśliwie dostały się damy na statek i zaraz za nimi wpadło jeszcze z dziesięciu wycieczkowiczów.

Rozległo się w powietrzu „dosyć”, zabrzączał dzwonek, statek się rozbijał, mostek zatrzeszczał, szruba pod statkiem zaryła się w wodzie, majtkowie na statku zrzucili linę z palika, i właśnie kiedy wirginia pana Kondelika najlepiej się rozpałała, a Wejwara wtoczył kapelusz na głowę, zabrzmiały w powietrzu dwa rozpaczliwe głosy:

— Kondeliku!

— Panie Wejwaro!

Obaj mężczyźni spojrzeli w kierunku statku i pobiegli w kierunku mostku; zapóźno niestety! Między nimi a statkiem nie było już stałego ładu — śmiała się do nich tafła wody, z dziesięć metrów szerokości, i przestrzeń ta rosła ciągle, statek się kołysał, podskakiwał i zataczał dalej i dalej, a z nim oddalało się przenikliwe, chwytające za serce wołanie:

— Kondeliku! Tatku! Panie Wejwaro!

Ze zgrozą zauważył mistrz, że wierna jego połowica drze się w tłumie pasażerów ku balustradzie, machając parasolką i przez głowę przeleciała mu straszna myśl: *ona skoczy w wodę!*

Przyłożył obie dłonie do ust i wołał, jak przez tubę:

— Żono! Nie leż ku balustradzie! Trzymaj się srodek!

A Wejwara, który dopiero teraz się zorientował, wołał w ten sam sposób:

— Niech się szanowna pani nie lęka! Popłyniemy drugim statkiem za paniami!

Tymczasem statek zakołysał się na środku rzeki i jakby się teraz opamiętał, dokąd właściwie płynie, zmierzył ku mostowi Palackiego.

Panu Kondelikowi opadła ręka z cygarem, opadła mu i prawica z parasolem, i patrzył chwilę za oddalającym się statkiem, jakby nie mógł uwierzyć, że jego rodzina się od niego oderwała.

Potem obrócił się ku Wejwarze, który nie wiedział co począć, i rzekł tonem miażdżącego wyrzutu:

— Wejwaro, Wejwaro! Z pana jest kawałek wybornego waryata.

— Ależ, proszę pana — jękał się biedny Wejwara głosem konającego, w którym wszakże odzywał się nie dający się stłumić wyrzut — pan sobie raczył zapalać to wirginia...

— Ale kto mi przytem trzymał kapelusz, Wejwaro! — oskarżał mistrz Kondelik — *kto* powinien mieć wszędzie oczy, *kto* ma znać sygnały statków i wiedzieć, kiedy odpłynie? Chyba pan, nie ja! Powierzam panu siebie, żonę i córkę, a pan nas wszystkich topisz, nieszczęśliwy człowiecze!

— Szanowny panie — bąknął Wejwara — gdy zawinię, to się nie zapieram, ale tym razem faktycznie nic nie jestem winien, zresztą, proszę pana, za kilka minut odpłynie drugi statek, a w Chuchli się z damami spotkamy!

Mistrz Kondelik utkwił długie spojrzenie w Wejwarze.

— Ja pana znam, panie Wejwaro, Bóg raczy

wiedzieć, czy się wogóle spotkamy! Za panem ciągnie się ogromna smoła, a kto idzie z panem, przylepi się także! To pan nazywasz zabawą — i ja dlatego mam swój niedzielny spoczynek poświęcać! Panie Wejwaro, straszną odpowiedzialność wzięłeś na siebie.

Mistrz odwrócił się od Wejwary i szedł przez mostek, ażeby mu i drugi statek nie odplynął:

Po dziesięciu minutach była i ta skorupa nabita i stękając i trzeszcząc we wszystkich szparach odbijała na „pełne morze.”

Panu Kondelikowi było bardzo nieprzyjemnie, kiedy się znalazł w ciżbie, gdzie się poruszyć było trudno, a kiedy potężny słup dymu rozbił się wśród wycieczkowiczów, zakaszlał i oczy mu zaszyły łzami. Mistrz zgrzytnął zębami.

— Niechaj pan spróbuje raz jeszcze wziąć mnie na te *goldmany!* Zobacysz, co wtedy będzie!...

Wejwara milczał, przy tych okolicznościach nic lepszego uczynić nie mógł.

Milczał także pan Kondelik, z czego Wejwara bardzo się cieszył.

Płynęli przez krótką chwilę i nagle odezwał się głos mężczyzny, który może był konduktorem, a może nawet kapitanem:

— Bilety, panowie, bilety!

Wejwara chętnie podał swój, a mistrz Kondelik zagłębił rękę w kieszeni, wyciągnął, otworzył — na dłoni ukazały się bilety *trzy*.

— Za kogo to, proszę pana?—pytał konduktor, czy kapitan

— Za kogo! Za mnie i za kobiety!—rzekł podrażniony mistrz.

Ale nagle zorientował się, wyciągnął rękę z biletami ku Wejwarze i zawołał:

— Na Boga, człowiecze! Wszak one jadą bez biletów! Tu mam wszystkie, ani o tem pan nie pamiętałeś!...

Wejwara nie odpowiedział.

Nie pojmował, w jaki sposób i za to jeszcze ma być odpowiedzialny, że pan Kondelik włożył wszystkie bilety do kieszeni.

— Człowiecze magistracki, one jadą bez biletów!—powtórzył mistrz.—Zaareztują nam je, że jadą bez biletów, na „gapę.”

Na biednego Wejwarę wystąpił pot.

Pepcię zaareztować! Ale nie, tego być nie może!

— Proszę pana, w najgorszym razie zapłaci pani podwójnie.

— Czem zapłaci, nieszczęsny człowiecze!—tłumił pan Kondelik gwałtowny wybuch, ażeby otoczenie nie słyszało — czem, powiedział! Kobieta nie ma przy sobie nigdy nawet krajcara, cóż dopiero gdy jedzie z mężem. Z tego może być kolosalny skandal!

Wejwara patrzył uparcie w wodę, jakby mierzyl odległość między tym statkiem, a tym, który dawno zniknął; chyba skoczyć w wodę i za damami popłynąć.

Podobnie karkołomne myśli przerwał mu nagle mistrz:

— Dobrze im tak, Wejwaro! Przynajmniej je to wyleczy—zupełnie im odbierze chęć do wycieczek.

Warte to dla mnie więcej, niż trzy dziesiątki. Jednego pragnąłbym jeszcze, Wejwaro: pana chciałbym dziś zobaczyć w wodzie! Dziś jeszcze — i to po szyję!

O, gdyby był Wejwara wiedział, że tym widokiem ojca ukochanej Pepci ułagodzi, byłby bez namysłu skoczył w Wełtawę.

Ale to wszystko nie mogło dopomóc Pepci, jeżeli się znalazła w kłopotliwym położeniu.

Duszycko droga, co się z tobą dzieje?

.

Po za tem wszystko szło dobrze.

Zdawało się, co prawda, jakby się statek co chwila potykał o kamienie na dnie rzeki, ale przeciwną się szczęśliwie pod mostem, minął Podskale, Wyszehradzką skałę, Podol i zbliżał się powoli ku Zlichowu, gdzie miał przystanąć i pierwszą porcję wycieczkowiczów złożyć.

Niebo uśmiechało się wesoło, powierzchnia rzeki podobną była do zwierciadła, innego statku znikąd nie widać, więc zdawało się, że żegluga skończy się szczęśliwie.

Tak się... zdawało.

Ale praskie statki „salonowe” Goldmana i ich kierownicy zastynęli ze swego instynktu, którym umieją namacać wszelką przeszkodę i wpaść na nią — stało się to i tym razem.

Już widniał płotek przystani, już podrzuczał statek przodem i tyłem, zataczając się jak we śnie, naraz wszakże nastąpiło silne uderzenie, pod wodą coś zatrzeszczało, przód statku wysunął się w górę, szru-

ba umilkła, statek stanął, oddalony o jakieś dwadzieścia kroków od brzegu.

Zaraz po tem złowieszczem uderzeniu i zatrzymaniu się statku, odezwał się głos jakiś:

— Do pioruna, mamy gdzieś dziurę, statek nabiera wody!

Ogarnęła wszystkich panika, krzyk, napominania wzajemne, płacz kobiet i dzieci, wszystko garnęło się na skraj statku przy brzegu. Statek nachylił się groźnie...

Pan Kondelik zdrętwiał ze strachu. Nie mógł się poruszyć, ze wszystkich stron był otoczony, gniewony i popychany i czuł, że kilkoro rąk chwytą go z tyłu. Była to niema prośba o pomoc, o ocalenie. Śmiertelny pot wystąpił mu na czoło. Już się stało! Teraz się cała łódeczka przewróci w wodę, nakryje pasażerów, a on nędznie zginie razem z innymi i nie powróci już do swego mieszkania, chyba jako opuchnięty trup. A żona, a córka — kto wie, czy także gdzie nie toną?

Dalsze uwagi mistrza przerwał silny głos sternika:

— *Panowie raczą zejść w wodę — na Boga, tylko prędko — i nosić damy i dzieci na brzeg — inaczej nie ruszymy się z miejsca!*

Wejwara był w wodzie pierwszy, aż po pas. Już brał w objęcia jakąś panienkę i brodził z nią ku brzegowi. Mistrzowi Kondelikowi robiły się gwiazdki przed oczyma, ale nie było czasu do namysłu i nie zależało także od niego, czy chce zejść w wodę, czy nie. Tłum, który go z początku otoczył, cisnął go coraz więcej na skraj, już szereg mężczyzn skoczył

w wodę—doszło i do pana Kondelika. Zatrzymał oddech, zamknął oczy, podniósł rękę, ażeby się przeżegnać, ale nie miał na to czasu. Nie wiedząc nawet, czy sam wskoczył, czy też zepchnięto go ze statku, nagle leciał. „Jestem zgubiony!” — ale nawet tej myśli nie dokończył. Upadek był szybszy. Wokoło wszystko chlapało, woda pryskała w twarz, i nagle objął pana Kondelika chłód i wszystka krew garnęła mu się do serca. Padając, skurczył nogi, i wpadł do rzeki aż po pierś, a falująca woda zaszamotała nim, omal, że nie upadł.

— Do brzegu, do brzegu!—było jego pierwszą myślą, gdy otworzył oczy, ale nim uczynił krok w obcym dla niego żywiole, już go się trzymała za szyję jakaś pani i pan Kondelik niechcąc, stał się jej wybawicielem.

— Paniel — wołała ocalona, gdy ją złożył na brzegu — mam tam jeszcze dziecię, córkę, pomóż jej pan!

— Już ją niosą, proszę pani — krzyknął tylko Kondelik i jaknajszybciej oddalił się od rzeki. Był przekonany, że przebył straszne niebezpieczeństwo, nie chciał więc kusić szczęścia po raz drugi.

Statek wkrótce stał się „flott”, jak mawiają majtkowie. Uderzył on o stary palik, ukrywający się zdradziecko pod wodą, lecz z chwilą, gdy go opróżniono, wyskoczył znów szczęśliwie nad wodę.

— *Kto ma bilety dalej, proszę wsiadać!* — wołał sternik do przemoczonych. Daleko więcej było tych, którzy się rzekli dalszej żeglugi, niż lekkomyślnych, którzy powtórnie powierzyli drogie żywoty swoje statkowi.

Wejwara, który jako tako wytrząsał wodę z odzienia i wyszukał w tłumie mistrza Kondelika, śpieszył ku niemu po wyzwaniu sternika i mówił:

— Proszę, szanowny panie, ażeby nasz statek nie odjechał...

— Czego pan chcesz odemnie?— huknął Kondelik, wściekłem spojrzeniem mierząc Wejwarę.

— Chcę, abyśmy wsiadali, proszę pana.

— Wejwaro!— wyciągnął mistrz obie ręce, jakby go chciał udusić — czyś pan zwaryował! Jeszcze panu mało? Chcesz mnie wozić, dopóki naprawdę nie zatopią. I panu, człowiecze, mam powierzyć swoje dziecię? Wejwaro, Wejwaro, com ja ci zawinił! Wszak już jestem na poły utopiony! Wszak ja łykałem wodę?

Wejwarze opadły ręce.

— Proszę pana, przecież ja tam także byłem.

— Ale ciebie to cieszy, człowieku! — syczał mistrz Kondelik.—Pan się tem bawisz.

Obaj zamilkli.

Na statku dzwoniło, pojedynczy pasażerowie, którzy się jeszcze byli namyślali, śpieszyli teraz na mostek.

Wejwara patrzył beznadziejnie na statek, który za chwilę odpłynie w strony, gdzie bawi jego Pepcia. Przez głowę przebiegła mu myśl:

— Możebym więc sam, proszę pana, ze względu na panie, będą czekały na nas.

— Jedź pan! — krzyknął Kondelik. — Wyszukaj moich ludzi, a przywieź do Pragi. Ale koleją, rozumiesz pan, nie wodą! Ja się trochę osuszę i pojedę

do domu dorożką, jeśli jaką znajde. A wieszerać będe w Besedzie, przyprowadź pan ich tam za mną.

Wejwara biegl na statek. Nie bał się żegluga, choćby łódka była, jak przetak dziurawa, wszak śpie-szył za Pepcią, po Pepcią! Szczęśliwym trafem statek był cały.

Mistrz Kondelik skierował się ku najbliższej karczmie, ażeby się osuszyć. W butach mu chlupało, ubranie lgnęło do ciała, ale na wszystko nie zwracał teraz mistrz uwagi. Prawie bezwiednie spojrzął ku niebu i dziękował Bogu za ocalone życie. Dopiero teraz, kiedy było po wszystkim, zdawało mu się, że pojmuje ogrom wypadku, który się przytrafił. Wszak życie jego wisiało prawie na włosku! Wszak cała ta rzecz mogła się stać także na środku rzeki, wszak mógł się znaleźć w głębi trzydziestosążniowej—pan Kondelik słyszał, że są takie głębiny w Wełtawie, acz nie wiedział gdzie—a ztamtąd nie byłby już wylazł, szczególnie, gdyby mu się taka zrozpaczona pani rzuciła była na plecy! Nie z zimna od wody, ale ze zgrozy otrząsł się mistrz Kondelik na tę myśl. Nigdy nie byłby powrócił do swego miłego, zacisznego mieszkania przy ulicy Jecznej! Rodzinę byłby osierocił! Winohradzki dom byłby utracił swego właściciela! Dopiero teraz, kiedy przebył straszną tę „katastrofę,” czuł pan Kondelik, jak piękne jest życie, jak lgnie do niego.

A kiedy wszystko to już rozważył, przeleciało mu przez głowę coś innego, Jaka szkoda, że się rzecz ta nie stała zaraz przy pierwszej wycieczce!

Chciałby widzieć takiego człowieka, któryby go był namówił na wszelkie dalsze głupstwa!

Osuszywszy się trochę w karczmie, szczęśliwym trafem znalazł mistrz na Zlichowie dorożkę, a po piątej wysiadł z niej przed własnem mieszkaniem. Ulica i dom były jak wymiecione, kto mógł, uciekł z Pragi, nikt też nie ujrzał mistrza w jego zbiedzo-nem odzieniu. Pan Kondelik pozrywał z siebie zeszełte odzienie, wilgotną, bagnem cuchnącą bieliznę rzucił w kuchni, a potem osądził, że najlepiej się z przebytego śmiertelnego strachu odświeży, gdy się zdrzemnie. Padł na kanapę i spał całą godzinę, co go niezmiernie posiliło i pogodziło z całym światem.

Kiedy zapalił cygaro, pierwsze od nieszczęśliwej kąpieli pod Zlichowem, smakowało mu ono, jak manna niebieska. Zdawało mu się, jakby lata całe nie palił: nowe, piękniejsze życie rozwijało się przed nim.

W nastroju już zupełnie różowym szedł wolnym krokiem do Besedy, gdzie pierwszy przyniósł wieść o „rozbiciu się“ statku pod Zlichowem i nie skąpił barw, któremi cały wypadek odmalował jaknajstraszniej. Był przecież malarzem.

— Panowie! Pięćdziesięciu ludzi byłoby utone-ło, gdybyśmy ich nie byli ocalili. Ale trzeba wam było widzieć nas, jak ich z wody wyciągaliśmy! Do śmierci, panowie, do śmierci tego nie zapomnę. Do-piero teraz ma człowiek pojęcie o tem, co to jest że-gługa morska!

Wszyscy spoglądali na Kondelika, jak na boha-tera, a pan Kondelik tak się rozgadał o swojej niby

roli ocalającego, że w to wszystko nareszcie sam uwierzył.

Po dziewiątej wtargnęli do Besedy inni trzej „żeglarze” — pani Kondelikowa z Pepcią i Wejwara. Ten ostatni był także już suchy, ale nie miał czasu i sposobności, ażeby sobie kazał spodnie wyprasować.

Mistrzowi Kondelikowi było to bardzo na rękę. Wodził Wejwarę od stołu do stołu, pokazywał go znajomym, zachęcając ich, aby pomacali spodnie Wejwary i powtarzał bezustannie strasznym głosem:

— Tak wyglądaliśmy obaj, obaj, panowie!

Kiedy małe towarzystwo siedziało znów przy swoim stole, przypomniał sobie naraz mistrz Kondelik:

— A gdzie jest mój parasol, Wejwaro! Gdzie go pan podziąłeś?

Wejwara się zerwał i przestraszony patrzył na mistrza.

— Proszę pana, przecież ja go nie miałem, mnie go pan powierzyć nie raczył...

— Gdzie więc jest?—nacierał Kondelik.

— Jeżeli pan go nie ma, proszę pana, tedy najprędzej, najprędzej poniosła go woda, kiedy pan skoczył ze statku...

— Wejwaro!—zawołał mistrz wielkim głosem—nietylko więc, że byłbyś mnie pan bez mała utopił, ale także parasola mnie pan pozbawiłeś, a ja dałem za niego przed dwoma tygodniami cztery i pół reńskiego.

Wejwara milczał. Szczerzy uścisk ręki, którym go Pepcia pod stołem uszczęśliwiła, było dla niego

królewskiem wynagrodzeniem za wszystkie kłopoty, za wszystkie niezasłużone wyrzuty pana Kondelika.

— Nie gadałbyś, stary—rzekła pani Kondelikowa—parasol, to bagatela, kupisz sobie inny. Dziękuj Bogu, że się tak skończyło. Ja byłam, jak bez duszy, kiedy nam pan Wejwara opowiadał, co was spotkało. Ciągłe mi jeszcze drżą kolana. I wierz mi, cieszę się, żeśmy te tegoroczne wycieczki skończyli!

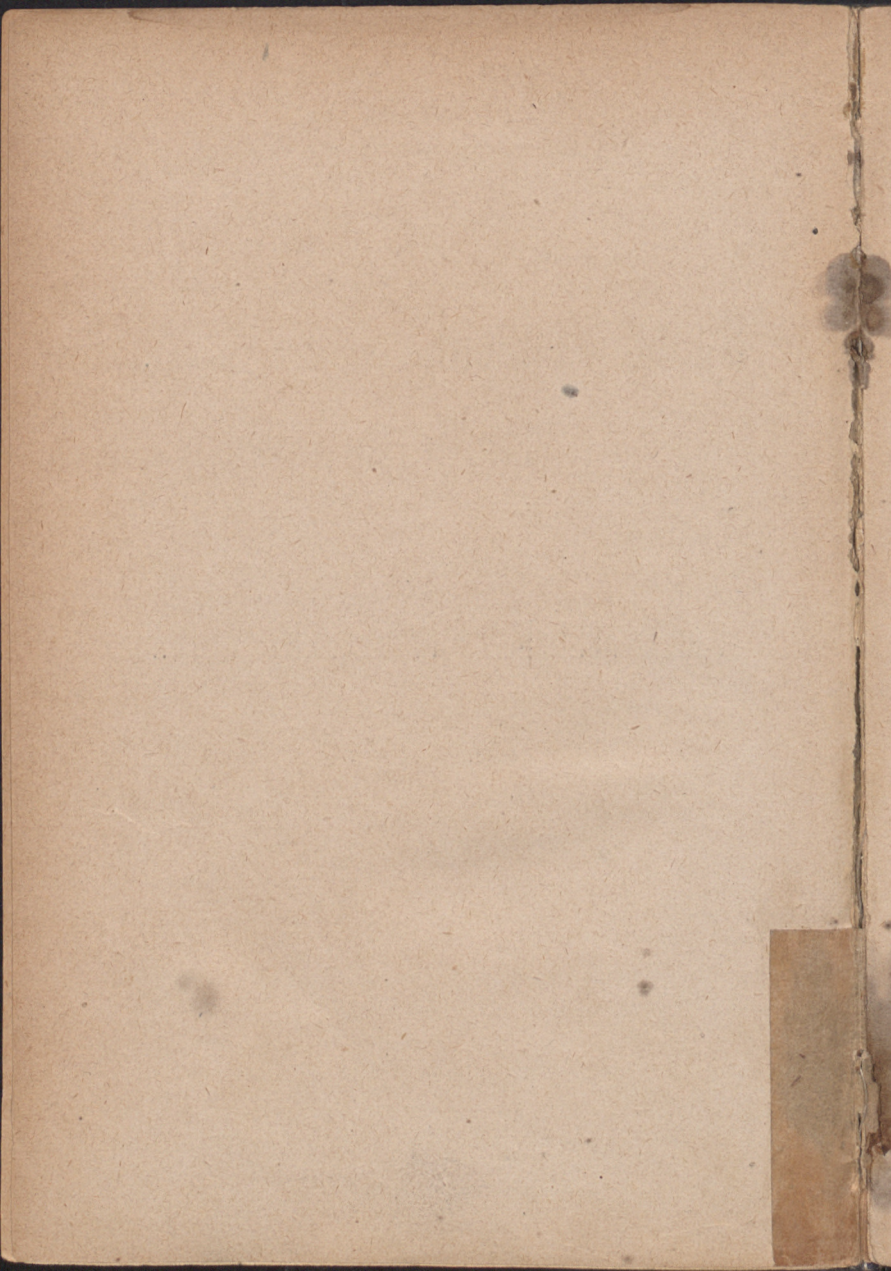
— Ale ja, Betty—odpowiedział mistrz—jabym tak jeszcze gdzieś poszedł, gdyby nam Wejwara coś porządnego wymyślił!—i obróciwszy się do Wejwary, mówił. — Teraz, kiedyśmy już użyli przyjemności po ziemi, koleją i wodą, możebyśmy sobie tak raz wyjechali balonem? Jak pan sądzisz, panie Wejwaro!

Trzewiczek Pepci pod stołem dotknął się buta Wejwary i nacisnął go. Znaczyło to: „Milcz, kochanie i cierp! Cierpię i współczuję z tobą—wszystko się dobrze skończy.“

Więc też Wejwara milczał i długiem spojrzeniem dziękował Pepci. Potem pociągnął spory łyk piwa, jakby splotkiwał gorzkie słowa mistrza.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

OJCIEC KONDELIK I NARZECZONY WEJWARA.




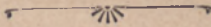
IGNÁT HERRMANN.

Ojciec Kondelik 
 i Narzeczony Wejwara.

ZA POZWOLENIEM AUTORA

z czeskiego
przełożył

PAWEŁ I. ASKOWSKI.


Część II.


WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Ноября 1902 года.

IX.

Wieczór „Sylwestrowy” pana Kondelika.

Od fatalnej wycieczki wodą długo nie wydarzyło się nic godnego uwagi w rodzinie pana Kondelika. Mistrz miał właśnie tej jesieni pracy po uszy; malował cały szereg nowych domów, które od wiosny na Winohradach i w Pradze wyrosły, jak grzyby po deszczu i od kwartału miały być gotowe.

Pan Kondelik chodził z pełnemi kieszeniami szkiców i kolekcją nowych szablonów, albo obiegał szrotkarzy i składy z farbami, skupując naczynia i świeże zapasy kleju, farb, bronzów. Pan Kondelik bardzo chętnie pracował „w złocie,” na pierwszych, najwyżej na drugich piętrach, o ile na to budujący łożyli; dla lokatorów trzeciego i czwartego piętra wystarczały sadze, lub też najzwyczajniejsze farby.

Bywały nawet takie chwile, że mistrz musiał sam wymierzać, poprzedzielać, ozdobę sufitu wyznaczyć.

Po takich „manewrach,” jak je mistrz nazywał, mawiał do Wejwary w Besedzie:

— Patrz, panie Wejwaro, gdybyś pan nie był zmarnował tyle czasu na tej łacinie i grece, a choć trochę przyuczył się malarstwa, byłbyś pan teraz pożytecznym człowiekiem, a dla mnie stanowiłbyś prawą rękę!...

— Mój Boże, szanowny panie—odpart Wejwara — gdybym wiedział, jak się wziąć do tego, dopomógłbym i dziś jeszcze, o ileby mi czas pozwolił.

— Jakoś to tam sam załatwię, Wejwaro, chociaż mi to czasem dyabelnie męczy. Ale gdybyś pan umiał malować! Dojrzeć pomocników, zmieszać farby, zaranżować sufity, toby było dużo warte!

Wejwara zwiesił smutnie głowę. Na tem się zupełnie nie rozumiał.

Mistrz Kondelik ciągnął dalej:

— Powiem panu szczerze, zawsze dla Pepci pragnąłem, ażeby gdy dorośnie, znalazła kogoś z naszej braci, z cechu, rozumiesz pan, obrotnego człowieka, któryby jej się podobał. Kiedyś przejąłby wszystko po mnie, i wyszedłby na tem dobrze. Ale córeczkom zawsze rzemiosło tatki brzydnie! Każda chce wyżej frrr—frrr! zaraz chce być szanowną panią i mieć pana, coby sobie rączek nie mazał! Taki to teraz świat!

Panią Kondelikową takie zdania małżonka wprawiały w ogromny kłopot. Czuła, że Wejwara przecież nic nie winien, że nie jest malarzem pokojowym. Przerwała zatem bez ceremonii oracyę mistrza:

— Cicho, stary! Dlaczego wszystko złe widzisz u dziewczyn? Spójrzij tylko, każdy syn młynarza i młynarza chce być urzędnikiem kasy oszczęd-

dności, banku, magistratu, nie dziw się więc córkom, że gdy przyjdzie człowiek przystojny i wykształcony (na to słowo położyła szczególny nacisk) już się jej podobał

Wejwara z wdzięcznością spojrział na panią Kondelikową, czuł bowiem, że mamusia Pepci jest za nim i że go nie opuścił

Po powrocie małżonków z Besedy, strofowała żona mistrza:

— Słuchaj, stary, nie wymawiaj ustawicznie Wejwarze, iż nie jest malarzem. Gdyby był malarzem, nie służyłby w magistracie. Chyba wściekłość ogarnęła cię, gdyby każdy, na kogo spojrzysz, był malarzem. Miałbyś wtedy śliczną konkurencyę!

— Masz rację, Betty—rzekł mistrz—przyznasz jednakże, że ładnieby to brzmiało, gdybym sobie kazał wyryć na znaku przed bramą: „Wacław Kondelik i zięć!” Takiej firmy nie ma jeszcze żaden malarz w Pradzel!

Ubiegła jesień i spotkania Wejwary z Kondelikami stawały się rzadkie. Rodzinę swęj drogiej Pepci odwiedził tylko dwa razy: na świętego Wacława, kiedy mistrz święcił imieniny i w dzień imienia pani Kondelikowej, której patronką była święta Elżbieta, 19 grudnia.

Wejwara wtedy przychodził w pełnej gali, z obliczem poważnem, z wielkim bukietem w ręce i z pełnemi uszanowania życzeniami, które wzruszały zawsze panią Kondelikową do łez niemal.

Pepcia także omal, że nie płakała, kiedy Wejwara odchodził, ale z zupełnie innego powodu. Pani

Kondelikowa ją rozumiała, więc pogłaskała córkę po głowie i rzekła uspakajająco:

— Ja wiem, Pepciu, czegobyś sobie życzyła; chciałaabyś, ażebym pana Wejwarę poprosiła na kolacyę. Cicho, dziecię, na wszystko przyjdzie czas. bądź tylko cierpliwą, nie możemy tatki przynaglać. Wiesz, że ciągle ma jeszcze w głowie te nieszczęśliwe wycieczki, lepiej więc poczekać, wszak się spotkamy w Besedzie...

Wręcz odmiennego zdania był mistrz.

— Poco ten Wejwara nosi bukiety, Betty? Nie ma pieniędzy na wyrzucenie, a taka miotła kosztuje co najmniej dwa lub trzy reńskie!

— Ty, stary, zwracasz tylko uwagę na pieniądzel! To pewna, że bukietu nigdzie nie znalazł, ale powinno cię to cieszyć. Mało dziś na świecie młodych ludzi, którzyby tyle okazywali szacunku rodzinie...

— Ale my przecież nie jesteśmy jego rodziną! — oponował pan Kondelik.

— Nie jesteśmy, Kondeliku! — odparła poważnie. — Ale jeżeli się wszystko powiedzie, to może będziemy. W tem właśnie sęk. Inni młodzieńcy starają się, ażeby dziewczynę odurzyć, a o ojca i matkę zupełnie się nie kłopotczą i robią wszystko za ich plecami. Wejwara postępuje uczciwie, nie wyszukuje żadnych kątów, nie namawia dziewczyny do tajemnych schadzek...

— To już zależy od matki, ażeby miała córkę zawsze na oku.

— Kondeliku, Kondeliku! Gdybyś mógł wypytać wszystkie matki, to przekonałbyś się, jaki to

trud upilnować córkę. Wiem, że źle nie myślisz i że w gruncie rzeczy zgadzasz się ze mną zupełnie.

Wejwara miał wybornego orędownika w osobie pani Kondelikowej, czując też, że stanowisko jego urzędowe nie uprawnia go, aby rzecz przyśpieszał, zadawała się przypadkowemi spotkaniami na „terytorjum neutralnem,” to jest w Besedzie, gdzie nie przepuścił ani jednego koncertu, żadnej zabawy, które się podczas jesieni sypały, jak z worka. Miał zaś informacye z pierwszej ręki, organizatorem bowiem był Hupner, prezes „komitetu zabaw.”

Gdy serce przepętniała mu tęsknota, szedł na ulicę Jeczną, ażeby ujrzeć przynajmniej dom, w którym oddychała jego Pepcia. W jesieni chodził daleko częściej, niż przez lato całe. Dziwił się teraz tylko, że już dawno nie zauważył, jaki jest ten koniec Pragi powabny.

Święta Bożego Narodzenia minęły u Kondelików w sposób latami uświęcony. Małe grono rodziny dopełniała ciotuczna Urbanowa, osamotniona, stara panna, która oddawna wypełniała wigilijną lukę przy stole. Pepcia byłaby sobie życzyła mieć przy stole Wejwarę, ale on, korzystając z kilkodniowego urlopu, odwiedził swoje rodzeństwo na prowincyi, co czynił zawsze.

Zbliżył się koniec roku. Wieczór przed „Sylwestrem” pani Kondelikowa, nim pocałowała małżonka na dobranoc, wzięła go obiema rękami za głowę i żebrzącym głosem przemówiła:

— Powiedz mi, stary, co będziemy robili jutro, na Sylwestra. Czy nie pozostaniesz w domu? Wła-

ściwie dzień to poświęcony rodzinie, a nie pijatykom w restauracyi!

Mistrz Kondelik trochę niecierpliwie uwolnił głowę z miękkich dłoni drogiej połowicy i rzekł:

— W domu! W domu! Wszak cały rok jestem w domu, a na Sylwestra chciałbym się trochę rozerwać!

— Ale widzisz, stary, co sobotę bywasz w Besedzie, jutro tam będzie tłok ogromny, zostaniemy w domu, będzie nam tak wesoło...

— Pięknie mi wesoło—wtrącił mistrz.—O dzieśniętej jesteście ospałe, jak kociaki, potem siedziałbym sam jeden, a właśnie ta północ sylwestrowska jest taka smutna bez wesołej kompanii. Gdybyśmy tak mieli jeszcze kogoś...

Na to czekała tylko pani Kondelikowa.

— O to chyba nie byłoby trudno!—zawołała.—Gdybyś tak poprosił pana Wejwarę i jeszcze kogo? Będzie nas więcej, a taki rodzinny Sylwester jest najlepszy...

— Ależ naturalnie, tatku!—odezwała się teraz i Pepcia z drugiego pokoju, gdzie sobie właśnie odwiązywała włosiankę z grzywki.—Ach, jakby to było pięknie—zostań z nami.

— Przecież tatko zostanie—ciągnęła pani Kondelikowa.—W Besedzie zasiedziały się, a w domu się nie zmęczy i na Nowy Rok dobrze się wyśpi...

— A potem, po południu, moglibyśmy sobie urządzić jaką wycieczkę za bramy miasta—odezwała się znowu Pepcia.

— Żadnych wycieczek!—krzyknął pan Konde-

lik, który byłby chętnie wyraz ten ze wszystkich słowników wykreślił. — Nawet zimą chcecie biegać!

— Ależ nie, Pepcia tylko myślała o spacerze na świeżem powietrzu, jeżeli będzie ładnie — uspakajała pani Kondelikowa.

— Nie, za nie! — opędzał się mistrz. — Możemy zostać w domu, możemy poprosić Wejwarę, nawet dwóch Wejwarów, ale na Nowy Rok chcę mieć spokój, rozumiecie! Chcę się wyspać, a nie błąkać się gdzieś po zawiejach. Nawet mi o tem nie wspominajcie!

Pepcia słyszała tylko o zaproszeniu Wejwary, i z radości tak się zapomniała, że przycisnęła do ust włosiankę, którą trzymała w rękę. Dopiero sztywność drutu oprzytomniła ją trochę.

— Dobrze zatem, stary — rzekła pani Kondelikowa — rano pogadamy o kolacyi. Wierz mi, że będziesz zadowolony i nigdy ci się nie będzie chciało wychodzić na Sylwestra z domu.

Weszła Pepcia w białym negliżu, pocałowała tatkę w rękę i oddaliła się do swojej sypialni. Matusia wycisnęła na ustach małżonka szczery pocałunek i mistrz poszedł spać.

Nazajutrz przed południem zaszedł mistrz do magistratu, ażeby zaprosić Wejwarę.

— Posłuchaj pan, panie Wejwarko, dziś wieczorem zajdziesz pan do nas, wiesz pan? Matka nie dała mi spokoju, chce mieć rodzinnego Sylwestra, no, a jabym się z temi kobietami zanudził. Matka upiecze coś, teraz idę po butelkę ponczu do Wondraczka na Perłowej ulicy, ten ma wódeczki, człowiczek! Ostrygi mamy już w domu — a o siódmej

niechaj pan przyjdzie. A tego—jeszczem coś chciał. Nie wiesz pan tak o kim, ażeby nas było trochę więcej? Zagralibyśmy sobie po kolacyi w loteryjkę lub w „monako.” Masz pan kogo?

Wejwara pełen radości nie mógł się nawet od razu opamiętać. Pomyślał chwilę i rzekł szybko:

— A może pan Hupner, szanowny panie?

— Zkądże znowu. On dziś jest panem Bese-dy, aranżuje scenę północną, onby dziś nie poszedł nawet do arcybiskupa.

— Proszę pana, dziś możeby poszedł. Zrobiono mu na zebraniu jakąś opozycję, nie chciano mu czegoś zawotować, złożył mandat i nie może się cofnąć. Gdyby mu pan posłał bilet, sądzę, że przyszedłby dzisiaj. Pokazałby przynajmniej, że zrezygnował poważnie.

— Wybornie, Wejwaro! Napiszemy zaraz bilecik i woźny mu go zanieśnie. A co chciałem rzec? Nie ma czasem pan Hupner kataru żołądka? Nie znam bliżej jego stosunków rodzinnych.

— O ile wiem, nie ma, proszę pana — odparł Wejwara, zadziwiony trochę pytaniem mistrza.

— Bo to ważne, panie Wejwaro! — objaśnił mistrz.—Człowiek z chorym żołądkiem jest okropnym gościem, szczególnie na Sylwestra. Znałem pewnego dymisyonowanego oficera, który nie mógł na nic patrzeć, ale zjadł, co mu przyszło pod nóż, potem ścisnął się za brzuch, stękał, i trzeba było szukać środków na wytrawienie.

Wejwara zapewnił, że pan Hupner nie ma nawet śladu kataru żołądka.

Załatwiwszy się dobrze, kupił mistrz Kondelik

u Wondraczka litr ponczu, beczułkę kawioru, takiego, co to się pokrywa siwizną, gdy się na niego kapnie cytryny, pudło sardynek w oliwie i śpieszył do domu.

— Wejwara przyjdzie—oznajmiał na wstępie.— Napisaliśmy także do pana Hupnera, staraj się, aby wszystkiego było dosyć.

Pani Kondelikowa nadziewała już drugiego zająca, panna Pepcia tarła serdelowe masło, Kasia obcinała ostrygom ogony i krzywiła się przytem.

— Za nic w świecie nie wzięłabym tego w usta — mruczała już chyba po raz piąty do Pepci z wyrazem wstrętu.—Jak to można jeść!

Mistrz Kondelik się kręcił, rozglądał się po stołach, po kuchni, badał, co się przygotowuje, napomniał Pepcię, aby ostrygi dokładnie posiekała i nie wypchała samą bułką i zapytał małżonkę:

— Jak to dziś będzie z obiadem, Betty?

Pani obtarła ręce fartuchem i trochę zakłopotana odrzekła:

— Właśnie chciałam cię prosić staruszkę, ażebyś poszedł dziś gdzie do restauracyi na obiadek? Mamy tyle pracy, same obejdziemy się kawą. Wieczorem będziesz miał lepszy apetyt.

Już chciał mistrz wybuchnąć, ale jeden rzut oka na przygotowanie do kolacyi uspokoił go.

— Pójdę więc, Betty!—oświadczył wypogodzony.—Pamiętaj, ażeby nam wieczorem niczego nie zabrakło. Napisz sobie wszystko, co sobie przypominasz, ażeby się po południu zaopatrzyć. Przyjdę na czarną kawę.

I poszedł, przemyśliwając, gdzieby się udać na

obiad. Właściwie było mu to zupełnie na rękę. Pięknie to czasem wymknąć się ze zwykłego porządku. Wydawał się samemu sobie teraz kawalerem i rad był z tej przypadkowej wolności, której chciałby jaknajlepiej użyć.

Skręcał już na ulicę Karolową, kiedy uczył przyjacielskie szturchnięcie w bok.

— *Servus*, Kondelik!

Mistrz odwrócił się i ujrzał starego przyjaciela, rzeźbiarza i sztukatora Konietopę, z którym przez długie lata wspólnie przyozdabiał nowe domy praskie. Co mistrz Kondelik malował wewnątrz, to oblepiał Konietopa różnemi potworami własnego i cudzego pomysłu zewnątrz.

— Co szturchasz? — gniewał się żartobliwie mistrz.

— Dokąd pedzisz, malarzu? — zawołał Konietopa.

— Na obiad, mój drogi, i nie wiem nawet gdzie. Żona ma masę roboty z kolacją, robimy bowiem sobie dziś rodzinne Sylwestra — wypędziła mnie z domu.

— To będziecie wieczorem w domu? — zawołał przeciągłym głosem Konietopa. — A niechże to, gdybym był wiedział, dopieroby nam było wesoło...

— Dlaczego? — pytał mistrz, odgadując prawie.

— Przemyśliwaliśmy z żoną od rana, gdzieby się wybrać. Nie wiemy co zrobić. Cieszyliśmy się, że do nas przyjdzie córka z mężem, a tymczasem załamał się u nich sufit i jutro będą chrzciny! Żona już ugotowała ozór peklowany i rondel pasztetu z wątroby, bo z pustemi rękoma nigdy do nich nie

chodzimy, teraz możemy sobie sami zjeść. Cobyś powiedział Kondelik, gdybyśmy to przynieśli do was i...

— Przyjdźcie-ż, do wszystkich dyabłów! — zapraszał Kondelik.—Będzie nam weselej. Powiem to jeszcze żonie.

Mistrz wykręcił się na pięcie i biegł do domu z wieścią o nowych gościach.

— Ale teraz—mruczał do siebie Kondelik, kiedy zawiadomiwszy żonę, znowu się znalazł na ulicy, będzie tego chyba dosyć! Rodziny Sylwester, to jednak dobra rzecz!

— Najkrótszą drogą skierował się z ulicy Karolowej na ulicę Perłową. Była tam wówczas restauracya Kalousa ze znakomitą kuchnią, której hołdowali smakosze i wybrednisie całej Pragi.

Usiadł sobie blisko pieca, podjadł rosołu z makaronem, zakąsił sztuką mięsa „z kwiatkiem” i z chrzanem na rosół, oblizywał się po wybornym kotleciku i zapijał pilzeńskim. Zdawało mu się, że nie zaszkodziłoby, gdyby częściej mógł wymknąć się z ogniska domowego. Bądź co bądź, stanowi to odświeżenie.

Kończył właśnie obiad, gdy otworzyły się drzwi i wszedł pan Kocmich, długoletni asystent pana architekta Beczki, z którym mistrz Kondelik od dawna miał stosunki. Co pan Beczka wybudował, to Kondelik pomalował. Za Kocmichem wszedł pan Szarapatka, kasyer „Patryotycznego towarzystwa ubezpieczeń,” które również do klienteli pana Kondelika należało. Ilekroć się tam urzędnicy domagali lepszej

gaży, kazał im zarząd wymalować kancelaryę i „kwestya polepszenia” była załatwiona.

Starzy przyjaciele spostrzegli Kondelika i przysiedli obok niego.

Na Sylwestra bywa każdy człowiek miękkim, zwłaszcza starzy kawalerowie, do których cechu należeli obaj przychodnie. Rozgadali się o ostatnim dniu w roku, o tem, jak lata uciekają, jak to dawniej bywało wesoło, a teraz jest coraz gorzej i jak mianowicie te hałasy sylwestrowskie po restauracyach stają się wstrętne.

— Ba, rozumie się.—przyswiadczał mistrz Kondelik—i dlatego też powiedziałem sobie: basta! Zostanę w domu i nie ruszę się nigdzie. Zejdzie się małe towarzystwo, dwaj, trzej znajomi, mówię wam, panowie, że niema nic lepszego!

— Dobrze panu mówić! — kiwał smutnie głową pan Kocmich.—Pan masz ognisko rodzinne. Ale my! Rok rocznie knajpa, harmider, krzyk, pijaństwa po północy, a proszę pana, gdzie ma nasz brat isć? Komu zależy na starym kawalerzel!

— Boże mój — oponował mistrz — w niejednej rodzinie radziły mieć takich gości...

— To się tak mówi, mistrzu—mówił Kocmich.—Toć zaszedłbym nieraz chętnie do domu rodzinnego, ale pomyśl pan, co by się stało, gdybym np. panu przyszedł na kark...

— Ależ, panie asystencie — jękał się mistrz — toby mnie tylko cieszył...

— Gotów jestem pana schwycić za słowo!

— Ależ, panie asystencie, myślisz pan, że nie miałbym dla pana miejsca? Owszem, kolacya pro-

sta, rodzinna, kawałek zająca, kawałek języka na zimno, sznycel, pasztet z wątroby.

Mistrz Kondelik liczył razem z zasobami Konietopy.

— No, mistrzu, innym razem, dziś już Szarapatki nie opuszczę...

— Pan kasyer musi także przyjść! — zawołał mistrz. — O jakąś tam nadziewaną ostrygę nie chodził

— Jezus Marya, ślimaki, panie Kondeliku? — wołał Szarapatka. — Czy macie ich dużo? Za niemi skoczyłbym w piekło...

Za pół godziny pędził mistrz do domu, ażeby oznajmić, że przyjdą także panowie Kocmich i Szarapatka, że zatem potrzeba dalszych dwu przyborów na stół.

— A przygotuj tylko sporo ostryg, bo za niemi poszedłby pan Szarapatka w piekło.

Pani Kondelikowej opadły ręce ze strachu na tę wieść.

— Staruszk — rzekła poważnie — dosyć już, dosyć! Po drodze zbierasz gości, gdyby w ten sposób dalej poszło, to musiałabym gotować do jutra.

— Czyż ich zbieram, Betty? — dąsał się mistrz. — Oni mnie zbierają. Naraz cała Praga chciałaby u nas być. Odtąd już nikomu się nie pochwalę, że będziemy mieli rodzinnego Sylwestra. I trzeba będzie wyciągnąć stół...

— Ano, dobrze staruszk — uspakajała małżonka, która chciała cofnąć pierwsze słowa, ledwie je wymówiła — dobrze, wyciągniemy stół, położymy na

niego deskę, choćby dwie deski. Ale kiedy ten pan Szarapatka tak lubi ostrygi, to trzeba, ażebyś jeszcze z pół kopy przyniósł. Za nic w świecie nie chciała-bym, aby ich potem zabrakło, a najwyższy czas, aby je gotować i posiekać.

— Znów mam biegnąć, Betty? I znów do Wondraczka na ulicę Perłową? Dopiero ztamtąd przybiegłem! Niech idzie Kaśka!

— Ona nie może, spojrzysz, co ma roboty.

Kasia półnaga kręciła się po pokoju i poprawiała szczotką woskowaną podłogę.

— Niech więc idzie Pepa!—zawołał ojciec Kondelik.

— Spojrzysz na nią! Godzinę musiałaby się ubierać, zresztą ona sieka ślimaki. — Któż to zrobi za nią?

— Ja już nigdzie nie pójdę!—bronił się mistrz.

— No, więc ja pójdę, Kondeliku—mówiła pani pozornie obojętnie, sucho, ale każde słowo miało swe ukłócie.—Będziemy jedli kolację o dziewiątej, a może nawet o dziesiątej...

I już odwiązywała fartuch.

Mistrz był rozbrojony, przekonany.

— Ile potrzeba tych ślimaków?—pytał.

— Pół kopy, staruszk—odpowiedziała już znowu zupełnie uprzejmie — i kilka cytryn dokup także i ówiartkę serdeli — herbaty zabrakło, staruszk, bu-teleczkę araku mógłbyś wziąć, ażebyśmy nie podawali na stół reszek... wygląda to tak dziwnie...

— Słuchaj-no, Betty, jeżeli jeszcze potrzebujesz twardych bułek i słoniny, lub suszonych śliwek i pieprzu i angielskiego ziela, to powiedz mi to odra-

zu, abyś mnie tam znów nie pędziła, gdy powrócę—
mówił mistrz drwiąco.

— Nie, staruszk, już nic więcej nie potrzebuje, a jeśli czego zabraknie, to zajdzie Kasia, gdy skończy podłogę.

Pan Kondelik obtarł czoło, włożył kapelusz i odkaszlnąwszy, wyszedł z kuchni. Sapiąc, śpieszył ulicą i syczał gniewnie:

— Wyście mnie ubrali ze swoim Sylwestrem! A tom wpadł! Teraz będzie gości huk! Tylko na Boga, żebym z tego wszystkiego...

Nie odważył się dokończyć. Okropny jakiś upiór stawał przed jego oczyma.

— Możeby lepiej puścić się tunelem, a nuż mnie kto spotka jeszcze — ciągnął w duchu dalej. — Nie, teraz już nie zaproszę nikogo, choćby nawet samego burmistrza! Kto wie, dokąd znów musiałbym biegać...

Dla pani Kondelikowej minęła godzina kłopotliwego wyczekiwania. Nareszcie powrócił pan małżonek i rznął o stół paczką od kupca. Pani pośpiesznie wyjęła mu z kieszeni paltota butelkę araku, ażeby się nie stłukła, a mistrz wołał:

— Teraz, Betty, daj mi szybko suchą koszulę, i weź wilgotny ręcznik, wytrzyj mi plecy, jestem jak mysz...

Z wyrazem przestachu pomagała pani rozebrać się małżonkowi, tarła mu krzyż, aż sama się spościła, wdziała mu koszulę i powtarzała:

— Tylko powoli, staruszk! Usiądź sobie na kanapie, uspokój się, nie myśl o tem, nic ci nie będzie...

Dreńwiała na samą myśl, że dziś..

Mistrz nie nie odpowiedział, lecz włożył świeżą koszulę i śpieszył do łóżka. Przysunął sobie nogą pachołka do butów i oparł się o krawędź, a zaledwie zrzucił pierwszy but i schylił się, ażeby zrzucić drugi, uczuł nagle dobrze sobie znane łupnięcie w krzyżu. Pośpieszył ku kanapie, ale już się nie mógł wyprostować, więc skrzywił twarz i zawołał strasznym głosem:

— Jezus Maryja, Betty, *już jest, już gąsior mnie trzyma!*

I skręcony jak korba katarynki zataczał się po pokoju i padł na fotel. Pani Kondelikowej opadły bezsilnie ręce.

— Betty! — jęczał mistrz — masz grzech śmiertelny, tak urządzić ostatni dzień w roku!

— Ależ, staruszką — broniła się pani, tłumiąc płacz — czy ja winnam temu? Biegłeś szybko...

— Kto mnie to gonił, Betty, kto? — narzekał mistrz. — Spójrzyj, jakieście mnie okaleczyły na Nowy Rok!

Kiedy przyszedł Wejwara z panem Hupnerem, siedział mistrz jeszcze w fotelu, nie odważywszy się wstać, by sprawy nie pogorszyć. Jęczał cicho, jakby czekał swojej godzinki, i witał obu gości tylko kiwnięciem głowy i zamierającym spojrzeniem. Ale gdy ku niemu podszedł Wejwara, ażeby mu podać rękę pan Kondelik rzekł gorzko:

— Patrz pan, panie Wejwaro, czego nie dokazałeś wszystkimi wycieczkami, to udało się dziś „naszym ludziom.” Siedzę tu jak Łazarz, kiedym już

wszystko obiegał i poznosił, z gąsiorem w plecach! Zachciało się im rodzinnego Sylwestra, teraz go mają!

— Gąsior?—zawołał pan Hupner. — Boże mój, smarować ojczy, nasmarować fluidem, i będzie pan jak ptaszek! Poślijcie po butelkę do Niewinnego...

Mistrz machnął ręką, jakby odpędzał muchę.

— Panie kochany, to wszystko za słabe, znam się na tem. Gąsior będzie mnie trzymał, dopóki nie puści, maie już teraz ledwie „tyrpan” pomaga.

Mistrz czuł, że nie wysiedzi, połączonemi siłami zaniecono go przeto do łóżka, a kiedy przyszli małżonkowie Konietopowie z językiem i pasztetem, oblepiała mu właśnie pani Kondelikowa plastrem „tyrpanowym” plecy.

— Cicho, staruszk—mówiła—będzie ci dobrze, tylko sobie poleż spokojnie. Ładnieś nas urządził, staruszk, a ja tak się cieszyłam...

Pan Kondelik nie mógł mówić, leżąc na brzuchu, ustami w poduszkach, ale mruczał przynajmniej.

— Ja wiem, staruszk — ciągnęła pani — tyś temu nie winien, ale ja także nie. To dopust Boży. Odłożyłam na bok najlepsze, największe ostrygi, masz ich tam piętnaście, już są w piecyku—jak będą gotowe, przyniosę ci i pozostanę tu przy tobie staruszk. Otworzywszy drzwi na oścież, będziesz wszystko słyszał, jakbyś był z nimi przy stole.

Tyrpan przylgnął do ciała, mistrz się ostrożnie przewrócił na wznak, paui otuliła go pierzyną i śpięszyla znowu do kuchni.

Tymczasem przybyli i panowie Kocmich i Szar-

patka, i nim posiadali do stołu, odwiedzili pana Kondelika. Panowie zmieniali się przy łożku, żalowali, radzili, ale humoru nie tracili wcale. Ostrygi pachniały z kuchni tak pojętnie, tak pociągająco.

— Jedno jest pewne, Kondeliku — zakonkludował sztukator Konietopa— że w tym roku już cię gąsior więcej nie schwyci, a to powinno cię pocieszyć...

Mistrz mruknął kilka słów, które zrozumiał tylko Konietopa. Sztukator roześmiał się i wołał:

— Zaraz ci lepiej, malarzu, prawda?

O pół do ósmej poprosiła pani Kondelikowa gości do stołu, a zarazem niosła małżonkowi talerz wybranych ostryg. Opróżniła je i łyżeczką podawała mistrzowi do ust.

Z jadalni odzywało się stukanie w talerze, mlaskanie językami, wysysanie sosu ze skorup, głośne pochwały. Kondelik nie mógł się pohamować, i otarłszy usta po dziesiątej ostrydze, mruczał pod pierzyną:

— Rozumiem cię, zgrajol! Pożeracie, com wam poznosił, a ja tu leżę, jako ten Łazarz!

O północy pan Hupner witał nowy rok dłuższym toastem, a gdy całe towarzystwo głośno i zgodnie piło za zdrowie pana Kondelika, mruczał nieborak gospodarz wśród ogólnego hałasu wściekle:

— Menażerya! Jeszcze sobie kpiny ze mnie stroją, za ślimaki i za kawior! Niechajby sobie przynajmniej popsuli żołądki!

Wtem wtargnęło całe towarzystwo do sypialni Kondelika, z panem Hupnerem na czele, niosącym

mistrzowi na tacy wążki kielich złocistego płynu, pełnego perełek i wszyscy tręcili się z mistrzem.

Panu Kondelikowi po napiciu się ulżyło nagle w dziwny sposób. To panowie Kocmich i Szarapatka przynieśli z sobą trzy butelki z pękatemi, odrutowanemi korkami.

— Widzisz, Betty — mówił mistrz, gdy znowu pozostał sam z małżonką, i co chwila popijał rozkoszny płyn — to bardzo ładnie z ich strony! Mnie się zdaje, że „tyrpan” z tym szampitrem zrobi mi dobrze. Nalej mi jeszcze.

I rzeczywiście mistrz Kondelik mógł przynajmniej na Nowy Rok wstać z łóżka.

X.

Jubileuszowa.

Z kalendarza do zrywania, który wisiał pod zegarem w jadalnym pokoju, uśmiechnęła się duża czerwona piętnastka. Znaczyło to, że upłynęło całych czternastu dni od Sylwestra pana Kondelika, a liczba czerwona znaczyła, że dziś *niedziela*.

Utrzymywać kalendarz ten w porządku było zadaniem panny Pepci. I dziś rano, ledwie się ocknęła, pośpieszyła pod zegar, a gdy zerwała wczorajszą czternastkę, patrzyła chwilę na piętnastkę, która się ukazała. Widziała i zerwała takich piętnastek przez rok cały tuzin, ale ta dzisiejsza wydała jej się zupełnie inną, jakby żywą, jakby mówiącą.

Dziwny urok miała ta liczbą! Gdy się Pepcia kręciła po pokoju, pomagając mamusi sprzątać, i później, gdy zbierała sztukę po sztuce swego ubioru niedzielnego, co chwila oglądała się na nią, a na Pepcię patrzyła znów z pod oka mateczka, z ciepłym uśmiechem. Wiedziała dobrze, na co oczy córki spoglądają, i sama chwilami zawadziła o czerwoną piętnastkę. W jednej chwili, gdy jej Pepcia wbiegła prawie pod ręce, pochwyciła ją obiema rękami za głowę, głaskała ją trochę i rzekła szczerze, po macierzyńsku:

— Prawda, Pepciu, jak to dzień ten wydaje ci się dziwnym, co?

Pepcia schyliła głowę, wymknęła się matce i broniła się:

— Ależ mamusiu...

— No, no, dziecię! Przecież to nie wstyd!

Już Pepcia była prawie ubrana. Teraz przypięła sobie na głowie zimowy kapelusik, zarzuciła ciepły płaszczyk i śpieszyła do swego stolika, z którego szufladki jakby pokryjomu wyjęła biały, podługowaty przedmiot. Była to książka do nabożeństwa, dar mateczyny, ofiarowany w dniu pierwszej komunii.

— Nie zapomnij tylko o niczem, dziecię — napolinała pani Kondelikowa. — Zajdź po tę mufkę, na dziś ją Prochazka obiecał, a dla mnie wstąp po rękawiczki do Engelmilera. Obacz, czy futerko dobrze przyszyte i spróbuj je sama, ażeby znów nie były wewnątrz palce poprzesywane, jak mi wtenczas zrobił Pawlasek. Dopiero potem przyjemność, pruć w domu! I nie baw tam długo.

— Mamusiu — odezwała się Pepcia — pójdę także do kościoła, na ranną mszę, bym potem nie potrzebowała wychodzić z domu...

— Dobrze, dziecicu, dobrze — aprobowała matka. Pomódl się szczerze i za mnie także. Ja sobie potem skoczę na kawałek sumy, gdy przyjdiesz do domu, teraz muszę czekać na tatkę.

Pepcia pocałowała matkę w rękę i poszła. Rozumie się do kościoła pójdzie najpierw do świętego Szczepana. Była tak rzewnie nastrojona, że postanowiła sobie dziś szczególnie gorąco się pomodlić. Wszak dziś...

Kiedy Pepcia odeszła, przyniosła sobie pani Kondelikowa dopiero filiżankę kawy, siadła wygodnie na kanapie i śniadała. Chwilami nastuchiwała, przy drzwiach sypialni, z kąd się odzywało głośne chrapanie. Tatce dobrze się spało, zegar wskazywał blisko dziewiątą, pani Kondelikowa postanowiła nie budzić męża. Niech sobie staruszek poleży. Zimą się nie maluje i mistrz przygotowywał sobie tylko szablon na lato, a miał ich tyle, że mógł się wziąć do przemalowania całej Pragi. Nie zasypiał więc sprawy. Zresztą wypił wczoraj u Heków siedem półlitrówek. Jest to cyfra żydowska co prawda, ale śpi się po niej dobrze.

W sypialni pana Kondelika ciepłutko było, jak w łaźni, pani Kondelikowa paliła już w piecu ze dwie godziny. Wiedziała, jak lubi pan małżonek niedzielny ranek w ciepłe. Na stoliku pod oknem było wszystko przygotowane do golenia, w garnku na pierwszym kafiu grzała się woda, a na poręczy krzesła obok pieca wisiła świeża koszula i grzała się

także. W ten sposób przygotowywała pani Kondolikowa małżonkowi swemu wszystko już od dwudziestu zim. Znała jego słabe strony i czyniła im zadość.

Po chwili chrapanie zaczęło cichnąć, aż zamilkło zupełnie. Łóżko zatrzeszczało, i znów było cicho. Może się tatko tylko obrócił. Ale pani Kondelikowa nie dopiła jeszcze ostatniego duszka, gdy drzwi sypialni otworzyły się nagle i na progu ukazał się mistrz w białym swoim negliżu.

Ziewnął kolosalnie i rzekł do małżonki:

— Toście mi pozwoliły długo spać, Betty!

— Dzień dobry, staruszkul—witała go pani, — a cóż to szkodzi? Odпочąłeś sobie.

— Betty! — zawołał mistrz, i głos jego nagle nabrał wyrazu przestרחu.— Betty, miałem straszliwy, kryminalny sen!

Pani się wylękała prawie straszного głosu małżonka, postawiła garnuszek i wytrzeszczyła oczy.

— Cóż znów, na Boga!

Mistrz Kondelik zaspany, w koszuli rozpiętej na piersi, z oczyma zaczerwienionemi wyglądał, jakby uciekł z palącego się domu. I jakby przed nim okropności snu znów występowały, nastroił głos swój jeszcze straszniej i opowiadał:

— Taki ci był mróz, aż w oknach szyby drżały! Siedzieliśmy sobie ładnie w domu, przy piecu, wtem przybiegł Wejwara i krzyczy: „Dalej! dalej! wszystko przygotowane!” Nie wiem nawet, dlaczego się nie broniłem, ale on wyglądał, jak dyabeł i wyciągnął mnie, wszystkich nas wyciągnął, ciebie i Pepcię także, nałożył nas na takie dziwne drabiniaste sanie, skoczył obok dyszla, trzasnął z bąta i wiozł nas w ja-

kaś okolicę, gdzie było śniegu po szyję. Nie mogłem nawet rozeznaczyć, gdzie jesteśmy, a on jechał z nami w tym śniegu wąwozem, aż nam się sypało na sanie i za kark. Naraz nie możemy ani w przód ani w tył, a śniegu ciągle przybywało, aż nam z niego wyglądały tylko nosy. Zacząłem się dusić—i wtem przebudziłem się. A niechże tego Wejwarę!... Nawet we śnie nie da spokoju!

Pani słuchała, a im dalej mistrz mówił, tem była chmurniejszą. Opamiętała się wszakże i rzekła uspakajająco:

— No, dusiła cię trochę zмора, staruszk. A wreszcie, może o tem przed spoczynkiem myślałeś!...

— O czem myślałem?—wybuchnął mistrz.

— No, widzisz, staruszk, o tej zimowej wycieczce. Rozumie się, że to nie będzie takie straszne, jak w tym śnie, kiedy się zawsze wszystko tak dziwacznie popłącze, ale właściwie sen był prawdziwy. We śnie widzimy zawsze okolice nieznane, a w rzeczywistości pragniemy zajść na Liszkę!...

— Na Liszkę, Betty? Na Liszkę—wołał mistrz Kondelik. — W taką zimę? Wszak na ciepłomierzu jest dziesięć stopni!...

— Rano, staruszk — odpowiedziała pani — ale po południu nie będzie, jeszcze przed obiadem się podniesie.

— Co ty mówisz o Liszce, Betty, na Boga cię proszę!

— Jak ty to umiesz udawać, że nic nie wiesz! To naprawdę wyborne, staruszk — wołała pani łagodnie.—Nie mówił ci na Nowy Rok pan doktor, że cię

ten gąsior dusi tylko z braku ruchu? A nie obiecałeś nam, że będziesz używał ruchu, jak tylko ci będzie zupełnie dobrze? I nie umówiłeś się z Wejwarą przeszłej niedzieli, że wyjdziemy sobie dziś na Liszkę?

— Wiesz, Betty — odrzekł mistrz kwaśno — co tych doktorów dotyczy, to daj mi z nimi spokój. Im ciągle na ustach: ruch! ruch! a sami jeżdżą powozami! Na taki ruch takżebym się zgodził! z tym zatraconym Wejwarą daj mi także spokój! Radbym się tylko doczekać, ażeby i na niego przyszedł gąsior! Czyż ja powiedziałem, że na Liszkę?...

Mistrz wystraszony patrzył przed siebie, jakby sobie coś przypominał, wreszcie rzekł:

— Dobrze, Betty, coś mi się zdaje, że o tem była mowa, ale ja powiedziałem, a tego mi nie zaprzeczycie, że sobie to jeszcze rozmyślę — i rozmyślę, Betty, wierzaj mi...

— No, staruszkę — odparła łagodnie — myśmy za ciebie się rozmyślili. Dziś odbędziemy tę wycieczkę, nic nie pomoże. Tobie przechadzka nie zaszkodzi, nie, nie zaszkodzi, a Wejwara aranżuje jakąś schadzkę, jakby przypadkową, przyjdzie tam pan radca Wonasek ze swoją żoną i jeszcze jakaś pokrewna rodzina, radby nas zapoznać. Nie możemy pozwolić, ażeby tam czekali na próżno, proszę cię, on chce się także pochłubić Pepcią, tobą, całą naszą rodziną... Pan radca mówił podobno dawno, że chciałby cię poznać, mamy więc schadzkę na Liszce...

— Poco ten narwaniec aranżuje te schadzki zawsze o godzinę drogi od Pragi! — wołał żalonym

głosem pan Kondelik. — Czy to w Pradze mało restauracyj? W styczniu—i na Liszkę!

— Ale, staruszk, to tylko tobie wydaje się tak strasznie. Wejwara zaś ma młode nogi, Pepcia także...

— To niech sobie biega, kiedy ma młode nogi...

— Przecież nie może chodzić sam...

— Dlaczego by nie mógł?!

— Nie możemy ich zostawić razem samych, jakby to wyglądało!

— To idź z nimi!

— Bez ciebie? Bez męża, bez jego przyszłego teścia?...

— Ze mną się nie żeni!

— Także mądrze powiedziałaś. Chyba to najmniej ofiara, jaką dla córki zrobić możesz. Wiesz, że Wejwara tak lubi chodzić na wycieczki...

— Niech sobie to zostawi na czas po ślubie!— krzyczał Kondelik.—Dziwię się, że go bawi mieć nas ciągle na karku!

— Ależ mężu — uśmiechnęła się pani Kondelikowa—cóżby to był za narzeczony, gdyby nie chciał mówić i chodzić z rodzicami swojej wybranej...

— Mógł sobie namówić dziewczynę bez rodziców, sierotę!—srożył się pan Kondelik.

— Powiem ci, staruszk—wymówiła pani Kondelikowa, wstając z kanapy—że nie wyglądasz wcale na dobrego ojca. Ile to trudności na każdym kroku czynisz dla swego dziecięcia! Wierz mi, lub nie wierz, ale przez ciebie te przechadzki stają nam się gorzkie, jak piołun. Spacer dzisiejszy jest naj-

niewinniejszy ze wszystkich. Nie koleją, nie statkiem parowym, pójdziemy przez Wyszehrad równo szosą, prawie ciągle między domami, wszędzie pełno restauracyj, cóż ci się może przytrafić? Ale główna rzecz, Kondeliku, że dzisiejsza wycieczka jest jakby jubileuszową, tak. Ty o takich rzeczach nie myślisz, ale ja wiem, że to dziś piętnasty, *piętnasty*, Kondeliku! Przed rokiem Pepcia poznała się z panem Wejwarą u Karafiatów — spojrzysz na kalendarz. Ty sobie nawet nie wyobrażasz, co taka data dla dziewczęcia znaczy, to pierwszy jubileusz naszej Pepci i Wejwary także. I ty chciałbyś im popsuć taki dzień uroczysty, Kondeliku? Odmówiłbyś im tych kilku godzin? Pójdziemy sobie wcześniej, po południu, i wieczorem o 8-ej będziemy w Pradze, jeszcze sobie gdzie zajdziesz, może i wszyscy pójdziemy, jeśli będziesz chciał. Trzeba ci było widzieć, jak radośnie Pepcia dziś wstała, z jaką gorliwością szła do kościoła, jak się tam teraz modli, za ciebie, za mnie, za siebie i za Wejwarę, za ten cały pierwszy, szczęśliwy rok. No, co teraz na to powiesz?

Pan Kondelik upadł jakoś na duchu.

— Co na to mówię! Że w Padze było miejsca dosyć, choćby nawet na jubileusz dziesięcioletni, że jestem między wami, jak Józef egipski. Sprzedalibyście mnie, ludzie, sprzedali, gdyby znów przyszli ci handlarze chaldejscy...

— Izraelscy, staruszk, to byli izraelscy — zauważyła łagodnie pani Kondelikowa.

— I tymbyście mnie także sprzedali! — odciął mistrz i zwrócił się do sypialni, aby się ogolić. Widział, że niema ratunku; poddawał się.

A gdy później ogolony, umyty, zjadłszy śniadanie i ubrawszy się wychodził na miasto na zwyyczajny swój niedzielny „przedobiedni” kieliszek, rzucił ogromnie gniewne spojrzenie na czerwoną piętnastkę na kalendarzu pod zegarem.

— Dyabli nadali z jubileuszami! — przebiegło mu przez głowę.

Pepcia zatrzymała się na mieście i powróciła dopiero po odejściu tatki. Przeciągnęła trochę umyślnie z załatwieniem sprawunków, przeczuwała bowiem, że trzeba będzie nagiąć tatkę na wycieczkę popołudniową, i pozostawiła zadanie to mamusi. Im dłużej trwała znajomość jej z Wejwarą, tem niemilej dotykały ją te wszystkie niedelikatne wyrażenia, jakich się tatko o nieobecnym Wejwarze dopuszczał, jakkolwiek wiedziała, że to wszystko pochodzi nie z serca, lecz z płuc, jak mawiała mamusia. Ale nie chciała tego słuchać i o ile się dało, unikała rozmów. Rozwijało się w niej to, co się rozwija w każdym podobnym przypadku i w każdej rodzinie. Kochała ona bardzo swoich rodziców, mianowicie do matki lgnęła ową naturalną, dziecięcą potulnością, jak prawie wszystkie córki, mające w matkach najmocniejszą podporę; ale jednocześnie stawiała się z biegiem czasu coraz większą stronniczką Wejwary. Dotąd nie można było przewidzieć, kiedy ją Wejwara zabierze z domu, Pepcia sama nie wyznaczała sobie żadnego terminu, ani o tem wiele myślała; czuła, że dotąd stać się nie mogło z powodu skromnego, niesamodzielnego stanowiska Wejwary. Byłaby z nim poszła choćby jutro, ale znów miewała nieokreśloną bojaźń

przed czemś nieznanem, tajemniczem, zagadkowym. Tak właśnie, jak teraz było, było bardzo pięknie i gdyby nie gniewne uwagi tatki czasami, nie byłaby może pomyślała nawet, że się to kiedyś zmieni, zakończy. Ale mimo te wszystkie nieokreślone, to tęskne, to znów lękliwe uczucia dziewczęcego serca, wzrastała w niej coraz potężniej świadomość, że będzie kiedyś tworzyć z Wejwarą całość nierozdzielną, że będą tworzyli drugą rodzinę obok rodziny ojca i matki, zupełnie niezależną, której głową stanie się tylko Wejwara. Nie nadarzyła jej się nigdy okazyja, aby mogła wystąpić jakoś wojowniczo, ale jej „nieświadoma świadomość” przyszłego kiedyś zespolenia się z Wejwarą wyrażała się w umyśle Pepci słowami: „ja i Wejwara, albo lepiej jeszcze: Wejwara i ja”.

Powróciła do domu i zastała mamusię na przygotowaniach do obiadu. Spojrzała na nią i z wyrazu jej twarzy wyczytała, że wszystko jest w porządku. Wzajemnie matka, pojmując niewysłowione pytanie córki, mówiła:

— Miałam potyczkę z tatką, ale dobrze się skończyła. Nasz tatko o wszystkim zapomina i dopóki siedzi w ciepłe przy piwku, jeździłby po całym świecie, choćby do Paryża, ale gdy dojdzie do te gol... No, cicho, pójdziemy na Liszkę, pójdziemy!

Pepcia pocałowała matkę w rękę i rzekła półgłosem:

— Że też tatko ze wszystkiego się umie wytłómaczyć...

Potem odeszła do pokoju, ażeby się rozebrać.

Pani Kondelikowa poszła za córką; słowa Pepci były dla niej pretekstem, aby jej rzekła to, na co

nie mogła się zdecydować. Dziś Pepcia sama wywołała. Starannie zamknęła za sobą drzwi od kuchni, takie rzeczy nie dla Kasi.

— Cicho dziewczyno—mówiła stłumionym głosem — na Liszkę pójdziemy, a to główna rzecz. Że się zaś tatko trochę broni, Boże, dziewczyno, gdybyś wiedziała, jaki bywa w innych rodzinach nacisk! Tatko jest trochę wygodnicki, i to cały powód. A zresztą powiem ci jeszcze, Pepciu, że gdyby się on, Wejwara oświadczył, wierz mi, wnetby tatko był inny...

Pepcia odpiniała kapelusz, położyła go na szafce i spojrzała na matkę.

— Jak się ma oświadczyć, mamusiu?

Pani Kondelikowa zdejmowała jakieś piórko z płaszczyka córki, którego na nim właściwie nie było i unikając prawie spojrzenia córki, mówiła dalej:

— No, niech powie, że cię kocha, że cię chce...

— Ależ to każdy widzi, mamusiu — odrzekła Pepcia z mocnem przekonaniem — tego nie trzeba mówić...

— Ja wiem, córuniu—mówiła pani — ja o tem wiem! Inaczej nie pozwoliłabym, by do nas pan Wejwara przychodził, i wogóle tego wszystkiego by nie było. Ale są rzeczy, które są jasne same przez się, a jednak trzeba je wypowiedzieć. Gdyby więc pan Wejwara przyszedł i rzekł: „Ojczy, matko, kocham waszą córkę i proszę was, byście mi ją dali”, wiesz Pepciu, zaraz byłoby inaczej. Tatko by widział, że to seryo i co czyni teraz z własnej chęci, czyniłby potem z obowiązku. Jużby pan Wejwara nie był pro-

stym konkurentem, byłby już narzeczonym, a to różnica, moje dziecię!

Pepcia paznogietkami poskubywała frendzle u płaszozyka, i nie odpowiadała. Matka patrzyła na nią chwilkę i rozpędziła się prosto do celu.

— Widzisz, Pepciu, może sobie pan Wejwara niedowierza, może się lęka odmownej odpowiedzi, aczkolwiek mógłby zauważyć, jak go kochamy. Mogłabyś tedy sama przy okazji...

Pani Kondelikowa zamilkła, a Pepcia zawołała:

— Cobym mogła, mamusiu?

— No, kiedy sobie razem gawędzicie, a opowiadacie chyba różności, kiedy idziecie przed nami, lub za nami, mogłabyś mu rzec: „Panie Wejwaro, jeśli pan myśli o mnie poważnie, niech pan się oświadczy rodzicom i niech pan będzie pewny, że odpowiedź będzie przychylna”. Patrz, Pepciu, dziś jest właśnie rok, odkąd się znacie, ładny kawał czasu, wystarczający, ażeby się konkurent namyślił. Mogłabyś go trochę pobudzić, dodać mu odwagi, wiesz? Zobaczyłabyś potem, że tatko...

Pani Kondelikowa zastawiała się tatką, ale właściwie sama pragnęła gorąco, aby Wejwara „stanowczo przemówił”. Była przekonana, że Wejwara myśli o rzeczy poważnie, ale gdyby „przemówił”, byłoby to zupełnie pewne. A potem cała ta scena! Z upragnieniem oczekiwała chwili, aby mogła Wejwarze tak szczerze uścisnąć rękę, aby mu wzruszonym głosem mogła odpowiedzieć: owszem, powierzymy ją panu! Nastąpiłyby uroczyste zaręczyny, Jakieby to było wzruszające! Miała jedyną córkę i gorąco życzyła sobie, ażeby ją wydała z domu, ze

wszystkimi temi wzruszającemi obrzędami, które w rodzinach porządnych są w zwyczajaju.

Po ostatnich słowach matki oblała się Pepcia gorącym rumieńcem. Wargi miała mocno zacięte, jakby nie chciały przepuścić słów, które sobie już, już torowały drogę. Już ją męczyło milczenie i wymówiła nagle:

— Nie, mamusiu, tego nie żądam odemnie. Nie podobnego Wejwarze nie powiem, nie wymówiłabym tego. Wiem dobrze, że mnie pan Wejwara... lubi, ale pobudzać go nie mogę do niczego. Mamusiu, zatknęłabym się! Wyglądałoby to, jakbym z domu uciekała, lub jakbyście się chcieli mnie pozbyć, albo jakbyśmy go chcieli złować. Nie żądam tego odemnie, mamusiu!

Pani Kondelikowa była stropioną. Na taką stanowczość Pepcia nigdy się jeszcze nie zdobyła. Sama pani Kondelikowa nie przeczuwała, jak poważnie córka rzecz traktuje. Ulękła się niemal tych słów, na końcu których drgało coś, jak płacz. Dziwna rzecz, jak znajomość ta Pepcię zmieniła, tak łagodną, tak bierną dawniej. Ot, ot, jak to niedoświadczone, nieświadome dziecko otwiera nagle oczy, jej, mądrej matce, która mniemała, że wszystko dokładnie pomyślała i do najlepszych doszła konkluzyj. Zawstydziała się niemal przed córką. Patrzcie, ma ona także swoje zdanie, i pani Kondelikowa musiała sobie przyznać—zupełnie naturalnym instynktem— że zdanie dobre. Pośpieszyła więc, ażeby zatrzeć niemiłe wrażenie.

— No, widzisz dziecię, tyś mnie nie zrozumiała. Dobrze więc, nie mów panu Wejwarze nic. Cie-

bie się pozbywać? Łowić męża? Nie, Pepciu, o tem nie myślałam. Zostawiam wszystko w boskich rękach, i wierzę, że dobrze się skończy. A gdy się tak zachowasz, Pepciu, musi mieć szacunek dla ciebie. Tak, dziecię, rozbierz się i pokrajesz mi makaron...

Pepcia poszła i krajała makaron.

Czas przedpołudniowy różnił się u Kondelików od każdej zwykłej niedzieli. Mistrz powrócił do domu w humorze wybornym. Był na Małej stronie, na górze u Michałka, u Lobkowiców, zafundował tam sobie buteleczkę mielnickiego z zieloną kartką, tego dobrego, i pogwizdywał wesoło.

Dziwnym trafem, mistrz weale się nie chmurzył, gdy z uderzeniem godziny 2-jej przybył Wejwara, i nie rzekł mu nawet jednego złego słowa. Był to może skutek krótkiej rozmowy, jaką z nim miała po obiedzie pani Kondelikowa.

Dochodziła dopiero 3-cia, gdy cała karawana wychodziła z ostatniej bramy wyszehradzkiej na szosę do Paukracego. Nawet nie myślał pan Kondelik, że mu się będzie tak dobrze działo. A dmuchał wietrzyk dość ostry.

— Jaki ładny dzień, staruszk—zachwalała pani, opierając się zupełnie lekko na ramieniu małżonka—jaki piękny dzionek!

— W nocybym z wami chyba nie poszedł—odrzekł mistrz.—Szmąt drogi, i gdyby był Wejwara przedtem coś napomknął, to moglibyśmy całą tę komisyę zaprosić do nas.

— Tego właśnie Wejwara czynić nie chciał —

objaśniła pani — co mu też zupełnie pochwalam. Spotkamy się jakgdyby przypadkiem. Dopóki sprawa nie skończona, nie możemy składać żadnych wizyt. W ten sposób jesteśmy ciągle na gruncie neutralnym...

— Wolałbym już być na Liszce — wtrącił mistrz.

— Nawet się nie spostrzeżesz, gdy tam będziemy, staruszkę — pocieszała go pani.

Pani Kondelikowa mówiła prawdę; już lata całe mistrz nie wychodził z Pragi przy dniu zimowym, rozglądał się tedy ciekawie po okolicy, przypruszonej białym, drobnym śniegiem, wdychał ostre powietrze, które mu się po przedobiedniu, mielnickiem, wydawało łagodnem, i zanim sobie przypomniał o potrzebie nowego ukłucia, byli już na Liszce i wstępowali na parterową „salę”, gdzie władał ojciec Janouszek.

Siedział tu już pan Wejwara, kuzyn ojca Wejwary, mistrz rzeźbiarski, z małżonką i dwiema córeczkami. Pani Kondelikowa zerknęła badawczem okiem na dziewczęta — i odetchnęła spokojnie. Były to dwie żabki, zupełnie młode, naiwne trzpioty, którym daleko było do lat, gdy się w kobietach przebudza krytycyzm, sarkazm, złośliwe śledzenie wad bliźnich, głównie zaś wad osób płci własnej, zgryźliwość po dziesięciorgu zawodach, kwas przekwitania. Nie, to były dziewczątka, jak kocięta, przed którymi leży całe życie, a dla których nie otworzyła się jeszcze księga poznania — stanowiska kobiety na świecie.

Jak powiedziano, pani Kondelikowa odetchnęła

spokojnie. Mniemala bowiem, że nic niema niebezpieczniejszego dla szczęśliwej znajomości, jak kwaśne spojrzenia blizkich krewnych, niezameżnych kobiet, z trucizną zawodu w duszy, ze zdolnościami szpiegów, z dążeniem do intryg—jednem słowem starzejących się, zazdrosnych panien.

Stryj Wejwara był to sobie jakiś dobry człowiek, w wieku pana Kondelika, małżonka jego na pozór zupełnie mądra żona i matka, rozmowna aż miło. Pani Kodelikowa wiedziała od Wejwary, że ma „salon mód”, tuż obok sklepu swego małżonka, gdzieś na Małej Stronie.

Pan radca Wonasek nie przyszedł jeszcze, z czego był Wejwara prawie zadowolony. Pepcia byłaby się znalazła w krzyżowym ogniu spojrzeń.

Gdy Wejwara obie rodziny z należytem wahaniem przedstawił i gdy minęło pierwsze napięcie wzajemnej obserwacji i cichego krytykowania, gdy wypito białą kawę, rozkrochmalili się nowi znajomi i rozmowa potoczyła się żywo.

Pan Kondelik godził się w duchu z „zimową wycieczką”, Janousek bowiem miał dnia tego pilzeńskie, jak malina. Zdaniem pana Kondelika tylko takie piwo może być dobre, które nie przeszło przez akcyzę w Pradze.

Niechaj to tkwi w czem chce, akcyza piwu do broci nie doda. Wejwara starał się trochę mistrza objaśnić, że akcyza nie ma na jakoś piwa żadnego wpływu, ale Kondelik zakończył spór krótko:

— Wpływ, wpływ! Pan, panie Wejwarko, znasz się na „wycieczkach”, ale na chmielu znam się lepiej, czemu nie można się dziwić, to przychodzi do-

piero z wiekiem! W pańskim wieku jest człowiekowi wszystko jedno, co pije, włoski na języku wyrastają później!

Wejwara przestał się sprzeczać o piwo i pilnował raczej Pepci, która się już zapoznała z jego kuzynkami. Pani Kondelikowa zaś zawarła już „alians” z ciotką, a mistrz Kondelik pouczał stryja o farbach i malowaniu, pouczał go, że malowanie lepsze jest od tapet dlatego, że w tapetach trzymają się pluskwy, i tapety lepi się krochmalem, a do farb dodaje się kleju. Stryj Wejwary dowodził znów, że „toczona” robota lepsza jest od „wygniatanej”.

Nim minęła godzina, przyszedł także pan radca Wouasek z małżonką. Wejwara powitał go z uszanowaniem i nastąpiło powtórne zapoznanie. Pan radca przychylnie potrząsnął ręce obu mistrzom, ze starodawną elegancją uklonił się pani Kondelikowej i ciotce Wejwarowej, a gdy doszło do Pepci, spojrzął na nią uważnie, pochwycił jej prawicę obiema dłońmi, potrząsnął silnie i rzekł ze stopniowaną grzecznością:

— No, teraz rozumiem, panienko, dlaczego nasz pan Wejwara tak często się zamyśla. Jabym także to robił na jego miejscul... Ale muszę go pochwalić, że się przytem wcale nie zaniedbuje.

Pani radezynie brała towarzystwo, mianowicie kobiece, ostrzej pod uwagę. Zdradzała dość widocznie chęć grania pewnej roli, ale natura kobieca wzięła górę i pani radezynie była potem bardzo uprzejmą, mianowicie gdy spostrzegła, z jakim uszanowaniem spoglądają na nią obie panie.

Pan radca wsunął się między obu mistrzów, a gdy posmakował piwa, przemówił kategorycznie:

— Panowie, zostawmy damy przy pogawędce, a my we trzech moglibyśmy sobie pograć w makslę, jeśli panowie umiecie!

Mistrz Kondelik^{*} kiwnął tylko głową, że się to niby samo przez się rozumie, ale stryj Wejwara rzekł z uszanowaniem:

— Gram ja, szanowny panie radco, ale jeżeli nie dość dobrze, to musi pan wybaczyć.

W oka mgnieniu znalazły się karty, i gdy je panowie rozrzucili, zaczął pan radca „dawać”. Dzielił z niezmierną wprawą, jak wirtuoz, mało który eskamoter mógłby się z nim mierzyć, tak mu karty migotały w palcach. Widocznem było, że władza nie mi również mistrzowsko, jak swoim referatem w magistracie.

Przyjemnie upływał czas całemu towarzystwu. Dawno już na dworze zapadł zmrok, dawno już dymiły w sali naftowe lampy, o Pradze nikt nie pomyślał. Pan Kondelik zapomniał zupełnie, że siedzi daleko od Wyszehradzkiej bramy i pił jak w domu. Wejwara nie próbował również namawiać do powrotu, panie ciągle jeszcze nie mogły dokończyć tej długiej historii, którą wszystkie kobiety na świecie sobie opowiadają i która nigdy ukończoną nie będzie.

Wtem otworzyły się drzwi i weszli dwaj, czy trzej goście, biali jak młynarze, zaśnieżeni na dwa palce.

Pan Kondelik bezwiednie spojrział ku drzwiom i zawołał:

— Cóż to, śnieg pada?

— I jak jeszcze — potwierdził gospodarz — mamy już śniegu po kolana, a przytem ładna zadyмка!...

Mistrz postawił szklanke i rzekł do współgrających:

— Chyba dajmy spokój, panowie!

— Ostatnie trzy koła — zgodził się pan radca, który doskonale miał teraz karty. Trzy razy z rzędu grał „po dwie”, a potem „dużą grę”, z basztonką na końcu.

— Ostatnie trzy koła — powtórzył — przecież się do domu dostaniemy.

— Chodzi tylko o to, jak? — wtrącił smutnym głosem mistrz Kondelik. — Szmat drogi...

Nie dało mu to spokoju. Nim pan radca rozdał, wyszedł mistrz na dwór, ażeby zobaczyć jaka pogoda.

Wrócił po chwili i wierząc Wejwarę oczyma, mruzczał gniewnie:

— Wiedziałem, iż to się tak skończy! Śniegu napadało po kolana, a wichur! Nawet oczu otworzyć nie można!

Byłby to powiedział zupełnie inaczej, gdyby się nie musiał oglądać na krewnych Wejwary, a szczególnie na pana radcę. Ale Wejwara rozumiał jego spojrzenie.

— Przejdzie, panie sąsiedzie — uspokajał mistrz rzeźbiarz.

— Do rana, z pewnością — odpowiedział pan Kondelik koląco — ale radbym wcześniej nieco być w domu.

— Cicho, staruszkę — wtrąciła pani Kondeliko-
wa, która się przysłuchiwała i bała się, aby nie po-
wstała jaka niemiła sprzeczka—weźmiemy sobie do-
rożkę i pojedziemy, nie nam nie będzie.

— Może sądzisz, że tu stoją dorożki, jak na
dworcu! — wybuchnął mistrz.

— Ee, o dorożki nie trudno, szanowny pa-
nie — zauważył ojciec Janouszek, który zaglądał
z tyłu w karty. — Ciągłe tu turkoczą — dziś nie-
dziela.

Mistrz rzucił okiem w stronę Wejwary.

— To pańska rzecz, postaraj się pan o dorożki!
Pieszko ztąd nie pójdę.

— Niech się pan nie kłopotczy—pomagał zakło-
potanemu Wejwarze ojciec Janouszek—dobrze państwo
zajedziecie.

Wejwarze poszczęścił przypadek. Nim gra obe-
szła trzy razy w koło, zatupotały na dworze głucho
kopyta i Wejwara wybiegł na szosę. Chwała Bogu!
Była to dorożka, powracająca z Krezy. Zatrzymał
ją i ucieszony śpieszył z powrotem.

— Pojedziemy, szanowny panie!

— Co, już do domu? — zapytał pan radca. —
Nie zatrzymacie się państwo nigdzie, abyśmy mo-
gli gdzieś partyę dokończyć, kiedyśmy się tak ro-
zegrali?

Pan radca nie miał dzieci i było dlań za wcze-
śnie, ażeby już iść do domu.

Mistrz Kondelik, mając zapewniony powóz, po-
wrócił do dobrego humoru.

— Dobrze, panie radco! Co pan powie, gdy-
byśmy wpadli do Mahulika? Mamy go wszyscy po

drodze, ojciec Wejwara pójdzie także z nami! No, Wejwarko, poproś pan stryja.

Nie trzeba było prosić.

Stryjowi Wejwarze podobało się w nowem towarzystwie, małżonce jego także. Postanowili, że pojedą za Kondelikami, a jeżeli nie znajdą powozu, no, to pojedą pieszo. Zresztą zapewniał ojciec Janonszek, że tu mają dorożkarze w niedzielę „weksel”, że będą jeździli, jak z wesela.

Kondelikowie opuścili więc towarzystwo bez długich pożegnań. Rozumiało się przecież samo przez się, że nowa znajomość nie mogła się skończyć tak nagle, u Mahulika się spotkają. Mistrz Kondelik chciał także za świeżej pamięci porównać, jaki jest dziś ten praski chmiel, przeciągnięty przez akcyzę.

Wszyscy czworo wpakowali się w dorożkę, woźnica użył całej swojej wymowy, aby wałacha pobudzić do kroku—i po kilku trafnych przezwiskach, zawstydził się koń nareszcie i ruszył. Wejwara i pani Kondelikowa dziękowali w duchu Bogu, że rzecz tak szczęśliwie się skończyła...

Dorożka trzęsła się i turkotała i już wycieczkowicze widzieli bramę Wyszehradzką, kiedy nagle po tej stronie, gdzie siedział pan Kondelik, coś zatrzeszczało, trzasnęło, dorożka się pochyliła, zaturkotała jeszcze kilkakrotnie — i stanęła. Z kozła dało się słyszeć straszne przekleństwo, potem skrzypnął stopień, drzwiczki otworzyły się i głos dorożkarza odezwał się, jak piła:

— Proszę, niech państwo wychodzą! Koło się złamało!

— Chryste Panie!—wyrwało się z gardła pani Kondelikowej.

Wejwara zdrętwiał. Opadła go zahobonna lękliwość, że straszliwy jakiś los ściga wszystkie jego kroki i prześladuje go przeciwnościami, dla niego tylko przygotowanymi. W tej chwili wyciągnęła doń rękę Pepcia i ścisnęła mocno jego prawicę, jakby prosiła o pomoc. Ale nim mógł coś powiedzieć lub uczynić, ozwał się mistrz rozpaczliwie:

— Ja wiedziałem, że nas czeka nieszczęście! Wejwara—wy to nazywacie jubileuszem, a mnie...

Nie dokończył. Gdy się poruszył, przechyliła się dorożka prawie na bok i mistrz wysypał się prosto w śnieg.

Z godną podziwu szybkością i zręcznością powstał wszakże znów na nogi, i podczas gdy Wejwara pomagał damom zejść z powozu, grzmiał Kondelik do dorożkarza:

— Jakże to macie naczynia, człowiecze! Jak się możecie odważyć wyjechać z domu z takim gratem! Ja to zamelduję... tego tak nie zostawię.

Woznica podnosił arkę i również wściekle odpowiadał mistrzowi, mierząc oczyma jego cieleśność...

— Tysiące ludzi już woziłem, ale właśnie pod panem się złamało, tu, na tej stronie. I niema dziwoty, to ciężar! A to dorożka, panie, to nie tramwaj, panie!

No, najgorszy kawał drogi mieli po za sobą; matka i córka oczyściły tatkę ze śniegu, Wejwara obliczył się z dorożkarzem, którego zostawiono wła-

snemu losowi i za pół godziny odświeżali się u Mahulika przy ulicy Myślikowej.

Pepcia się teraz z całego wypadku śmiała, ale pokryjomu, aby tatko nie zauważył, a Wejwara, pobudzony tem, nabył także odwagi, i nie lękał się przymówek mistrza, których napewno nie uniknie.

Dobrze zrobiony cąber zajęczy nastroił mistrza pogodniej, chociaż zupełnie milczeć nie umiał. Kiedy też po jedzeniu zapalał wirginja, wpadł na Wejwarę:

— Gdy pan kiedyś będziesz chodził sam panie Wejwaro, z żoną, i nie będzie przytem żadnego rozumnego człowieka, to skręcisz pan gdzie kark! A gdy to pana spotka, przypomnij sobie, żem to panu przepowiedział.

— Bądź kontent, staruszk, że się tak dobrze skończyło—godziła pani Kondelikowa.

— Kontent, kontent!—dąsał się mistrz.—Mam się ciągle cieszyć, dopóki mnie gdzie nie zabijecie, lub nie utopicie! A wy mi to zrobicie, ludzie, wy mi to zrobicie! Czuję ten upadek we wszystkich kościach!

Mistrz Kondelik byłby może jeszcze dalej wymyślał, ale w tem otworzyły się drzwi i do piwnicy wtargnęło całe pozostałe towarzystwo z Liszki w usposobieniu jaknajlepszem.

Kiedy się wszyscy usadowili jaknajwygodniej, pan Kondelik sam opowiedział o przebytej przygodzie, malując barwami czarnemi straszny wypadek, „jak to się z nim dorożka rozsypała.”

Dziewczęta stryjka rzeźbiarza rozśmieszyło to

bardzo i żałowały szczerze, że same nie jechały fatalnym powozem.

— Żeby nam się tak Wejwara zablł! — zauważył pan radca Wonasek—teraz, kiedy ma awansować lada dzień!

Pani Kondelikowa trąciła córkę łokciem, a Pepcia zarumieniła się błogo.

Naprawdę, znakomicie udał się jej pierwszy jubileusz!

XI.

Noc wenecka.

Pan radca Wonasek przepowiadał awans Wejwary „lada dzień”, ale trwało jeszcze dosyć długo, nim złoty sen Wejwary się urzeczywistnił.

W magistracie idzie wszystko odmierzonym, urzędowym krokiem. Nie bagatelna rzecz zrobić z praktykanta konceptistę.

Wejwara miał nadzieję, że się do wiosny doczeka, tak w połowie marca, ażeby mógł Pepci w dzień jej imienin przynieść nominację swoją jako dar najlepszy, ale niestety, nie doczekał się. Stawił się tylko z bukietem i ze skromnem, ale radosnem zapewnieniem, że się już coś przygotowuje.

No! i nareszcie w pierwszą sobotę czerwca podszedł ku niemu pan radca Wonasek i rzekł poufnie, że najdłużej za tydzień nastąpi postanowienie, że na-

reszcie opracowano i uchwalono elaborat o rozszerzeniu niektórych referatów, o mianowaniu nowych sekretarzy i konceptistów, że między tymi ostatnimi będzie on, Wejwara. Na posiedzeniu rady miejskiej od dziś za tydzień, napewno!

Pierwszą osobą, której się Wejwara nazajutrz zwierzył, była Pepcia.

— W sobotę, najdroższa panno Pepciu, niech się pani modli za mnie. W sobotę wieczorem dowie się pani, co ze mną będzie, a rano w niedzielę wydrukują to w gazetach. Potem, w niedzielę przyjdę, Pepciu, i poproszę szanownych rodziców pani, aby mi powierzyli klejnot najdroższy, aby mi powierzyli...

Wejwara jękał się, a Pepcia płonęła, jak ciemna róża.

— Pozwoli pani, panno Pepcio, że to uczynię—szepnął Wejwara. — Mogę mieć nadzieję, że pani moja?...

— Na zawszel—odetchnęła Pepcia.

— Niech pani jeszcze nie nikomu nie mówi, Pepciu złota—prosił Wejwara.

— Nawet mamusi nie?—zapytała Pepcia.— Nawet mamusi, która od pierwszego dnia była dla pana tak przychylną?

— No, owszem, Pepciu, nie ma to nic złego, ale boję się, że te wszystkie oczekiwania mogą jeszcze zawieść...

— Nie, panie Wejwaro, nie zawiodą! A mamusia ucieszy się niezmiernie, przed mamusią nie możemy ukrywać.

— Pani jest taka dobra, panno Pepciu, jak ma-

musia pani—rzekł Wejwara.—Niech pani uczyni, jak sama pani uzna za stosowne.

Pepcia miała dobre przecucie. Wejwara awansuje! Wejwara przyjdzie prosić o rękę Pepci! A jeśli było coś jeszcze większego, niż wieść szczęśliwa o przyszłym awansie Wejwary, była to radosna, zachwycająca myśl: „zaręczyny, zaręczyny!”

Wejwara przyjdzie prawdopodobnie przed południem. Tatko musi pozostać w domu, aby wysłuchał jego prośbę o rękę panny Pepci, aby dał poważną, ojcowską odpowiedź. Po południu lub wieczorem będzie uroczystość zaręczyn. Cicha, rodzinna, ale poważna uroczystość.

Koniecznien trzeba oznajmić o wszystkim tacie, więc jeszcze tej niedzieli, gdy Wejwara zwierzył się Pepci, a Pepcia mamusi, zwierzyła się także pani Kondelikowa małżonkowi, co ich najpóźniej za tydzień oczekuje.

— Przygotuj się, staruszk, będzie to jedyna chwila w naszym życiu, nigdy nam się nie powróci...

* * *

Dnia tego panował u Kondelików ruch. Mistrz zrobił uwagę, że wygląda to, jak przed wojną.

Damy kręciły się z pokoju do pokoju, z kuchni do sieni, do śpiżarni, zносиły powidła, czyściły przybory, przygotowywały naczynia, Kasia prała garnitur

nowych, dotąd nieużywanych, ale pożółkłych serwetek, a mistrz Kondelik patrzył na wszystko roztagoniony i zaniepokojony. Jego spokój pierzchnął, jego drzemkę poobiednią przerywało bezustanne szperanie po komodach i zamykanie drzwi. Damy starały się wprawdzie, ażeby chodzić jaknajciszej; ale co to pomogło! Podłogi pokojów trzęsły się pod niemi, a porcelana i szkło na szafach brzęczało od rana do wieczora.

Pan Kondelik kładł się po obiedzie na kanapie z najszczerzszymi chęciami drzemki, ale ze spania nie było nic. Ten szelest w mieszkaniu, te kroki tajone drażniły go, i ledwie, że się położył, otwierały mu się oczy naościęż i pan Kondelik przewracał się tylko i pocił.

— Przekłęte brzęczenie! — piorunował w duchu i zacisnął zęby.—Oto przyjemności na stare lata dlatego, że mam córkę! Gdybym miał jeszcze jedną i jeszcze jedno zaręczyny, to dostałbym paraliżu i przeprowadzonoby mnie na Olszany...

— Betty! — rzekł pewnego dnia do małżonki — kiedy z zaręczynami robisz takie korowody, to powiedz, cóż dopiero będzie z weselem!

— Mój, staruszkę — odparła pani — ten kłopot pozostaw mnie. Ty jesteś ojcem, ty byłeś narzędziem w rękę Boga, abyśmy nie pozostały na świecie same i opuszczone, a teraz jest Pepcia główną troską moją. Małżeństwo jest to piękny, święty stan, przypomnij sobie nasze młode lata, a gdy teraz Pepcia wstępuje w ten stan, to musi mieć piękną pa-

miątkę na całe życie. Człowiek się żeni raz tylko, nie życzyłabym sobie, aby Pepcia wychodziła za mąż powtórnie, a zaręczyny są radosnym wstępem. Niech je więc sobie Pepcia zapamięta aż do śmierci...

— Ona nie zapomniał — odpowiedział mistrz.—
Wszak będzie miała męża.

— Mój staruszk, miej trochę cierpliwości, gdy później sami zostaniemy, zupełnie sami, wierz mi, że zateśkniesz do niepokoju. Za serce mnie chwytą, gdy sobie pomyślę, że jej już mieć nie będziemy. Lepiej wszakże, gdy my zostaniemy sami, niż gdyby ona wiodła żywot w opuszczeniu, gdy nas nie stanie.

Letnie wieczory środowe i sobotnie spędzali Kondelikowie w ogrodzie Mieszczańskiej besedy, na koncertach, jeżeli naturalnie było pogodnie, od przeszłego roku z Wejwarą. W środę przed oczekiwaną niedzielą zeszli się tam również. I tu wynurzył się Wejwara, że ma na sobotę pewien projekt. Na sobotni wieczór przygotowuje się na Żofnie wielka uroczystość narodowa na korzyść Centralnej Matcy Szkolnej, szczyt zaś zabawy stanowi „noc wenecka” na wyspie i na rzece, z lampionami, z bajecznem oświetleniem, z fajerwerkami na wielkim stawie śród Wełtawy—jednem słowem, rzeczy niebywałe.

W Besedzie na wszystkich stołach, oprócz zwykłego programu koncertowego, leżały zaproszenia na uroczystość wraz z jej programem.

Opowiadał o przygotowaniach, opowiadał, co gdzie słyszał od znajomych, i zauważył, że warto

by to zobaczyć. Wejście tylko czterdzieści krajcarów od osoby, bilety rodzinne po reńskim — i na cel tak poważny!

Pani Kondelikowa i Pepcia słuchały z wielkiem zajęciem. Pojmowały, dlaczego Wejwara mówi o tem, i w duchu zgadzały się z nim. Tylko czy tatko!...

Ale mistrz nie mówił nic, zupełnie nic, a Wejwara tak pragnął, aby jego wielki dzień miał uroczystą przygrywkę! Czytała to pani Kondelikowa w jego oczach, zdecydowała się więc sama.

— No, staruszk! Moglibyśmy tam także zajść i popatrzeć. Besedę mamy ciągle, noc wenecka nie wróci znowu tak prędko, a jak żyję, nie widziałam nic podobnego. Co ty na to?

— Że tam będzie masa ludzi, a nie do picia i do jedzenia — to mówił — odparł mistrz i obierał dalej spokojnie gęsie skrzydełko.

— Dla ludzi się to robi i dlatego przyjdą tam, to prawda — mówiła pani. — Bez ludzi byłoby ogromnie smutno. Dlatego sądzę, że moglibyśmy iść tam także...

— Jabym wolał pozostać w domu — zauważył mistrz.

— O tem wiem, staruszk! — wtrąciła pani — tybyś zawsze najchętniej pozostał w domu, kiedy masz iść gdzie z nami. Ale gdybyśmy nie chcieli pójść na noc wenecką, to poszedłbyś do Besedy.

— No, więc pójdziemy, dla świętego spokoju! — zawołał pan Kondelik, dogryzając gęsie skrzydełko...

W sobotę wieczorem stawił się Wejwara u Kondelików o godzinie szóstej w najświęteczniejszym ubiorze. W tym czasie mistrz Kondelik czynił w sypialni przygotowania do golenia, Pepcia w jadalni przyszywała sobie do stanika jakąś „kremową” różyczkę, przywitała zatem Wejwarę w kuchni sama pani Kondelikowa, napół już w paradnym, napół jeszcze w kuchennym stroju. Jakże chętnie byłaby zapytała: Jakże, panie Wejwaro, mianowali pana?— gorzała bowiem ciekawością, co się stanie na dzisiejszem posiedzeniu w magistracie. Ale chciała pozostawić Wejwarze, aby sam się zwierzył ze słodkiej tajemnicy; a gdyby może nawet dziś, Boże broń, nie spełniło się to, czego oczekiwał, musiałyby milczeć i udawać, że o niczem nie wie. Prawie zadrżała, gdy spojrzała na Wejwarę; wydał się jej tak dziwnie wzruszonym. . Chryste Panie, byłoby możliwem! ażeby go znowu przeoczono?

Z największem więc zaparciem siebie, na jakie, się zdobyła, z uśmiechem świętej niewiadomości, podała mu rękę i mówiła:

— Witam pana, panie Wejwaro! Patrzy pan, żem niezupełnie jeszcze przygotowana? Zaraz będę szykuję coś dla naszego tatki, (a teraz szeptała prawie), krzyczy cały dzień, że się na Żofinie nie naje, kupiłam więc kurczę, kończy się właśnie pieczenie. Musisz pan także spróbować, staruszek w tej chwili skończy ubieranie, słyszałam, że obciągał brzytwę! No, a Pepcia jest obok, poprawia sobie tam coś, proszę dalej, panie Wejwaro.

Wejwara zapukał do drzwi jadalni, jak ptaszek

dziobkiem w okno, otworzył, wsunął się, Pepcia skoczyła i pośpieszyła na spotkanie, pani Kondelikowa sama przymknęła za Wejwarą drzwi, bez szelestu i powróciła do kuchni.

— Witam pana—wołała Pepcia tłumionym głosem i badawczo patrzyła na Wejwarę. Na jego twarzy rozlał się teraz blask radości, wzruszenia i ledwie, że ją pocałował w koniuszek palców, wymówił z pośpiechem, również tłumionym głosem:

— Mianowany, panno Pepciu!

Pepci, która cały tydzień z drżeniem oczekiwała tego słowa, rozszerzyła się pierś, twarz zapłonęła, oczy się zaiskrzyły:

— Panie Wejwaro!...

— Ach, Pepciu droga! — odetchnął Wejwara — cieszy to panią?

— I pan się pyta?! Jak pan się może pytać?! — szepnęła Pepcia i ścisnęła go mocno za rękę.

Wejwara, (chwile sam nie wiedział, z kąd nabrał tyle odwagi), objął Pepcię lewicą, przycisnął ją do siebie — i silny, gorący pocałunek drżących ust Wejwary spoczął na ustach panny Pepci, która przymknęła oczy.

Gdy się usta ich rozdzieliły, stali oboje bez słowa, ze spuszczonei oczyma, jakby się byli dopuścili grzechu, ale obojgu było tak nieskończenie błogo. Stali jak posągi, tylko dłoń Pepci, którą Wejwara jeszcze do serca przyciskał, drżała w jego prawicy. Wejwara podniósł ją do ust i całował co

chwilę, jakby przeproszał Pepcię, że przy pierwszym całusie przed chwilą nie prosił o pozwolenie.

Po cichutku uchylity się drzwi od kuchni i głos pani Kondelikowej zabrzmiał łagodnie i dobrotliwie:

— Nakryłaś, Pepciu?...

Wejwara puścił rękę Pepci, ale pani Kondelikowa czuła, co się przed chwilą stało. Spojrzenie Pepci, jej pomieszenie, jak i pochylona w ogromnem zakłopotaniu głowa Wejwary—pani Kondelikowej nie trzeba było więcej.

Dłużej nie umiała się powstrzymywać. Szybko zatem podeszła ku Wejwarze i zapytała:

— Czy można powinszować, panie Wejwaro, prawda to?

Nawet nie miał siły odpowiedzieć, kiwnął więc tylko głową i schylił się, by panią matkę w rękę pocałować.

— Szczęść panu Boże, panie Wejwaro! — winnowała matka. — Boże, Boże — jakże się sama cieszę...

Szybko otarła dłonią oczy, poczuła w nich bowiem gorącą wilgoć. Cały tydzień oczekiwała tej chwili, a jednak tak ją to wzruszyło, jakby się stało nieoczekiwanie.

— Boże, Boże! — powtórzyła — tатko się ucieszy. My pana uważamy za swego, panie Wejwaro! Ale poczekaj, Pepciu, teraz nie mów nic, mógłby się tatuś skaleczyć!

Chwila, zanim mistrz Kondelik ogolił swoją

twarz, wydawała się pani wiecznością; ale nareszcie i ona się skończyła.

Mistrz nie okazał radości tak gwałtownej, jak jego małżonka, wysłuchał zupełnie poważnie, ale choć tego nie okazywał, cieszyło go to. Zdawało mu się prawie, jakby sławetna rada miejska i jemu okazała przychylną swoją, mianując Wejwarę konceptistą. A twarz jego zupełnie się wypogodziła, gdy pani Kondelikowa przyniosła kurczętą, upieczone na różowo, salaterkę młodych kartofli i talerz mizeryi.

— Widzi pan, panie Wejwaro, hę? — i mlasnęła językiem. — Nie myślałeś pan chyba, że nominacya pańska odbędzie się z kurczętami w garniturzel! Ale teraz bierzmy się za te ptaki, w Żofinie gotowi nam nie zostawić żadnego krzesła.

Prawdę powiedziawszy, sam tylko mistrz siadł z prawdziwym apetytem do stołu. Ani Wejwarze, ani Pepci, bał nawet pani Kondelikowej jeść się nie chciało z radosnego wzruszenia...

W nastroju podniosłym wybrano się na Żofin. Wejwara i Pepcia szli przed rodzicami, dziś po raz pierwszy pod rękę, ale nieśmiało. Obojgu serca rosły, ale mimo to nie mogli się szczerze rozgawędzić. Trzeba było całą tę uciechę i wzruszenie dokładnie przetrwać i opanować, zanim rozpoczną się wzajemne wynurzania. Zdawało im się, że świat cały patrzy na nich, że im z twarzy czyta, co się wewnątrz dzieje. Cieszyli się naprzód, że na Żofinie zgina w tłumie, spłyną, znikną w falującym mnóstwie osób. Potem będą dopiero sami. Cieszyli się ze

zbliżającego się wieczoru, z elektrycznego oświetlenia, z morza lampionów, z muzyki, z oświetlonej rzeki. I tam gdzieś wśród gęstych drzew, w wonnym gąszczu powiedzą sobie, ku czemu teraz nie znajdują wyrazów.

Odetchnęli z głębi, gdy, przekroczywszy most, wchłonięci zostali w tłumie.

Siedli blisko orkiestry i nawet nie zauważyli, że muzyka nie gra. Koncert odbywał się w sali na górze i kapela na wyspie miała długą pauzę. Ale dla Wejwary nie trzeba był muzyki. W sercu jego wszystko grało i śpiewało, jakby w piersi posiadał dźwięczny aryston. Ach, jutro! Jutro będą zaręczyły! Od jutra będzie rzeczywiście i na prawdę należeć do rodziny.

Nawet Pepcia nic nie mówiła. Była jakby w jakimś nieziemskim zachwycie i rozumiała zawsze bardzo dobrze, co jej chce rzec Wejwara, gdy ją uściskał za rękę. Odwzajemniała jego uściski i niema ta rozmowa stawała się coraz wymowniejszą.

Zupełnie pokryjomu obserwowwała pani Kondelikowa tę bezdźwięczną konwersację i uśmiechnęła się błogo, patrząc gdzieś daleko. W tej chwili patrzyła w przeszłość i w przyszłość jednocześnie. Cieszyła ją niezmiernie myśl, że niezadługo będzie matką podwójną, a trochę później, jeśli Bóg da... Ale nie, nie dokończyła myśli. Ścisnęło ją to za gardło, biła ją w skronie — ta nieskończenie piękna, błoga myśl...

Mistrz Kondelik rozkoszował się tymczasem in-

nemi rzeczami. Obawiał się popychania, a znalazł wszystko daleko przyjemniejszym, niż oczekiwał. Piwo było dobre i udzielane w takich ilościach, że aż się dziwił. Popijał szczerze, a gdy nastąpiła powszechna iluminacya, miał już także w głowie małą, ale bardzo małą iluminacyjkę. Piwo trawiło mu dobrze, mistrz dawno już nie czuł pieczonego kurczęcia w żołądku i kazał sobie podać kolacyę, którą mu podano szczęśliwie i szybko. Potem towarzystwo wstało od stołu i wyszło na wyspę, by się rozkoszować widokiem tysiąca płomyków czerwonych, zielonych, pomarańczowych, lampionów na drzewach rozwieszonych i czarownego elektrycznego oświetlonego „kaktaraku”, jak pan Kondelik nazywał mieniący się wszystkimi barwami tęczy wodotrysk na wzgórzu wyspy, blisko łązienek.

Był to czarowny widok, ale rzecz dziwna, Wejwarze przeszkadzał ten tłum ludzi, te fale publiczności, które się we wszystkich rozlewały kierunkach, po wszystkich drogach i drózkach. Spragnionem okiem spoglądał przez mur na rzekę, gdzie krążyły czółna i czółenka, z wesołymi wiosłarzami, jako załogą, owieszone licznymi lampionami, oświetlone ogniami bengalskimi. Pepcia patrzyła na wodę w zachwycie, a i panu Kondelikowi podobały się regaty bardzo. Wejwara zauważył szczęśliwie to zajęcie się mistrza i zdawało mu się, że nastaje chwila do wypowiedzenia tajonego dotąd zamiaru. Cisnąc się wśród tłumów ku brzegowi, przybliżyli się powoli do łązienek, i tu stanął Wejwara, a dodawszy sobie odwagi, zwrócił się do mistrza Kondelika:

— Gdyby mi wolno było proponować, proszę pana, to radziłbym, ażebyśmy sobie także wzięli czółno tutaj obok łazienek. Moglibyśmy sobie po Wełtawie trochę powiosłować...

— Ach, tatusiu! — błagała Pepcia — weźmy łódkę! Jeszcześmy nigdy tak nie płynęli.

Niewiadomo, czy był to skutek sześciu czy siedmiu pilzeńskich, które miał w głowie, czy też zażęsknił tak nagle do Wełtawy, dość, że Wejwara nie mógł wyjść z podziwu, iż pan Kondelik nie sprzeciwił się projektowi. Mistrz postąpił naprzód ku przystani, damy za nim, w końcu Wejwara i całe towarzystwo schodziło po schodkach ku łódkom.

— Zawołaj pan którego z tych majtków — rozkazał mistrz Kondelik. — Niech nam da coś nieprzemakalnego!

Wejwara, który podczas gorących dni letnich częstym bywał gościem w tem miejscu, wiedział dobrze do kogo się zwrócić. Opodal stał chudy, smagły, brązowy z opalenia mistrz pływaków, naczelnik wszystkich innych majtków, człowieczek drobny, ale jak rteć ruchliwy. Ubiór miał na sobie galowy, przepasany szeroką, modrą szarfą. Marynarski kapelusz zdjął szybko z głowy, ukłonił się zgrabnie i zapytał grzecznie:

— Czem mogę służyć panu doktorowi?

— Daj nam czółenka, mistrzu Klapersztajnie — mówił Wejwara — ale prędko, zanim się skończą regaty!

Wejwara umyślnie pośpieszał, bojąc się, ażeby ojciec Kondelik jeszcze się nie rozmyślił.

— Na pół godziny, czy na godzinę, szanowny panie?—pytał smagły Klapersztajn.

— Gdy nam się znudzi, przyjedziemy z powrotem — zawołał pan Kondelik. — Tylko dajcie nam coś porządnego, pewnego; jest nas czworo osób.

— Łódź, jak do Ameryki, szanowny panie! — obiecywał pan Klapersztajn i śpieszył na drugą stronę przystani, gdzie odwiązał dwuwiosłowe czółno.

— Słuchaj, pan, panie Wejwaro — rzekł naraz mistrz Kondelik — czy umiesz pan wiosłować?

— To bardzo łatwo, proszę pana -- odrzekł Wejwara. -- Niech pan się nie niepokoi.

Majtek Klapersztajn znał swój fach. W okamgnieniu odwiązał czółno, zapalił ze sześć lampionów, które były zawieszzone, a potem przytrzymując ster, zapraszał gości:

— Raczcie panowie. Szanowna pani może usiąść tam, panienka tu, ażeby utrzymać balans, a wiosłująca tutaj. Drugi pan siądzie sobie na tył czółna.

Tym drugim panem był mistrz Kondelik. Usłużny Klapersztajn „naładował” go jaknajostroźniej na tył, Wejwara pochwycił już za wiosła, a Klapersztajn rażnym ruchem odepchnął łódkę.

Czółno zakołysało się, zadrżało, damy kurozowo chwyciły się dłońmi siedzeń, a mistrza Kondelika przejął nagle strach.

— Wejwaro, czy nie lepiej, ażeby z nami pojechał ten Klapersztajn? Mnie się zdaje, że pan jednakże...

— Ależ proszę pana — opouował Wejwara,

zmierzając prosto ku wysepce Strzeleckiej — tylko spokój—spokój, nie się stać nie może.

Ale w miarę jak oddalali się od brzegu, dostawał Wejwara coraz większej tremy. Z zatajonym oddechem patrzył na powierzchnię wody, która ich dzieliła od stałego lądu, coraz szerszą — i wzywał wszystkich Świętych, by się nie spotkali z innym czółnem. Mogłoby się skończyć fatalnie. Żywo wiosłował i pot lał się z niego, jak z cebra. Powoli zbliżali się do wyspy.

Damy siedziały na poprzecznych deseczkach, jakby przylepione. Podobąa im się przejażdżka, ale lękały się w duchu. Z tej czarnej, jakby gęstej wody, wyzierała ku nim jakaś groza. Nawet zahartowanemu wiosłarzowi nie wydaje się powierzchnia wody w nocy bardzo powabną, damom wydawała się prawie straszną. Pepcia patrzyła uparcie na końce wiosł, zanurzających się i wznoszących, i wstrzymując oddech, oczekiwała co chwila, czy z głębi nie wynurzy się jaka głowa potwora i błyszczące, łuską pokryte ciało. Woda szeleściła tajemniczo i groźnie. W chwili tej wierzyła Pepcia we wszystkie postacie z bajek, o jakich kiedykolwiek słyszała i czytała. Blask lam-pionów na powierzchni wody podnosił tylko wrażenie.

Wejwara odetchnął głęboko. Minał był najgłębszą wodę i zbliżał się do mielizny nad wysuniętym krańcem wyspy Strzeleckiej. Mistrz Kondelik przez całą tę chwilę nawet nie szepnął, by nie wywołać jakiego złego ducha. Siedział cicho i w skupieniu, aż mu kark sztywniał. Chciał się obejrzeć, czy da-

leko ujechali od lądu, ale na taki krok nie mógł się odważyć, bał się nawet ruchu najłżejszego.

Czółno znalazło się właśnie przy podłużnym brzegu wysepki. Wejwara wstecznem uderzeniem wiosła zatrzymał je i rzekł:

— 'Tutaj, proszę pana, płyniemy zawsze od łazienek. Tu jest bowiem dość płytko, więc też chwilę odpoczywamy, bawimy się w trytonów, i powracamy wpoprzek ku łazienkom. Doskonała zabawa! Gdyby pan tak widział pana architekta Wyskoczyła, lub pana Arnosztal! Z największych głębi wynoszą piasek w garści...

— Coby to było, gdybyśmy tak wpadli! — zawołała Pepcia lekliwym głosem.

— Nie wywołuj wilka z lasu, zatracona dziewczyno — srożył się mistrz. — Nie trzeba nawet mówić o tem.

— Tu nie stałoby się nic złego, szanowny panie—uspakajał Wejwara. — Racz się pan przyjrzeć, jak nieznaczna jest tu głębokość.

I wysadziwszy prawe wiosło, wetknął je pionowo w wodę. Weszło na jakie trzy stopy w wodę i zupełnie dobrze było słyhać, gdy zanurzyło się w piasku.

— Niech się pan przekona laską, proszę pana—pobudzał go Wejwara.

— Zobaczmyż — bąknął mistrz i wyciągnawszy rękę zanurzył laskę, bezpiecznie oczekując, gdy się oprze o nią. Ale laska zapadała głębiej i głębiej, a z ust pana Kondelika wyrwało się nagle: „Chryste paa—!”

łódka szarpnęła, kadłub jej się przechylił i — chlup, chlup! nad mistrzem zawarła się woda. Z ust obu kobiet wyrwał się okrzyk rozpaczony, ale w tem wynurzył mistrz połowę ciała z wody i zataczając się sapał, a wyciągnawszy rękę po kapelusz, ryknął jak zwierzę.

— Miliońska duszo, poco mnie namawiasz, bym wtykał łaskę! Spójrzysz pan, jak wyglądam! Jezus Marya, ludzie. Poczekajcie! Nie uciekajcie ode mnie!

Wskutek upadku pana Kondelika, łódka rozkołysała się rzeczywiście i cofała się, mistrz tracił grunt pod nogami. Skoczył rozpaczliwie i pochwycił za brzeg łódki.

— Człowiecze, chyba mnie tu nie utopisz!

— Chryste Panie! Kondeliku, nie wysyp nas! — jęknęła pani Kondelikowa.

— Tatku, trzymaj się! — łkała panna Pepcia.

— Proszę pana, raczy pan wybaczyć, ale nie jestem winien. Raczył się pan za bardzo przechylić, niech mi szanowny pan wierzy, że wolałbym, gdybym sam był wpadł w wodę...

— Jabym także wolał, gdybyś pan był na mojem miejscu, nieszczęśliwy kapitanie—srożył się pan Kondelik — i gdybym tu nie miał żony i dziecka, obróciłbym pana z tą wanienką do góry dnem! Jezus Marya, ludzie! — poszedłem na pilzeńskie i oto wlewam w siebie Wełtawę! Ciepłe to, jak ług! A teraz wciągnijcie mnie w łódkę!

— Panie szanowny! — jękał się Wejwara w śmier-

telnym strachu — to zgoła niemożliwe, łódź się wywróci. O mnie mniejsza, proszę pana, ale pani, panienska! Raczy się pan trzymać łódki, zupełnie spokojnie — zaciągnę pana do przystani.

Powoli zbliżało się czółno do łazienki, obciążone przez ojca Kondelika, który wisiał z tyłu, jak foka i z napięciem wszystkich sił utrzymywał głowę ponad wodą, sapiąc i parszając. Nałykał się już dosyć i zrobiło mu się od ciepłej wody niedobrze.

Mistrz Klapersztajn dziwił się, że towarzystwo powraca tak prędko, wkrótce jednak poznał przyczynę. Szybko podał nieszczęśliwemu żeglarzowi tykę, przyciągnął go do drabinki, a gdy ojciec Kondelik gramolił się na podłogę, wtrącił Klapersztajn zupełnie spokojnie:

— Gdyby pan był powiedział, że pan się chce kąpać, mógłby się pan rozebrać w łazience, w ubraniu niewygodnie pływać...

Urwał nagle, pan Kondelik bowiem rozpędził się wściekle, chcąc go wrzucić do wody.

— Mój Boże, staruszku, jakże się dostaniesz do domu! Byleś się tylko nie zaziębił — wołała pani Kondelikowa z płaczem.

— Skoczę po dorożkę, szanowny panie — proponował Wejwara, zmiażdżony zupełnie tą nieoczekiwaną, arey smutną przygodą, która mu najpiękniejszy wieczór w życiu zmieniła na najstraszniejszy, raj — w piekło.

— Nigdzie pan nie skakaj — mówił ojciec Kondelik, kłapiąc zębami. — Przecież nie mogę zrobić ani

kroku przez wyspę! Jutro opisaliby mnie w gazetach, tegoby jeszcze tylko było potrzebne! Muszę się trochę osuszyć, i febra mnie trzęsie...

Mistrz Kondelik rzeczywiście w tym stanie nie mógł jechać do domu. Klapersztajn zaprowadził go do kajuty inspekcyjnej, ściągnął zeń mokre odzienie i otulił go w wełniane koce.

— Tak, szanowny panie! Gdy się pan wypoci, będzie dobrze. Radziłbym, ażeby pan tu zanocował. Szanowna pani przyśle panu suche ubranie, ja skoczę do pana Zelenki po śniadanie i źle tu panu nie będzie.

Nie było innej rady. Febra nie ustępowała, ojciec Kondelik zdecydował się przeto, że pozostanie. Małżonka wzięła z sobą zegarek i portmonetkę i spędziła jeszcze długie chwile przy łóżku mistrza, aż nareszcie nie pozostało nic innego, jak udać się w drogę z powrotem do domu.

— Jutro powrócę, Betty — żegnał ją mistrz głosem konającego. — A wierzaj mi, Betty, że z niczego-bym sobie nic nie robił, gdybym tylko wiedział, że mnie znowu nie pochwyci ten przeklęty gąsior — i gdyby w tej kajucie nie było tyle pcheł! Betty — jak żyję nie widziałem tyle pcheł!...

Trudno było osądzić, kto z trojga „pozostałych” z większym kroczył smutkiem z Żofina, czy Wejwara, czy pani Kondelikowa, czy Pepcia. Gdy stanęli przed domem przy Jecznej, przemówiła pani smutnie, jakby ulegając ciężkiemu przeczuciu:

— Niech mi pan wierzy, panie Wejwaro, że nie wiem, czy zrobiliśmy dobrze, pozostawiając tam tatkę. Oby się co złego nie przytrafiło...

— Niech się szanowna pani nie lęka — starał się Wejwara pokrzepić ją na myśli, ale głos jego świadczył, że mu także nie wesoło na duszy — nie może mu się nic stać. Zaraz rano pobiegnę tam...

— Mój panie Wejwaro — ciągnęła pani dalej — przez całą drogę trapi mnie myśl, że z Kondelikiem może się do rana ta buda zarwać...

— Co mama mówi?! — rozekkała się Pepcia — chyba to niemożliwe...

Wejwarze ścisnęło się serce na widok łez Pepci.

— Niech się pani uspokoi, panno Pepciu, woda jest mała, pan ojciec powróci zdrowo.

Ale gdy się pożegnał z damami, nie skierował się ku domowi, lecz prostą drogą śpieszył napowrót na Żofin. Pójdzie do przystani i przenocuje tam z panem Kondelikiem. Niech się dzieje co chce, wytrwa przy jego łóżku. Gdyby się łazienka urwała, a pan Kondelik zginął, to niech i on zginie razem! Nie mógłby przecież myśleć o połączeniu się z dziewczęciem, któremu zamordował ojca! Wejwara bowiem nie mógł się oprzeć wyrzutom sumienia, że wypadek dzisiejszy do pewnego stopnia stał się z jego winy.

Doszedłszy na Żofin, przekonał się, że łazienka jest zamknięta, a na wołanie jego nie odezwał się nikt. Wazycy kąpielowi twardo spali, nawet ten,

który miał dyżur nocny. A może w tylnej kajucie grali w karty i nie słyszeli Wejwary, który się na hałaśliwe dobijanie nie chciał odważyć, ażeby i pana Kondelika nie przestraszyć.

Zgnębiony i zakłopotany szedł Wejwara z powrotem przez pusty Żofin. Tak pusto, jak teraz na wyspie, było również w jego duszy. Już po nocy weneckiej...

XII.

Po nocy weneckiej.

W życiu biednej, kochania godnej Pepci Kondelikówny nastąpiły dni, o których nie zapomni do najdłuższej śmierci.

Po owej fatalnej „nocy weneckiej” na Żofinie, po owej żegludze na Wełtawie, którą aranżował magistracki koncepista, Wejwara, jako uroczyste preludjum swoich zaręczyn z Pepecią, jakże wszystko się jednej chwili zmieniło!

Woda, w której się pan Kondelik przypadkiem wykapał, była, co prawda, ciepła, ale mimo to wkrótce okazały się następstwa niespodziewanej kąpieli. Nie skończyło się tylko na owej febrze, która mistrza trzęsła. W niedzielę rano musiała na Żofin przyjechać karetka, w którą złożono mistrza jaknajostro-

źniej, „w całym bowiem ciele aż mu skrzypiało”, jak się wyraził, a w domu niesiono go wprost do łóżka. Pan Kondelik jęczał w szponach gąsiora, który go przez dni kilka nie opuścił. W napadach gąsiora bywał pan Kondelik straszny...

W domu zapanował nastrój pogrzebowy; prawie całą niedzielę Pepcia przepłakała. Ach, jak się losy ludzkie krzyżują! Dziś miał przyjść ukochany Wejwarka, w najświętejszym odzieniu, dziś miał się uroczysto oświadczyć, miał uroczysto się zapytać rodziców, czy powierzą mu jedyną swoją córkę ku wspólnej życia pielgrzymce, miał posłyszeć z ust ojca i matki sakramentalne „tak”, a wieczorem miała nastąpić rozkoszna, rodzinna uroczystość zaręczyn, i stosownie do życzenia pani Kondelikowej, miały być zamienione pierścionki. A tymczasem, a tymczasem!... Tatko leży tam w pokoju na łóżku, obłożony chrzanowemi plastrami, na plecach „tyrpan”, głowa w obrusie mokrym, łyka salicylowe proszki jeden za drugim i wzdycha, mruczy, zgrzyta zębami, chwilami nawet klnie straszliwie.

Taka piękna niedziela czerwcową, łagodnie ciepło, niebo jak bławatek, nigdzie chmurki, wszyscy idą na spacer, na wycieczki, do ogrodów, a w sercu Pepci, jakby dzwoniło na pogrzeb. Każde odezwanie się tatki znaczy zerwanie, beznadziejność, pogrzeb młodej miłości Pepcinej. Wejwara nie pokazuje się, nie ma odwagi, nieboraczek, przeczuwa chyba, jakie byłoby powitanie.

Pani Kondelikowa siedzi przy łóżku małżonka,

gniewa się ogromnie na tę wczorajszą, nieszczęśliwą przygodę, a właściwie gniewa się tylko na małżonka. Wejwara? — on nic nie winien, przecież Kondelika w wodę nie wrzucił. Rzekł wprawdzie: „niech pan patrzy, jak tu płytko, laską pan dna dosięgnie”; ale poco zrobił Kondelik to, do czego go namawiają, poco wtykał laskę tak niezgrabnie, że aż się w dno zaryła, poco się przytem przechylił, aż wpadł? Dlaczego ona tam nie wpadła, pani Kondelikowa? Dlatego, że ma rozum.

Mimo to wszystko, spoglądała na małżonka okiem współczującej i cierpliwej małżonki. Tylko gdy pomyślała o spiżarni, gdzie leżały bogate zapasy, przygotowane na dzisiejszy wieczór, na ucztę zaręczynową, zmarszczyło się jej oblicze i osiadła na niem niezmierna boleść. Przed południem nie przyszedł Wejwara, ażeby się oświadczyć, bo i pocóżby przychodził? Piękną usłyszałby odpowiedź. Kto wie, czy wogóle dziś przyjdzie. Może jest także chory z tego przerażenia. A gdyby i przyszedł, to z ucztę nie będzie nic, trudno się bawić, gdy obok w pokoju leży chory. Wino i kompoty — to się nie popsuje; ale co będzie z mięsem, z tą młodą gąską, z kurczętami, z ugotowanym ozorem, z włoską sałatą — co z tem wszystkim zrobić?!

Pan Kondelik westchnął.

— Cóż ci to, staruszkę? — przerywając dumanie, zapytała Kondelikowa,

— Jakgdybyś nie wiedziała, co mi jest? — mruzczał mistrz — czuję w sobie tę noc wenecką przekle-

ta! Urządziliście mnie ładnie, a ja, stary osioł, wszędzie łązę, gdzie mnie zaprowadzicie, chociaż wiem, jaki mam defekt, i co z tego może wynikać.

— Cicho, staruszk—uspokajała go żona—leż tylko spokojnie i nie ruszaj się.

— Nie ruszaj się—dąsał się mistrz — tego nawet mówić nie powinnaś, nie życzyłbym ci takiego leżenia. Na grzbiecie jakbym miał ołów, a pod skórą nabijane gwoździe. Daj mi znów tego salicylu...

— Zażyłeś przecież przed kwadrans—oponowała—może ci zaszkodzić.

— Mnie już nie zaszkodził! Ale uważaj, abys znów opłątka nie przerwała. Przedtem miałem tego pełne usta, przeklęta trucizna! Zresztą kto wie, czy to pomaga, może niezadługo doktorzy powiedzą, że salicylu właściwie nie powinno się używać.

Namaczała kawał opłątka, duży jak kluska, wysypała proszek i starannie zawijała.

— Teraz się nie przerwie. Masz.

— Wierzę, że się nie przerwie, ale znów z tego proszek się nie przebiję, poco we mnie pchasz taką kluchę?

— Jesteś niecierpliwy, Kondeliku—rzekła z wyrzutem—kaprysisz, jak dziecko.

— Słuchaj, Betty, mój gąsior, to nie drobnotka—zawołał mistrz wściekle. — Jak dziecko! Toby wystarczyło dla dwudziestu dzieci, jednoby tego nie wytrzymało! Zresztą gąsior nie jest żadną chorobą dziecięcą, to ci powie każdy doktor.

— Ja wiem, ale...

— Kiedy wiesz, to nie gadaj, a lepiej zdejmu już ten plaster chrzanowy z lewej łopatki, pali, jak piekło! Ale uważaj—Jezus Marya, pomalutku!

Pani Kondelikowa lekliwie wsunęła rękę pod ramię męża, ścisnęła poduszkę i wysunęła plaster. Odetchnęła, że jej się udało i zapytała małżonka łagodnie:

— Może lepiej byłoby dać ci, zamiast chrzanowego, plaster gorzycowy?

— Jeden dyabeł!—oburknął się pan Kondelik—mam tego dosyć.

— Czy nie chce ci się pić?

— Nie!

Pauza.

Po chwili znów pytała.

— Czy nie zjadłbyś czego?

— Teraz, o trzeciej!

— Nie jadłeś obiadu...

— Jakże miałem jeść, gdy nawet głową ruszyć nie mogę. Najlepiejby mi było, gdyby mnie doktorzy zabalsamowali i pozostawili aż gęsiór zginie. Wścieknę się ze złości!

Pani znów zamilkła. Siedziała przy łożku bez ruchu, patrząc na małżonka. Tylko chwilami odpędzała muchy, które atakowały pana Kondelika, jakby wiedziały, że się bronić nie może.

— Gdzież jest muchołapka? — zapytał Kondelik.

— Na strychu, zdaje mi się — odpowiedziała pani...

— Kiedy czego potrzeba, to jest zawsze na strychu, za kominem, albo potłuczone. To psie plemię znowu nam się tu rozmnoży!

— Pepcia ją przyniesie — pośpieszyła z odpowiedzią, aby zażegnać gniew małżonka.

Wyszła do drugiego pokoju, było w nim pusto, poszła więc do kuchni. Tam siedziała Pepcia przy oknie, wychodzącem na podwórze, z oczyma zaczerwienionemi i napuchłemi od płaczu powiekami.

— Nie płacz ciągle, dziewczyno — strofowała matka.— Jeszcze ty mi głowę zawracaj! I poco właściwie płaczesz? Umarł ci kto?

— Jakżeby... dziś. . . mamusiu...

Dalej nie mogła Pepcia mówić. Nowy prąd łez wytrysnął z jej oczu i rozetkała się powtórnie, aż jej w ustach i gardle chlipało.

Biedna pani Kondelikowa! Tam niecierpliwy, ba! wściekły małżonek, tutaj nieszczęśliwa, rozpaczająca córka. Matka powoli sama tracić zaczęła cierpliwość.

— Nie dziś, to kiedy indziej— rzekła szybko.— Idź na strych po muchołapkę, wypłucz ją, nalej trochę wody i spirytusu, postawimy ją w pokoju tatki. Kawalek cukru trzeba także włożyć na papier.

Pani Kondelikowa powróciła do małżonka. Usiadła, patrzyła przed siebie, i po chwili prawie bezwiednie zapytała:

— Ani nawet ten Wejwara dziś nie przychodzi...

— Nie mów mi o Wejwarze! — wybuchnął mistrz. — Dobrze robi, że nie przychodzi! Wie on, dlaczego! Powiedziałbym mu dziś, czegom nie rzekł wczoraj.

Pani żałowała już, że o Wejwarze wspomniała, chciała to zatem jakoś naprawić, i zwróciła się do chorego:

— Ależ, staruszk, Wejwara temu nie winien. Cobys mógł mu powiedzieć! Jego to z pewnością nie cieszy, nieboraka.

— Jeszcze czego, żeby się śmiał ze mnie! — mruczał mistrz.—Waryat—i koniec. W takiej łódce, jak pudełko od zapalek, puszczać się z nami na wodę. Przecież moglibyśmy się wszyscy potopić...

— No, ale nie utopiliśmy się, staruszk, dzięki Bogu!...

— Ten człowiek nie ma za grosz rozumu — ciągnął pan Kondelik.—I to właśnie *ja* wpaść musiałem w wodę. *Ja!* Jego przyszyły teści! Żeby jeszcze ktoś wrzucał w wodę swoje teściowe, choćby nawet przyszłe, tobym może jeszcze rozumiał, ale...

— Kondeliku! — zawołała z wyrzutem.

— Tobym rozumiał, powiadam; ale płukać w wodzie teścia. Teraz dosyć tego, powiadam, dosyć tego! A jeśli przyjdzie, powiem mu, ażeby się więcej nie fatygował. Takiego człowieka do rodzi-

ny! Tu kolej, tu przepelniony statek, tu bieganina Bóg wie gdzie, ten człowiek wyciera nami świat, jak ów znany Kyselák, dotąd każdy krok z nim i dla niego musiałem odchorować, a wczoraj tylko cudem nie utonałem. Dobry na zięcia dla dyrektora cyrku, ale nie dla mnie. Dość tego! Takiemu człowiekowi córki nie dam! Powinien był pójść z Holubem do Afrykil

— Ależ, Kondeliku—napominała pani.

— Nie z tego, powiedziałem i dosyć. Niech idzie o chałupę dalej!

— Dobrze, Kondeliku, a czy się zastanowiłeś, jaki z tego będzie wstyd?...

Pan Kondelik wytrzeszczył na żonę oczy.

— Taaak? I to jeszcze? Już jesteście tak daleko, że z tego wstyd będzie!... I to Pepcia?...

— Ależ, Kondeliku!—krzyknęła pani już teraz gniewnie.—Co ty mówisz? Umyślnie wykręcasz! Nie o *takim* wstydzie, ale wogóle o wstydzie mówię. Chodzi dwa lata za córką i potem ma ją zostawić. Świat nie wierzyłby, że ty... nie, nie, świat powiedziałby, że *on* ją rzucił! Mówisz niemądrze... Nie gniewaj się, staruszk, proszę cię, nie myśl o tem. Widzisz, Wejwara cię oszczędza, nawet nie przychodzi, mógłbyś go obrazić. Mój Boże, taki łagodny człowiek, ma w magistracie swoje pewne utrzymanie, a gdy się ożeni z Pepcią, sam to mówiłeś, można otrzymać malowanie w magistracie, znowu praca i ładny zarobek...

— Owszem, magistrat! — śmiał się koląco pan

Kondelik.—Tylko, że on mi nie wystarczy, tu potrzeba innej protekcji, niż zięcia koncepisty. Gdyby sobie wziął moją córkę burmistrz, lub przynajmniej ze dwóch radców, tobym dostał roboty, ale przez niego mogę chyba malować sroki na wierzbie.

— Zresztą nie dbam już o to, bez magistratu można także żyć na świecie. Basta! powiadam, Wejwara niech mi się nie pokazuje na oczy!

Pani milczała.

Powinna była uczynić to o chwilę wcześniej. Ale która kobieta umie zamilknąć we właściwej porze?

Stała przy oknie i uparcie spoglądała na ulicę. Wtem brzęknął dzwonek w kuchni.

— Cóż to, czy niema dziewczyny?—zapytał pan Kondelik.

— Niema—dziś ma „wychodnię.”

— A gdzie Pepcia?

— Poszła po muchołapkę na strych — odrzekła i już wychodziła do kuchni.

Przeczuwała, a było to przeczucie niemiłe, kto dzwoni.

Tak, był to nieszczęśliwy—Wejwara.

— Rączki całuję, szanownej pani — pochylił się nieborak konkurent do ręki pani Kondelikowej.

— Nie trzeba, nie trzeba, panie Wejwaro — usuwała się zakłopotana pani, chowając ręce po za siebie.

Wejwara się zmieszał.

Dziś poraz pierwszy nie pozwala się pani Kondelikowa pocałować w rękę! Co to znaczy? Pani Kondelikowa, która go jeszcze nigdy nie opuściła w nieszczęściu!

— Przecież nie gniewa się na mnie szanowna pani, że nie przyszedłem już przed południem. Wahałem się, naprawdę, szanowna pani...

— E, nie gniewam się, panie Wejwaro, wcale się nie gniewamy—odparła coraz bardziej zakłopotana—ale tatko nam chory, tatko—wymówiła nagle, by Wejwarze objaśnić sytuację.

— Dla Boga! pan Kondelik—zawołał Wejwara, zarumieniwszy się po uszy.

Sumienie jego, które przez całe rano stłumić się starał, znów się ozwało.

— Chory, niestety! po tej nieszczęśliwej przygodzie wczorajszej, to przejdzie; ale jest bardzo niecierpliwy, bardzo i ruszyć się nie może, doprawdy, nie wiem, czy mam pana...

Zaczęła mówić szeptem, dopiero teraz bowiem zauważyła, że w pośpiechu zostawiła drzwi od pokoju otworem.

Wtem z pokoju pana Kondelika zabrzmiał głośny głos, targający nici całej dalszej dyplomacji:

— Jeżeli to Wejwara, stara, to powiedz mu, aby do nas przyszedł, gdy znowu będzie jaka noc wenecka.

Pani skamieniała. Wejwara musiał słyszeć.

I nie tylko Wejwara, ale i Pepcia, która w tej chwili schodziła z zakurzoną muchołapką ze strychu.

Trzask! Muchołapka wypadła z rąk Pepci, tłukąc się na tysiąc kawałków, które potoczyły się po schodach, po sieni, aż skorupki padały na sam dół i rozbijając się o schody brzękały cienko i przenikliwie, jakby dzwoniły podczas pogrzebu. W dwóch skokach była Pepcia obok Wejwary, któremu z głośnym płaczem padła na szyję, poraz pierwszy przed matką, ale tym razem bez najmniejszej nieśmiałości. Wszak to może poraz ostatni!

— Betty!—zabrzmiała komenda z pokoju.

Pani musiała pójść do pokoju, podała tylko rękę Wejwarze i szybko szepnęła do niego:

— Lepiej będzie, gdy pan do niego dziś nie pójdzie, niech się wychoruje. Idź pan z Bogiem! Nic pan sobie z tego nie róbc! Pepcia się później ubierze i pójdzie trochę na spacer, może się gdzie spotkacie.

I pozostawiwszy córkę z kochankiem w sieni, zamknęła umyślnie głośno drzwi kuchni i śpieszyła do małżonka.

.

Po tej niedzieli nastąpiło kilka przykrych dla Pepci dni, zdawało jej się, że ją za życia kładą do zimnego grobu. Napróżno uspokajał ją wierny Wejwara, napróżno zapewniał, że każda miłość musi walczyć z przeciwnościami najróżniejszymi, i że właściwie nie byłoby miłości, gdyby nie było takich przeszkód.

Na szczęście trwało cierpienie Pepci tylko tydzień — gąsior pana Kondelika opuścił i zwolna wypogadzało się niebo po burzy.

XIII.

Dalsza przeszkoda.

Mistrz Kondelik chorował, Pepcia płakała, biednemu Wejwarze również dobrze nie było na świecie. Tyrańskie słowa mistrza dotknęły go do żywego. Zdawało mu się, że nigdy nic straszniejszego nie słyszał. Gryząca ironia Kondelika wypalała mu bolesne rany w ciele i w duszy, a łzy płynące z oczu drogiej Pepci jątrzyły boleść jego. Jeszcze nigdy nie był tak skruszony, jak wtedy, gdy Pepcia oparła na jego piersi swą główkę i łkała żałośnie. Jeszcze nigdy nie widział jej płaczącej i nie myślał nigdy, że sam stanie się przyczyną jej bólu. Płacz wstrząsał całym jej ciałem, a Wejwarze zdało się, że zapada się w ziemię. Zatokczył się, aż padł plecami na ścianę sieni, stale trzymając Pepcię w objęciach. Nowy jego surdut na plecach miał deseń szablonu, którym sobie pan Kondelik w dobrym humorze sionkę był ozdobił.

Nareszcie musiał odejść, i schodził jak nieprzy-

tomny, a gdy się znalazł na ulicy, dziwił się, że się tam znalazł szczęśliwie i cały. I to mu przyniosł dzień *dzisiejszy*, *dzisiejszy*, który miał mu dać szczęście żywota!...

Pół godziny chodził Wejwara po mieście, jak błędny, a potem nagle poczuł ulgę. Nadeszła Pepcia, a z jej ukazaniem pojawiła się nadzieja. Pomimo też, że mistrz Kondelik zadał mu cios tak ciężki, pierwsze słowa Wejwary brzmiały:

— Jakże się ojciec pani miewa, panno Pepciu?...

Dwie godziny chodzili razem w okolicy ulicy Jecznej, wzdychając i ręce sobie ściskając, wieczną sobie miłość obiecując, choćby nawet całe piekło ze wszystkimi swemi potęgami, ze wszystkimi dyabelskimi intrygami przeciw nim powstało. W niewinnej, niedoświadczonej, teraz wszakże nad miarę wzburzonej główce panny Pepci mignęła nawet myśl o ucieczce do Ameryki, ale Wejwara, który był w geografii jednak bieglejszy, niż zrozpaczone dziewczę, pomimo, że był przedsiębiorczym turystą, jak wiemy, pośpiesznie zaprzeczył, że o Ameryce nawet myśli być nie może. Jest to daleka, bardzo niewygodna podróż, z wielu trudnościami połączona, on zaś nie mógłby się udać do Ameryki, gdyż wysoki magistrat nie dałby chyba urlopu na tak daleką wycieczkę. Kiedy nareszcie odprowadził ją aż do bramy domu, obiecał święcie, że jutro pod wieczór znów oczekiwać będzie. Pani Kondelikowa ułatwiała córce zadanie, ażeby w porę właściwą mogła Wejwarę

spotkać. Niedobrze byłoby, rozważała jako matka, ażeby nastąpiła pauza. A Wejwarze — ach, temu wybornemu młodzieńcowi mogła powierzyć córkę. Ten jej nie zawiedzie, nie sprzeniewierzy się...

Pan Kondelik po trzech dniach powstał z łóżka i przechadzał się ostrożnie po pokoju, nabrał też lepszego humoru. Kłął co prawda ciągle jeszcze, ale pani Kondelikowa, która już tak długo żyła przy jego boku, dobrze rozumiała, że teraz złorzeczy już tylko, aby złorzeczyć, aby w ten sposób usprawiedliwić swój postępek niedzielny. Czuła, że drogi małżonek czeka tylko okazji, aby jakoś nawiązać rozmowę o Wejwarze. O nie! Tym razem ona nie zacznie! Nie zawiniła, więc poczeka.

I doczekała się.

W piątek wieczorem, kiedy mistrz czuł już taką ulgę, że posłał po pilzeńskie, Kondelik rzekł nagle, po wyjściu Pepci do kuchni:

— A co ten łązega Wejwara robi, że nie przychodzi?

Na to tylko czekała pani Kondelikowa.

Poważnie, i starając się, aby głos jej nie brzmiał nad miarę ostro, odrzekła małżonkowi:

— I ty się pytasz, stary? Po tem, coś mu zrobił w niedzielę, jeszcze się pytasz? Straciłbyś szacunek dla niego, gdyby jeszcze przychodził. Właśnie mnie to cieszy, że się zachowuje wstrzemięźliwie. To jest charakter! czyż może przyjść, gdyś mu prawie drzwi pokazał?

— Ja mu nic nie pokazywałem! — zaczął się srożyć mistrz.

— Kondeliku—rzekła z powagą—ja cię nie obwiniam. Tyś jest panem, głową rodziny, ojcem, musisz przeto wiedzieć, jak się powinieneś i możesz zachowywać. Ja milczę i uznaję za dobre, co uczynisz. Czy sądzisz, że go trzeba było wyrzucać za drzwi, ażeby to zrozumiał? O nie! Takim ludziom dość na słowie, a tych słów było dużo i były ubliżające. Ty masz także swój honor, Kondeliku, tyś był zawsze uczciwym mężem, inaczej nie byłabym wyszła za ciebie, a mój ojciec nie byłby mnie tobie powierzył. Ale gdyby mój ojciec, Kondeliku, rzekł był tobie coś podobnego i gdybyś ty był potem sam przyszedł, wiesz, Kondeliku, tobym była straciła uszanowanie, jakie dla ciebie zawsze miałam. Moja nieboszczka matka mawiała zawsze:

„Betynko, Kondelik jest mężczyzną, jakich mało.”

Co mi się podobało u ciebie, podoba mi się i u Wejwary. Uznałeś za stosowne zerwać, dobrze, Kondeliku. Pan Bóg dał nam tylko córkę, chcę ją widzieć szczęśliwą. Jeśli sądzisz, że los przeznacza ją dla Wejwary, musisz to sam naprawić. On musi czekać, on się nie może zniżyć. On cię przecież w wodę nie wrzucił...

Pani Kondelikowa wiedziała, jak na męża wpłynąć.

— Do wszystkich dyabłów!—zawołał pan Kondelik—com znowu tak straszego powiedział?

Pani Kondelikowa nie ustępowała.

— Wystarczy, Kondeliku, ażeby zrozumiał. Nie

ci nie wyrzucam, tyś miał boleści, jam je czuła razem z tobą, wszak jesteś jedynym moim mężem, a Pepci ojcem. Wejwarze więcej nie było potrzeba. Ma on dla ciebie uszanowanie, Kondeliku, poważa cię, mój Boże, z twoich rąk chciał otrzymać żonę, Pepcię, a żona jest błogosławieństwem bożem, ale taki delikatny człowiek nie może być zrzucony ze schodów, takich ludzi nie wielu jest na świecie.

— No, no, no—wtrącił Kondelik.

— Ja wiem, Kondeliku, on jest dla ciebie małą figurą, ale nie zapomnij, że będzie większym. Tyś także nie był tem, czem jesteś dzisiaj, gdyśmy się pobrali; ale mój ojciec, moja matka, myśmy do ciebie mieli zaufanie, a tyś go nie zawiódł. Niech ci dziś kto wyrównał Jesteś malarzem, jakich niewielu w Pradze.

Panu Kondelikowi było tak, jakby go kto biczował. Ta powaga małżonki rozbrajała go. Nie miał kogo strofować, nie mógł złorzeczyć, oblewała go zimną wodą.

— Chyba za nim gonić nie będę?—bąknął.

— Tego nie mówię, Kondeliku, aczkolwiek nie byłoby poniżeniem, gdybyś mu jakoś zaszedł drogę. Pewno nie czytałeś dziś gazet. Ktoś tam w magistracie umarł, wszystko posuwa się w górę, Wejwara naznaczony został do prezydyum. *Do prezydyum*, Kondeliku! Pracuje pod samym burmistrzem. Panowie z prezydyum są prawą ręką burmistrza, władają całą Pragą. Są więc widoki karyery! Więcej

nie powiem ani słowa, ale to wiem, że Wejwara ma przyszłość przed sobą, a Pepcia miałaby ją z nim razem. On ma swoje dochody, ona ma cokolwiek, gdy się to połączy, można żyć pięknie.

W tej chwili powróciła Pepcia z kuchni, więc pani Kondelikowa umilkła. Spojrzała tylko znacząco na córkę, a Pepcia zrozumiała. Była mowa o *nim*, o Wejwarze.

Mistrz siedział zamyślony. Przecież właściwie lubi on Wejwarę, do wszystkich dyabłów! Czy go ci ludzie nie znają jeszcze? Miał się śmiać, kiedy leżał jak na torturach, i miał błogosławić, że się tak wysypał w Weltawę? Gdy tak siedział i myślał o tem, co mu wzorowa jego połowica powiedziała, postanowił sobie naprawić wszystko zaraz jutro. Jutro wyjdzie, już go prawie nic nie boli. Ma płacić podatki, pójdzie sam do magistratu, jakoś niby przez omyłkę wejdzie do kancelaryi, gdzie siedzi Wejwara—i będzie dobrze.

Jak sobie postanowił, tak uczynił, i w sobotę w południe, po powrocie do domu, rzekł wesoło do żony:

— Betty, wieczorem przyjdzie Wejwara. Spokalkaliśmy się, poprosiłem go na kolację. Zrób dla nas coś smacznego. Przyprawdzą go tutaj ze spaceru...

— To ci się chwali. Bałam się o Pepcię. Tyś dobry człowiek...

Pocałowała go szczerze.

Kondelikowi było ogromnie lekko na sercu.

Czuł, że człowiekowi jest dobrze, gdy drugim czy-
ni dobrze. Pochylił się ku żonie i rzekł:

— Sądzę, że dziś poprosi o Pepcię...

Twarz pani Kondelikowej rozjaśniła się. Szczę-
ście Pepci było zadaniem całego jej życia.

Mistrz Kondelik obszedł po południu robotników,
wszędzie dojrzał, zapłacił im i przed szóstą przecha-
dzał się już obok magistratu. Miał dobry pomysł.
Chciał Wejwarę zupełnie ułagodzić i chciał go po-
prosić na szklaneczkę, nim pójdą do domu.

Tymczasem pani Kondelikowa postarała się
o cielecą szynkę, sałatę w główkach i ogórki, Pep-
cia przygotowywała stół i mieszkanie Kondelików na-
pełnione było uroczystą wonią.

Dziś!

Kondelik byłby nosił Wejwarę na rękach, tak
go cieszyło, że młodzieniec się nie gniewa. Pochwycił
go w ramiona, gdy Wejwara wyszedł z magistratu,
i po kilku słowach zaprosił na szklaneczkę pilzeń-
skiego.

Czyż mogło coś więcej ucieszyć Wejwarę?
Z przyszłym teściem chwila poufnego posiedzenia
i gawędy! Przy pilzeńskim!

Nie skończyło się na jednej, urosło do trzech
i było już po siódmej, gdy wyszli z restauracyi.
Wokoło rozlewał się piękny wieczór czerwcowy, pa-
ra z pilzeńskiego otulała wszystko jakąś różową mgłą,

kręć żywiej krążyła, Kondelik gawędził wesoło, a Wejwara byłby mu za każde ciepłe słowo padł na szyję.

Nawet nie wiedzieli, którędy idą, ale nagle z jakiegoś ogrodu restauracyjnego odezwały się dźwięki muzyki, śpiewu i śmiechu. Mistrz przystanął i rozejrzał się wokoło siebie.

— Co się to dzieje tutaj?

Oczy jego padły nagle na afisz, wywieszony obok bramy.

— Patrz pan, panie Wejwaro, szausonistki! Słyszysz pan?

Wejwara kiwnął głową z uśmiechem.

— Widziałeś pan to kiedy? Dwadzieścia lat już nie byłem, ba, gdzie tam dwadzieścia! Od tego czasu, jakem się ożenił. Chodź pan, posłuchamy chwilkę...

Wejwarze było wszystko jedno, gdzie go teść woła. Byłby za nim poszedł choćby do piekła. Jeszcze dzień był jasny i nikt z obu nie zastanawiał się nad tem, która godzina. Kondelik kroczył żywo, już byli w bramie i za chwilę siedzieli w ogrodzie, bliźutko estrady. na której „śpiewacy” wykonywali swoje „kawałki.”

Mistrz czuł się jak w domu, w najlepszym humorze słuchał, jak śpiewała panna Żany, panna Róża, panna Lora i patrzył na występy komików w maskach, a niezmiernie podobała mu się fisharmonia z towarzyszeniem skrzypiec.

Śpiewano, co prawda, stare kuplety, niezrę-

cznie przełożone z niemieckiego, brak w nich było rytmu i rymu, ale dla pana Kondelika wydawało się wszystko nowem. Tak dawno tego nie słyszał... Wejwara był rozmarzony, nie słyszał tego nigdy.

Czas ubiegał. Nagle z którejs wieży odezwał się głęboki dźwięk dzwonu, Wejwara zerwał się.

— Szanowny panie, dziewiąta godzina.

— Idź pan do dyabła! Zkądby się wzięła..

— Sądzę, że się nie omylił—mówił Wejwara lękliwie i wyjął zegarek—faktycznie, dziewiąta...

— Safraperte, to musimy iść do domu—wyrzekł mistrz, który nagle wytrzeźwiał ze swego rozmarzenia.—Matka czeka na nas z kolacją.

Zapłacił i sapał mocno, gdy wyszli z ogrodu na ulicę. Szli w milczeniu, nikomu nie chciało się mówić. Teraz dopiero przypomniał sobie mistrz szynkę cielecą, sałatę i przed oczyma stanęła mu małżonka, która teraz właśnie drepcze przy kuchni, spoglądając na drzwi, nasłuchując na schodach.

Wejwara szedł obok niego, jak grzesznik. Czy to stosowna chwila, aby wszedł do obcego domu? Póć do dziesiątej? Nie byłoby lepiej czmychnąć?

Kondelik, jakby przeczuwał, o czem Wejwara myśli, chwycił go chwilami za ramię, aby mu nie uciekł i mówił z wymuszonym uśmiechem:

— Dopieroż dostaniemy burę, Wejwaro, oj dostaniemy... Żeś mnie pan też ciągnął na te śpiwaczki!...

Wejwara wytrzeszczył oczy. Na Boga, on go ciągnął? Znowu on?

Kondelik uspakajał jednak młodzieńca:

— No, no, to żart, ale jakoś się tem będzie trzeba podzielić, co od matki dostaniemy... Zresztą nie jest tak późno, jeszcze będzie otwarte, musisz pan dużo jeść, to się matka ucieszy.

Gdy grzeszuicy weszli, pani Kondelikowa stała przy kuchni. Wejwara przy powitaniu wyczuł mroźny chłód, który wionął z tych kilku słów:

— Witam pana, panie Wejwaro.

Całus, którym odplacała powitanie mistrzowi, był suchy, chłodny, jak porcelanowy.

— Czy będziecie jedli? — spytała pani, nie patrząc na nikogo.

— Ależ naturalnie, matko — rzekł pan Kondelik umyślnie głośno. — Dlaczego byśmy nie mieli jeść?

— Bo myślałam, że o godzinie dziesiątej jesteście już po kolacyi...

Pan Kondelik ocierał spocone czoło.

— No, no, Betty, tak późno jeszcze nie jest. Podaj tylko, podaj tylko na stół. Głodni jesteśmy, jak wilki, prawda, Wejwaro? A czy piwo jest w domu?

— Jest — odrzekła — ale już chyba podobniejsze do polewki.

Panowie weszli do jadalni, gdzie stół był nakryty, a na stole dominowała sałata, przygotowana jeszcze o siódmej godzinie; w koszyczku wysychał chleb, pokrajany z wieczora.

Oczy Wejwary napróżno szukały żywej istoty w pokoju — pokój był pusty.

Pani Kondelikowa podała półmisek z pieczenią, postawiła go, nie rzekłszy ani słowa i sama nic nie jadła. Była bardzo obrażona. To zrobił małżonek, gdy znowu miał przyjść konkurent i gdy miał być święcony dzień zgody i zaręczyn! Kto wie, gdzie chodzili!

Długą chwilę jadt pan Kondelik, nagle sobie coś przypomniał:

— Gdzie jest Pepa?

— Poszła spać, już nie czekałyśmy na was.

Pan Kondelik milczał, a Wejwarze było, jakby mu w serce igły wbijano. Jest tu, jest blisko niej, dzieli go od niej mur na pół cegły—i nie ujrzy jej. Poszła spać. Jak ona może spać w tej chwili!

Ale Pepcia nie spała. Musiała jednak usłuchać matki, zagniewanej na bezwzględność tatki i rozżalowanej po raz pierwszy słabością Wejwary.

Pani Kondelikowa miała jednak serce. Gdy spostrzegła, że obaj dość mają kary, poszła niby po córkę i przyprowadziła ją do pokoju. Wdzięcznie spojrział na nią Wejwara, a gdy mistrz Kondelik wyszedł do sypialni, aby przynieść cygara, podszedł Wejwara szybko do pani matki, pocałował ją gorąco w rękę i trzymając ją w swojej, błagał:

— Szanowna pani, przebaczenia, jam temu nie winien.

— Ja wiem, panie Wejwaro, że nie pan — odpowiedziała pani i powoli topniała.—Ale jednak mógł pan staruszkowi przypomnieć, że się to tu smaży, że wszystko wysycha i że czekamy...

Do zaręczyn nie doszło tego wieczoru, a gdy Wejwara o północy odchodził smutny, że tak zakończył się dzień, sięgnął bezwiednie do kieszeni, czy ma tam puzderko z pierścionkiem dla Pepci, ścisnął je i przez całą drogę gryzła go myśl:

— Nieszczęśliwy pierścionek! Nie mogę się go pozbyć! Nie mogę doprowadzić do tego, abym go włożył na palec Pepci... Przeszkoda goni przeszkodę! Niech dyabli wezmą wszystkie śpiewaczki!

XIV.

W dzień zaręczyn.

Po fatalnej sobocie, kiedy pan Kondelik zawłókł Wejwarę „na śpiewaczki,” przebudził się piękny poranek niedzielny, ale u Kondelików było jakoś mglisto! Pani Kondelkowa nie mogła zapomnieć wczorajszego przewinienia. Starala się przecież, biegala z Pepcia, ażeby przynieść wszystko na kolację — (niech mąż spróbuje kupić w sobotę po południu dobrą, młodą, cielecą szynkę, gdy w sklepach rzeźniczych myje się tylko i sprząta, kiedy wszystek towar jest w piwnicach). Jest to rzecz na pozór prosta, zwykła, ale trzeba się nakłopotać! Tylko gospodyni może to znać, tylko gospodyni wie, co to znaczy, gdy powie pan małżonek w sobotę po południu: wieczorem przyprowadzę ci gościa! No, niechby

się to stało kiedy indziej, nicby nie mówiła, ale wczoraj, wczoraj, kiedy kolacya miała być przegrywką do zaręczyn, uroczystością rzadką w każdej rodzinie, u nich zaś, u Kondelików, wydarzyć się może raz tylko w życiu i nigdy więcej! Jedną córkę mają, raz mogą być zaręczyni! A on sobie chodzi, Bóg wie gdzie...

Gdyby przynajmniej wiedziała, gdzie chodzili! Wczoraj się Kondelika nie pytała. Po pierwsze dlatego, że jako obrażona miała prawo, aby on jej to powiedział bez pytania; po drugie dlatego, że badaniem przed Wejwarą nie chciała małżonka zawstydić; po trzecie, aby konkurenta nie odstraszyć, że także Pepcia kiedyś za przykładem matki będzie domowym inkwizytorem, sędzią czynów małżonka. Po odejściu Wejwary nie mogła się zaś pytać, bo się już do Kondelika nie odezwała. Ale gdy się mistrz gotował już do snu, gdy chodząc po sypialni, odkładał części ubioru, mruczał sobie jakąś dziwną melodyę, ba, chwilami wymówił i kilka słów piosenki, wtedy rzecz stała się bardzo dziwną, zagadkową. Zaniepokoiła ją ta dziwaczna piosenka. Gdzie Kondelik ją słyszał, a słyszał w towarzystwie Wejwary?

Zrana więc panowało u Kondelików milczenie. Pani wstała i bez zwykłego „dzień dobry, staruszkul” śpieszyła do kuchni, ażeby ugotować śniadanie.

Pepcia chodziła z oczyma spuszczone, prze-czuwając, że między rodzicami coś zaszło.

Pan Kondelik udawał, jakby o niczym nie wiedział. Mydlił się, golił, pogwizdywał sobie.

Nie myślał przytem, jak starannie pani śledzi każdy jego ruch i nie zauważył, jak się przysłuchiwała, gdy zaczął gwizdać. Znow ta dziwaczna, zagadkowa melodya! Gdyby był tylko gwizdał! Lecz mistrz zapomniał naraz, że nie jest sam i zanucił półgłosem i z jakąś rozkoszą: „O Matyldo, tyś moją miłością!”

W Kondelikowej drgał każdy nerw, złowieszcze przeczucie nią owładnęło. To nie jest piosenka z winiarni, gdzie siada Kondelik z samymi poważnymi mężami, ani mu tego nie śpiewał żaden budowniczy. lub właściciel domu, gdy oddawał dom do malowania! Zresztą byłaby słyszała już dawniej kiedyś. Ale to jest piosenka od wczoraj, kiedy zapomniał Kondelik o żonie, o dziecku, i tułał się, Bóg raczy wiedzieć gdzie, w towarzystwie — nawet mówić nie chciała, w jakim towarzystwie. I to z Wejwarą!

Ale jeszcze się opanowywała i czekała, aż małżonek skończy, a potem wsunęła głowę do sypialni i chłodno oznajmiła:

— Kawę ci postawiłam na stole.

Kiedyindziej mawiała: „Staruszk, na śniadanie! Niech nie ostygnie!” Ale dziś rzekła bardzo lakonicznie.

Pan Kondelik w czystej bieliźnie wchodził do jadalni i jeszcze przy samym stole wygwizdywał ostatnie takty nieszczęśliwej melodi.

Małżonka była jak na torturach. Gdy już mistrz wypróżnił do połowy filiżankę, odezwała się pani Kondelikowa:

— Teraz mi powiedz, Kondeliku, gdzieście to wczoraj z Wejwarą chodzili?

Powiedziała to głosem suchym, chłodno i w taki sposób, że pytanie nie mogło pozostać bez odpowiedzi.

Pepcia dawno dopiła kawę i usunęła się z pustą filiżanką do kuchni.

— No, gdzieśmy chodzili—odparł Kondelik wymijająco—gdziebyśmy chodzili? Na szklaneczkę piłzeńskiego zaszliśmy.

— Na jedną?—nacierała pani.

— Dwie były — okłamywał Kondelik, chociaż byłoby lepiej, gdyby się był przyznał raczej do dziecięciu.

— Dwie szklanki do dziesiątej godziny?

— Nie, nie trwało to tak długo—cedził mistrz powoli. — Potem szliśmy do domu, a tu w pewnym ogrodzie śpiewali i grali. Więc Wejwara...

— Co, Wejwara? — przerwała pani. — Wejwara cię tam zaprowadził?

— Ależ nie. Wejwara poszedł tam ze mną — dopełniał mistrz.

— Rozumie się, żeś ty go prosił.

— No, tak.

— I co to było?

— No, śpiewaczki tam były, a że Wejwara tego jeszcze nigdy nie widział, więc weszliśmy tam na chwilę. A gdy była dziewiąta, powiada Wejwara, że czas już do domu, więc poszliśmy. Co ty ciągle mówisz o dziesiątej godzinie!

— Na śpiewaczki poszliście?—powtórzyła pani z naciskiem, jakby nie dowierzała własnym uszom, a kiedy na nią mistrz spojrział, zdawało mu się, że tak musiał wyglądać anioł, który wyprowadził Adama i Ewę z raju.

— No, na śpiewaczki! Cóż w tem jest złego?—odważył się teraz trochę raźniej, aby odeprzeć napad.

— Ty się pytasz, co w tem złego, Kondeliku?— rzekła chłodno. — Ty tego nie pojmujesz? Powiadasz, że tego Wejwara nigdy nie widział, wierzę, i dobrze, że tak jest, bardzo dobrze. A tyś uznał za stosowne pokazać mu to w chwili, gdy się ma zaręczyć z naszą Pepcią? Gdyby to byli sami śpiewacy, ale tam są także śpiewaczki! Nie przerywaj, ja to wiem, przecież na afiszach... One mają krótkie suknie i siatkowe pończochy i śpiewają różne dziwne piosenki i podnoszą nogi w górę, a nie mają na sobie żadnych płaszczów i strzelają oczyma po mężczyznach—i tam ty wodzisz Wejwarę? Przyszły teść przyszłego zięcia? On nie powinien myśleć o niczem więcej, jak tylko o naszej córce, a ty mu pokazujesz śpiewaczki? Dobrze słyszałam, że nie mogłeś zapomnieć tych piosenek. U ciebie na tem się skończy, ale czy myślisz, że to na Wejwarę nie mogło mieć wpływu? Z pewnością także całą drogę powtarzał te kuplety o Matyldzie! Nie tylko, że mnie zostawiasz w domu z cielecą szynką przy kuchni, ale jeszcze na dobitkę niedoświadczonego młodzieńca oprowadzasz? Ja się smażę, sos wysycha, Pepcia chodzi po pokoju mało oczu nie wypłacze, a wy so-

bie siedzicie na koncertach. Nie wytlómaczysz się z tego postępuku...

— Ależ, Betty — zerwał się mistrz — że też mi nie dasz przyjść do słowań! Te dziewczyny były szpetnel

— To przypadek, Kondeliku — mówiła dalej pani twardym głosem. — A co byłoby, gdyby Wejwara chciał się przekonać, czy gdzieindziej niema ładniejszych? I ty to czynisz wtedy, gdy powinienes przed Wejwarą wyglądać poważnie, jak król, nie ojciec, który mu na całe życie powierza córkę, on powinien wobec ciebie uczuwać respekt, strach nawet...

— Strach będzie miał przed tobą, Betty — wyrwało się panu Kondelikowi — po co ja mam go jeszcze napędzać! Na strach są teściowe, nie teściowie...

Wielka to była odwaga ze strony mistrza mówić w ten sposób teraz, kiedy przecież nie było wątpliwości, że zawinił i że siedzi przed sędzią, przez Boga mu ustanowionym. Ale już się stało i pani umilkła zdziwiona.

Niewinne to słówko, które jej mistrz cisnął, przerywając prąd wymowy, było dla niej wstrętne. Zdobyła się tylko na jeden wyraz:

— Kondelikul

— No dobrze, Betty — ciągnął mistrz, czując, że teraz nabiera przewagi. — Powiedziałaś mi, coś chciała, a gdy przyjdzie Wejwara, oddam mu połowę, która jemu się należy. Niech wie, jak małżeństwo wygląda przed i za kulisami. Jeszcze od nas

nie nie dostał, jeszcze się niczem nie zobowiązał, jeszcze jest sobie panem, więc może pójść, choćby na śpiewaczki, kiedy mu się będzie podobało. Dopiero otworzy oczy, gdy wszystko postyszy.

— Ty mu nie powiesz nic, Kondeliku — rzekła pani łagodniej.—Co trzeba, powiem sama. Ty przemówisz dopiero, gdy będzie chodziło o Pepcię. Skończymy to dziś wieczorem. Mam nadzieję, że jako rozumny małżonek i ojciec, będziesz mnie w tem popierał. O wczorajszym wieczorze zapomnijmy, ale dzisiaj należy do nas, do mnie i do Pepci.

— Dlaczego tego nie powiedziałaś na wstępie, oszczędziłaś mi niedzielnego kazania — rzekł pan Kondelik.

— Uwagi dobrej żony i sumiennej matki nigdy nie są zbyt cenne, Kondeliku, a teraz mógłbyś zajść do Wejwary, ażeby po obiedzie przyszedł do nas. Dzień jak wymarzony, pójdziemy na spacer.

Pan Kondelik był zadowolony, że się tak skończyło, ubrał się i poszedł do Wejwary.

*
*
*

Po godzinie drugiej Wejwara był już u Kondelików. W kieszeni na piersi przyniósł futerałik z pierścionkiem dla Pepci.

Pani Kondelikowa była już znowu jak cukierek. Witaa uprzejmie Wejwarę, na którego obliczu ciągle jeszcze malowało się nieczyste sumienie i wytuszczała swój program:

— Teraz pójdziemy ładnie, wolniutko na spacer, sędzę, że najlepiej do ogrodów chotkowskich, a ztamtąd do Panoramy, radabym tam posiedziała. W Panoramie zjemy podwieczorek. Miejsce to ogromnie lubię, chodziłam tam jako panna, z Kondelikiem (miłośnie rzuciła okiem na małżonka) i z rodzicami, rozumie się. A potem, pomalutku, powrócimy do domu i czego wczoraj nie zrobiliśmy, to wynagrodzimy sobie dziś. Zgadza się pan na to?

Wiedziała dobrze, co prawda, że nie będzie oponował, ale udawała tylko projektodawczynię, aby się za nie w świecie nie zdawało, że mu coś narzuca. Niech wie, że i w domu będzie panem. Wszak Pepcia się później urządzi jak będzie potrzeba.

— No, a wieczorem—dodała—wieczorem przyjdzie do nas ciocia Urbanowa, zna ją pan, widział pan ją tu raz, jest to poczciwa dusza, poprosiłam ją, aby nam było weselej.

Wiedziała pani Kondelikowa, poco prosiła ciocię Urbanową. Do jutra do południa rozniesie po całej ulicy Jecznej i w całej okolicy Nowego Miasta, że Pepcia zaręczona.

Matki bardzo się cieszą, gdy świat wie, że córki ich są zaręczone. Są przekonane, że je to w oczach sąsiedztwa podnosi jako kobiety, które wypełniły w ten sposób ziemskie swoje zadanie.

— Ażeby i pan miał kogoś ze znajomych, posłałam bilet przyjacielowi pańskiemu, panu Sławickowi. Wiem, jak pan go lubi, panie Wejwaro, i jak on panu dobrze życzy. Przy takiej okazji do-

brze jest, gdy się znajduje jeszcze ktoś oprócz rodziny.

Pan Slawiczek był kolegą Wejwary, trochę młodszy i w awansie daleko w tyle, dotąd służył jako kancelista. Czasem mignął w ogrodzie Mieszczkańskiej besedy i nieśmiało ukłonił się rodzinie Kondelików, w której starszy i szczęśliwszy towarzysz zarezerwował sobie miejsce. Pani Kondelikowa dotąd nie uznawała za stosowne młodzieńca tego jakoś zbliżyć do kółka rodzinnego, był dla niej zbyt młodym, niedoświadczonym, ale dziś można go prosić. Niech widzi pan Slawiczek, w jaką rodzinę wchodzi jego kolega Wejwara, i wogóle niech widzi, że Wejwara ma już obowiązki.

Pani Kondelikowa była dyplomatką. W każdym razie będzie to akt publiczny, a nigdy nie wiadomo, co się stać może. Wobec dwóch świadków sprawa nabiera pewności.

U Kondelików wszyscy już byli przygotowani do spaceru. Pepcia w żakieciku, tylko kapelusik włożył na głowę. Pan Kondelik sarkał trochę w duchu, że go pozbawiają znowu niedzielnej drzemki po obiedzie, ale również był ubrany — więc po filiżance czarnej kawy wybierano się w drogę.

Jeszcze trochę krętaniny, tu parasolka, tu chusteczka, pan Kondelik szukał laski i chustki do nosa.

-- Parasol wciąć trzeba na wszelki wypadek — przypomniała sobie nagle Kondelikowa.

Pepcia weszła do mieszkania, za nią tuż Wejwara.

— Proszę, niech pani idzie za mamusią, ja go znajdę—mówił i szperał po kątach.

Pepci było w żakieciku gorąco, chętnie szła na powietrze, a matka, która była o piętro niżej, zawołała:

— Więc chodź, chodź, Pepciu, w mieszkaniu udusiłby się człowiek!

Po schodach szeleściły suknie obu dam.

W sionce przed mieszkaniem przechadzał się pan Kondelik, dymiąc cygarem i wyglądając otwartym oknem na podwórze. Już chwilę na nic nie zwracał uwagi, gniewny, że wyprawa trwa tak długo. Nareszcie ucichło wszystko wokoło niego i na schodach. Nawet tego nie zauważył, gdy nagle z dołu odezwał się głos.

— Chodź, staruszkul

Mistrz zakręcił kluczem w drzwiach kuchni, jeszcze raz się przekonał, czy dobrze zamknięte i schodzić zaczął szeroko ze schodów.

Schodził powoli, sień domowa była już pusta, a gdy wyszedł z bramy, dojrzał tylko, jak małżonka i córka skręcają na rogu w inną ulicę.

Zatrzymał się jeszcze w trafice, napełnił sobie cygarnicę i ciężko kroczył za rodziną.

Dogonił ją dopiero na placu Karola, prawie przy ulicy Spalonej.

— Dlaczego tak biegniecie?—wołał niezadowolony. — Nie pali się przecież. O mało nie poszedłem koło wieży, migają się tam takie same suknie...

— A gdzie Wejwara?—pytała pani.

— To dobre!—gniewał się mistrz.—Gdzie Wejwara! On poszedł dawno przede mną, oto skutki waszego uciekania. Napewno poszedł za temi obok wieży! Pomyliłyście nam szyki.

Pani Kondelikowa stanęła.

— Przecież, staruszk—rzekła niewesoło—myślałam, że idziecie razem, jak my obie...

— Gdzie jego nogi, a gdzie moje — odpowiedział mistrz gniewnie.

— Nie można pozwolić, ażeby biegł na próżno, staruszk—prosiła pani. — Pójdziemy tu oto dalej, a ty idź Wodickową, dopędzisz go i na bulwarze się spotkamy, lub przy moście.

Mistrz nie odpowiedział. Był zły, że się to tak pokrzyżowało, wykręcił się i bez słowa skierował się ku ulicy Wodickowej, obok wieży Nowomiejskiej.

Smutna szła pani Kondelikowa śpiesznie dalej, obok niej Pepcia, nawet nie mruknąwszy. Nie mówiła nic, aby mamusi nie dodawać złego humoru. W duchu potakiwała tym razem tatce; mamusia rzeczywiście powinna była zaczekać, aż się wszyscy zejda. Nieborak Wejwara, za kim on biegnie!

Na bulwarze tatki nie było. Ale przy moście Karola stał czerwony cały od szybkiego chodu, w lewicy trzymał kapelusz, a prawicą ocierał z czoła pot, który coraz nowemi strużkami spływał mu z czoła. Stał sam—Wejwary nie było.

— Nie dogoniłeś go? — spytała pani Kondelikowa prawie ze strachem.

— Chybabym ducha wyzionął! To twój „aranżma.” Uciekacie, ja biegnę za wami na lewo, on na prawo. Miałem go ciągle przed sobą, ale na trzysta kroków, jak na manewrach. Gdzie on już jest! Biegł naprzód, narwaniec! Żeby tylko miał rozum i poczekał w ogrodach Chotkowskich, może pobiegnie aż do Gwiazdy!

W ponurem milczeniu kroczyli wszyscy troje naprzód.

Pepci zbierało się na płacz, ale tłumiała go w sobie. Nie chciała jeszcze więcej gniewać ojca i niepokoić mamusi.

Wdrapali się pod górę do ogrodu. Przeszli je wzdłuż i wszerz dwa, trzy razy, Wejwary niema. Było dawno po czwartej, kiedy skierowali się do Panoramy. Mistrz obszedł wszystkie stoły—po Wejwarze ani śladu.

Teraz już Pepcia nie wytrzymała i siedząc nad szklanką kawy i mieszając cukier, lała łzy, jak groch prosto w szklankę. Pani Kondelikowej chciało się również płakać.

O siódmej przyjdzie ciotuchna Urbanowa, przyjdzie pan Slawiczek, a główna osoba, Wejwara, konkurent i narzeczony, zniknął na dobre. To nie do uwierzenia, rzecz niepojęta. Niechby poszedł, kto rędy chciał, jużby tu być powinien, gdyby nawet obszedł całą Pragę. Jak żyje, nie piła pani Kondelikowa kawy tak gorzkiej. Ciocia Urbanowa wszystko rozniesie, ładna będzie historia.

Pepcia nie mogła usiedzieć. Do domu, do domu, aby ukryć swój ból, zawód, płacz.

Matka ją rozumiała. Po dalszem, godzinnem oczekiwaniu, Kondelik zapłacił za kawę i podniósł się z krzesła.

Więc dlatego nie spał, dlatego poświęcił poobiednią drzemkę! Rad byłby zaklął, ale kiedy spojrzął na żonę i córkę, o władnęło nim współczucie i miłczał.

Okolo szóstej byli na rogu ulicy Jecznej; pan Kondelik sięgnął do kieszeni i podał małżonce klucz od mieszkania.

— Idźcie naprzód, ja zajdę sobie na szklanekę piwa...

Pani Kondelikowa schwyciła go za rękę.

— Nie, nie staruszkule, chodź z nami. Nie możesz teraz od nas uciekać, przyjdzie Urbanowa, Sławiczek, musisz być w domu, musimy to przecież wyjaśnić. Proszę cię, dziś nie chodź nigdzie, albo i ja także nie pójdę do domu.

Mistrz dał się nakłonić i nie odezwaawszy się nawet słowem, poszedł naprzód, a damy za nim. Był to powrót równający się powrotowi po nieszczęśliwej bitwie. Gdzie ten nieszczęśliwy Wejwara?

Kondelik otworzył drzwi kuchni, wszedł do pokoju i stanął na progu, skamieniały z przerażenia. W mieszkaniu znajdował się obcy człowiek. Przerażenie mistrza zmieniło się w szalony przestach. Na kanapie, jak Jeremiasz na gruzach Jerozolimy, siedział—Wejwara. Ręce jego bezwładnie spoczywały

na rodzinnem albumie, w którym przewracał kartki aż do zmęczenia, a gdy zaszelecił klucz we drzwiach, podniósł oczy z fotografii Pepci, na którą dotąd, jak zahypnotyzowany spoglądał.

— Wejwaro! — zawołał mistrz Kondelik — do wszystkich dyabłów, jakim sposobem pan się tu dostał?

Oczy Wejwary spoczęły na twarzy Kondelika, a miały wyraz bolesny i pełen były wyrzutu, więc odparł żałośnie:

— Przecież mnie szanowny pan raczył zamknąć...

Pepcia nie wierzyła własnym uszom. Jakto, kochany Wejwara tutaj? I zapomniawszy o wszelkiej etykiecie, skoczyła do pokoju, ażeby się na własne oczy przekonać.

— Panie Wejwaro! — wykrzyknęła radośnie i chwyciła obiema rękami jego prawicę.

Pani Kondelikowa była jak we śnie. Śpieszyła za córką, ujrzawszy Wejwarę, spojrzała na małżonka i rzekła tylko dwa słowa:

— Ależ Kon-de-li-kul!

Lecz jak je rzekł! Było to tysiąc strzałów, wypuszczonych na głowę nieszczęśliwego małżonka.

— Do wszystkich dyabłów—wyrwało się z ust mistrza—coś pan tu robił?

— Poszedłem szukać parasola, jak mi szanowna pani poleciła.

Pan Kondelik tak był zmieszany, że się teraz

na nic innego nie mógł zdobyć, jak tylko na zapytanie:

— No i znalazłeś pan go?

— Nie znalazłem, szanowny panie — brzmiała równie mądra odpowiedź.

— Toś się popisał, Kondeliku! — zawołała jeszcze pani, ale już brała w niej górę radość z odzyskania narzeczonego, dodała więc z pośpiechem:

— No, ale skoro pan jest między nami, panie Wejwaro, to już dobrze. Ileśmy strachu przeżyli, nie wiedząc gdzie pan się podział!

I zwracając się do córki, rzekła:

— Teraz trzeba wszystko doprowadzić do porządku, goście mogą przyjść za chwilę.

Pepcia zrzuciła już kapelusz i zdejmowała z siebie żakiet. Zapomniała o wszystkim, szczęśliwa, że Wejwara jest na świecie.

XV.

Przemówił.

Pepcia najchętniej byłaby usiadła obok Wejwary na kanapie, ażeby sobie wynagrodzić wszystkie cierpienia poobiednie, i chętnie głaskałaby mu włosy i czoło, ażeby i jemu wynagrodzić godziny, które tu spędził w więzieniu. Ale mamusia pędziła ją do kuchni. Trzeba napalić, wytrzeć talerze, do stołu na-

kryć, wieczerzę przygotować, a to dużo wymaga pracy! Godzina szósta, Kasi ani śladu, ach, czyż taka dziewczyna przypomni sobie o obowiązkach, kiedy ma wychodnią. Szczęście, że przyszło pani Kondelikowej do głowy, ażeby sobie gąskę już w południe trochę podpiec. Do 8-ej będzie wszystko gotowe.

— Tak, tak, Pepciu — mówiła pani Kondelikowa w kuchni, podpalając całym numerem starej gazety przygotowane już drzazgi i drobne drzewka — musisz się trochę pokręcić. Uważaj, aby wszystko błyszczało, zanieś sobie to zwolna do pokoju, weź ten duży, nowy obrus adamaszkowy, wytrzep z niego lewandę, dasz po dwa talerze, będzie nas sześcioro, pod spód, na gęś, te różowe, na wierzch, na ozór — modre. Wytrzyj solniczkę i wsyp świeżej soli, zrób to wałeczkiem, aby nie była gruba, postaw młynek z pieprzem. Sałata i ogórki są w spiżarni, trudna rada, kiedy Kaśka nie idzie, musisz mi obrać garnek ziemniaków. Tak...

Pani Kondelikowa trochę ciężko powstała z podłogi i posuwając na blasze garnki z wodą, mówiła dalej:

— Dobry sobie ten ojciec! Dotąd kolana drżą podemną. Z tem nie można się wygadać przed ciocią! Wejwarze szepnij, by o tem także nie mówił, tacie powiem sama. Ńo, no! zamknął go w mieszkaniu! Ja nie wiem, eobym zrobiła, chyba wyskoczyłabym oknem...

Pepcia płonęła z pośpiechu. Naczynia brzękały i dzwoniły w jej rękach, na stole skakało wszystko.

— Uważaj tylko, Pepciu — napominała ją mat-

ka.— Nic nie potłucz, byłby to znak niedobry. Nieborak Wejwara, mógł sobie tu paznogie z nudów poogryzać. To się udałol. No, dzięki Bogu, że się tak skończyło. Toby ciocia była biegąła, jak kot z pęcherzem, że nam zginął narzeczony!...

Pepcia nie odpowiadała. Jeszcze biło jej serce z tego wszystkiego, głównie zaś z radosnego przeżyczenia, gdy znalazła Wejwarę w domu.

Tymczasem pan Kondelik w sypialni zrzucił odzienie i wdziewając czystą, suchą koszulę, wołał na Wejwarę w środkowym pokoju:

— Ale ładnie pan nas wyszykowałeś, Wejwaro! Pozwalasz się zamknąć, a ja pana gonilem po całej Pradze, omal ducha nie wyzionąłem. Chodź pan zobaczyć, jaką mam koszulę. Pan miewasz dziwaczne żarty.

— Ależ, proszę pana—bronił się Wejwara, prawie nadąsany—raczy pan wybaczyć, chyba się nie pozwolił zamknąć umyślnie?... Ja tu użyłem tyle strachu...

— A myślisz pan, że mnie z temi kobietami było wesoło?—mruczał pan Kondelik. — Czemuś pan nie krzyczał, kiedym zamykał drzwi?

— Nie słyszałem, szanowny panie — odparł Wejwara.

— A czemuś pan nie walił w drzwi?

— Pukałem do drzwi, szanowny panie, ale wtedy raczył pan już być daleko, w domu było, jak w grobie.

— Hm! wtedy biegłem już za panem, jak w re-

kordzie—mruczał Kondelik. — Trzeba było krzyczeć oknem na ludzi...

— Nie było tu nigdzie żywej duszy, proszę pana—mówił żałośnie Wejwara.—A potem, proszę pana, w obcym domu obcy człowiek, coby ludzie pomyśleli? — Byłby musiał przyjść ślusarz możeby byli zawołali strażnika, zbiegowisko ludzi—więc wolałem siedzieć...

— Co prawda było tu panu lepiej, niż mnie — zauważył Kondelik, wychodząc ubrany z sypialni. — Mogłeś pan się przynajmniej ładnie przespać...

— Czyż byłbym mógł zamknąć oczy, szanowny panie?—odpowiedział Wejwara z wyrzutem.

— Pan nie spałeś? — dziwił się Kondelik. — Widzisz, młodzieńcze, gdybyś pan mnie był zamknął, byłbym się wspaniale przespał...

Pepcia weszła do pokoju ze stosem talerzy, Wejwara ucieszył się, że jej wejście przerwało rozmowę z panem Kondelikiem. Wydawał się samemu sobie rzeczywiście winowajcą, tak go pan Kondelik zbił z tropu.

— Niech tatko idzie do mamusi — mówiła Pepcia, stawiając talerze na kredensie.

Ledwie ojciec wyszedł, Pepcia jednym susem znalazła się obok Wejwary.

— Nie gniewa się pan na nas?...

— Mój Boże, panno Pepciu, czy się pani nie gniewa?—i pochwycił ją za rękę.

Pepcia spojrzała miłośnie na Wejwarę i szybko mówiła:

— Proszę, niech pan o tem przed gośćmi nie mówi, aby nie było komentarzy.—Drugą ręką sama chwytając Wejwarę i spuszczając oczy mówiła prawie szeptem:

— Tak czekałam na ten dzień dzisiejszy, gotowa byłam prawie płakać z radości, że się to dziś już skończy, a tymczasem znów ta ostatnia przygoda...

— Przecież ja chciałem, Pepciu najdroższa — rzekł Wejwara—przecież poto przyszedłem...

— Co więc panu przeszkadza, mój kochany?...

Była przytem, jak malina, i jej małe uszki płonęły.

— Sądzi pani, panno Pepciu, że mogę — jękał się Wejwara, którego krew także powoli wrzeć zaczęła—że... że mogę po tym fatalnym dniu wczorajszym? Mogę się odważyć?

— Owszem, owszem, Wejwaro drogi — mówiła Pepcia szczęśliwa, że może go ośmielić. — Może pan myśli, że Bóg wie co było, ależ nic, niech mi pan wierzy, nic, to już dawno skończone. Przecież mamusia wie, że to tatko...

— Mamusia wcale się nie gniewa?

— Jakże mogłaby się gniewać, kochanie! N pana?

— A pani zgadza się, panno Pepciu? — pytał jeszcze Wejwara.

— Wejwaro! — rzekła Pepcia prawie z wyrzutem.

— Dobrze zatem! — odetchnął Wejwara, które-

mu przebiegł dziwny dreszcz po ciele, i podniósłszy rękę Pepci do ust, pokrywał ją pocałunkami.

— I niech pan nie czeka — szeptała Pepcia — aż przyjdzie ciocia i pan Sławiczek. Dotyczy to tylko nas, Wejwara, mnie i pana... Spaliłabym się przed obcymi!

W tej chwili jednak powstała w Pepci obawa, że możeby się Wejwara przed ciocią i panem Sławiczkiem jednak nie zdecydował.

— Tak, Pepciu... dobra, dobra duszyczko...

Wejwara uznawał, że ma Pepcia rację, i od tej chwili był, jak na szpilkach. Oby tylko teraz nie zabrzmiał dzwonek, oby tylko nikt nie przyszedł.

Nie uniknął strachu. Nagle brzęknął dzwonek, jak na kolei, ale dzięki Bogu, była to tylko Kasia.

Pepcia kręciła się po jadalni, jak wiatr, ażeby skończyć z nakrywaniem. Pan Kondelik powrócił z kuchni, za nim wkrótce przyszła jego małżonka, zostawiwszy na chwilę kłopot o kuchnię i piecyk Pepci, która już skończyła swą pracę w pokoju. Wszystko było w porządku, gaska się dopiekała, Kasia pluła sałatę, a potem pójdzie po piwo.

Teraz, teraz nastąpiła chwila właściwa, osądził Wejwara. Wolałby wprawdzie mieć przy boku Pepcię, ażeby jej spojrzenia dodawały mu odwagi, ale czuł, że właściwie nie powinna się tu znajdować. Jego słów powinni wysłuchać tylko rodzice.

Pani Kondelikowa poprawiała to jakiś talerz, to przybór, pełna niepokoju, jakby przeczuwając, że nadchodzi chwila stanowcza.

Wejwara spojrzął na zegar, zbliżała się 7-ma. Najwyższy czas. Zdecydował się nagle, podszedł ku pani Kondelikowej, pochwycił ją za prawą dłoń, pocałował i zapytał:

— Pozwoli mi, szanowna pani, wyrzec kilka słów? Raczy pan pozwolić, szanowny panie?—zwrócił się do pana Kondelika.

Pani Kondelikowa zapała oddech w piersi, odjęła łagodnie dłoń od ust Wejwary i w błogim niepokoju pobudzała młodego człowieka:

— Niech pan mówi, panie Wejwaro...

— Szanowny panie i pani — mówił Wejwara, a głos jego drżał. — Kiedym poraz pierwszy ujrzał Pepcię i panią, szanowna pani, czułem, że pewnego dnia...

Wejwarze niezmierne zakłopotanie i wzruszenie ścisnęło gardło. Przed oczyma coś migotało, że już tylko niewyraźnie rozeznawał postacie małżonków przed sobą. Potrzeba było całej energii, ażeby mógł mówić dalej:

— Szanowna pani, dzień ten... nadszedł dziś. Po wszystkich dowodach życzliwości, których doświadczyłem od pani, a mianowicie od pana, szanowny panie, (pan Kondelik w chwili tej spuścił oczy i w kłopotcie wyjmował chustkę z kieszeni), a mam nadzieję, że i panna Pepcia mnie lubi, wszystko to dodaje mi odwagi, bym państwa zapytał, czy zechcecie państwo powierzyć mi ją na całe dalsze życie, ją bowiem... ją bowiem... ją bowiem kocham, że bez niej żyć nie mogę, i szczęśliwym będę, gdy znajdę

w was, szanowni państwo, drugich, kochanych rodziców...

Dalej nie mógł Wejwara mówić. Pochylił się do ręki pani Kondelikowej i znów ją pocałował, potem chwycił za rękę pana Kondelika...

— Mnie pan nie kęśaj, panie Wejwaro—bronili się pan Kondelik, trzępiąc dłonią w powietrzu. — Wszak my ją panu damy. To jest matka, ona ma także głos, a potem Pepcia...

Pani Kondelikowa długo cieszyła się na tę chwilę, ale że Wejwara tak pięknie powie, tego się nie spodziewała. Miauowicie ostatnie jego słowa „drugich, kochanych rodziców”, ogromnie ją wzruszyły. Owszem, matką była ona, o tem wiedziała, a w jej sercu dość było miejsca, by była matką podwójną. Oczy jej rozplywały się w potopie łez, pochwyciła więc prawicę Wejwary i przycisnęła ją do serca, do piersi. Wejwara cały był pomieszany tą szczerością.

— Panie Wejwaro—mówiła pani—myśmy pana także poznali i mam nadzieję, że dobrze. Jesteś pan pocziwym człowiekiem i szedłes pan zawsze prostą drogą. Zostań pan takim ciągle, zaufanie do nas zachowaj na zawsze. Skoro jest to wola bożą, i tatko się zgadza, więc panu Pepcię damy. Dobra córka—będzie dobrą żoną. Sądzę, że będzie pan zadowolony. Prawda, Kondeliku, że to twoja wola?...

— Ależ rozumie się...

Pani Kondelikowa puściła Wejwarę, pośpieszyła do drzwi i wołała do kuchni:

— Pepciu, chodź tu!

Zaczerwieniona, jak piwonია, weszła Pepcia nieśmiało i, spojrzawszy na matkę i na Wejwarę, odga-
dła, że kochany przemówił.

— Pepciu — mówiła matka uroczyście — pan Wejwara prosi o twoją rękę. Chcesz z nim znosić dołę i niedołę przez całe życie?

Pepcia nie odrzekła ani słowa.

— Jeśli to głos twego serca, podaj mu rękę, córuniu — pobudzała matka.

Pepcia podała Wejwarze drżącą rękę.

— My zezwalamy, córeczko — mówiła pani Kondelikowa — ja i tatuś. Błogosław wam Boże, a teraz... pocałujcie się.

Tylko instynktownie znalazł Wejwara usta Pepci i wycisnął na nich nieśmiały pocałunek.

Po tym pocałunku wlepiła pani Kondelikowa całusa Wejwarze, którego oddała natychmiast swemu małżonkowi; tak samo uczyniła z Pepcią. Całusami oświadczyły Wejwary były ukończone i zatwierdzone. Jeszcze raz pochwyciła pani córkę, jeszcze ją pocałowała, i półgłosem, ale tak, by i Wejwara słyszał, rzekła do niej:

— Szanuj go, córeczko, dobrego będziesz miała męża.

— W takiej chwili powinno tu było już być piwo — wtrącił pan Kondelik.

— Zaraz będzie, zaraz staruszkę — łagodnie i uprzejmie zapewniła pani Kondelikowa — wszak jeszcze dużo okazji znajdzie się dziś do wypicia.

.

Po tej rodzinnej scenie zapanowała kłopotliwa dla Wejwary cisza; nikt nie mówił, nikt nie wiedział o czym mówić. Rzeczywiście, trudno po takich oświadczeniach nawiązać jakąś rozmowę. Cieszył się więc Wejwara, że po dziesięciu minutach przyszła ciotuchna Urbanowa, która ogromnie się zadziwiła, gdy pani Kondelikowa rzekła:

— Z panem Wejwarą już się znasz, narzeczony naszej Pepci...

O pół minuty później zaciągnęła ciotuchna Urbanowa panią Kondelikową do sypialni i pytała ciekawie:

— Narzeczony? Już się oświadczył?

— Tak, teraz, zanim przysłaś...

— Jezus. Marya! — zawołała ciotuchna żalownie. — Jaka szkoda, że chwilę nie poczekaliście jeszcze, aż przyjdę. Jak żyję, nie widziałam tego...

Ciocia Urbanowa była panną, miała z pięćdziesiąt dwa lata, była gadatliwą, szczerą, niezmiernie uczuciową, czasem trochę opryskliwą, ale nawskróś dobrą.

— Umyślnie śpieszył się, dopóki byliśmy sami, to taki akt rodzinny... Ale będziemy mieli zaręczyny, dziś, a na nich będziesz...

Dzwonek odezwał się poraz drugi, przyszedł pan Sławiczek. Do sypialni wsunął głowę pan Kondelik.

— Betty, podawaj na stół, dyabelnie jestem głodny, już zebraliśmy się wszyscy...

Za chwilę drażniła nosy wszystkich uczestni-

ków łagodna, miła woń zimnego wędzonego ozora, potem napełniła jadalnię woń tłustej gęsiny, na różowo upieczonej.

Gdy pani Kondelikowa, podając gościom, podszła do ciotuczny Urbanowej, pochyliła się ku niej i szepnęła:

— Dwie szklaneczki smalcu mam z tej gęsi Kasiu...

XVI.

Ręka w rękawie.

Wieczoru owego nie myślał Wejwara o jedzeniu. Patrzył na ozór wędzony, ale myślą był gdzieindziej, Nos jego czuł drażniącą woń ozora, ale w duchu — a człowiek odczuwa czasem i w duchu różne wonie, dawno zwietrzałe nawet — w duchu czuł Wejwara, upajającą woń raję, po którym stapał z Pepcią. Patrzył przed siebie oczyma otwartemi, a jednak nie widział, co się wkoło niego dzieje. I prawie zląkł się, gdy usłyszał nad sobą głos pani Kondelikowej, która już po raz trzeci nakłaniała go do jedzenia.

— No, panie Wejwaro, gdzież pan się błąkasz, że pan nie bierzesz?...

I przysuwała do niego półmisek z ozorem.

Wejwara drgnął, sięgnął po widelec i nabrał dwa cieniutkie plasterki.

Co pan robi, czemu się pan naje?— wołała pani Kondelikowa, i pochwycawszy widelec kładła mu na talerz.

— Dziękuję, dziękuję, szanowna pani...— bronił się Wejwara. — Dosyć, dosyć...

— Nie rób ceregieli — napominał pan Kondelik — jedz pan. Panu chyba dziś po obiedzie wytrawiło, masz pan co doganiać...

Pani spojrzeniem wstrzymała resztę słów małżonka. Na szczęście ani ciotuczna Urbanowa, ani pan Sławiczek nie zwrócili na to uwagi, a pan Kondelik, zorientowawszy się, pośpiesznie dodał:

— Sądzę po sobie i mam porządny apetyt! Nakładź mu tylko! Po tem dobrze się pije.

Ach, jadło, picie! Czemu było to wszystko dla Wejwary dziś, gdy przeskoczywszy ostatnią przeszkodę (w nieśmiałości i niedoświadczeniu swoim uważał zezwolenie rodziców za rzeczywistą „przeszkodę”), znalazł się prawie u samego celu. Możnaż jeść w takich okolicznościach? Czy może jeść człowiek, który przed chwilą prosił o rękę ukochanego dziewczęcia?

Wejwara jednak przekonał się wkrótce, że nawet taki wypadek ważny w życiu, nie wyłącza ani picia, ani jedzenia. A może tylko dlatego, że go Pepcia ciągle pobudzała, że go co chwila napominała?

Pepcia nie zajmowała się dziś gośćmi. Pani Kondelikowa nie zezwoliła na to. Wskazała córce

miejsce tuż obok Wejwary i obsługiwała ją, jak rzadkiego gościa. Matka wiedziała, co wypada. Wejwara i Pepcia są dziś głównymi osobami. Gdyby ich nie było, nie byłoby tej wieczerzy. Rodziła się w niej instynktowna raczej, niż wyrozumowana myśl, że od dziś naprawdę rodzina Kondelików dzieli się na dwie rodziny. Chociaż bowiem jeszcze Pepcia przez kilka miesięcy pozostanie w domu, to jednak odtąd wszystkie jej myśli, uczucia, pragnienia, nadzieje skierowane będą w inną stronę. Odtąd pani Kondelikowa ma córkę jakgdyby wypożyczoną. Już nie należy do niej wyłącznie, jest już faktycznie Wejwary. Szybko upłyne kilka tych miesięcy i Pepcia pod tą strzechą ojcowską naprawdę bywać zacznie tylko jako gość. Mimo to, pocieszała się pani Kondelikowa przysłowiem: „kto żeni syna—traci go, kto wydaje córkę—nabywa z nią syna.” A pani Kondelikowa tak była dumną z tego przyszłego syna! Zięć w magistraciel Będzie może kiedyś radcą, jak pan Wonasek, ona zaś będzie teściową radcy.

Pepcia, siedząc obok Wejwary, ciągle go zapraszała.

— Jedz pan, panie Wejwaro! Niech pan bierzel Pociesz pan mamusię...

Ciocia Urbanowa jadła gorliwie, jadła jak o zakład, byle tylko talerze zniknęły jaknajprędzej ze stołu i nastąpiło nareszcie to, dla czego właściwie była zaproszoną.

Kolega Wejwary, pan Sławiczek, był wdzięcznym gościem. Nie patrzył na prawo i na lewo, ale

jadł, ciągle jadł, gdy go tylko pani domu o to prosiła. Gęś o tej porze, i jeszcze taka swojska gęś! Dobrzy ludzie ci Kondelikowie! Mistrz ciągle nalewa i sam dobrym przyświeca przykładem. Szczęśliwy Wejwara! W duchu kombinował Slawiczek, że dzięki ożenkowi Wejwary przybędzie mu nowa rodzina przyjacielska, gdzie czasem na kolacyę wpadnie. Napewno go poproszą.

Po kolacyi zrobiła się cisza. Kondelikowi nadjedzonemu mówić się nie chciało; pan Slawiczek milczał skromnie, czekając, aż się inni „rozgadają” ciotuchna Urbanowa nie chciała zaczynać żadnej rozmowy, ażeby nie wstrzymywać biegu rzeczy, które miały nastąpić. Siedziała prosto, bez ruchu, patrzyła z pod oka na narzeczonego i zgrabnie popijała ze szklanki.

Wejwarze byłoby wystarczyło towarzystwo tylko Pepci, ciągle szukał pod stołem jej dłoni i ścisnął jej paluszek za paluszkiem, wtedy tylko puszczał rękę Pepci, gdy nań ciotuchna Urbanowa rzuciła okiem. Był przytem cały czerwony, jakby przyłapany na gorącym uczynku. Wstydział się. Nie uszło to uwagi cioci i po każdym wystraszeniu Wejwary nastrojała oblicze jaknajuprzejmiej, jakgdyby chciała powiedzieć:

— Nie krępujcie się, młodzi.

Pani Kondelikowa również nie mogła się doczekać, a gdy przyszła z kuchni, postawiła na stole dwie butelki wina i sześć kieliszków.

— Co to dajesz, Betty? — dziwił się pan Kondelik.

— Ej, staruszk, staruszk — mówiła pieszczotliwie. — Trzeba wypić na zdrowie młodych szklanceczkę wina, czy zapomniałeś o tem?

— Mnie się zdaje, że byłoby lepiej, gdybyśmy pozostali przy piwie... Przynajmniej co do mnie...

— Dobrze, staruszk, będziemy znów potem pili piwo, ale teraz musimy zalać winem. Piwem nie wypada.

Szybko rozstawiła kieliszki, napełniła je i powróciwszy do swego krzesła, ale nie siadając, podniosła swój kieliszek i mówiła uroczyście:

— Muszę naszym szanownym gościom, ciotuchnie Urbanowej i panu Slawickowi, oznajmić, że święcimy nieoczekiwaną, ale radosną uroczystość rodziną...

Ciotuchna Urbanowa pochyliła się i patrzyła uparcie na panią Kondelikową, z wyrazem ogromnego zaciekawienia, jakby nawet nie przypuszczała o co chodzi.

— Oto przyszły sekretarz magistratu, pan Wejwara, oświadczył nam rodzicom, że pokochał Pepcię naszą i prosił nas o jej rękę. Zezwalamy chętnie. Myśmy z Kondelikiem dawno zauważyli, że się kochają prawdziwie. Oznajmiam więc szanownym gościom, że pan Wejwara i Pepcia są od dziś narzeczonymi.

Pani Kondelikowa odetchnęła. Mówiła często

i dość dużo, ale nie przywykła mówić publicznie, jak dziś.

Ciotuchna Urbanowa stopniowała podczas jej mowy wyraz twarzy do najwyższego zdziwienia.

Pani Kondelikowa ciągnęła dalej:

— Sądzę więc, że i nasi szanowni goście, ciotunia jako krewna, pan Sławiczek jako przyjaciel pana Wejwary, cieszą się razem z nami, i że szczerze wzniosą toasty za zdrowie młodej pary...

Pierwsza zerwała się z miejsca ciotka Urbanowa i już trzymała kieliszek w dłoni. Za jej przykładem powstał pan Sławiczek i podniósł się także pan Kondelik. Narzeczeni siedzieli dotąd, jak zarżnięci.

— Za zdrowie, szczęście i błogie pożycie pana Wejwary i naszej Pepci—mówiła pani Kondelikowa podwyższonym głosem, który już drżał.

— Na zdrowiel na zdrowiel na zdrowiel — powtórzyła ciotuchna Urbanowa i stała przygotowana, aby się trącić z Wejwarą i Pepcią zaraz po rodzicach, prędzej nim pan Sławiczek. Należy przecież do rodziny, ma prawo pierwszeństwa! I to jej się powiodło.

Zanim opróżnił swój kieliszek, Wejwara zaczął jeździć lewicą po surducie na piersi, a postawiwszy kieliszek, już chciał wyłowić puzderko z pierścionkiem, gdy wtem pani Kondelikowa znowu się odezwała:

— Pan Bóg patrzy na nas, a co komu sądzone, to go nie ominie. Panie Wejwaro, zaręczamy pana

z Pepcią i prosimy pana z małżonkiem i ojcem Kondelikiem, abyś pan ją kochał jako my, abyś pan był dla niej łagodny, gdyby czasem w czem uchybiła, a ty, Pepciu, pamiętaj sobie, że przyszedł małżonek będzie twoim obrońcą i panem, głową domu, pierwszym w rodzinie, jego będziesz słuchała. Weź sobie przykład ze swoich rodziców. Żona niechaj słucha swego męża, mówi nawet o tem Pismo Święte...

Głos panią Kondelikową zawiódł i prawie z płaczem dokończyła:

— Ko-chaj-cie się, dzie-ci... — i rzuciła się na Pepcię, objęła ją, pocałowała, a potem dusił się w jej objęciu Wejwara.

— Szanowna pani... — wyrwało się z ust jego jeszcze na piersi matczynej.

— Nie mów pan więcej: szanowna pani, Wejwaro, mów pan mi już: mamusiu! Jesteśmy już jak swoi. Prawda, że mi pan tak od dziś mówić będzie?...

— Owszem—wymówił Wejwara—gdy pani raczy zezwolić, proszę też, aby pani zezwoliła, abym na pamiątkę dnia dzisiejszego tu oto pannie Pepci...

— Tylko *Pepci*, drogi Franciszku — poprawiała go matka.

— ...i na znak, że mnie chce i do mnie należeć będzie, wręczył tę pamiątkę.

Wejwara zanurzył prawicę w kieszeni na piersi, wyjął puzderko, otworzył, i w dłoni jego błysnął pierścień z czerwonym kamieniem.

Pepcia poskoczyła do komody i powracała tak-

że z puzderkiem, z którego wyjęła pierścień z kamieniem niebieskim.

— Wybornie, wybornie! — wołała ciotuchna Urbanowa, która śledziła wszystko okiem ostrowidza. — Czerwony kolor znaczy miłość, niebieski wieczną wierność. Betty, włóż im te pierścionki, to należy do matki.

Pani Kondelikowa przez łyzy ledwie widziała, ale mimo to, uroczyście wyjęła pierścionki z puzderka i uroczyście wkładała je narzeczonym na palce.

Okazało się, czego Wejwara nie oczekiwał, że pierścień, który przyniósł dla Pepci, był za duży. Nie siedział dobrze nawet na palcu wskazującym. Wejwara zdziwił się i zmieszał.

— Mój Boże, przecież mówiłem złotnikowi, że to dla panienki...

— To nic nie szkodzi — uspokajała Pepcia, widząc, w jakim Wejwara jest kłopotcie.

— To nic nie szkodzi — potwierdziła matka — wszak palec jej zgrubieje...

— Nie, nie, ja go oddam — mówił Wejwara — musi mi dać inny, mniejszy.

— O nie — zabrała w tej kwestyi głos ciotka — takiego pierścionka nie można zamieniać, ale ująć żeń, to można. Nawet lepiej się stanie, bo będzie *podwójnie* kuty. Wy nie wiecie nawet, co to znaczy: „*podwójnie* kuty”, to niewzruszoność, to jest, jak to mówią, „potwierdzenie.”

Ciotuchna Urbanowa, wymówiwszy takie ważne słowa, przybliżyła się do Pepci, lewicę położyła jej

na głowie, prawicą zrobiła jej trzy krzyżyki na czole, a na ustach wycisnęła długi pocałunek. Potem podeszła do Wejwary i uczyniła tak samo.

— Jako ciotka i najbliższa krewna witam pana w naszej rodzinie, panie Wejwaro. Wszyscy panu Pepcię z chęcią powierzamy. Ja... sama... (w tej chwili rozplynęła się we łzach) nie byłam tak szczęśliwą, jak Pepcia, ale wiem, co to znaczy. Mam nadzieję, że także we mnie znajdzie pan dobrą ciotkę. Nie mam nikogo na świecie, oprócz Betty, Kondelika, a odtąd was obojga..

Wycierając oczy batystową, wyszywaną chusteczką, którą brała na uroczystości rodzinne, zwróciła się do pani Kondelikowej i mistrza, pocałowała oboje, i uroczyście, poważnie mówiła do nich:

— Błogosław ci Boże, Betty, Bóg ci błogosław szwagrze, bratanku...

Pan Slawiczek, chcąc być w jakikolwiek sposób użytecznym, nalewał wino w puste kieliszki. Wznoszone toasty ze trzy razy jeszcze, pan Slawiczek pił za zdrowie rodziców, potem „pani cioci”, nareszcie przyjaciela i jego pięknej narzeczonej.

Pomału „rozgadało” się towarzystwo, jak mawiał Slawiczek. Ciotka mówiła górnolotnie o zaręczynach i weselach, zagłębiała się w przeszłość, tu i owdzie błysnęło smutne wspomnienie zawodów jej w życiu, to znów malowała piękne obrazy przyszłości narzeczonych. Przytem rezerwowała sobie także kącik u młodej rodziny w przyszłości. Nikogo tu niema, zaznaczyła przezroczyście, oprócz tych swoich

miłych krewnych, a kto będzie miał dla niej serce, dla tego i ona będzie miała serce, to się pokaże po jej śmierci.

Pani Kondelikowa pragnęła pobudzić małżonka.

— Tyś powinien także coś rzec, jako ojciec, staruszk.

Pan Kondelik, który dawno powrócił do piwa, podniósł się nareszcie i rzekł:

— Wejwaro, matka wam już wszystko powiedziała, ale jak ja wam wymaluję kwaterę, to zobaczycie. W pokoju zrobię wam pompejański sufit, a w sypialni niebo z gwiazdami. Na zdar!

Wejwara czuł, że kolej teraz na niego. Wszyscy pili już za jego i Pepci zdrowie. Musi odpowiedzieć. Ale co, ale jak! W sercu miał dużo uczucia, ale słowa więzły mu na ustach.

Chwilę gniótł w palcach róg serwetki, to znów robił węszelki na łańcuszku od zegarka. Zdawało mu się, że na nim spoczywają oczy wszystkich współbiesiadników, i to go wprowadzało w kłopot tem większy. Nareszcie zdecydował się i powstał odrazu. W tej chwili uciszyli się wszyscy, a ciotuchna Urbanowa, ażeby nikt się nie zapomniał i Wejwarze nie przerwał natchnienia, raźnie brzęknęła nożem o szklankę i syknęła ostro:

— Pssst!

Wejwarze zakręciło się w głowie. Czyż usługnej i nie lubiącej czekać ciotki o mało nie sprawił, że byłby znowu usiadł. Jadalnia zakręciła się z nim razem i nikogo nie widział, gdy zaczął:

— Szanowni i kochani rodzice! Szanowni państwo! Jeżeli są w życiu dni, które uważać możemy za szczęśliwe, to w życiu mojem właściwie dwa dni miałem takie: ów, gdym po raz pierwszy ujrzał Pepcię obok jej szanownej mamusi, jak nie rozwinięty pączek obok pięknie rozwiniętej róży w wieńcu goździków, i dzień dzisiejszy, gdy mnie ten rozwijający się pączek został oddany na zawsze. Jestem nieskończenie szczęśliwy, że pączek ten ozdobić będzie przez całe życie moją pierś i dziękuję serdecznie starannym ogrodnikom—ukochanym rodzicom, którzy wonne to kwiecie wypielęgnowali, a zapewniam, że szczęście Pepci będzie jedyną moją myślą i że jedyną modlitwą będzie, aby Bóg dał jaknajdłuższe życie szanownemu mojemu teściowi i kochanej pani teściowej. Niech żyją!

Głęboko odetchnął Wejwara, gdy ukończył trudną mowę, nagrodzoną burzliwem „wybornie!” z ust pani ciotki i przyjaciela Sławiczka, kłopotliwem zakaszaniem mistrza i wdzięcznem, łagodnem spojrzeniem pani Kondelikowej, która mu długo i szczerze dłoń ścisnęła.

— Dziękuję, dziękujemy panu, Franciszku drogim—mówiła wzruszona.

Gdy Wejwara wstał, ażeby sobie na zaproszenie mistrza zapalić cygaro, wzięła go pani matka za ramię i odprowadzając ku oknu, rzekła szeptem, prawie z prośbą:

— Słówko, drogi Franciszku! Niech mi pan zrobi jedną grzeczność, niech pan się nie gniewa,

ale bądźmy naprawdę jak rodzina. Niech pan mi nie mówi pani teściowa, ale mamusiu. To brzmi serdeczniej...

Wejwara schylił się, pocałował rękę pani Kondelikowej i szepnął:

— Proszę o przebaczenie...

— I niech pan mówi o mnie mamusia, gdy mnie nawet przy tem nie będzie — prosła dalej. — Niech ludzie wiedzą, że jesteśmy z sobą dobrze.

— Owszem, owszem — przyrzekł Wejwara i w tej chwili czuł rzeczywiście, że ma drugą matkę.

Tylko ten duży pierścionek gniewał go trochę, mimo zapewnień pani ciotki, że „podwójnie kuty,” jest lepszy.

Gdy o północy nastąpiło pożegnanie, zdjął go Pepci łagodnie z palca, włożył w pudzderko i jeszcze przeproszał:

— Niech się pani nie gniewa, Pepciu, ale nie miałem młary...

— Kochanie! — szepnęła Pepcia.

Mistrza Kondelika ogromnie cieszyły kłopoty Wejwary, pochwycił go w kąciku i mówił do niego wesoło:

— Przecież to nie nieszczęście, Wejwaro, gorzej z takimi rzeczami, których nie można przerobić, np. żony i teściowej... Tutaj ciężka bywa reparyacja.

— Ej ty, stary gaduło! — przerwała pani Kondelikowa, która posłyszała słowa męża.

Rzekła to żartobliwie, ale gdyby tu nie było Wejwary, byłaby powiedziała inaczej.

XVII.

Kleks w kałamarnu.

Od pamiętnej niedzieli zaręczynowej cały dom Kondelików wywrócony był do góry nogami. Nadszedł wielki, niezmiernie ważny kłopot: wyprawa dla Pepci.

Dużo rzeczy miała pani Kondelikowa już oddawna w domu, w szufladach starodawnej komody, na dnie szafy, w kredensie, nawet w kanapie. Już od chwili, gdy Pepcia ukończyła szkołę, pamiętała o jej przyszłości i kupowała ze swoich oszczędności, o ile się dało. Czynią tak wszystkie staranne matki, po pierwsze dlatego, aby później w chwili stanowczej oszczędzić zbyt wielkiego wydatku, a po drugie dlatego, ażeby córki dziedziczyły rzeczy najpotrzebniejsze na wypadek śmierci matki przed wydaniem córek za mąż. Mężczyznom nie można wierzyć. Ożenią się po śmierci żony po raz drugi, wezmą sobie jaknajmłodszą. Druga żona osiodła sobie starego męża lepiej, niż nieboszczka, a jeśli pozostała po tam-

tej córka, to nieszczęśliwe jest nieboże. Kiedy ma-cocha wydaje zamaż pasierbice, jakże jej wszystko odmierzy, oddzieli!

Ciemne kąty i głębie szaf i skrzyń ukrywały niejeden skarb, który pani Kondelikowa kupiła dla Pepci. Nie wiedział o tem Kondelik, nie wiedziała nawet Pepcia. Pani Kondelikowa nie miała pojęcia o giełdzie, nie wiedziała nic o walutach i wszelakich spekulacyach, ale gdy tylko srebro spadło w cenie, wyjmowała troskliwa matka swoje książki wkładowe i kupowała dla Pepci powoli wyprawę. Ona wniosła srebro do domu, Pepcia powinna także jeść srebrem! Przynajmniej po tuzinie ze wszystkiego. I to nie towar najlżejszy! Dobre rzeczy powinna mieć Pepcia! W dniu, w którym zaręczała Pepcię, przypomniła sobie ten skarb i w poniedziałek rano, gdy mistrz wyszedł, wyłożyła przed Pepcią wszystko, co niewidziało światła od chwili, gdy przyniesiono do domu. Tuzin srebrnych nożów, widelców, łyżek, małych łyżeczek, dużą łyżkę wazową, szczypcę do cukru, czajnik, ach, było tu rzeczy tyle, że aż w oczach się lśniło.

— Widzisz, Pepciu, tak się stara matka o swoje dziecko. To dla ciebie. We dnie i w nocy myślałam o tobie, mam ciebie jedyną i gdyby mnie był Pan Bóg zabrał, byłabyś to odziedziczyła. Ale Bogu dzięki doczekałam się tego...

I pocałowała córkę.

A potem wyjęła płótna, kretony, perkale.

— Ten perkal będzie na pierzyny dla służącej,

wy będziecie sypiać w białym płótnie, tylko w białym, jak przystało na rodzinę urzędniczą...

Dużo jeszcze brakowało: obrusów, ręczników. bielizny dla Pepci, ubrania, a co najważniejsza: sprzętów i potrzeb kuchennych.

Ten wydatek czekał pana Kondelika.

Po obiedzie poklepała go pani Kondelikowa ręką po plecach i rzekła pieszczotliwie:

— Teraz, staruszk, trzeba sypnąć pieniędzmi, musimy czynić zakupy dla Pepci.

— Wiedziałem o tem!—wtrącił mistrz.—Ostatnia zwrotka każdej twojej piosenki brzmi: syp pieniążki. Nie zakup tylko całej Pragi! Czegoż potrzeba?

— Mój Boże, staruszk, wszystkiego potrzeba. Wyobraź sobie, że zakładasz nową rodzinę, a u Pepci musi być przynajmniej to samo, co i u nas. Przypomnij sobie, com ja wniosła w dom.

— No; no, no — oponował pan Kondelik — nie było to tak strasznie. Ileż to rzeczy nam brakowało, przypomnij sobie, co musiałem dokupować. .

— Kondeliku! — rzekła surowo i prawie obrażona—czego było potrzeba, to było. Byłeś czeladnikiem malarskim, nie wiedziałam, za kogo idę, potrzebowałeś więcej gotówki do rzemiosła, niż parady do pokojów. Ale do ostatniej igły, do ostatniej szpilki dała mi matka wszystko. Kiedy ci się później powodziło, zacząłeś się bawić w pana i pragnąłeś tego, o czem przedtem nie wiedziałeś nawet—głównie dlatego, że widziałeś to w domach panów, u których

malowałeś. Ale naszą Pepcię wydajemy do magistratu, co ma Wejwara teraz, to mu będą płacili do śmierci, choćby nawet nie awansował, musimy więc dać jej wyprawę odpowiednią propozycyi.

— Gdyby wychodziła za sułtana tureckiego, to jeszcze więcej byłoby potrzeba—wtrącił pan Kondelik.—Czego więc właściwie chcesz odemnie?

— Pieniądzy, staruszk, pieniędzy! Najprzód bielizna, Kondeliku. Musimy wziąć szwaczkę do domu i będziemy szyły. Potem ubranie, te każę szyć u krawcowej. Potem naczynia do kuchni, zastony na okna, kobierce do pokojów, no! i nareszcie meble. Ale meble pójdziesz wybrać z nami, masz doświadczenie, jako malarz—pochlebiała małżonkowi.

— Nie mówiłem! całą Pragę chcesz zakupić!—uśmiechnął się złośliwie pan Kondelik. — Będziesz chodziła od sklepu do sklepu i szast-prast po dzieścię reńskich.

Pani spojrzała na małżonka z wyrzutem i rzekła poważnie:

— Gdybyś wiedział, Kondeliku, co już mam dla niej, a na co nie dałeś nawet krajcara, tobys zdumiał. Za swoje oszczędności kupowałam.

Mistrz wstał, podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyjął duży portfel; ale zanim go otworzył, wymówił jakby od niechcienia:

— A jest też to właściwie takie pewne — to wesele?

— Kondeliku! Czyż zapomniałeś, co było wczoraj? Każemy to wydrukować i porzysyłamy karty

znajomym. Niech wiedzą, że Pepcia wychodzi za mąż i kto ją dostanie..

— Chcesz, ażeby bębnił po całym mieście? — zapytał mistrz.

— To nie żaden bęben, Kondeliku, to są zaręczyny i we wszystkich lepszych rodzinach zawiadamia się o zaręczynach przyjaciół rodziny. My jesteśmy także lepszą rodziną, Kondeliku, a na tę karteczkę zaręczynową cieszę się dziesięć lat! Nie będziesz miał żadnych kłopotów, Kondeliku, o to postara się Wejwara, on ma pewnego znajomego intro-
ligatora...

Pan Kondelik sięgnął do portfela i zapytał:

— Wystarczy ci setka?

— Tymczasem wystarczy, staruszk, jutro dasz drugą...

Mistrz wyjął i tę drugą. Matka schowała starannie banknoty w portmonetkę i rzekła w kuchni do Pepci:

— Idź pocałować tatkę w rękę, dał nam na bieliznę dla ciebie.

Kiedy pan Kondelik wypił kawę, a udając się na obejrzenie robót, całował mamusię i mówił: „do widzenia,” dorzucił jeszcze następującą uwagę:

— Te „etykiety” o zaręczynach możesz kazać drukować, ale plakatów na rogi ulic nie dawajcie...

I już był za drzwiami.

.

Pani Kondelikowa postanawiała, że wesele będzie na świętą Katarzynę, w trzy miesiące po zarę-

czynach, to najlepszy termin. Przez ten czas będzie można dobrze urządzić mieszkanie.

Ale gdzie wybrać to mieszkanie? Kwestya to poważna, meble trzeba wybierać stosownie do wielkości pokojów.

Sprawę tę poruszyła pani Kondelikowa wieczorem, kiedy przyszedł Wejwara.

Pan Kondelik miał dobry humor, pomimo wytomu w pugilaresie. Cieszyło go to, że z Wejwarą sprawa załatwiona. Rozumował też sobie mistrz, że gdy Wejwara się ożeni, to już wycieczki robić będzie z żoną. a jego pozostawia w spokoju, odzyska więc wolność, jaką miał dawniej.

Wejwara przyszedł, jak wczoraj obiecał Pepci. Pani Kondelikowa zaś postanowiła, że dopóki nie będzie po weselu, Wejwara ma przychodzić codziennie, ażeby się nie błakał po innych towarzystwach. Restauracyjne długie posiedzenia miewają często złe następstwa. Są na świecie mądrale, co przyjaciół od żeniaczki odwieść potrafią.

Usiadł, a Pepcia postawiła przed nim talerz.

— Dziękuję — rzekł zakłopotany narzeczony — już jadłem, wstąpiłem do wędliniarza po drodze...

Pani Kondelikowa spojrzała na niego z żalem i z wyrzutem.

— Tego nam pan nie rób, Franciszku! Teraz należysz pan do rodziny, więc powinienes być u nas, jak u siebie w domu. Każdego wieczora czekamy na pana, nie martw pan Pepci, a staruszek także pana lubi i czeka zawsze na pańskie towarzystwo.

Zostaw talerz, Pepciu, kawałek mięsa zje z nami Franciszek...

Pepcia pogłaskała Franciszka po głowie—i Franciszek jadł.

Po sprzątnięciu ze stołu, mistrz Kondelik zapalił cygaro, a pani zaczęła:

— Postuchajcie teraz, co umyśliłam: Wesele wyprawimy na świętą Katarzynę, trzeba się śpieszyć, ażeby zdążyć ze wszystkim na czas. Czy zgadzasz się pan, Franciszku?

Wejwara zgodziłby się na wszystko.

— A ty, staruszk?

— Owszem, owszem—potakiwał mistrz.

— Zachodzi tylko pytanie, gdzie będziecie mieszkali? Która dzielnica wam się podoba?

O tem Wejwara nawet nie myślał. Dzielnic! Dla niego obojętne gdzie, byle tam była Pepcia.

— Jakie jest twoje zdanie, staruszk?—zwróciła się do mistrza.

— Sądzę, hm, hm, sądzą. Na Winohradach mam barak. Na drugim piętrze jest tam mieszkanie, jakby stworzone dla was. Dwa pokoje większe, jeden mały, kuchnia, przedpokój, woda, gaz, w kuchni terrakota, ani jednego prusaka, słońce z dwu stron, a gdy tam będzie mieszkał ktoś z rodziny, to może dojrzeć, aby mi nie kradli. Płacić będziecie mało. Co pan mówisz na to, Wejwaro?

— O proszę, szanowny panie!

— Mów pan „tatusiu”—napomniała go uprzejmie pani.

— Proszę tatusia—rumienił się Wejwara—wybornie, na Winohradach mi się podoba.

— Więc już po kłopotcie—uderzył mistrz w stół—zamieszkacie na Winohradach. Dobrze się przytem składa, bo właśnie jest mieszkanie puste. Ładnie wam to urządzę, zobaczycie!

W duszy ogromnie był uradowany, że Wejwara będzie trochę dalej od ulicy Jecznej.

Pani Kondelikowej iskrzyły się oczy, spełniło się jej najtajniejsze życzenie, którego nie odważyła się wyjawić mężowi. Dzieci będą mieszkały w ich domu, urządzą się, jak w swoim własnym, wszak Pepcia i tak kiedyś odziedziczy.

— Skoro już pierwszy kłopot załatwiony, możemy pomówić o meblach. Jak myślisz, od kogo je kupisz?

— Naturalnie, że od stolarza.

— Mój staruszk, znów zaczynasz ze swemi drwinami, a tu trzeba pogadać seryo. Co sądzisz np. o Skramliku, Bacyku, lub Majerficku? Ile razy przechodzę przez ulicę Ferdynandową i patrzę na wystawę u Majerficka, to widzę, że tam jest, jak z pudełka.

— To prawda—rzekł mistrz—ale słony, niech go kaci!

— Wszak to się kupuje tylko raz w życiu. Każę sobie płacić, ale daje towar trwałą. Sto lat wytrzyma każda rzecz!

— Czy ty myślisz, Betty, że Wejwara liczy na taki długi termin?

— Z tobą trudno się dogadać, Kondeliku. Przypomnij sobie, że ci pan Mejerficek nastreczył także niejedno malowanie...

Pani Kondelikowa zwyciężyła.

Postanowiono, że ma być przedsięwzięta wyprawa do Majerficka. Bardzo dobitnie napominał jednak pan Kondelik, ażeby się nie pytano o żadne esy floresy, żadne rokoko, żaden renesans. Dobre mebelki politurowane, ale nie ołtarze, jakie się teraz wyrabia.

Gdy Wejwara odchodził, umówiła się z nim pani Kondelikowa, że tam pójda zaraz jutro. Małżonkowi swemu zaś powiedziała, ażeby rano wyszukał plan tego mieszkania.

— Wiesz, teraz kupuje się meble podług planu, aby się nie kupiło nic niepotrzebnego i ażeby każda sztuka miała swoje miejsce.

Drugiego dnia wieczorem przedstawił Wejwara nieśmiało przysłtemu teściowi planik mieszkania, z wymalowanemi na niem przez fabrykanta meblami, wszystko obliczone na centymetr.

— A jaki to będzie miało kolor? — pytał pan Kondelik.

— Wiśniowy, tátu, wiśniowy — pośpieszyła z odpowiedzią pani Kondelikowa.

— Muszę wiedzieć, jak mam malować — rzekł mistrz z powagą — zaraz po niedzieli weźmiemy się do roboty, dopóki jest ładnie...

I po niedzieli zaczął Kondelik malować mieszkanie Wejwary.

Pracę tę wykonywał mistrz, jakby miała iść na wystawę. Sprawił najnowsze szablony, sam wymieszał farby, próbował, znowu malował, chciał pokazać Wejwarze, co teść jego umie.

Przez cały ten czas chodził Wejwara z planem w kieszeni i każdego wieczoru na papierze równali i przestawiali meble, ażeby mieszkanie wyglądało jaknajładniej.

— Teraz już nie można zmieniać — zawołał mistrz — maluję podług waszego planu i wszystko musi stać, jak to tu macie. Nad kredensem zrobiłem wam dzikie ptactwo, nad łózkami biały obłok z aniołkami, nad kanapą będzie turecki kobierzec, między oknami kwiaty, nad umywalnią zrobiłem wodospad Niagary! Będzie na co popatrzeć! Jako żywo, nikt nie miał tak malowanego mieszkania. Jadalnia pompejańska, w sypialni niebo z gwiazdami.

Po czterech tygodniach oznajmiał Kondelik Wejwarze, Pepci i małżonce, że pojutrze, w niedzielę po południu, mogą mieszkanie obejrzeć.

Ale wieczorem w sobotę przyszedł Wejwara z miążdzącą wieścią:

— Tatusiu, rzecz nieoczekiwana. Wszyscy urzędnicy magistratu otrzymali rozkaz, ażeby mieszkali tylko w Pradze, nie na przedmieściach.

Pan Kondelik wściekał się poprostu. Sławetny zarząd miasta ma wiele uszu, ale tego wieczoru dzwoniło napewno we wszystkich, w krótkich i w długich.

— Tego jeszcze nie było na świecie — srożył

się.—To są te zapowiadane reformy miejskie. Może jeszcze zapowiedzieli wam, że urzędzą wspólną kuchnię gminną, że wam będzie gmina prac i że nie wolno wam pić nic, oprócz praskiej wody, a broń Boże używać karlsbadzkiej?

W końcu oznajmił mistrz stanowczo, że jakkolwiek nigdy nie był zwolennikiem polemik w gazetach, ale tę rzecz musi poruszyć w pismach. Przy wyborach nigdy nie agitował—ale na przyszłość postara się, aby jaknajwięcej starych kpów padło, a na ich miejsce byli wybrani radni ze stronnictwa radykałów.

Choć się jednak srożył, postaci rzeczy tem nie zmienił. Sen o pięknem mieszkaniu we własnym domu pana Kondelika rozplynął się ku boleści jego, która z gniewu nawet mówić mu nie dała.

Trzeba było szukać nowego mieszkania.

XVIII.

Spóźniony projekt Wejwary.

Od owej fatalnej nowiny nie było można z mistrzem nawet pomówić spokojnie.

Niedzielnej wyprawy na Winohrady, celem obejrzenia wymalowanego mieszkania zaniechano. Jeszcze w sobotę wieczorem, nim Wejwara odszedł, wspomniała o tem pani Kondelikowa:

— Nie gniewaj się już, staruszk — uspakajała — powiedz nam raczej, kiedy ma jutro przyjść Wejwara, ażebyśmy to sobie obejrzeni.

— Co obejrzeni? — wyrwał się mistrz.

— No, to wymalowane mieszkanie, na Winohradach...

— POCO patrzeć! — krzyknął pan Kondelik. — POCO, kiedy wszystko na próżno! Mam się znowu irytować, mam zrujnować, mam dom z wściekłości zburzyć? Gdy się z tem cztery tygodnie mordowałem, kiedy wszystko wykończone, im mieszkać nie wolno! POCO ich mam drażnić, poco mam w sobie burzyć zółć! Wychlapałem na to najkosztowniejsze farby, zmieszałem z najlepszym morawskim klejem, ażeby trzymało, wziętem na gwiazdy prawdziwe złoto, za dwie setki bym tego nikomu nie zrobił, co zrobiłem dla mojego dziecka, a teraz mi się tam wprowadzi jaki agent lub handlarz, rozpleni mi pluskwy i prusaki, a ja pęknę ze złości! Nie, za nie patrzeć nie pójdziemy...

W końcu jednak mistrz uległ i w niedzielę kroczyli Kondelikowie i Wejwara na Winohrady, na ulicę Czelakowskiego, by obejrzeć ten cud sztuki malarskiej pana Kondelika i jego pomocników.

Szli wszyscy smutni, z głowami pochylonemi, jak za trumną. Kondelik szedł, jak chmura, z której w każdej chwili może wylecieć tysiące piorunów, za nim pani Kondelikowa, dysząc ciężko i poruszając ustami, jakby się modliła, nareszcie Wejwara z Pepcią, której ciągle drgały kąciki ust. Musiała dużo zużyć silnej woli, by nie wybuchnąć płaczem.

Nikt nie przemówił nawet słowa, a gdy się znaleźli w fatalnym domu, na drugim piętrze i rozglądali po ścianach i sufitach pokojów, malowanych dla młodej pary, wyrwało się z ust Pepci ciężkie westchnienie, a zaraz potem spływały jej po twarzy gorące i gorzkie łzy. Pepcia padła na piersi Wejwary. Wszystko było tak piękne, te gwiazdy, słońce i księżyc w sypialni, błyszczące złotem, a nie sądzono jej, by się pod nimi do snu układała, by się pod nimi przebudzała. Teraz dopiero spostrzegła, jak ją tatko kocha. Jakie szczęśliwe życie wiedliby tutaj. Pepci zdawało się, że utrata tego mieszkania jeszcze przed weselem jest ogromnem nieszczęściem, że jest złowieszczym znakiem na całe jej przyszłe życie. Gdyby przynajmniej rok, choćby pół roku mogli byli tu mieszkać!

Pani Kondelikowa pocieszała córkę, choć jej samej ogromnie ciężko było na sercu, a Wejwara upadał pod ciężarem bólu obu kobiet. Patrzył właśnie na wodospad Niagary, i myślał nad tem, czy nie byłoby lepiej, gdyby się z ukochaną Pepcią rzucił w te pieniące fale.

Mistrz Kondelik nie wyrzekł nawet słowa. Chmurny, jak gniewny Perun, chodził z pokoju do pokoju i mimoli przejeżdżał ściany dłońmi, przekonując się, czy farba nigdzie nie puszcza. Instykt powołania zwyciężył w nim nad człowiekiem zagniewanym. Nie puszczała nigdzie, dobrze była klejona, a okoliczność ta łagodziła poniekąd jego gniew.

Gdy się Pepcia trochę uspokoiła, podszedł ku

niej Wejwara i patrzyli oknem. Wejwara szeptał do narzeczonej:

— Co to za widok! Niech pani spojrzy, to wąwóz Nuselski — tam lasy Krezy, tu na prawo willa Bielka, tam Terebowka. Boże, Boże, co za widok!

Aż go to za serce ścisnęło. Gorzej nie mogło być staremu Mojżeszowi, gdy z dali patrzył na ziemię obiecaną, do której nie mógł wkroczyć.

— A tam Pankrac i nowy kryminał, patrz pan, panie Franciszku — dodała pani Kondelikowa, poczem miękkiem głosem rzekła do Wejwary:

— Nie martw się, Franciszku, widocznie Bóg nie chciał. Obyż was tylko nie gorszego nie spotkało w życiu.

Nareszcie pożegnali się z mieszkaniem, u którego progu zdawało się Wejwarze, że widzi geniusza praskiej rady miejskiej z płomienistym mieczem i czarną tarczą, na której stały ogniste słowa: *Urzędnikom magistratu wolno mieszkać tylko w Pradze!*

Ostatni wychodził pan Kondelik, dzierżący klucze w dłoni. Jeszcze się rozejrzał po pokojach, tchnących świeżą farbą i rzekł z zaciśniętymi zębami:

— Chciałbym tu mieć pod ręką teraz wszystkich tych naszych miejskich stryjków, a o te ściany zagrałbym sobie mądrymi głowami w karambol, możeby sobie przypomnieli wtedy, że są jeszcze inne sprawy do załatwienia, niż rozkazywać urzędnikom, gdzie mają mieszkać..

Choć mistrz Kondelik wyrzekł na zakończenie słowo, ogromnie nieładne słowo, poświęcone owym raj-

com, Wejwara, mimo całą wierność swoją i dyscyplinę urzędową, zgadzał się z przyszłym teściem i w duchu wstydydził się, ogromnie się wstydydził za swoich przełożonych i chlebobawców.

Lepsze usposobienie opanowało całą rodzinę, kiedy na propozycję pana Kondelika zapadli w którąś piwnicą przy ulicy Komenskigo. Jędrny chmiel rozpędził pochmurny nastrój, a gdy się przed panią Kondelikową znalazła druga szklanka, a przed małżonkiem czwarta, wyrzekła pani, zwracając się z zaufaniem do mistrza:

— Teraz, staruszk, pokaż, co umiesz. Teraz powinienbyś znaleźć jakie ładne mieszkanie dla Wejwary i Pepci, masz tylu znajomych między budowniczymi i przedsiębiorcami.

Skorzystała z chwili słabości męża i pan Kondelik rzekł bez rozwagi:

— Zrobię to! Jutro zacznę szukać!

Rzeczywiście w poniedziałek w, brał się mistrz w drogę. Sławetnej radzie miejskiej na złość — znajdzie ładne, wygodne, zaciszne mieszkanie, z przedpokojem, łazienką, spiżarnią, z wodociągiem, alkową dla służącej, jednym słowem, odpowiadające wszystkim wymganom.

Chodził cały dzień, powrócił wieczorem, cały zmęczony, sterany, ale o mieszkanie nie zawadził nawet słowem.

Dopiero gdy Wejwara przyszedł, odważyła się pani Kondelikowa na pytanie:

— Jakże, staruszkę, znalazłeś co dla młodych?

Mistrz spojrział na córkę, na narzeczonego, na małżonkę, która oczyma wisiała mu na ustach, i odpowiedział lakonicznie:

— Nie znalazłem.

Potem spojrział na Wejwarę i rzekł:

— Jak pan uważa, Wejwaro, ile ma być pokojów?

Wejwara zakaszał:

— Myślę, że tak ze dwa, najwyżej trzy, gdyby były mniejsze...

— I ja myślę, że najwyżej trzy— wtrącił Kondelik. — A ile chcesz pan płacić?

Wejwara się zarumienił. Było to pytanie, nad którym się jeszcze nie zastanawiał, więc znów zakaszał i odparł:

— Sądzę, że mógłbym się odważyć na trzy setki.

Kondelik uśmiechnął się dziwnie.

— Ile pan teraz płacisz?

— Teraz płacę dziesięć reńskich miesięcznie za pokój z osobnem wejściem.

— Gdyby to było tak blisko do wesela, to poradziłbym panu, ażeby się tego mieszkania trzymał. Sto dwadzieścia rocznie. Policz pan trzy pokoje, trzy razy po sto dwadzieścia rocznie, trzysta sześćdziesiąt, czy nie? Wezmę pana z sobą, a posłyszysz co taki pan powie, gdy go zapytać o mieszkanie w nowym domu.

Burmistrz wam powinien wyszukać mieszkania, gdy się o was tak postarał.

Wejwara opuścił głowę.

Mistrz Kondelik ciągnął dalej:

— Podobałoby się przy ulicy Wodiczkowej?

Pepcia się zarumieniła, Wejwara podniósł głowę. Jakżeby im się nie miało podobać!

— Widziałem dziś mieszkancko, jak malowane. Wprawdzie tylko dwa pokoje, ale wystarc yłoby dla was.

— Ależ, tatusiu, naturalnie, żeby wystarczyło—pośpieszyła Pepcia z odpowiedzią.

— Duże nie są, to prawda ale za to na czwartem piętrze. Ładne, widne, na czwartem piętrze musi być widno! Przedpokój jak pudełko do zapalek, wystarczy na wieszak do ubrania, a to ważne, ażebyście wody i śniegu nie strząsali z ubrania w pokoju. Kuchenka z okienkiem, piec porcelanowy, obok niego kranik wodociągowy, w pokojach fryzy, wszystko bardzo miłe. Widok na Petryzn i na świętego Wita, na magistrat nowomiejski, na Teatr Narodowy, na Praszną bramę—bardzo ładny. Co mówicie? Podobałoby się wam? Zupełnie nowe, nikt tam jeszcze nie mieszkał, żadnej choroby tam nie było, samibyście to sobie zachuchali? No?

Pepcia coraz więcej promieniała. Na Boga, o takim mieszkancku marzyła.

— A ile kosztuje, Kondeliku—pytała pani.

— Tylko sześć setek!—wybuchnął Kondelik.

Wszyscy umilkli, z twarzy Pepci zniknął rumieniec. Żart był bolesny. Wejwara zwiesił głowę.

— Czy nie prawda, że to tanio?—rzekł Kondelik. — O piętro niżej jest także mieszkanie o trzech pokojach, jeszcze ładniejsze, ale to kosztuje osiem setek...

Wejwara był przygnębiony. Zamki na lodzie, jakie sobie budował, waliły się i w ruinach swoich grzebały jego szczęście.

— Tak, tak, Franciszku Wejwaro! Osiemset, dziewięćset, tysiąc dwieście, tysiąc pięćset, każdy budowniczy i przedsiębiorca śpiewa, jakby dawał prezent. Są także właściciele sumienni, którzy za chrześcijańskie pieniądze dają dobre mieszkanie, ale tam się każdy trzyma i nie rusza się z miejsca. Wobec tego powiedzcie, czy nie chcielibyście mieszkać w jakim starszym domu...

— Mój Boże, szanowny panie, kiedy w nowych tak drogo, to naturalnie, że w starszych, trzeba szukać—bąknął Wejwara.

Mistrz Kondelik wybrał się nazajutrz na nową pielgrzymkę po Pradze. Chodził tydzień, dwa, chodził trzy tygodnie, przechodził cały sierpień i mieszkania nie mógł znaleźć. Stawał się coraz chmurniejszy, w ostatnich dniach sierpnia wyglądał już, jakby się gotował do zamordowania kogoś. Zmierzył Pragę we wszystkich kierunkach, wchodził na górę i schodził na dół, biegał od domu do domu, uważał bowiem za punkt honoru: znaleźć dla zięcia mieszkanie, ale ciągle na próżno. Powracając też z takich wypraw, przeklinał straszliwie radę miejską, magistrat i dowodził, że musi się sprawdzić proroctwo

„Ślepego młodzieńca”, który rzekł: Woźnica, jadący przez Kamienny most, trzaśnie z bicia i zawoła: „Tu była ongi Praga”. Mistrz wzywał pomocy „siarki i kalafonii”, jak na Sodomę i Gomorę.

Nastały jednak rzeczy gorsze jeszcze. Podczas ogromnych upałów sierpniowych Kondelik, biegając pocić się, w chłodnych bramach i na schodach nowych i starych domów pot mu się nagle ostudził i dnia pewnego powrócił do domu w dorożce, do mieszkania wtoczył się z największym trudem i prosto skierował się do łóżka.

Wieczorem przyszedł Wejwara i już w kuchni uderzyła go woń znanego „smarowania”. Pan Kondelik jęczał na łóżku, nawiedzony przez starą chorobę. Właśnie go była pani natarła, a teraz okrywała małżonka ze wszystkich stron kołdrą, by mu zimno nie było.

— Dziś sobie usiadziemy w sypialni, najdroższy—rzekła Pepcia szeptem do Wejwary—tatkę znów nawiedziła ta choroba.

Wejwara wszedł do sypialni, jak skazaniec. Sumienie mu wyrzucało: „to twoja wina!”

Uklonił się nieśmiało, a Kondelik mruknął z łóżka:

— Siadź pan, panie Wejwaro, a gdy chcesz, to możesz się położyć obok mnie, matkaby nas obu wysmarowała. Spójrzyj pan, co ze mnie ci pańscy patroni zrobili. Zanim się ożenisz, mnie pogrzebią, a jak umrę, to niechaj pan tych panów, w magistracie pozdrowi odemnie. Ale powiedz im pan, że ich

będę po śmierci etraszył, będę szczekał zębami i wyścibiał na nich języki!

— Cicho, staruszk, nie denerwuj się, wiesz, że ci to zawsze szkodzi...—napominała go pani Kondelikowa.—Przejdzie prędko, tym razem nie jest tak źle, a odtąd nie będziesz już biegał, pochodzimy z Pepcią...

Wejwara dziś przez cały dzień postanawiał sobie zapytać się o coś ojca Kondelika szczerze, ale widząc go w tym stanie, nie odważył się na krok śmiały. Teraz, gdy mamusia zamierzyła nanowo rozpocząć polowanie za mieszkaniem, obawiał się on, aby Pepci się nie stało coś złego, zdecydował się i rzekł:

— Mamusiu, właśnie dziś chciałem zapytać, co by tatko na to powiedział, gdybyśmy się jednak wprowadzili tam do tego domu na Winbhradach...

Oblicza matki i córki zamieniły się w dwa kolosalne znaki zapytania, pan Kondelik wysunął z pod kołdry brodę i wytrzeszczył oczy:

— Jakto? Czy w magistracie odwołali rozporządzenie?

— Nie, tatusiu, ale kto się zrzecze pretensyi do wynagrodzenia za mieszkanie, ten może mieszkać gdzie mu się podoba. Rada miejska nakazała, że po za obrębem Pragi nie wolno mieszkać tylko tym urzędnikom magistratu, którzy chcą otrzymać dodatek mieszkaniowy. Kto się zrzecnie, temu się nie zabrania...

Pan Kondelik zapomniał o boleściach, wycią-

gnął się na poduszkach, oparł się rękoma o materac, podniósł głowę i pytał:

— A ile wynosi ten wasz dodatek?

— Dwieście, szanowny panie...

— Posłuchaj pan, panie Wejwaro — mówił mistrz, patrząc przenikliwie na narzeczonego — ponieważ pan wiedziałeś o tem już wtedy?

— Owszem, tatusiu, wiedziałem — przyznał Wejwara półgłosem, a niemiłe przecucie mówiło mu, że znów palnął jakieś głupstwo.

— Wejwaro — mruknął mistrz — wiedziałeś, że wam chcę dać na Winohradach mieszkanie darmo lub prawie darmo i nie nie mówites? Pozwoliłeś mi się tak sterać, gonites pan mnie przez cztery tygodnie po Pradze za mieszkaniem, jak konia, przebiegłem *siedemnaście tysięcy* schodów na górę i na dół, tam na karteczce spisałem sobie, *siedemnaście tysięcy!* Oto matka smaruje mnie całe pół dnia, a gdy już zrobiłeś ze mnie Łazarza, mówisz mi nareszcie, że jednak możecie mieszkać na Winohradach? Niech sobie zatrzymają te dwie nędzne setki, jam je sumienie zarobił mojem bieganiem. Chętnie dam mieszkanie darmo, ale tak mnie urządzić, Wejwaro, Franciszku, Franciszku.

— Staruszk — napominała pani Kondelikowa — nie denerwuj się, przecież Franciszek chciał zrobić dobrze, ażeby im nie darować pieniędzy.

— Nie. Wejwaro — warczał Kondelik, jak podrażniony niedźwiedź — przy chrzcie pańskim się omylili, pan powinienes mieć imię Ma...

Mistrz upadł na poduszki, ale jeszcze się zerwał i rzekł:

— Wejwaro, może to już ostatni twój „kawał”. Obyś już jaknajprędzej był po weselu, ale te wasze dzieci, biedne dzieci, będąż one miały ojca!

— Staruszkę — zawołała zarumieniona małżonka.

Rzecz dziwna, panu Kondelikowi jeszcze tego wieczoru tak ulżyło, że mógł w łóżku siedzieć. Pani Kondelikowa też musiała podać karty, i wszyscy czworo grali na małym stoliku obok łóżka w szóstkę. Pani i narzeczeni grali umyślnie tak, by ojciec wygrywał, co pana Kondelika cieszyło niezmiernie.

A gdy Wejwara o 11-ej godzinie szedł do domu, przemyślał całą drogę, czy rzeczywiście nie zrobił głupstwa, że tego nie powiedział wcześniej.

XIX.

Gdzie dyabeł nie może...

Od załatwienia kwestyi mieszkaniowej ubiegały dnie i tygodnie w rodzinie Kondelików jak najspokojniej. „Jak najspokojniej”, to znaczy, że się nie przytrafił żaden nowy przypadek, któryby zamącił spo-

kojną toń życia rodzinnego przy ulicy Jecznej. Po za tem panował tu ruch i pośpiech od rana do wieczora. Całe dnie siedziała szwaczka, która u Kondelików śniadała, jadała obiady, podwieczorki i kolacje, otrzymując jeszcze od pani Kondelikowej reńskiego dziennie.

— Wiesz, staruszk — tłumaczyła swemu małżonkowi — dostałabym szwaczkę za pięćdziesiąt krajcarów, lub za sześćdziesiąt, ale takim nie można powierzać wyprawy, bierze się je później, kiedy są dzieci, do reparacyj i wszelkich łatanin. Ale teraz robota musi być wykonana dokładnie, ażeby się to za rok nierozleciało! Pepcia pokazywać jeszcze będzie swą wyprawę dorosłym dzieciom. Znasz te nasze powłoki w kwiaty? To jeszcze z mojej wyprawy. To czasem jest podstawa zgody w całej rodzinie. Pamiętasz, jak się srożyłeś, gdyś miał po raz pierwszy kupować nowe ręczniki? Wtedy dowodziłeś, że to była licha tkanina! Nie, staruszk, ja miałam dobre, ładne płótno, jak deska, ale jak zaczęli wycierać wnie czeladnicy i uczniowie z zamaczanemi rękoma od farb, a zwłaszcza tej jadowitej „szwajnfurkiej”, to się rozleciało. Sądzę więc, że zgodzisz się, ażebym wzięła szwaczkę za reńskiego.

— Weź za reńskiego — przyznawał mistrz, wiedział bowiem dobrze, że z żoną uic nie wskóra.

— Za wszystko będziesz musiał płacić, staruszk, chcę zatem, ażebyś wiedział.

— Wiem już, wiem Betty.

U Kondelików osiadła tedy szwaczka za reńskiego i maszyna do szycia turkotała od rana do wieczora. Właściwie dwie maszyny; na drugiej pomagała Pepcia. Ta maszyna należała do wyprawy, całą setkę dała za nią matka, ale też szła jak zegarek.

Pan Kondelik, gdy czasem po obiedzie chciał się zdrzemnąć, a obie maszyny huczały jak lokomotywy, przewracał się w sypialni na kanapie z jednego boku na drugi i kłął po cichu:

— Przeklęte arystony, niechajby już nareszcie się z tem szyciem skończyło.

Swoją drogą podobała mu się ta praca. Pracowało się nawet w niedzielę i pani Kondelikowa nie wymyślała już żadnych wycieczek, nie wyciągała go nigdzie, i z tego mistrz był bardzo zadowolony. Dopiero wieczorem wychodzili do ogródka restauracyjnego, gdzie była muzyka, i tam spokojnie wypróżniał mistrz szklanki. To był jego ideał spokojnego życia mieszczańskiego.

Tymczasem w skrzyni gromadziła się bielizna Pepci. Tuziny koszul, nocnych kaftanów, spodniczek i jeszcze innych części wyprawy damskiej, które pani Kondelikowa niezmiernie starannie i umiejętnie składała, ażeby nawet nikt nie poznał, co to właściwie jest. Nużby też czasem nieoczekiwanie zjawił się Wejwara i zobaczył tuzin gotowy! Wyprane i wyprasowane, opatrzone monogramami rzeczy składała matka z miłością do skrzyni, przekładała je zielonym

korzonkiem „fiołkowym” i zawiązywała czerwonemi wstążeczkami jedwabnemi.

— Jak z cukru!—wołała zachwycona, i spoglądała na wszystko z uczuciem dumy, że córka będzie miała wyprawę jeszcze lepszą od niej.

Były wszakże również chwile żalu, niezmiernego smutku i zwątpienia. Poco się tak raduje? Czegoż się cieszy? Że, wydając córkę zamaż, żegna się z nią na zawsze. Gdyby to można do śmierci przeżyć razem, pod jednym dachem! Niestety, tak być nie może! Chyba kiedyś, kiedyś, gdy Kondelik porzuci rzemiosło i urządzi sobie dożywotni odpoczynek we własnym domu na Winohradach, wtedy znów będą tworzyli jedną rodzinę. Ale kiedy to nastąpi?

Pepci znów wydawało się to wszystko snem, nieskończenie pięknym snem, a sen ten ma mieć ciąg dalszy. Dnie biegły jak woda. A kiedy z końcem września zaczął Majerficek odsyłać meble do mieszkania wymalowanego, wyszorowanego, z podłogami wyczyszczonemi, z klamkami przy drzwiach, błyszczącemi jak złoto, z oknami jak z kryształu, gdy robotnicy z gazowni zawiesili już żyrandole, gdy w sypialni stanęła czarowna ampuła, jak z Tysiąca i jednej nocy, z odcieniem zielonawym, niebieskawym i różowym, gdy tam z zakładu Stoupy nanieśiono kobierców, starannie owiniętych perkałem, aby się nie zakurzyły, wtedy Pepcia żyła duchem już tylko w tych nowych przestrzeniach i w domu wydawała się sama sobie, jak na urlopie. A gdy me-

ble były rozstawione, rzekła pewnej soboty pani Kondelikowa:

— Pepciu, rzeczy gotowe i wyprane zaniesiemy dziś na Winohrady i tam je ułożymy.

Po południu wybrała się na Winohrady mała procesya: pani Kondelikowa, służąca i praczka — te dwie ostatnie z ogromnym koszem bielizny.

Pani Kondelikowa wytarła komodę czystym ręcznikiem, dotąd nie używanym, zrobiła nad nią krzyż, i pobożnie szepcąc modlitwę, wkładała tam zawiniątko za zawiniątkiem, kokardkami do frontu. Pepcia podawała i przytem drżała lekko. To wstęp do nowego życia, tu ona będzie panowała!

Pani Kondelikowa dokończyła pracę, zmierzyła okiem znawcy, czy wszystko jest malowniczo i symetrycznie ułożone, znów zrobiła krzyżyk i zamknęła komodę.

Rozejrzała się po pokoju, przeszła przez jadalnię, sypialnię, kuchnię, gdzie także już stały naczynia w kredensie i na stole z drzewa lipowego, uśmiechnęła się i rzekła:

— Ładne będziesz miała gniazdko, wszystko jak w bajce, tylko gosposi tu brak.

— I ona będzie, mamusiu — rzekła radośnie Pepcia i prawie podskoczyła w górę.

.

Był początek września, po południu, gdy mistrz po obiedzie dawno wyszedł z domu, a pani Kondeli-

kowa na rozłożonym stole mierzyła i krajała płótno, ażeby maszyny nie próżnowały. Szwaczka wyszła z domu dla zakupu jakichś nowych guziczków, haftek, tasiemek i innych drobiazgów, Pepcia była u krawcowej, ażeby przymierzyć ubranie.

Wtem w kuchni odezwał się mocno dzwonek a gdy Kasia otworzyła, zabrzmiał jakiś obcy, ostry kobiecy głos:

— Czy pani *von Kondelik* jest w domu?

Pani Kondelikowa położyła nożyczki i spojrzała ku drzwiom. Nie znała głosu i przerwa w zajęciu była dla niej dość niemiłą. Ale już pukano kośćciami palcami w drzwi, więc pani Kondelikowa zawołała ostro:

— Proszę!

Do pokoju weszła niemłoda, wysoka, chuda, koścista kobieta o szorstkiej, z czerwonawymi plamami jakby przepalanej twarzy, w staromodnym i dość niebalemem ubraniu. Długie, suche, kościste palce tkwiły w siatkowych rękawiczkach bez palców.

Nieznajoma domknęła za sobą ostrożnie drzwi, ukłoniła się teatralnie i rzekła:

— Pani *von Kondelik*, czy tak?

Pani Kondelikowa mimowoli pochwyciła nożyczki.

Wizyta nieznajomej kobiety zastanowiła ją. Uczucie niezadowolenia z przeszkody przy robocie zmieniło się nagle w nieokreśloną obawę czegoś nieoczekiwanego, niezmiernie niemiłego. I tylko z przy-

zwyczajenia, jak już tyle razy w życiu na podobne pytanie, odpowiedziała nieznajomej:

— Proszę, czem mogę służyć?

Ale nożyczki trzymała mocno, jakby do obrony...

Nieznaioma zrobiła krok.

— Czy pani jest sama w domu, pani von Kondelik?

Pani domu przyświadczyła skinieniem głowy.

— Córki tu niema?

Pani Kondelikowa uczuła się ogromnie zakłopotaną.

— Niema — odpowiedziała, jak z musu — czego pani sobie życzy?...

— Zaraz, zaraz — rzekła.

I sięgnęła ręką w małą torebkę, która wisiała na lewej ręce. Grzebała w niej chwilę, wyjęła nareszcie jakąś ósemkę papieru i podając ją pani Kondelikowej, rzekła:

— Proszę pani.

Pani Kondelikowa sięgnęła ręką po papier — ręka jej trochę drżała — otworzyła go, przeczytała pierwszy wiersz.

Była to kartka, która ozdobnym drukiem oznajmiała zaręczyny Pepci Kondelikówny z Wejwarą.

— Owszem, to dotyczy mojej córki — potwierdziła pani Kondelikowa, patrząc uważnie na niezna-

joma—czegoż więc sobie pani życzy, pani, czy może panna, nie mam przyjemności...

— Pani, pani—rzekła nieznajoma—wdowa po oficjale Mukensznablu von Wiesengrün, gospodyni panna Wejwary...

— Ależ pan Wejwara mieszka... — chciała opowiadać pani Kondelikowa.

— Owszem, owszem—kiwała głową pani Mukensznablowa—teraz już u nas nie mieszka, ale *mieszkał*, paniusiu, *całe trzy* lata mieszkał...

Pani rozglądała się po krzesłach; dotąd nie proszono jej, aby usiadła. Pani Kondelikowa wskazała ręką krzesło i przybyła dama usiadła, skinęła ręką pani domu, aby także to uczyniła, i patrzyła na nią okiem badawczem.

Pani Kondelikowa uczuła się słabą pod tem spojrzeniem.

— I życzy pani sobie?...

— Więc panna von Kondelik ma sobie wziąć pana Wejwarę?

— Tak, przecież to wydrukowane—rzekła przekonująco pani Kondelikowa.

— Mój Boże! — wymówiła z ironią przybyła — teraz się drukuje różne rzeczy! Przyszłam do pani jako matka do matki i chcę zapytać: co się stanie z *moją* córką, gdy sobie pan Wejwara weźmie pannę Kondelik?

Masz dyable kaftan!

Jakgdyby piorun uderzył tuż obok pani Kondelikowej. To było jeszcze coś gorszego od pioruna, zdawało się, że ziemia zatrzęsała się w swoich posadach. Córka! Tu jest jakaś inna córka, a Wejwara — Boże, Boże, co też jeszcze pani Kondelikowa usłyszy? Zapała oddech w piersiach, ale starała się zachować spokój i tylko wyrzekła z przy-musem:

— Co pani mówi, *pani* córka, co się stało z *córką pani i...*

Chciała powiedzieć „i z panem Wejwarą”, ale nie mogła tego wymówić. Paniusia dopomogła jej:

— I niby z panem Wejwarą? Powiem otwarcie: oto myślałam zawsze, i myślę do dziś, że pan Wejwara i moja córka...

— Czy pan Wejwara obiecywał jej — wyrwało się pani Kondelikowej — czy ma zobowiązania względem córki pani?

Przybyła podniosła ramiona aż do uszu i znowu je opuściła.

— To jest, właściwie, jak to powiedzieć. Panowie są teraz tacy, że wogóle nie uznają żadnych obowiązków, teraz jest zupełnie inaczej, niż bywało dawniej. Ach Boże, kiedy się starał o mnie mój nieboszczyk Oktawian...

— Pau Wejwara nigdy o niczem nie wspominał — przerwała niecierpliwie pani Kondelikowa retrospektywne zboczenie pani Mukensznablowej.

Ta zaś podniosła suchy palec wskazujący do wysokości czoła i rzekła jak dyplomata:

— Wierzę, droga pani, że nie wspomniał. Jeszczeby też miał wspominać, kiedy postanowił wypręgnąć i zacząć gdzieindziej. Żadny z niego byłby jurysta. Zwłaszcza, że na takich panów wszędzie zastawione...

— Z nas nikt na niego nie zastawiał, pani Mukensznablowo!—rzekła szorstko pani Kondelikowa—nie potrzebujemy tego.

— Ależ ja też tego nie podejrzewam—zawołała przybyła.—Panowie dzisiaj gdzieindziej posmakują, a gdzieindziej zasiadają do obiadu, to zwyczaj teraz ogólny.

Dama podczas rozmowy rozglądała się po pokoju i widząc stos bielizny niedoszytej i skrajanego płótna, rzekła z dziwnym uśmiechem:

— Wyprawiał My także szyjemy, lata całe nad tem siedzimy, nie mogłam kupić odrazu dziesięć sztuk. Cud prawdziwy, że z mojej emerytury tyle mogła sprawić, a teraz, gdy się we wszystkim musiała ograniczać, teraz...

Przy ostatnich słowach trąciła pogardliwie końcami palców kartę zaręczynową Wejwary.

Pani Kondelikowa siedziała i słuchała, jak we śnie. Przyszło to wszystko tak nagle, nieoczekiwanie, że była pomieszana, zawstydzona i wystraszona, wszystko jej wirowało przed oczyma, postać pani

Mukensznablowej odbijała się na wszystkie strony, widziała tej wstrętnej kobiety naraz aż pięć egzemplarzy.

Strach ją ogarniał w towarzystwie tej dziwnej osoby, która ukazała się prawie w ostatniej godzinie, ażeby zburzyć spokój szczęśliwej dotąd rodziny, ba, ażeby może zniszczyć całą przyszłość jej córki. Myśl podobna wzburzyła nagle pierś pani Kondelikowej, wybuchnęła też szorstko:

— Proszę mi powiedzieć, co to wszystko znaczy? Czego pani sobie życzysz, poco tu przychodzisz do mnie! Dlaczego to nie załatwicie wszystkiego z panem Wejwarą?

Pani Mukensznablowa powstała.

— Chce pani wiedzieć, co to znaczy?—mówiła monotonna. — Znaczy to, że nie chcę, aby dziecię moje było barankiem, który się za innych ofiaruje. Znaczy to, że przyszłam, aby ostrzedz przed panem Wejwarem. Może oczekiwał od nas więcej, niż dać możemy, bo tacy są teraz panowie, ale ja sobie myślę: urzędnik magistratu powinien być przykładem całego miasta. Takim jest pan burmistrz, głowa miasta i panowie radcowie. Chciałam pani powiedzieć, że pierwsze prawo do pana Wejwary ma moja córka! A gdyby to nie wystarczyło z prawem naszym pójdziemy do kościoła, a potem zobaczymy, czy będzie ślub. Miałam załatwić z panem Wejwarą? Owszem, ale gdzie? Odszedł od nas, gdzie go mamy szukać, my słabe kobiety! Proszę więc, ażeby mu pani rzekła: panie Wejwaro, kto to jest pani Mukensznablo-

wa i jej córka Loti? Pytały się o ciebie, idź i spełnij swój obowiązek. Takbym rzekła ja, jako matka, gdyby pani była na mojem miejscu i tego żądam od pani, pani Kondelik.

— Dobrze, dobrze—odparła z pośpiechem pani Kondelikowa. — Powiem mu to, gdy przyjdzie, a jeżeli wszystko prawda, to nie będziemy go wstrzymywały ani jednej minuty. Skoro ma zobowiązania wobec pani, niech je wypełni. Nie życzymy sobie tego wcale, ażeby ktoś do nas miał urazę lub na nas narzekał.

W oczach pani Mukenszuablowej przebijała radość, chcąc jednak jeszcze wzmocnić pozycję, podeszła prawie aż do pani Kondelikowej, podniosła prawicę i lewicę z torebką i wymówiła jak Sybilla:

— Nietylko narzekać, moja pani Kondelikowa, przeklinaćbym was musiała! A wie pani chyba, że nie jest szczęśliwą droga do ołtarza, wybrukowana przekleństwami niewinnej, okłamanej, uwiedzionej dziewczyny...

— Uwiedzionej! — wykrzyknęła pani Kondelikowa.

Matrona, opierając rękę o ramię pani Kondelikowej przyciszonym, przenikliwym głosem mówiła:

— Są na to dowody piśmienne.

— Dosyć, dosyć, dosyć! — wołała pani Kondelikowa.—Niech mnie już pani opuści.

.

Pani Kondelikowa nie zauważyła nawet, że została już sama w pokoju, siedziała na krześle, patrząc przed siebie jakby szklanym wzrokiem i szep-tem powtarzała.

— Więc Wejwara, ktoby to był pomyślał, ktoby to był pomyślał!

W tej pozycyi zastała ją Pepcia, która za pół godziny powróciła.

— Co ci jest, mamusiu? — zapytała zdziwiona.

Pani Kondelikowa machnęła ręką na stos pokrajanego płótna i wstrzymując płacz, mówiła żałośnie:

— Złóż to, córeczko, zamknij, nasza praca skończona.

Potem opowiedziała córce, kto tu był i czego żądał.

Ale już po kwadransie żałowała, że tak uczyniła. Trzeba było przecież poczekać na małżonka i jemu się najpierw zwierzyć, trzeba było potem z Kondelikiem wysłuchać Wejwarę.

Serce jej się ścisnęło, gdy patrzyła na płaczącą córkę. I jedyne słowo promieniało jej jak gwiazda nadziei, słowo, które wymówiła Pepcia w swoim żalu, wołając kilkakrotnie:

— To jest może jakiś podstęp, mamusiu, to jest jakiś podstęp!

— Podstęp! Ach, gdybyż to był podstęp! — prosiła pani Kondelikowa Boga. — No, niechaj tylko przyjdzie Wejwara! Oby tu już był!

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

Od Nowego Roku 1902

każdy prenumerator

„GAZETY POLSKIEJ”

otrzymuje w zeszytach

Wielkie 4-otomowe dzieło

wspaniale ilustrowane p. t.

„HISTORIA SZTUKI”

A. SPRINGERA,

w przekładzie Kazimierza Broniewskiego,

zawierająca

1,500 reprodukcji arcydzieł malarstwa, rzeźby

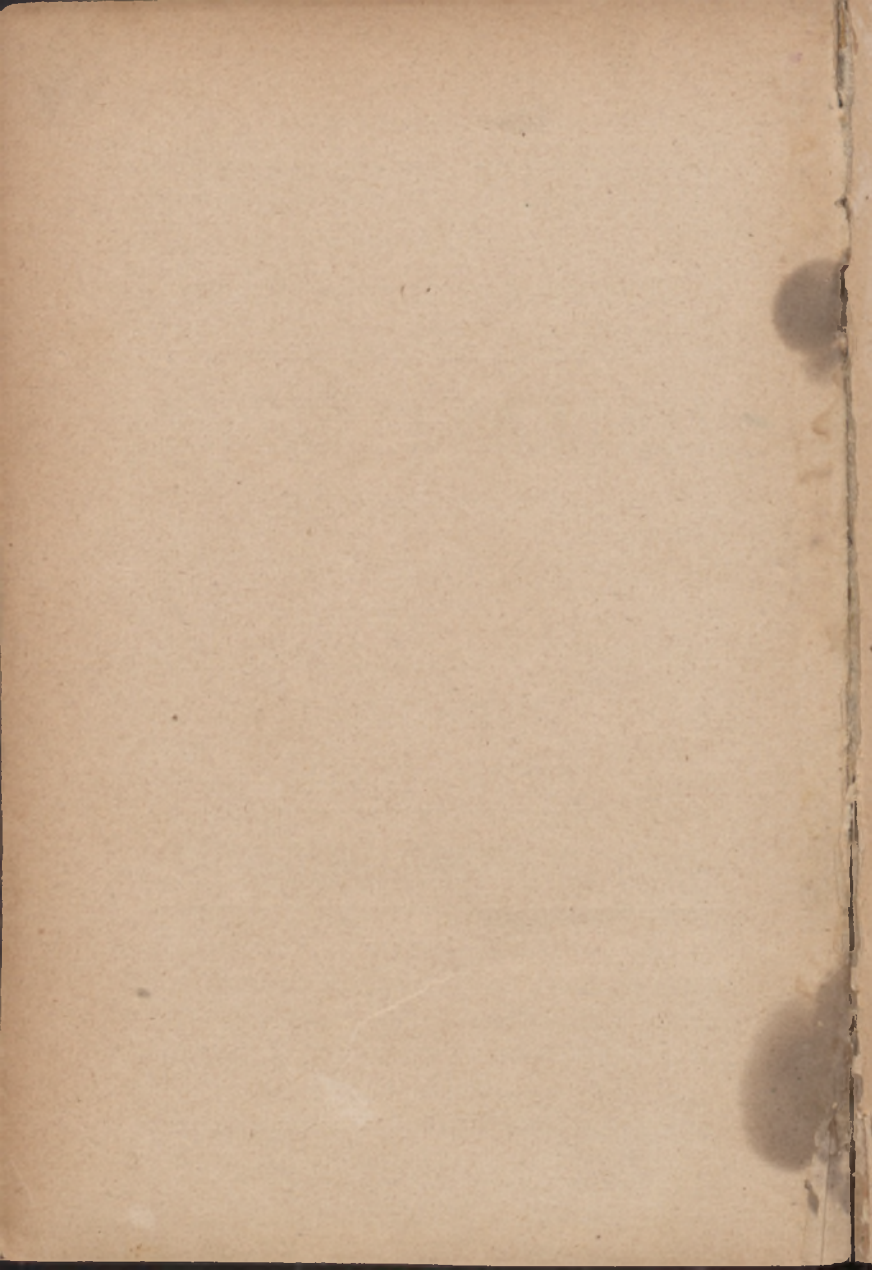
i architektury,

wartości 20 rubli,

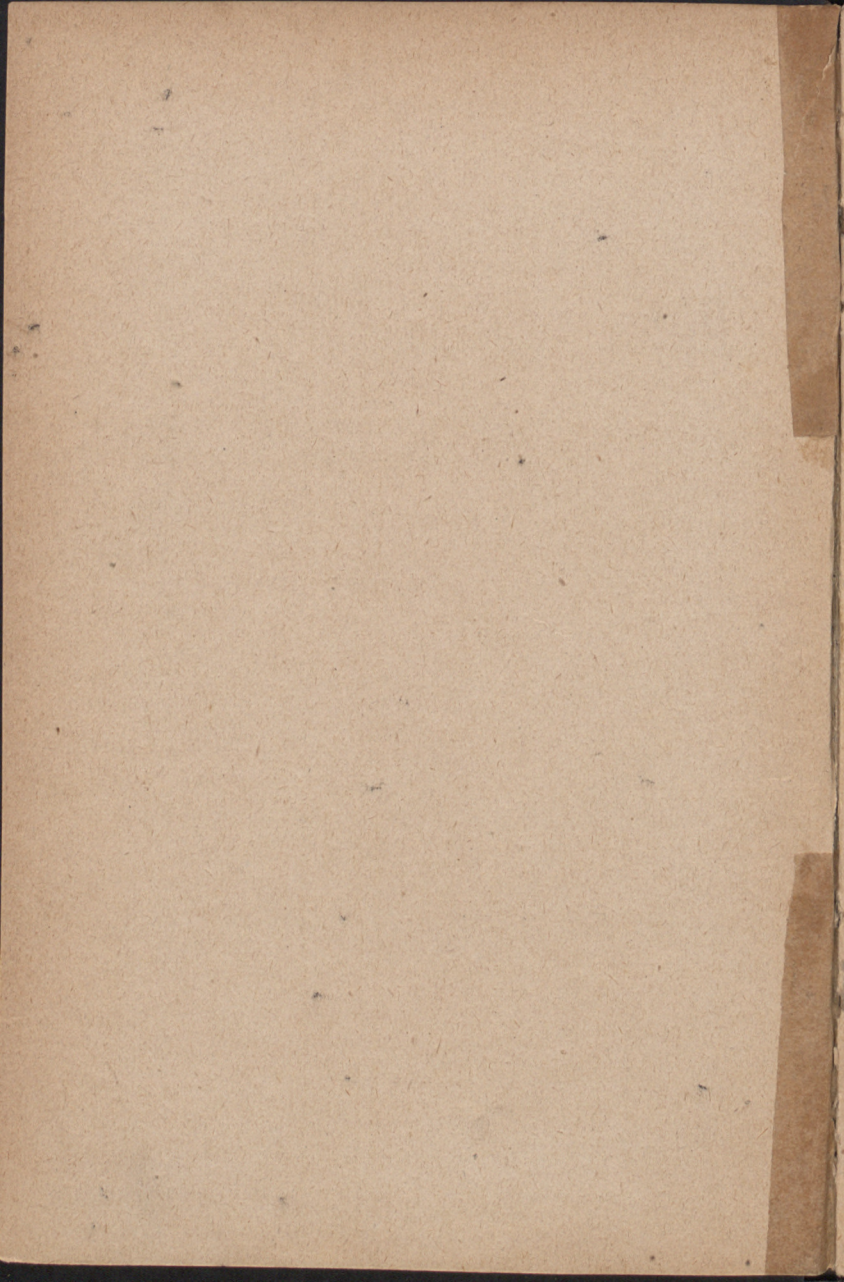
jako premium bezpłatne.

CENA „Gazety Polskiej” wraz z „Historią Sztuki”
i „Historią XIX stulecia” w Warszawie: rocznie rb. 9,60,
półrocznie 4,80, kwartalnie 2,40, miesięcznie kop. 80;
z przesyłką pocztową: rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6,
kwartalnie rb. 3.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Warecka 14



OJCIEC KONDELIK I NARZECZONY WEJWARA.



IGNAT HERRMANN.

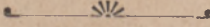



Ojciec Kondelik 
 i Narzeczony Wejwara.

ZA POZWOLENIEM AUTORA

z czeskiego
przełożył

PAWEŁ I. ASKOWSKI.


Część III.


WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Ноября 1902 года.

B a d a n i e.

O siódmej godzinie powrócił mistrz Kondelik. Zaczyn ten mąż nie miał, co prawda, delikatnych uczuć, ażeby w oka mgnieniu zrozumieć usposobienie swego otoczenia, aby przeczuć, czem napełniona jest atmosfera; w sobotę zaś po wypłaceniu robotników, nerwy jego dla subtelniejszej obserwacji były przytępione.

Ale dziś, gdy w sypialni zrzucił wierzchnie ubranie i wdział wydeptane pantofle, wkroczywszy znowu do jadalni, poczuł jakieś napięcie w spokoju panującym wokoło. W tych dniach małżonka jego bywała ogromnie szczerą, pokazywała mu, co zrobiła, osładzała mu wszelkimi sposobami te niekończące się wydatki na wyprawę córki, a także Pepcia z dziecinną radością skakała około tatki, aby mu okazać wdzięczność za wszystko, co na jej młody, nowy dom wyłożył.

Dziś inaczej.

Pani Kondelikowa dreptała smutna i chmurna, chwytając się zupełnie bezcelowo różnych drobnostek i znów je kładąc na miejsce. Dziwnem to było dla mistrza, że cały dom niezwykle był uprzątnięty. Nigdzie żadnej rozpoczętej roboty, nigdzie śladu obcinaków płótna, maszyny do szycia były przykryte, martwo i cicho było w pokoju, jak po pogrzebie.

Pepcia przechodziła dwa razy, jak spłoszona, po pokoju i zniknęła za każdym razem w kuchni. Widocznie unikała spojrzenia ojca. Ale im usilniej się o to starała, tem dziwniejszem było to dla ojca, który ją nareszcie zatrzymał:

— No, Pepi!

— Co chcesz, tatusiu? — odezwała się Pepcia drżącym głosem, ale nie zwróciła się do niego twarzą.

— No, słuchaj, dziewczyno! — zawołał mistrz jeszcze raźniej i przymusił córkę, że musiała się ku niemu obrócić.

Wtedy zobaczył pan Kondelik, że ma oczy czerwone od łez, że nozdrza jej dotąd drżą i tylko z największym wysiłkiem tłumi nowy płacz.

— Cóż to znaczy, co ci się stało? — podszedł ojciec bliżej.

Wtedy pani Kondelikowa przemówiła po raz pierwszy. Spojrzeniem nakazała córce, aby zniknęła w kuchni, jednocześnie zaś pochwyciła małżonka za ramię i rzekła smutnie:

— Daj jej spokój, Kondeliku, wszystko ci powiem...

Mistrz już, już chciał wybuchnąć na swój spo-

sób, ale spojrzawszy uważniej na małżonkę, znalazł i w jej oczach ślady płaczu, zamilkł na chwilę i zawołał:

— Co się tu dzieje, Betty?

— Czekaj, Kondeliku, poczekaj aż przyjdzie Wejwara, a wtedy będziemy o tem mówili. ażeby się dwa razy o jednym nie rozwodzić. Mój Boże, gdy człowiek myśli, że już wszystko pokonał, wtedy nadchodzi...

Pan Kondelik patrzył na małżonkę z ogromnem zaciekawieniem w oczach, ale pani znowu była w którymś kącie i zajmowała się równaniem czegoś, co była już zrównała dziesięć razy. Jasnym było, że teraz mówić nie chce.

Mistrz Kondelik patrzył za nią chwilę, wrzucił ramionami i nie pytał więcej. Bomba pęknie, wiedział o tem z doświadczenia. Napewno jakaś kwestya kobieca!

Dziś nie czekano nawet z kolacją aż przyjdzie Wejwara. Kasia miała nakaz, aby się pośpieszyła z przygrzewaniem klusek z jajkami i gdy tylko były gotowe, przymuszała małżonka do jedzenia.

Wejwara nie powinien być dziś świadkiem żadnej rodzinnej szczerości, do jakich należy kolacya, Wejwara powinien być zastać tu teren jaknajpoważniej uscenizowany, słowem, miał się znaleźć jak na ławie oskarżonych.

Ten pośpiech z kolacją był również dla p. Kondelika zagadką, ale nie mówił nic. Pochłaniał szybko kluski, schrupał potem zwykłe dwa pęczki rzodkie-

wek, a już mu pani z pod rąk brała talerze i nakrycie, ledwie mógł dojeść.

— Co tu się dzieje?—srożył się mistrz, którego cała ta tajemniczość powoli drażnić zaczynała. — A gdzie jest piwo?

Piwo się spóźniło. Kasia, mając kolację na głowie, nie mogła pójść prędzej do Pokornych, ale teraz przybiegła i jednocześnie z dzbankiem podała pani Kondelikowej białą kopertę!

— Ten liścik miała stróżka oddać zaraz nad wieczorem, przyniósł to posłaniec, ale zapomniała o tem. Teraz mi na dole dała i prosi, ażeby się państwo nie gniewali.

Pani rozerwała kopertę, była to karta wizytowa Wejwary z kilku słowami na odwrotnej stronie. Zawiadamił jaknajdelikatniej, że ma jakąś obowiązkową komisję, która go może zatrzyma do późnej godziny. Przeprasza, jeśli nie będzie mógł przybyć.

Tego tylko jeszcze było potrzeba! Pani Kondelikowa była przekonana, że ta wymówka jest w związku z kwestją pani Muknsznablowej, że Wejwara wie, co się stało, że ma nieczyste sumienie i chce uniknąć odpowiedzialności. Dziś się jeszcze wytłómaczył, jutro może nie przyjdzie wcale...

Wymówka Wejwary zupełnie wyprowadziła panią Kondelikową z równowagi. Kobieta, która od początku tak ufała Wejwarze, która go poprostu nosiła na rękach, drogę mu wygładzała i wszystkie małe nieprzyjemności wytrwale usuwała, teraz nagle zachwianą została w swoim zaufaniu. Przyczyna była ogromnie poważna. Postać pani Muknsznablowej,

oskarżenie, z jakim wystąpiła, pewność, z jaką to uczyniła—wszystko to działało na umysł pani Kondelikowej. Zraniono ją w miejsce najczulsze, jej serce i żądza czci były dotknięte tak nagle. Wszystkiego byłaby oczekiwała, ale tego, że Wejwara mógł uwieść niewinne dziewczę, że mógłby grozić skandal jej Pepci—nie, myśl o tem odbierała jej wszelką rozwagę. Ktoby to był mógł przeczuwać!

Przeczytawszy bilet, nie czekała dłużej. Podała go małżonkowi i odprawiwszy Pepcię spojrzeniem do kuchni, mówiła poważnie, surowo:

— Przeczytaj to sobie, a potem powiem ci coś ciekawego.

Kondelik przeczytał i oparł pytający wzrok na małżonce:

— No, i co?

Pani siadła, patrzyła przez chwilę na męża, aby go przysposobić i powoli, dobitnie opisała mu przyjęście pani Muknsznablowej i opowiedziała wiernie treść rozmowy.

Na pochwałę jej trzeba wszakże powiedzieć, że od prawdy nie zboczyła w najmniejszym szczególe. Nie powiększała, nie nadrabiała, ale głos jej brzmiał gorzko.

Pan Kondelik słuchał cierpliwie i paląc cygaro, pozwolił małżonce dokończyć.

Wtedy rzekł nagle:

— Czemuś baby nie wyrzuciła za drzwi?

Takiego obrotu rzeczy nie oczekiwała.

— Tylko tyle odpowiadasz na tę sprawę? — rzekła z wyrzutem.—Jakże mogłam wyrzucać, kiedy

nie wiedziałam, czego chce odemnie. Nie lepiejże to, iż powiedziała wszystko, zanim już będzie zapóźno? Czy byłoby ci przyjemniej, gdyby nam zrobiła wstyd przed ołtarzem?...

— Tobyśmy ją kazali zabrać—wtrącił stanowczo Kondelik.

— Tu nie wystarczyłaby nawet policya! Zabrać, zabrać! Ale skandalby już był, a nasze dziecko byłoby może do śmierci nieszczęśliwe. I ty to mówisz, jako ojciec? Nie jest-że twoim obowiązkiem wybadać Wejwarę? Niech się wytłómaczy, jeśli się może usprawiedliwić.

— Jakże go wybadać, kiedy go tu niema! — srożył się pan Kondelik.

— Widzisz, nie przyszedł!—zawołała pani z goryczą. — Nie przyszedł, czuje coś, może była także u niego. Ktoby to był pomyślał! Chryste Panie, nawet temu wierzyć się nie chce, a ta biedna dziewczyna, jej serce pęknąć może.

— Sama sobie winna! A czy Pepcia słyszała waszą rozmowę?

— Nie!—odpowiedziała powoli pani.—Ale jej to powiedziałam.

— To palnęłaś wielkie głupstwo!—rzekł mistrz z wyrzutem. — Takich rzeczy nie mówi się narzeczonemu! Czy nie mogłaś poczekać dopóki nie przyjdę?

— Masz rację, mężu — potakiwała zafrasowana pani — zastanowiłam się później i gniewałam się sama na siebie. Ale co teraz będzie? Wejwara nie przyszedł i to jest dziwne, to go prawie oskarża.

Jutro pójdziesz do niego, pomówisz z nim, a jeśli tak jest, to niech do nas nie chodzi.. Powiedz mu to, Kondeliku, to mu powiedz... i wybadaj go...

Pani nie dokończyła.

W kuchni brzęknął dzwonek, skrzypnęły drzwi i odezwało się znajome, nieśmiałe pozdrowienie Wejwary.

— Oto jest!—zawołał mistrz.—Wybadaj go sobie sama!

— Nie, Kondeliku — broniła się pani, na której twarzy zakwitł silny rumieniec. — Tyś ojciec, ty zacznij!

Była tak przekonana, że Wejwara nie przyjdzie, iż przyjście jego pomieszało wszystkie szyki.

— Chodź pan bliżej, bliżej, panie Wejwaro — drżał w kuchni głos Pepci — przyjdę zaraz do pokoju.

Zapukano w drzwi, Wejwara wszedł.

Pani Kondelikowa całe popołudnie postanawiała sobie, że gdy przyjdzie Wejwara i będzie brał ją za rękę, to mu ją usunie i powie chłodno: proszę, racz pan spocząć, panie Wejwaro!—ale gdy się teraz ukazała jego spokojna twarz i gdy się miękko dotknął jej prawicy i skłonił, aby ją pocałować, nie mogła mu jej wyrwać i mówiła zakłopotana:

— Witam pana, nawet nie czekaliśmy już na pana, siadaj pan, proszę...

— Mam dziś z panem na pieńku, Wejwaro! — zawołał Kondelik bez wstępu.

Wejwara spojrzał na niego zdziwiony, a mistrz ciągnął dalej:

— Siądź, młodzieńcze i powiedz jakie stosunki masz z tą Muknsznablicą i jej córką?...

Wejwara się stropił i patrzył to na panią Kondelikową, to na pana Kondelika, a bezwiednie spojrział ku drzwiom do kuchni, zdawało mu się, że teraz dopiero pojmuje zimne powitanie swej narzeczonej.

— Kondelikul — zawołała półgłosem pani, która inaczej wyobrażała sobie zagajenie tej sprawy.

— Poco tu długie przedmowy, żono! — oponował mistrz. — Nie jestem stworzony do wielkiej polityki. — Była tu jakaś baba, która powiada, że pan podobno utrzymywałś stosunek z jej córką. Przyszła, ażeby nas przestrzedz. Coś pan tam spsocił?

Wejwara, jak rak się zaczerwienił po uszy.

— Stosunek, szanowny panie, powiedziała? — wykrztusił.

— Mój panie, nagadała tu ona dużo. Szkoda, że pana nie było! Matka jest cała przybita, a Pepcia chodzi, jak Gryzelda. Co to znaczy, do wszystkich dyabłów?

— Szanowny panie, stosunek? — powtórzył Wejwara, jak we śnie.

— Ona powiedziała więcej jeszcze — wmieszała się teraz do rozmowy pani Kondelikowa — twierdziła, że jesteś pan z panną Loti tak daleko, że nawet pan nie może iść z innym dziewczęciem do ołtarza...

Wejwara zdrętwiał z przerażenia. Oczy jego spoczęły na pani Kondelikowej, z której spojrze-

nia zrozumiał, że jest już skazany. I wykrzyknął nagle:

— A szanowna pani wierzyła temu?

W pytaniu tem drgał niezmierny lęk i żal. Oczy jego spoczęły prawie z wyrzutem na pani, aż ją zabolalo serce.

— Gdybyś pan był matką, Franciszku—mówiła ogromnie zakłopotana — i przyszłaby taka pani i to rzekła, tobyś pan się także pytał, Franciszku, tobyś pan się także pytał...

Nie mogła dalej mówić. Spojrzenie Wejwary mieszało ją okropnie. Te oczy nie kłamały, ten człowiek jej nie zawiódł? Ciężkie oskarżenie pani Muksznablowej i podejrzenie pani Kondelikowej zaczęło się rozwiewać.

Wejwara zaczął mówić. Z początku głosem tłumionym, ale im dalej, tem więcej się zapalał. Inny byłby się może obraził, że o nim na chwilę mogli wątpić, on to tylko starał się wytłómaczyć i szukał słów, aby dokładnie rzecz przedstawić.

— Szanowny panie, pani, sprawa jest taka. Ta pani jest osobą, zasługującą na litość, co jej jednak nie upoważnia, aby czyniła takie bezpodstawne i straszne w swych skutkach intrygi. Wiecie już, państwo, że u niej mieszkałem. Trwało to trzy lata, a potem się wyprowadziłem, zauważywszy, że ta pani ulega chorobie imagynacyi. Każdy człowiek, który u niej mieszka (był to pokój z osobnem wejściem!) wydaje się jej przez los zesłanym, ażeby pojął córkę jej za żonę. Gdym się o tem przekonał, podziękowałem za mieszkanie. Od pierwszej chwili dla każdego lokato-

ra bywa ogromnie uprzejma i korzysta z każdej sposobności, ażeby go do siebie przywiązać. Nie pojmo-
wałem, dlaczego mi zawsze na moje imieniny gotuje
czekoladę na śniadanie i czyni różne inne drobnostki.
Nie jestem pierwszym, który się staje ofiarą jej ima-
ginacyi, jeszcze nikt nie rozszedł się z nią dobrze.
Ale do niczego się nie zobowiązywałem, przez cały
czas zachowywałem się biernie, każdą jej grzeczność
odpłacałem małemi podarkami. Niestety, to może
właśnie upewniało ją w złudnej nadziei. Przecież
się nawet żenić nie mogłem, mając sześćset reńskich!
Wyprowadziłem się z czystym sumieniem i miałem
przez cały czas spokój, zaraz po mnie wprowadził
się inny lokator, który widocznie przejął wyimagi-
nowaną rolę konkurenta o rękę jej córki.

Wejwara przestał; nie mógł jednak dalej mówić
z gniewu.

Pani Kondelikowa połykała jego słowa i cała
tragedya rozpływała się przed nią w mgłę. Nagle
przypomniała jednak sobie.

— Ale, Franciszku, ona twierdzi, że ma od pa-
na piśmienne dowody, że przyniosłaby je do kościo-
ła, co to znaczy?

Wejwara się stropił.

— Piśmienne dowody, szanowna pani? O tem
nie wiem nic. Nigdy nie pisałem do panny Loti,
nawet jednego słowa, ani też do matki. Oprócz spi-
su bielizny, o którą także miała staranie, nie było
między nami żadnej korespondencyi.

— Dziwna rzecz, dziwna rzecz — kiwała pani
głową.

— Prynmetalowa babal — wpadł pan Kondelik.

— Spełnię swój obowiązek, szanowna pani — postanowił Wejwara bohatercko — i jutro do niej pójdę...

— Nie, Wejwaro! — zdecydował nagle mistrz Kondelik, który miał chęć rozciąć ten węzeł gordyjski—ja tam pójdę, ja, jako przyszyły teść pański. To mój obowiązek, ja tę sprawę wygładzę.

— Tylko nie zrób awantury, staruszkę — obawiała się pani Kondelikowa.

— Nie bój się, nie zjem jej, Wejwara nie ma tu ojca w Pradze, ja mu go zastąpię.

Wejwara obtarł sobie spocone czoło. Był to znojny wieczór, ale wreszcie dobrze, że się tak stało. Oczyści się, zupełnie się oczyści. Daremnie łamał sobie jednak głowę Wejwara, nie rozumiejąc, co znaczą owe dowody piśmienne.

.

Po jego odejściu późnym wieczorem (za wszystkie umartwienia otrzymał Wejwara w ciemnej sieni gorący pocałunek od Pepci) rzekł Kondelik w sypialni do małżonki:

— Trzech lat potrzeba było Wejwarze, ażeby dostrzedz zasadzkę tej baby. No, jutro z nią pomówię!

I nad rodziną Kondelików zawisła znowu spokojna, cicha noc po dniu burzliwym.

XXI.

Wszystko w porządku.

W niedzielę gotował się mistrz Kondelik na wyprawę do pani Muknsznablowej, jak kandydat do egzaminu, lub popisowy do wojska. Golił się niezmiernie uważnie, wybrał jedną z najświęteczniejszych koszul, w czarny, atlasowy krawat wetknął sobie szpilkę z „kociem okiem,” którą nosił przy dużych uroczystościach, a mankiety zapiął sobie pamiętnymi spinkami ze „szprudla,” które przywiózł mu ktoś z Karolowych Warów. Biała flanelowa kamizelka ozdobiona była ciężką, „węzową” dewizką, a palce obu rąk ledwie mógł zamknąć, były bowiem obłożone szerokimi, masywnymi pierścieniami z kamieniami, wielkości jajka gołębiego. Niech pani Muknsznablowa widzi, z kim ma do czynienia.

Do kawy musiała mu małżonka podać butelkę koniaku.

Mistrz Kondelik twierdził, że kieliszek koniaku do kawy wywołuje „jasność w głowie i żwawość w języku.” Dziś wlał sobie całe dwa kieliszki.

Pauli Kondelikowa patrzyła na te przygotowania z zakłopotaniem, a widząc, że sobie małżonek dolewa podwójną dawkę koniaku, rzekła do niego z prośbą w głosie, gdy Pepcia pobiegła do kuchni:

— Staruszk, proszę cię, byś się czasem nie zapomniał wobec tej osoby...

— Nie bój się, Betty — odparł szorstko małżonek.

— Ja się nie boję, staruszk, ale dwa koniaki mogły cię zdenerwować...

— O to się tembardziej nie bój, Betty—mówił mistrz z powagą. — Wódkę pije się przeciw ukąszeniom żmii, a gdy człowiek ma do czynienia z taką habą-jędzą, musi się na wszystko przygotować.

Pani Kondelikowa opuściła głowę. Teraz dopiero przyszło jej na myśl, że może byłoby lepiej, gdyby się do dyplomatycznych rokowań z panią Muknsznablową była wzięta sama.

Więc też gdy mistrz Kondelik, zupełnie już gotów, zaszedł jeszcze do komody po świeżą chustkę do nosa, śpieszyła za nim i prosiła go tłumionym głosem:

— Proszę cię, staruszk, gdyby tam u tej niešťeśliwej kobiety wyszło co na jaw o Wejwarze, wiesz, gdyby! czego nie daj Boże! nie wysyp tego przed Pepcią, przeminie jakby nigdy nie, pomalutku ją na to przygotowujemy, proszę cię, staruszk...

— Moja, Betty—odpowiedział mistrz surowo— szkoda, że nie pamiętałaś o tem wczoraj, bylibyśmy załatwili wszystko bez krzyku, bez hałasu, ale nie bój się, nie pójdę z bębem na ptaki!

Pan Kondelik obrócił się jeszcze przed lustrem, poklepał się po wyłogach kamizelki, jakby ją chciał przybić do piersi, poprawił sobie poły surduta, pokręcał pierścienie kamieniem do frontu i poźegnawszy się krótko, udał się w drogę. Nawet nie czuł

że żona pośpiesznie zrobiła trzy krzyżyki na plecach.

W mistrzu Kondeliku po usłyszeniu wieści o wtargnięciu pani Muknsznablowej odgrywał się proces zupełnie przeciwny temu, jaki toczył się w umyśle jego małżonki. W chwili, gdy pani Kondelikowa Wejwarę wypuściła ze swych łask, będąc jakby zamagnetyzowaną przez byłą jego gospodynię, małżonek większej jeszcze ku niemu nabrał sympatii. Gdy mu się zdawało, że Wejwarę kobiety opuszczają, postanowił sobie, że go ocali bądź co bądź. Było to raczej instynktowne, niż świadome, było to bezwiedne poczucie wspólności, wzajemności; jednoczył się tu mężczyzna z mężczyzną przeciw „kobiecu spisowski.” Oskarżeniu Wejwary nie wierzył, z prostej jednakże ostrożności chciał wiedzieć wszystko, ażeby też na wszystko być przygotowanym.

Z rozmowy z Wejwarą dowiedział się mistrz o adresie byłej gospodyni narzeczonego. W Betlejemie na Starem Mieście, przy placu Betlejemskim.

Ale nie poszedł tam prosto, lecz zwrócił się na plac Staromiejski, ku magistratowi.

— Czy pan Wejwara jest już w kancelaryi? — zapytał na dole portyera.

— Jest.

Mistrz szedł do prezydyum. Zapukał, wsunął głowę w drzwi i oczy jego spotkały się ze wzrokiem Wejwary. Kiwnął na niego i Wejwara wyszedł, zadziwiony poniekąd nieoczekiwaną, wczesną wizytą mistrza.

— Dzień dobry, Wejwaro!—zawołał Kondelik.—
Jakże pan się wyspał?

— Dziękuję, szanowny panie, raczy pan jednak zrozumieć, że nie miałem najpiękniejszych snów po fatalnym dniu wczorajszym...

— No, no, młodzieńcze, nie trzeba zaraz tracić gruntu pod nogami. Ten tego... co to ja właściwie chciałem? Aha! pańska Sybilla mieszka w Betlejemie, prawda?

— Tak, szanowny panie...

— Idę do niej teraz, Wejwaro—ciągnął mistrz, nie patrząc na Wejwarę, lecz na koniec długiego w mroku niknącego korytarza.—Wstąpiłem przeto po drodze do pana, wiesz pan, tego...

Mistrz miał coś na wątrobie i nie wiedział, od którego końca zacząć, ale nagle rzekł:

— Słuchaj pan, Wejwaro, zanim się wezmę do tej baby, chcę wiedzieć wszystko. Nie było tam z tą jej córką naprawdę nic? Powiedz mi pan szczerze, abym się nie zbłąźnił. Mnie pan przecież możesz powiedzieć, kobietom w domu nie rzeknę nic, a pana nie opuszczę, ale mów prawdę, szczerą prawdę! Z człowieka jest kruche naczynie, a ja wiem, jak każda taka gospodyni z córkami na lokatora w pokój zastawia sidła.

Wejwara się zapalił. Popatrzył na pana Kondelika i odrzekł wzruszony:

— Szanowny panie, jak mnie pan żywego widzisz, nie mam sobie nic do wyrzucenia. Już wczoraj powiedziałem prawdę. Ach! te mieszkania u wdów z córkami! Wiem od kolegów, jak to bywa, każda

robi tak samo i często nawet się im powiedzie, ale ja wpadłem najniewinniej. Gdybym miał cośkolwiek na sumieniu, nie odważyłbym się wchodzić do rodziny takiej, jak szanownego pana...

— A te dowody piśmienne?—pytał jeszcze Kondelik.

— Tego właśnie sam nie mogę zrozumieć—odparł Wejwara zamyślony.—Prędzejbym uwierzył, żem podpisał weksel, niż w to. Niech mi pan wierzy, nie przeczuwam...

— Dobrze zatem—kończył Kondelik—ja to załatwię!

I wzmocniony zapewnieniem Wejwary, udał się chętnie w stronę Betlejemu.

Po dziesięciu minutach stał na pierwszym piętrze starodawnego, ciasnego domu w Betlejemie, przed drzwiami, na których był napis: „Charlotte Muckenschnabel von Wiesengrün, Beamtenwitwe.” Jeszcze nabrał tchu, jeszcze szybko powtórzył sobie wstęp, którym chciał zacząć rozmowę, i zapukał do niskich drzwi. W zamku zgrzytnął klucz, drzwi się otworzyły i w niskiej kuchni stanęła wysoka, koścista kobieta, już nam znana, sięgająca prawie sufitu.

— Kogo pan szuka?

— Pani Mukensznablowej — rzekł poważnie mistrz i schylając głowę wchodził do pokoju.

— Ja właśnie nią jestem — odpowiedziała matrona, patrząc z zadziwieniem na gościa.—Czem mogę służyć?

— Chciałbym z panią pomówić w cztery oczy.

Zdawało się, że pani trochę się stropiła, ale wkrótce skinęła kościstą ręką.

— Proszę, racz pan wejść.

Nie zamknęła kuchni na klucz, i jak smukły splotak wodny płynęła za mistrzem.

— Z kim mam przyjemność?— spytała z zaciekawieniem.

— *Kondelik*, proszę pani — odrzekł mistrz — *Kondelik* z ulicy Jecznej...

— Ach, pan *Kondelik*! — rzekła zadziwiona matrona — tegom na prawdę nie oczekiwała.

Czerwone plamy na jej twarzy miały teraz zupełnie jasne kontury. Twarz jej należała do takich, co się nie mogą zarumienić na całej powierzchni. Żółtawy kolor twarzy wkoło czerwonych plam występował tem jaskrawiej.

— I ja tak myślę — rzekł mistrz — abyśmy więc jaknajprędzej skończyli, szanowna pani, racz mi powiedzieć, jak to jest właściwie z całą tą sprawą paninej córki z panem Wej...

Kondelik nie dokończył. Matrona uczyniła nagły ruch, zabraniający dalszego mówienia, jakby się obawiała, że ich ktoś zaskoczy, wyszpiguje. Rzuciła pełne obawy spojrzenie na niskie drzwi, prowadzące do pokoju na prawo, podeszła do nich na palcach, podsłuchiwała, nacisnęła kłamkę, otworzyła ostrożnie i zajrzała przez szparę. Weszła tam, rozejrzała się badawczo, powróciła, zamknęła drzwi, odetchnęła z głębi, podniosła lewicę, przycisnęła wszystkie pięć palców do szerokiej, płaskiej piersi, i patrząc na

pana Kondelika prawie z wyrzutem, rzekła jakby po ciężkiem zmęczeniu:

— To mnie pan przeraził, ale dzięki Bogu, jesteśmy sami. On odszedł...

— Kto odszedł? — spytał Kondelik.

— Nasz pan! — odetchnęła matrona.

— Co mi do niego, z nim nie mam o czem mówić — rzekł mistrz sucho. — Przyszedłem tylko się zapytać, o co właściwie chodzi państwu z naszym panem Wejwarą! Jestem bowiem jego przyszłym teściem. Była pani wczoraj u mojej żony, szkoda, że mnie nie było w domu, i narobiłaś nam ładnego bigosu. Tak tego pozostawić nie możemy. Dlaczego pani go prześladowuje właściwie?..

— Proszę, racz pan usiąść i nie unosić się — prosiła matrona spokojnie. — Pan jest solidnym człowiekiem, mieszczaninem, a ja jestem wdową po urzędniku, załatwimy wszystko zgodnie. Proszę pana, ja do pana Wejwary nie mam żadnych preteusyj, zupełnie żadnych, a córce pana życzę szczęścia. *On się nam bowiem oświadczył!*

Słowa te wymówiła pani Muknsznablowa z tryumfem, podniesionym głosem:

— Kto się oświadczył? Wejwara?

— Ależ nie, szanowny panie! Nasz pan! Loti jest narzeczoną.

Pan Kondelik nic nie pojmował. Czy ta kobieta nie postradała zmysłów?

— Więc o co pani wczoraj u nas chodziło, skoro córka pani jest narzeczoną?

— Szanowny panie, on, pan Pajtelshmid oświadczył się wieczorem dopiero.

Mistrz Kondelik patrzył zdziwiony na panią Munksznablową.

— Tak, proszę pana, bywają dziwne okoliczności w życiu — mówiła matrona z błogim uśmiechem.—Kiedym wczoraj przyszła od pani Kondelikowej i rozważyłam całą rzecz, pomyślałam sobie, że państwo tak łatwo pana Wejwary nie puścicie. Kiedym tam widziała te przygotowania, wszystko się we mnie poruszyło, a wieczorem, gdy nasz pan przyszedł do domu, wzięłam na odwagę i natarłam na niego energicznie. *A on się oświadczył*, poprosił o rękę Loti, jesteśmy od wczoraj szczęśliwe i życzymy także państwu i panu Wejwarze, by wam Bóg zesłał szczęście. Myśmy do niego nigdy nie miały pretensyi. Loti poszła do kościoła od rana, by się pomodlić, a ja się czuję jak odrodzona.

— Mogliście załatwić to o dzień prędzej, zanim nam pani narobiła tyle nieprzyjemności! — prawie krzyknął Kondelik.

— *Nichts für ungut*, szanowny panie — słodko odparła szczęśliwa matka—to mi właśnie dodało bodźca. Teraz jest wszystko w porządku.

— A co znaczyły te zobowiązania Wejwary i dowody piśmienne?

— Były tutaj — rzekła matrona poważnie — są nawet. Ale już nam nie potrzebne. Przebaczam panu Wejwarze. A jeśli będzie chciał, to zwrócimy mu wszystko. Niechaj ma także od Loti pamiątkę...

Zresztą pan Pajtelszmid nie powinien o niczem wiedzieć...

Ażeby odrazu dobrze rzecz załatwić, użył teraz mistrz podstępny wojennego i rzekł dobitnie:

— Chciałbym z nim także pomówić słów kilka.

— POCO, szanowany panie? — zapytała szybko dama. — Toby mogło źle wpłynąć na przyszłość małżeństwa. Jam swej córki nikomu nie narzucała, z mojej ręki dostanie ją pan Pajtelszmid czystą jak porcelana.

Pan Kondelik rozglądał się po pokoju i od niechęcia wymówił:

— Więc tu mieszkał Wejwara?

— Nie, tu obok — szybko wyjaśniła pani, szczęśliwa, że zmienił się temat rozmowy — niech pan zobaczy.

Mistrz wstał i poszedł za matroną do owego pokoju, do którego przedtem zaglądała. Był to mały, smutny pokój z widokiem na podwórze i z drugimi drzwiami wiodącymi do sieni.

— Tu bym nie chciał mieszkać trzy lata.

— Jak komu Pan Bóg przeznaczy — rzekła pani — my tu byliśmy zupełnie zadowoleni, a sądzę, że się stąd nawet po weselu nie ruszymy. Nasz pan jest bardzo skromnych wymagań. Garneczek ciepłej kawy, ciepłe łóżko na noc, niczego więcej nie żąda. Później ja przeniosę się do tamtego pokoju, on zaś sprowadzi się tutaj.

Mistrz westchnął z współczuciem nad dolą nieznanego pana Pajtelszmida, rozejrzał się po ciasnym pokoiku i już się w nim przebudził malarz.

— Potrzebamy to pomalować, wszystko zniszczone.

— Tak, możnaby, i ja o tem myślę, ale kiedy nie mam żadnego znajomego...

— Do tego nie potrzeba znajomości, na to potrzeba malarza — wtrącił mistrz. — Ja maluję znajomym i nieznanym.

Kondelik powrócił do większego pokoju, za nim pani.

— No, cóż, szanowna pani, te rzeczy mógłbym wziąć dla Wejwary z sobą, ażeby raz już skończyć.

Pani Muknsznablowa zapatrzyła się w mistrza, chwilę wahała się i rzekła:

— Ciężko się z tem Loti będzie rozstawać, ale oddam panu pamiątki, i niech zakwitnie zgoda pomiędzy nami.

Wysunęła szufladę starodawnej, wykładanej komody, zanurzyła ręce w kupę zwiniętych pończoch, ręczników, nocnych kaftanów, spódniczek i różnych resztek materii, wyłowiła gdzieś z kąta zawiniątko starych gazet, przewiązane na krzyż wyblakłą czerwona wstążką, przycisnęła je kościstymi palcami do piersi i podając to obiema rękami panu Kondelikowi, mówiła z odcieniem smutku w głosie:

— Jak drogą maść chowała to Loti, ale niech pan weźmie, szanowny panie, i niech pan powie swojemu przyszlęmu zięciowi, że nigdy go nie zapomniemy. Był to bardzo dobry, solidny pan! Ale pan Pajtelszmid także jest dobry...

— Dziękuję pani zatem — rzekł mistrz zadowo-

lony. — A któregokolwiek dnia w przyszłym tygodniu przyślę czeladnika, ażeby pani ten pokój wymalował.

— Jezus Marya, szanowny panie! — zawołała pani Mukusznablowa uradowana — jakże się panu odwdzięczę? — I chwyciła go za ręce.

— Niema za co, niema za co, pani — bronił się mistrz.

Po godzinie pukał mistrz Kondelik znowu do drzwi prezydyum. Wejwara wyszedł.

— Załatwiłem wszystko dobrze, młodzieńcze! Jesteś pan wolny, jak ptak. A tu są te pańskie piśmienne dokumenty, weź pan sobie.

Mistrz sięgnął do kieszeni na piersi i wyjąwszy paczkę podawał ją Wejwarze.

Już Wejwara wyciągał dłoń, ale nagle cofnął rękę.

— Nie, szanowny panie, racz to pan zatrzymać przy sobie i otworzymy paczkę w obecności pani i panny Pepci. Sam nawet się nie domyślałem zawartości.

Wejwara nadszedł po południu do Kondelików, przyszła jego teściowa była jak masło, Pepcia promieniała. Ojciec dokładnie zdał sprawę z wyprawy.

Po czarnej kawie wyjął mistrz fatalny zwitek papieru i kładąc go na stół, kiwnął na Wejwarę.

— Oto dokumenty, Wejwaro, przejrzyj to sobie.

Wejwarze prawie drżały ręce, gdy rozwiązywał wstążkę. Papieru była moc, treści mało. Na wierz-

chu leżała podługowata karta grubego papieru, złożonego po brzegach i zapisanego pismem Wejwary. Na papierze wypisano:

„Już się jabłoń w kwiaty przyodziała,
 Wątła róża, o! już się czerwieni,
 Filomela już się rozśpiewała,
 Rozmaryn już się nam zieleni
 Tam ementarnik groby kopie młody —
 Pójdź ma droga — na weselne gody!”

Z uszanowaniem *Franciszek Wejwara.* *

— Co to jest? — pytała Pepcia.

— Mój Boże — przypomniał sobie Wejwara — to jest *sztamblat* — kartka z pamiętnika. Panna Munksznablówna kupiła sobie pamiętnik i wszystkim znajomym dała po kartce, by coś napisali. Więc ja napisałem to...

— Ale co znaczy to wesele? — pytała z zapytym oddechem pani Kondelikowa.

— Proszę pani, to jest poezya Jabłońskiego, ustęp z pieśni miłości, panna Loti życzyła sobie czegoś w tym rodzaju — tłómaczył Wejwara, szczęśliwy po rozwiązaniu „dokumentu.”

— A dlaczego nie podpisałeś tego Jabłońskiego? — wtrącił mistrz Kondelik.

— Ja wierszy nie pisuję — odparł Wejwara zakłopotany.

— A co to jest to drugie? — niecierpliwie pytała pani Kondelikowa.

„To drugie” wyglądało jak fidybus. Ćwiartka papieru, złożona w wązkie prążki.

— Uważnie z tem! — napominał Kondelik — zapewne są to włosy!

Nie były to włosy. Gdy Wejwara rozwinął, pochwyliła Pepcia papier, ale za chwilę znów zwróciła Wejwarze:

A Wejwara czytał rządki, z których każdy był pisany inną ręką:

Pan Franciszek Wejwara.

Panna Loti Mucknschnabel.

On jest ładny pan.

Ona ma bardzo dobre serce.

Szli razem za bramę do Kanalki.

Szeptali do siebie i całowali się.

Widzieli ich z krzaków znajomi z sąsiedztwa.

Urosło z tego dużo plotek, ale znajomość zakończyła się szczęśliwie.

Świat rzekł: przecież inaczej skończyć się nie mogło.

— Proszę was, co to jest? — pytał Kondelik

— To jest sekretarz, tatku — wołała Pepcia wesoło — towarzyska gra w sekretarza!

— A kto wszystkie te brednie popisał? — pytał mistrz dalej.

— Ach, mój Boże! — przypominał sobie znowu Wejwara. — W Boże Narodzenie przyszły jakieś przyjaciółki panny Loti, a ja byłem zaproszony na kolację, i graliśmy potem w sekretarza. Te panienci pisały same takie rzeczy o każdym z nas, wszystkie kartki do siebie bliźniaczo podobne. Ale po grze rzuca się takie rzeczy w piec — panna Loti zachowała je na pamiątkę.

— Dyabelna Sybillal! — burknął mistrz Kondelik —

myślałem, że jakieś skarby przynoszę! No, więc widzisz! — zwrócił się do małżonki.

Pani Kondelikowa odetchnęła z głębi i zawstydzona spoglądała na Wejwarę. Przepraszała go temi spojrzeniami.

— Franciszku, pan się nie gniewasz, prawda, że nie?

— Ale, Boże, mamusiu, jam kontent, że się to wyjaśniło. O tych głupstwach zapomniałem dawno.

— Teraz nam nie zamąci naszego szczęścia, nawet pani Muknsznablowa — rzekła Kondelikowa z łzami radości w głosie.

— Ona już będzie zupełnie zadowolona — wtrącił mistrz Kondelik — obiecałem, że jej każę ten pokój na pamiątkę wymalować.

— Nie wierzyłam temu, drogi Franciszku — zapewniała Pepcia Wejwarę, kiedy się znaleźli na chwilę w pokoju sami.

Nastąpił pocałunek tak długi, że matka po powrocie z kuchni, musiała się odwrócić, ażeby udąć, że nie widziała. Niech ma nieborak Wejwara balsam na raury!

XXII.

Ostatnie kłopoty.

W poniedziałek przed południem miewał pan Kondelik pracy huk, jak sam mawiał „pełno drepta-

niny", biegał bowiem wtedy z domu do domu, z jednej budowli do drugiej, by robotę wprowadzić w ruch i pomocnikom rozdzielić. Na głowie miał pełno szablonów i „stylów”, pełno interesów z przedsiębiorcami i budowniczymi, pełno gniewu i kłopotów z pomocnikami, którzy po uciechach niedzielnych nie zdradzali wielkiej ochoty do pracy. Trwało to aż do samego południa, wtedy bowiem wydawał ostatnie „dyspozycje” Jedliczce, najstarszemu robotnikowi, swojej prawej ręce. Jedliczka był pierwszym uczniem Kondelika z początków mistrza i pracował u niego bez przerwy, a stosunek jego do Kondelika przypominał czasy patryarchalne, swemu majstrowi oddany był całą duszą, wyrozumiałym równocześnie będąc dla powierzonych mu robotników.

— Jedliczkę szanuj — mawiał Kondelik do swej małżonki, podczas ataków każdej choroby — gdybym miał nagle umrzeć, to ten człowiek poprowadzi ci cały interes dalej.

Po południu mistrz odpoczywał. W ostatnich tygodniach przerywano mu ten poniedziałek pośpiechem, z jakim pracowano nad wyprawą Pepci, ale od owej niedzieli, w której załatwiono kwestyę pani Muknsznablowej, w domu zapanowała cisza. Pani Kondelikowa uwolniła na pół dnia szwaczkę, pod pretekstem, że przygotować musi dopiero dalsze szycie, a Pepcię zaraz po obiedzie wysłała do ciotuchny Urbanowej na naradę w sprawie jakiegoś wyszywania. W tych kwestyach uchodziła ciotuchna za autorytet, w młodości swej bowiem była znakomitą wyszywaczką.

Pani Kondelikowa urządziła się w ten sposób, pragnąc bez przeszkody pomówić z małżonkiem o ważnej rzeczy.

Więc też, gdy przyniosła mistrzowi filiżankę czarnej kawy, kręciła się ciągle po pokoju, by nie utracić stosownej chwili. A kiedy pan Kondelik dopił i nie śpieszył się na kanapę, zapytała go ła godnie:

— Co to, czy się dziś nie zdrzemniesz?

— Nawet mi się nie chcę spać, jestem dziś dziwnie ożywiony.

— Tak samo, jak ja, staruszk — podeszła do stołu, bawiąc się fartuchem. — Po dniu wczorajszym jestem ci jak rtęć.

Mistrz spojrział na małżonkę.

— Ach! ta sobota — objaśniała — straszny był dla mnie ów dzień. Myślałam, że świat się wali, innego oczekiwałam zakończenia. Ale teraz, skakałabym z radości, teraz dopiero widzę, staruszk, po tej aferze z Muknsznablową, jaki z tego Wejwara pocziwiec! Bałam się tych papierków, a on jest jak dziecko niewinny.

— Podobny jest teraz do zbitego psa — dokończył mistrz.

— Nie mów tego, staruszk — rzekła pani z wyrzutem. — Przecież to szczęście. A na Pepcię patrzy, jak na święty obrazek...

— Ona go sobie ładnie osiodła, nieboraka — wtrącił Kondelik mimowoli.

— O nie, staruszk, nie będzie siodłała, ona ma charakter podobny mojemu. Z ręką na sercu, powiedz

staruszkę, ale powiedz szczerze: czy osiodłałam *ciebie*? Dla mnie mąż jest panem i głową rodziny, to wpoiłam także Pepci.

Zamilkła na chwilę, rozwiązała sobie tasiemkę przy fartuchu, podciągnęła ją mocniej w pasie i znów zawiązała, odkaszlała i przemówiła:

— Ale, staruszkę, chciałam z tobą pogadać. Musisz z Wejwarą poważnie i po ojcowsku się rozmówić, niby względem tego, ty już wiesz, względem jej posagu. Niech się dowie wszystkiego! A właśnie teraz byłaby pora, po tym dniu wczorajszym, niech widzi, że doń mamy zupełne zaufanie...

Mistrz Kondelik spojrzął na małżonkę na pół zdziwiony, na pół stropiony, ażeby więc nie wybuchnął czasem po swoim, śpieszyła szybko dalej:

— Nie gniewaj się staruszkę, ale to nasz obowiązek, a jego prawo.

— Czy co mówił? — spytał szybko pan Kondelik.

— Uchowaj Boże, czyż go nie znasz! Właśnie dlatego, że nic nie mówił, pewnie myśli, że mu tylko damy córkę, a o reszcie ani mrumru. Gdzie nic nie ma, tam się o tem nie mówi, ale u nas, chwala Bogu, mówić możemy. Nie wiem, co ty obmyślasz, ale ja bym mu rzekła: Wejwaro, Pepcia dostanie tyle i tyle! Inaczej się potem patrzy na świat. Wiem, co mi na to odpowiesz—do grobu tego nie wezmę...

— Jeszczebym brał...

— Tak mówi każdy teść, staruszkę, a potem żyje jeszcze trzydzieści lat i o posagu ani słowa. Więc wtedy, gdy zięć spotka jaki pogrzeb, zawsze myśli

sobie: gdyby to był teść! I nie minie ani jedyne go *pompesfunebru*, by tak nie pomyślał. Przecież chyba nie chcesz, ażeby się ktoś nie mógł doczekać, aż oczy zamkniesz.

— Czy myślisz, że Wejwara byłby takim zieciem?—zwrócił się mistrz do żony.

— Niech Bóg bronil tego nie myślę. Wejwara jest zacny człowiek! Ale dla porządku, staruszk, i na wszelki nieprzewidziany przypadek.

— Betty—zaczął mistrz wolno—czy myślisz, że i ja tego nie pragnę. Powiem mu, owszem, co do krajcara, nawet dziś mu to powiem, dziś! No, jesteś zadowolona?

— Staruszk!—zawołała uszczęśliwiona—z ciebie jest tęga głowa! Dzięki Bogu, zaraz mi ulżyło.

A teraz jeszcze coś, staruszk. Chciałam, aby mieli wesele na świętą Katarzynę, ale poco odwlekać napróżno? Meble będą za tydzień, z szyciem skończy się za dwa tygodnie, myślę więc, że wesele mogłoby być prędzej. Tam, w mieszkaniu pada im na meble kurz, niema nikogo, ktoby się tem zajął, boję się też, ażeby się tam kto nie dobił i nie okradł ich jeszcze przed wprowadzeniem. Co ty na to, gdyby tak o dwa tygodnie, o tydzień prędzej?

— Ależ choćby zaraz, Betty, będziemy mieli potem święty spokój.

Pani Kondelikowa odetchnęła z radości i nie mogła doczekać się wieczoru i przyjścia Wejwary, by z nim o tem pomówić.

.

O zwykłej godzinie przyszedł Wejwara, pani Kondelikowa podała kolację i ledwie dojedli, już gorliwie zaczęła pomagać Pepci przy sprzątanii ze stołu. Mistrz Kondelik włożył cygare wświąteczną piankową cygarnicę, a Pepcia chodziła po pokoju, składała bieliznę stołową, przybory i dolewała piwa. Wejwara patrzył przed siebie, przeczuwając, że zbliża się coś nadzwyczajnego, siedział więc, jak na szpilkach.

Pani Kondelikowa usiadła.

— Pij pan, Franciszku, pij pan, proszę! Staruszek chciałby z panem dziś trochę pogadać.

Mistrz pyknął parę razy, wypuścił dużą chmurę dymu i zaczął:

— Krótko i węzłowato, Wejwaro. Trzeba, ażebyśmy się porozumieli, dopóki wszyscy mamy zdrowy rozum. Matka jest zdania, byście się pobrali o dwa tygodnie wcześniej..

— Po co czekać, Franciszku? — dodała teściowa—z robotą jesteśmy gotowi, pogoda piękna. Kto wie, jak będzie po świętej Katarzynie? Dlatego, Franciszku.

— Dobrze—szeptał Wejwara.

— Ale to nie wszystko, Wejwaro — ciągnął mistrz—powiem zatem krótko: Pepci możemy dać po weselu dziesięć tysięcy, Wejwaro. Jesteś pan zadowolony?

— Ależ, szanowny panie—odpowiedział Wejwara w zakłopotaniu wielkiem—mnie nawet na myśl nie przyszło, bym o tych...

— Ja wiem, Wejwaro—mówił mistrz—ja wiem, że pan sobie Pepcię nie dla pieniędzy bierzesz, że ją

pan kochasz. Ale my tyle mamy dla Pepci i damy jej. Więcej w tej chwili dać nie możemy.

— Po naszej śmierci, Franciszku—mówiła miękko pani — po naszej śmierci wszystko będzie wasze, wszak Pepcia jedynaczka. Ten dom na Winohradach będzie także kiedyś wasz.

— No, jakaś tam hipoteka na nim jest—przyznawał się mistrz—ale to może jeszcze przed śmiercią opędzę. Zatem dziesięć tysięcy, Wejwaro, dostanie Pepcia po ślubie, w takich zielonych książkach praskiej miejskiej kasy oszczędności...

Mistrz wstał, podszedł do biurka i wyjął z pod przycisku książkę wkładową, którą tam sobie przygotował. Otworzył ją i położył przed Wejwarą.

— Ta jest na tysiąc. Składałem, gdy mogłem. W niektórych jest więcej, w niektórych mniej, ale dziesięć tysięcy będzie...

— Owszem, tatusiu, owszem — potakiwał Wejwarą, jakby mu coś ścisnęło gardło.—Ale to właściwie dotyczy panny Pepci. Ja mam nadzieję, że ze swoją pensją, a wreszcie mam jeszcze przed sobą dalszą karierę, tatusiu.

— No, dobrze, Franciszku—wmieszła się znów do rozmowy pani Kondelikowa, wiemy, że nie processowałybyś się z nami, ale dla porządku... Daj Boże, byście tego ruszać nie potrzebowali! Gdyby teraz Pepcia nawet nic nie dostała, to jeszcze my tu jesteśmy, ale człowiek lepiej stoi na jakimś fundamencie.

— Co dotyczy reszty, Wejwaro — ciągnął mistrz—to jest niby, tego, co Pepcia ma jeszcze kie-

dyś dostać, dziś obliczyć się nie da. Nie wiemy, co by się stało, gdyby na nas przyszła jaka choroba, lub długa starość. Z tem małowaniem także nie chcę się męczyć aż do śmierci...

— Tatusiu, ja właściwie nie liczyłem na nic, pragnąłem mieć tylko Pepcię...

— Dobrze, Wejwaro, rozumiem pana. Ale przyjdą dzieci, a wtedy będzie wam jakiś sukurs na rękę. A więc co do reszty posagu, to będziecie mieszkali w naszym domu na Winohradach i nie będziecie płacili żadnego komornego, to będą jakby procenta z tej reszty.

Pani Kondelikowa patrzyła z błogim uśmiechem to na Kondelika, to znów na Wejwarę.

— Pepciu, zajrzyj do kuchni, zdaje mi się, że Kasia czegoś pragnie od ciebie—wypędził mistrz córkę z pokoju.—Mój Wejwaro, a gdy wam coś małego się urodzi, to dodawać będę po tysiącu; tego panu nie mówię jednak po to, ażebyście się zanadto śpieszyli, Wejwaro!

► mistrz Kondelik mrugnął żartobliwie oczyma i prędko napił się piwa.

— Mamusiu, tatau—rzekł Wejwara, a w oczach mu się iskrzyło od łez—ja o tych rzeczach nigdy nawet nie myślałem, wiercie mi, nie mi do głowy nie przyszło, ale jeśliście tak osądzili, nie mam prawa nie przyjąć, nie mówię już za siebie, ale także za Pepcię, którą jako mąż będę musiał zastępować. Ale po tem, coście mi teraz rzekli, widzę, że między nami nigdy nie będzie sporów, jesteście bardzo

dobrymi rodzicami, a ja będę zawsze waszym wdzięcznym synem...

Wejwara wstał i pochylił się do ręki pani Kondelkowej, a ona uprzejmie pogłaskała go po głowie.

— Dzięki Bogu — rzekła, rozplywając się w łzach—że to już załatwione. Pepciu, chodź tu!

Pepcia weszła, rumieniąc się cała. Może słuchała za drzwiami.

— Jeszcze coś, moje dzieci. Teraz powiedzcie, czy chcecie mieć wesele *zimne* czy *ciepłe*?

Mistrz Kondelik chciał się właśnie napić, ale postawił szklankę i patrzył z otwartymi ustami na małżonkę. Wejwara spoglądał również na teściową pełen zdziwienia.

— Co pod tem rozumiesz, Betty?—odezwał się mistrz.

— Widzisz, staruszk, to zależy od pogody. Jeśli będzie bardzo ładnie, może być wesele zimne; jeśli będzie pochmurno, chłodno, sądzę, że powinno być ciepłe.

— Do pioruna, jaka w tem różnica? — nalegał mistrz.

— Gdyby się wesele musiało odbyć jakoś pośpiesznie, poszlibyśmy z kościoła do domu i byłaby szynka, zimna cielęcina, jaka ryba w galarecie i coś w tym rodzaju. Zrobiłoby się to w domu. Ale jeśli ślub będzie w południe, tobym wolała ciepłe wesele, z zupą, jak obiad. Ale wtedy nie mogłoby odbyć się u nas, nie mamy tyle naczyń, przyborów, nakryć, a nawetbym nie miała gdzie przygotować. Co zaś najgorsze, to to, że nie mogłabym z wami pójść nawet

do kościoła, musiałabym stać na straży przy kuchni...

— Ja jestem za ciepłym weselem—odezwał się Kondelik.

Pepcia potakiwała głową, i ona wolała także ciepłe, a Wejwara, widząc tę nieomylną większość, głosował również za ciepłym.

— Dobrze—rzekła znów pani—teraz zatem poradźcie, gdzie?...

Wszyscy milczeli. Wejwara wogóle w takich sprawach nie był specjalistą.

— Wiesz, staruszk, zawsze słyszę, że dobre wesela wyprawia Mieszczańska beseda. Jesteś tam członkiem, płacisz przez dwadzieścia lat, zajrzyj przeto i wypytaj się o wszystko. W domu rzeczywiście za trudno, będzie zawsze ze dwadzieścia osób, gdziebyśmy ich tu wszystkich podzieli? Tam jest wygodna, o nic niema żadnego kłopotu i nic się nie może popsuć, drożej nie będzie...

W zasadzie zgodzono się, że ma być wesele *ciepłe*, i panu Kondelikowi nakazano, aby się w najbliższych dniach wybrał do Mieszczańskiej besedy, pomówić z restauratorem, zamówić salę, krótko mówiąc, zrobić, co potrzeba.

Mistrz zaraz zaproponował, by mu Wejwara towarzyszył...

Kiedy o 10 ej odchodził narzeczony, rzekła doń szczęśliwa pani Kondelikowa:

— Tak, Franciszku, a teraz przyprowadź pan wszystkie papiery do porządku i dacie na zapowiedzi. Dla Pepci mam już metrykę w domu. W magistra-

cie nie będą panu chyba stawiali żadnych przeszkód, co?

— O nie, mamusiu, tam się ciągle ktoś żeni.

— Głównie się tam żenią wszyscy dyabli... — dodał mistrz Kondelik — znów dziś otrzymałem trzy wezwania do wyborów.

— Teraz daj spokój wyborom, staruszkę, co na tem zyskasz? Teraz my mamy swoje wybory — dokończyła pani Kondelikowa.

XXIII

Na pożegnanie.

Wrzesień upłynął, jak z bicia trzask, nadchodziły już ostatnie dni miesiąca.

Pani Kondelikowa i Pepcia zachodziły teraz prawie codziennie na Winohrady, do nowego mieszkania, aby w niem przygotować wszystko na uroczysty „wjazd” młodych małżonków. Meble stały na miejscu, kobierce były porozkładane po podłogach, w kredensie ustawiano szkło i porcelanę, nad kanapą zawieszono „sześciotygodniowy”, wahadłowy zegar, na szerokim blacie marmurowym umywalni stały dwie niebieskie miski porcelanowe, a w nich wysokie dzbanki do wody, po obu stronach na ozdobnych wiszących przetrzucone były zupełnie nowe, bielutkie ręczniki. Wszystko przygotowane, jakby już dziś miało tu zawitać młode stadło. Nawet szafa w ja-

dalni wypełniła się książkami Wejwary, które potrochu przynosił syn stróża.

Pani Kondelikowa i Pepcia zносиły do mieszkania jeszcze różne drobnostki, których córka nie chciała pozostawić w domu. Każdy obrazek, każdy uschnięty bukiet z pierwszych czasów znajomości z Wejwarą miał dla Pepci swój urok. Pilnie doglądała, aby nic nie zginęło, aby się nic nie połamało. Zdawało jej się, że z temi pamiątkami wnosi na nowe mieszkanie całą swoją przeszłość, swoją młodość i lata dziecinne, pod dachem rodziców spędzone.

Pani Kondelikowa wchodząc tu, za każdym razem otwierała wszystkie okna, ażeby pokoje przewiało świeże powietrze, ocierała kurz, zbierała z podłogi wszelkie pyłki, i uśmiechała się przytem błogo. Przeżywała myślą swoje czasy młodości przed weselem i miała złudzenie, że sama powtórnie zamąż wychodzi.

Mistrz Kondelik, po powrocie dam z Winohradów, witał je uwagami.

— Chciałem już pójść po was. Zdaje mi się, że wam się tam lepiej podoba, niż tu w domu, nie zapominaj matko, że pozostaniesz u mnie!

Ale czasem sam chętnie zajrzał na Winohrady, podobało mu się tam, przyglądał się swemu malowaniu i dziwił się, z kąd się w nim wzięły te pomysły świetne. Prawie zazdrościł Wejwarze, iż tu będzie mieszkał.

— Prawda, staruszk—że cię także cieszy? — mówiła małżonka.

— Cieszy, cieszy! — mruczał Kondelik. — I cóż żądać, kiedy tu sam mieszkać nie będę?

— Ale zrobiłeś to dla dziecka, starszku! — poważnie zauważyła pani.

— No, czekaj — odrzekł mistrz — gdy cisnę rzeźmię i pójdę na emeryturę, to przeprowadzimy się do tego mieszkania pod nimi i także je sobie wyzdobię, abym miał na stare lata ładnie w mieszkaniu.

Pani Kondelikowej błysnęły oczy. Obyż to nastąpiło jaknajprędzej.

Podczas odwiedzin nowego mieszkania uczyła się Pepcia gospodarować. Już w przedpokoju zrzucała żakiecik i kapelusz, wyjmowała z komody fartuszek, przywiązywała go sobie i biegła do kuchni. Tu ciągle ustawiała naczynia, ocierała je ścierką, choć błyszczały nowością, wycierała piecyki w porcelanowej kuchni, zaglądała do miedzianego kociołka, próbowała, czy dobrze ciecze woda z rury, równała drzazgi na kuchni, wsypywała korzenie do drobnych szufladek w wysokiej szafeczce nad stołem, wykładała kredens ząbkowanym niebieskim papierem, liczyła, czy ma na każdy garnczek odpowiednią pokrywkę i zapisywała w notesie, co jeszcze trzeba kupić.

Pani Kondelikowa milcząc śledziła gospodarowanie Pepci i serce jej poskakiwało z radości. Boże, mawiała sobie w duchu, daj im tu szczęście i błogosławieństwo! Czasem znów rzekła do córki:

— Pepciu, to jest najpiękniejsza pora z całego narzeczeństwa! Wszystko sobie zapamiętaj, o tem kie-

dyś chętnie będziesz wspominała. Wiem o tem z doświadczenia.

Wychodząc z mieszkania, zamykały wszystkie pokoje na klucz, przez ostrożność chowały klucze w miejsca ukryte, dziesięć razy próbowały, czy drzwi przedpokoju dobrze zamknięte i zadowolone powracały do Pragi, na ulicę Jeczną.

Ostatniego września, powracając z Winohradów, Pepcia przytuliła się do matki i z ufnością rzekła:

— Jeszcze jedną mam prośbę.

Pani Kondelikowa podniosła głowę. — No?

— Chętniebym się z tym stanem panieńskim pożegnała jakoś wesoło i uroczyście.

— Jak to, dziecię?

— Amalka Myszkówna mówiła mi, że piątego listopada będą Karafici urządzali pierwszy wieczorek. Mam tam tylu znajomych z lekcyj tańca, chciałabym raz jeszcze być u nich z Wejwarą, ostatni raz sobie potańczyć, pożegnać się...

Pani Kondelikowa pojmowała córkę, czuła też, że tu nie o tańce chodzi. Przecież świat się pod nią nie zapada, gdy wychodzi zamażł Radaby się pochlubić swoim narzeczonym, to ma dla dziewczęcia szczególny powab. Matka uśmiechnęła się w duchu. No, więc z Bogiem! Pójdą tam. Przyjdą na pewno rówieśniczki Pepci, koleżanki z lekcyj tańca, którym daleko do wesela, u których o konkurentach nawet mowy jeszcze być nie może. Pepcia ma właśnie taki ładny nowy ubiór, którego dotąd nie miała na sobie. Będąż patrzeć na nią! Ona sama, pani Kondelikowa, takżeby się chętnie pokazała reszcie matek,

jako przyszła teśśś... przekłete słowo! jako matka narzeczonej.

— Czy cię tylko zaproszą, dziewczyno! — zauważyła.

— Jutro przyjdzie zaproszenie, mamusiu — odpowiedziała Pepcia.—Amalka mi obiecała. Panieński komitet zaprasza tancerki, Karafiaci tancerzy.

— Jeśli przyjdzie zaproszenie, możemy pójść, Pepciu—przrzekała pani Kondelikowa.

Pepcia ucieszona pocałowała matkę w rękę.

— Oczywiście, jeśli się na to zgodzi Wejwara—dodała matka.

— Jakżeby się miał nie zgodzić, gdy go proszę.

— I jeśli się tatko nie będzie sprzeciwiał.

— Tatko może nam towarzyszyć i pójść na górę do Besedy, a potem wstąpi po nas. Już po raz ostatni mamusiu, po raz ostatni pójdziesz ze mną, na tę myśl chce mi się prawie płakać.

Tym razem nie sprzeciwiał się mistrz wcale. Myśl, że wkrótce wolnym będzie od podobnych za-
dań, cieszyła go szczerze, rzekł więc do żony:

— Ha! więc pójdziemy „na te Karafiaty”¹⁾, niezwykła to rzecz w listopadzie.

Wejwara nietylko nie protestował, ale jeszcze objawiał szczerą ochotę.

Kiedy też następnego wieczora niespodziewanie otrzymał zaproszenie, rzekł skromnie, nie przypuszczając nawet, że to wszystko sprawiła Pepcia.

¹⁾ Karafiat—goździk po czesku.

— Przypuszczałem, że teraz już o mnie nikt nie pamięta. Mężczyzna przed weselem traci u chciwych tańca na wartości.

— Przeciwnie, Wejwara—zauważył mistrz Kondelik.— Taki człowiek powinienby właśnie być wszędzie zapraszany dla przykładu. Rzecz jasna, że się dziewczyny o pana przy mazurze rozbijać nie będą, ale matki lubią narzeczonego w towarzystwie. Jest on niejako wskazówką dla innych, ażeby nabrał chęci do żeniaczki.

— Nie każdemu się tak uda, jak nam—rzekła samolubnie, pewna siebie pani Kondelikowa.— Nie każdy jest Wejwarą!

— I nie każdy znajdzie taką kochaną Pepcię—wymówił pocichu Wejwara, delikatnie głaszcząc głowę swej narzeczonej.

Pani Kondelikowa schwyciła małżonka za rękaw i coś mu gorliwie pokazywała na stoliku do szycia. Czuła, że młodzi chcą się teraz pocałować, ale że nie zdecydowaliby się na to, gdyby ich obserwowano. A tego mistrz Kondelik nigdy nie pojmował, i nie odwrócił się w porę, co gniewało panią. Ojcowie bywają niekiedy ogromnie tępi.

Pepcia i Wejwara przeglądali potem zaproszenie, a narzeczone wtrąciła:

— Patrz, kochany, jaki tu zrobili dopisek: „Panowie w czarnych kostyumach”.

— Niepotrzebna uwaga — rzekła pani Kondelikowa.— Kiedy wieczorek wyborowy, to czarno.

Zabawę zapowiedziano na sobotę, dobry dzień

do zabawy, w niedzielę można odespać. O 7-ej miał przyjść Wejwara, o pół do 8 ej wyjada.

O pół do 8-ej zaturkotało przed domem lando, podobne do okrętu, na tylnem siedzeniu siadła Pepcia i Wejwara, naprzeciw rodzice, i po pięciu minutach wyspał ich powóz przed Besedą. Młodzi ludzie z mamusią weszli do salonu Kaska, ojciec Kondelik szedł na górę do Besedy. Mniej więcej o 2-ej po północy ma po nich wstąpić, osądziła pani Kondelikowa.

Tym razem wyprawili Karafiaci wspaniały „wieczór”. W przedsionku własny lokaj, ubrany w liberyę, pomagał damom i panom rozbierać się z płaszczów i palt, ocierał buciki — i chował dziesiątki napiwkowe.

Pani Kondelikowa weszła do sali z uprzejmym uśmiechem, Pepcia kłaniała się radośnie znajomym z lekcyj tańca, Wejwara kłaniał się przy jej boku i dumnie prowadził pod rękę narzeczoną. Za chwilę byli już w kole tańczących.

* * *

Okolo dziewiątej, właśnie gdy Wejwara z Pepcią przechadzał się po walczyku i grzecznie owiewał narzeczoną wachlarzem, podszedł do niego lokaj i rzekł szeptem:

— Czy szanowny pan jest panem Wejwarą?

— Owszem, o co chodzi?

— Proszę pana, na dworze czeka jakiś pan, może pan będzie łaskaw wyjść na słówko.

Wejwara przeprosił Pepcię i wybiegł. W sieni

Besedy przed salonem Kaska niecierpliwie przecha-
dzał się młody mężczyzna.

— Hawrdo!—zawołał Wejwara zdziwiony.— Co
ty tu robisz?

Kolega Hawrda odpowiedział pytaniem:

— Powiedz mi, czy niema tam Amalki Myszkówny, Wejwara?

— Myszkówny? Przyznam ci się, że wszystkich
tych dam nie znam z nazwiska...

— Niepodobna, ażebyś jej nie znał, ona zna
dobrze pannę Kondelikównę, należała do gospodyń
wieczorku.

— Aha, już wiem, w tym szarym kostyumie.
Jest, jest, cóż dalej?

— Wejwara, muszę z nią pomówić. Pomędzy
nami coś zaszło, powiedziałem zatem, że do Karafia-
tów nie pójdę, myślałem, że i ona także nie pójdzie,
ale niestety! poszła. Ktoś mi tu wehodzi w drogę.
W gruncie rzeczy ta nasza sprzeczka, to głupstwo,
ale właśnie dlatego muszę z nią pomówić, przyszłość
moja zależy może od tej rozmowy.

— No, więc idź! — radził lakonicznie Wej-
wara.

— Idź! Łatwo się to mówi — odpowiedział
podrażniony Hawrda i rozchylił palto. — Patrz,
mam spodnie w kratkę! Jesteście wszyscy w czar-
nych ubraniach, a ja zdecydowawszy się, że nie pój-
dę, wcale się nie przygotowałem. Czarną i czarną
kamizelkę wzięłem przypadkowo, kołnierzyk kupiłem
sobie teraz, ale w jasnych spodniach w kratkę nie
mogę tam wejść.

— Idź więc do domu się przebrać—radził Wejwara.

— Do domu, dzieciaku! Na Pogorzelec? Nim powrócę, będzie po wieczorku!—mówił szybko Hawrda i nagle porwał Wejwarę za ramię.—Wejwaro, Franciszku, jeśli mnie choć trochę kochasz... ty nie wiesz, co się ze mną dzieje. Staram się o Amalkę, co mnie to kosztowało, nim mi tam pozwolono bywać! Teraz płacze się tam jakiś cukiernik, niech dyabli wezmą wszystkich cukierników. On jest na sali, przystawia się do Amalki, on ją opłaci, jeśli w porę się nie załatwię. Wejwaro, Franku—Hawrda pochylił się do ucha Wejwary, w tej chwili bowiem jakies kuchty wychodziły z piwem z piwnicy, i szeptał mu do ucha kilka słów.

Wejwara wytrzeszczył oczy.

— Ależ, Hawrdo, cóż ja wtedy pocznę?

— Za dziesięć, za pięć minut powrócę, Franku, wybaw mnie z kłopotu.

— Ale gdzie to zrobić? — miękko już oponował Wejwara.

— Nic łatwiejszego, Wejwarko — nalegał kolega. — Patrz, tam jest mieszkanie stróża, poproszę go, a za chwilę powrócę i nikt nie zauważy...

I już ciągnął Wejwarę do mieszkania stróża w bramie Besedy.

Wejwara niechętnie szedł za przyjacielem, ale nie umiał mu się oprzeć. Hawrda rzekł kilka słów do stróża, wcisnął mu coś w rękę, stróż wprowadził obu panów do tylnego, ciemnego pokoiku, zapalił świe-

oę, i pozostawiwszy ich samych, odszedł znowu; w Besedzie odbywał się właśnie koncert.

Po chwili Hawrda wbiegł na salę taneczną między Karafiatów.

Ułynęło dziesięć minut, kwadrans, poł godziny, Hawrda nie powracał. Wejwara siedział w pokoiku stróża, miotając nim niedobre przeczucie...

.

W salonie Kaska zabrzmiało hasło do kadryla.

Pepcia patrzyła niecierpliwie na wszystkie strony, czy się nie ukaże Wejwara. Już się ustawiły pary, a Wejwara nie przychodził. Z roztargnieniem patrzyła wokoło, nie zajęło jej nawet, gdy mignęła Amalka Myszkówna i szepnęła z dumą: „*Hawrda jednak przyszedł!*” Cóż ją obchodzi Hawrda! Ona pragnie ujrzeć Wejwarę—a Wejwary niema.

Przetańczono pierwszą figurę—Pepcia siedziała. Czują łzy pod powiekami, zadrżały kąciki ust, ale jeszcze się uśmiechała, jak dziecko, które się wstrzymuje, aby nie wybuchnąć płaczem.

Pani Kondelikowa kręciła się na krześle.

— Gdzie Wejwara?

Pepcia nie odpowiadała i tylko mocno zacisnęła zęby. Czują, że gdyby otworzyła usta, wybuchnęłyby płaczem.

Druga figura, trzecia, czwarta, szóstą — promienada—Wejwara przepadł jak kamień w wodzie.

Polka, walczyk, beseda, galopka, Amelka tańczyła ciągle i promieniowała — Wejwara nie powracał.

Pepcia siedziała — odmawiała wszystkim tancerzom i patrzyła na wir taneczny oczyma szklanemi. Już jej nie groził płacz, twarz jej skamieniała, tylko w oczach drżały łzy, ale nie ściekały po obliczu. Pani Kondelikowa była zaniepokojona wobec niesłychanej zagadki. Chyba się jeszcze nigdy nie zdarzyło, ażeby tancerz odbiegł od boku narzeczonej.

O pół do dwunastej spojrziała pani Kondelikowa znów na córkę, nie, dłużej tak trwać nie może. Nie rzekłszy ani słowa, powstała i podeszła do lokaja:

— Idźcie na górę, do Besedy, zawołajcie naszego tatki, pana Kondelika, niech tu zaraz przyjdzie. Ale *zaraz*, rozumiecie?

Po pięciu minutach, jakże długich dla pani Kondelikowej! nadszedł mistrz.

— Co się stało?

Pani Kondelikowa opowiedziała w krótkości, że o dziewiątej wywołano Wejwarę, że wyszedł — i nie powrócił. Chyba nie podstęp, morderstwo, na Boga żywego!

Kondelik zwrócił się do lokaja. Czy wywołał pana Wejwarę? Tak. Dlaczego? Jakiś pan prosił. Gdzie się podział ten pan? Tego już lokaj nie wiedział, zdawało mu się jednak, że szedł z nieznanym do mieszkania stróża. Pan Kondelik do stróża. Byli u was jacy panowie? Byli, ale już dawno! Czego chcieli? Weszli na chwilę do pokoju. Gdzie poszli? Stróż objaśnił, że z powrotem na salę. Gdzie ten pokój? Tam. Stróż zaprowadził pana Kondelika.

Tu siedział model, godny dłuta rzeźbiarza, pragnącego wykuć „Cichą rozpacz”, „Rezygnację,” lub „Beznadziejność.” Wejwara w czamarze, w kamizelce, w białym krawacie, w błyszczących lakierkach, ale... bez czarnych spodni.

— Wejwaro, co pan tu robisz? — wykrzyknął mistrz Kondelik.

— Czekam, szanowny panie.

— Na co?

— Na spodnie...

— Gdzieś pan je podział?

— Pożyczyłem je na pięć minut koledze Hawrdzie.

— Dokąd poszedł?

— Do sali.

Mistrz wybiegł.

Do sali, do lokaja.

— Niech tu przyjdzie pan Hawrda, jest wśród tańczących! Zaraz niech przyjdzie!

Za minutę lokaj przyprowadził Hawrdę.

— Czem mogę służyć?—spytał zdziwiony.

-- Chyba już dosyć długo pan się bawisz, chodź pan za mną!—zawołał mistrz i wlokł Hawrdę do pokoiku stróża.

Po chwili zamiana była znów dokonana. Gdy Hawrda zdjął czarne spodnie Wejwary, a pod nimi ukazały się jasne w kratkę, rzekł mistrz z przekąsem:

— Z pana jest ogromny elegant, panie Hawrdo, chodzisz na bal odrazu w dwóch parach spodni! Mogłeś przynajmniej te pozostawić Wejwarzel!

Po dziesięciu minutach prowadził Kondelik nie-szczęśliwego narzeczonego do zaniepokojonej małżonki i rozbolełej Pepci.

Wejwara powracał, jak skazaniec, ale w sali na szczęście nikt nie dowiedział się przyczyny jego nieobecności. Widząc go przychodzącego z Kondelikiem, mniemali, że był na górze na koncercie z teściem. Zatrzymał się wprawdzie trochę za długo, ale może radzili nad czemś.

Pani Kondelikowa chciała powrócić do domu, ale mistrz oparł się.

— Teraz właśnie nie! Teraz sobie każe dać piwa i pozostanę tu do końca.

Chwile wielkiej trwogi wynagrodziła sobie Pepcia po północy. Pozostali do czwartej rano.

Pepcia tak długo molestowała mamusię, aż wreszcie wydobyla tajemnicę zniknięcia Wejwary, odtąd ledwie wstrzymać się mogła od śmiechu, ile razy spojrziała na niego.

Podczas powrotu rzekł Kondelik, w niezwykle dobrym dzisiaj się znajdujący humorze:

— Wejwaro, czy nie masz czasem dwu par czarnych spodni?

— Obecnie nie mam, szanowny panie, ale krawiec szyje mi już nowe na wesele...

— Gdy je już będziesz posiadał, trzymaj się dobrej rady: noś zawsze obie pary z sobą.

Pani Kondelikowa, sama tłumiąc śmiech, zakryła małżonkowi usta dłonią, ale nie stłumiła tym sposobem takich wybuchów śmiechu Kondelika, że przysłuszyły one turkotanie kół powozu.

XXIV.

Ślubna koszula.

Po wieczorku „na pożegnanie ze stanem panieńskim” przebudziła się Pepcia jak ptaszę, świeża, żywa, i jęła przygotowywać śniadanie. Zły humor przedpółnocny dawno wywietrzył z głowy, a teraz, nalewając z maszynki kawę, ze wszystkiego się tylko śmiała. Ba, kiedy pomyślała o Wejwarze, siedzącym tam w pokoiku stróża w kącie, w czamarze, kamizelce, w białym krawacie, w lakierkach, w białych rękawiczkach, ale także i w białych spodniach, nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem, pomimo tego, że po kuchni kręciła się Kasia w perkalowej spódniczce i w szurgających trepkach, rozdeptanych w sposób bajeczny i ziewała przytem jak lew.

Nad pierwszym i drugim wybuchem śmiechu Pepci nie zastanawiała się Kasia. Była zła, że jej kazano wstać. Nie pojmowała, dlaczego panienka, powróciwszy dopiero po czwartej rano z balu, uciekła już z łóżka i dlaczego jest w tak dobrym humorze. Ona, Kasia, poleżałyby sobie po tańcu aż do południa. Panienkom zawsze lepiej na świeciciel Nie napracują się myciem garnków, szorowaniem podłogi, noszeniem węgla z piwnicy!

Ale gdy Pepcia chychotała się już poraz trzeci, podrażniło to ciekawość Kasi. Musi w tem być coś ogromnie zabawnego! I zamknawszy właśnie usta po przedpotopowym ziewnięciu, otwarła je znowu, ażeby zapytać o powody śmiechu.

Pepcia spojrzała na służącą, a widząc jej zaspianą twarz, potargane, pierzem przeplatane włosy i głupio ciekawy wyraz oczu, a przypominając sobie równocześnie Wejwarę w kłopotliwym położeniu, wybuchnęła głośnym, nietłumionym już śmiechem.

— Jakże ty wyglądasz, Kasiu!

— No, wyglądam! — odrzekła mrukliwie służąca. — Nie byłam na balu, a gdybym była, tobym spała jeszcze. Z czego się panienka śmieje?

Pepcia nie odpowiedziała. Patrzyła na Kasię i śmiała się w dalszym ciągu.

— Z czego się panienka śmieje? — wdzięczyła się Kasia, pociągając Pepcię spracowaną prawicą za rękaw bluzki. — Niech mi panienka powie!

— Teraz nie, Kasiu — odparła Pepcia, starając się być poważną. — Po weselu ci powiem.

— Hm, po weselu — zakręciła Kasia nosem — wtedy panienka zapomni!..

Ale nie wydobyła z panienki tajemnicy, rzekła też kwaśno:

— Panienka jest dla mnie niedobra, a jednak służyć będę panience aż do ołtarza!

— Byle tylko nie do grobu — zaśmiała się Pepcia i nalała nową łyżkę wody na kawę.

Około godziny ósmej skrzypnęło łóżko pani Kondelkowej i odezwało się przeciągłe ziewnięcie, które przebudziło mistrza Kondelika.

— Że też nie śpisz, stara! — rzekł gniewnie. — Wy, kobiety, jesteście jak zające. Do rana na balu, a potem śpią z otwartymi oczyma. Dziś mogłabyś dać pokój z tem ranem wstawaniem.

— Leż, staruszk, leż, ale ja już muszę wstać. Ładnieby tu wyglądało, muszę sprzątnąć.

— Dla kogo znowu?—mruknął mistrz.

— A gdyby kto przyszedł? Wiesz dobrze, że się teraz ciągle ktoś kręci, głównie w niedzielę.

— Już ja z wami poraz drugi na bal nie pój-
dę!—sapał mistrz.

— Naturalnie, że nie pójdziesz, staruszk, to było poraz ostatni. A kto to zaczął pić piwo, kiedym chciała iść do domu?

— Bodajże cię, kobieto! Byłbym was przywiózł w ładnych humorach po tem przebleraniu się Wejwary! Ładna by miała niedzielę.

— Cicho, cicho, staruszk, i lulaj. Trzeba rozdzielić śniadanie, Pepcia już dawno na nogach.

Mistrz Kondelik nie odpowiedział, obrócił się, zarył głowę w pierzynę i starał się usnąć powtórnie. Niestety! już mu się to nie powiodło. Męczył się pół godziny, potem zaklął strasznie, powstał i czynił przygotowania do golenia.

Damy zjadły śniadanie, przewietrzyły jadalnię i napaliły w piecach.

Około dziewiątej, gdy pan Kondelik nie zdążył się jeszcze ogolić, w kuchni odezwał się dzwonek.

— Proszę, pan Wejwara się kłania...—i posła-
niec wtykał Kasi liścik.

— Panienko, list!—anonsowała Kasia.

Pepcia zarumieniła się, jak mak.

Liścik?

Co to znaczy?

— Poczekajcie, poczekajcie!

I śpieszyła z biletem do pokoju. Rozerwała pośpiesznie kopertę i czytała:

„Najdroższa Pepciu! Kochane serduszkol

Proszę się na mnie nie gniewać, że zaraz rano niepokoję Panią, ale czuję potrzebę wypowiedzenia się i piszę zaraz po powrocie od Karafiatów. Proszę mi wierzyć, serduszko moje, że jestem cały zmiażdżony jeszcze wypadkiem, który mnie spotkał niezasłużenie jedynie przez dobre serce. Dopiero po powrocie do domu odtworzyłem sobie w umyśle wszystko i wstydzę się, ogromnie się wstydzę. Sądzę, że się Pani gniewa, a jeszcze więcej mamusia Pani. I dlatego, że się tak bardzo wstydzę, kochanie moje, proszę Panią, aby mnie Pani usprawiedliwiła, że do państwa jutro, to jest właściwie dziś, w niedzielę, nie przyjdę. Spaliłbym się chyba ze wstydu, pragnę zatem, aby ta rzecz trochę poszła w zapomnienie. Hawrda jest moim starym przyjacielem, chciałem mu przeto dopomóc, ażeby się z Amalką Myszkówną pogodził, ale nie myślałem, że mi tak długo każe czekać na siebie. Siedziałem, jak na rozpalonych węglach i zdaje mi się, że się przeziębim. Dlatego proszę o przebaczenie, złoto moje, będę o Pani cały dzień myślał i pocichu rozpaczał.

Nieszczęśliwy

Wejwara.”

Pepcia przeczytała i podała list mamusi.

— Patrz, mamu, co Wejwara pisze, musiałas mu coś niemiłego powiedzieć.

Pani Kondelikowa pochwyciła list, przeczytała, i jakby chodziło o śmiertelną przysięgę, odpowiedziała poważnie:

— Ja mu miałam coś powiedzieć? Ani słowa! Mój ty panie, dziwny też to człowiek. Ktoby się tam na niego gniewał? Na pana Hawrdę — owszem, ale na niego!..

— Co mam uczynić?—pytała Pepcia.

— Co uczynić? Napisz mu zaraz, aby przyszedł bez żadnych skrupułów, napisz, że już dawno zapomnieliśmy o przygodzie.

Pepcia usiadła i drżącą rękę napisała na niebieskim arkusiku papieru:

„Drogi Paniel

Bardzoby mnie Pan zasmucił, gdybyś nie przyszedł, i bardzoby Pan zasmucił mamusię. Jak mogio to Panu przyjść do głowy! Dzień taki piękny, pójdziemy na spacer, a co dotyczy wczorajszego wypadku, to o niczem nie myślimy i bardzobym się gniewała, gdyby Pan nie przyszedł, a chorować Panu nie wolno. Hawrda jest narwanym człowiekiem, Amalka się na niego wcale nie gniewa, a gdyby nie był spletał tego głupstwa, to wszystko byłoby bardzo pięknie.

Całując Pana pozostaje

Szczerze życzliwa

Pepa.”

W kończeniu listów była Pepcia poniekąd słabą, ale o tem nie wiedziała nawet.

Pośpiesznie złożyła list, włożyła go w kopertę i już chciała zalepić, gdy zatrzymała ją matka:

— Poczekaj, dziewczyno! Poślaniec może wziąć z sobą pudełko, cała rzecz zupełnie inny wziąć może obrót. Wczoraj wieczorem opakowałam je ładnie. Dopisz mu o tem kilka słów.

Pani Kondelikowa pośpieszyła do sypialni na palcach, aby się małżonek nie zląkł i brzytwą nie zarznął, i w okamgnieniu ukazała się z podługowatym pudłem, owiązanem czerwoną jedwabną wstążeczką.

— Są jakie stare gazety?—zapytała córkę.

Pepcia wyjęła gdzieś ze skrzyni duży arkusz papieru, i obie z trudem owinęły pudełko w papier, owiązując je szpagatem. Wyglądało to, jak ogromna, odrutowana babka, ale wiadomo, że damy są w „pakowaniu” wogóle niezręczne. Potem skoczyła Pepcia znów do stolika, obróciła kartę i na drugiej stronie dopisała:

„P. S. Drogi panie, posyłamy panu z mamusią zwykły dar, jako narzeczonemu i mamy nadzieję, że je pan w zdrowiu podrze i dobrze zużyje. Szyłam je sama, a tę wyszywaną także sama wyszywałam, i tę włoży pan do ślubu, ale napewno niech pan przyjdzie.

Szczerze życzliwa

...”

Zalepiła kopertę, pani Kondelikowa wzięwszy pakiet i liścik, szła do kuchni.

— Mój człowiecze—rzekła poważnie do posłańca — ten list i tę paczkę oddajcie panu Wejwarze, i powiedzcie, że się kłaniamy. Czy będzie jeszcze w domu?

— Będzie, proszę pani...

— A tu macie za drogę.

— To dzieciak skończony—mówiła pani Kondelikowa po odejściu służącego.—Ma teraz nauczkę, ażeby nie nikomu nie pożyczął. Nie można mu jednak tego wymawiać...

— Chyba, że tatko — wtrąciła z obawą Pepcia.

— Nic nie powie, nie bój się.

— Nieborak, pisał jeszcze w uocy, gdy zmęczony przyszedł do domu—litowała się Pepcia.

— Dzieciak, mówię ci, dzieciak! Ale to powinno cię cieszyć. Ma honor i nie jest lekkomyślny!

Pepcia miała jeszcze coś na sercu. Podeszła do matki i spytała się zaniepokojona:

— Moja mamusiu, czy rzeczywiście wszędzie jest taki zwyczaj, że się narzeczonemu posyła przed weselem koszulę? Mnie się to wydaje tak dziwnem...

Pani Kondelikowa spoważniała.

— Wszędzie, miłe dziecię, to jest w zwyczaju prawie w każdej rodzinie mieszczańskiej. Jest to zwyczaj starodawny, że narzeczony dostaje od narzeczonej zawsze koszulę. Zwykle pół tuzina, a najmniej jedną, wyszywaną, i w tę się ubiera do ślubu. Kiedy moja mamusia wychodziła zamąż, posłała narzeczonemu pół tuzina koszul, gdym ja wychodziła za-

maż, posłałam ich tatusiowi pół tuzina, i tak było we wszystkich pokoleniach. To jest zwyczaj staro-czeski. Dawniej bywało jeszcze inaczej, narzeczone musiały same uprząć, dać tkaczowi, same bielily, same szyły—tak mawiała moja babcia. W takich koszulach dożyje narzeczoney długiego wieku. Teraz jest trochę inaczej, ktoby prządł? Powinny jednak być przynajmniej z domowego płótna, a Wejwarowe są. Nici, które zbyły po uszyciu, schowaj sobie dobrze, i niemi je reparuj. To odpędza choroby i maż nie zapragnie nigdy innej, prócz żony.

Pepcia się odwróciła, dawno schowała pęk nici, tego nie zgubi.

Pani Kondelikowa spoglądała na córkę z macierzyńską czułością i mówiła łagodnie:

— Przy tej okazji znowu ci dam przestroge: szanuj sobie Wejwarę, będzie on dobrym mężem, nie myśl też potem, że my jesteśmy wszystkiem dla ciebie na świecie. Będziemy wiernie o was dbali, nigdy cię nie opuścimy, ale pierwszą osobą będzie dla ciebie małżonek. On jest jako ojciec, jako matka, po Bogu pierwszy. I nimbyś się do mnie wybrała z jaką skargą, dziesięć razy się namyśl, a potem milcz. Gdy sprawę załatwicie między sobą, nikt się o tem nie powinien dowiedzieć. Ja się do niczego nie będę mieszała: masz Pepcię, staraj się o nią. Tylko mu nigdy nie czyni na złość, Pepciu. Nic się tak łatwo nie znarowi, jak źrebę i mężczyzna.

— Ja wiem, mamusiu — odpowiedziała Pepcia, wyglądając oknem.

— Potem jeszcze ci powiem to, co powinnaś wiedzieć—dokończyła pani Kondelikowa.

.

U Kondelików było po obiedzie, Pepcia gotowała czarną kawę. Na wzór dziesięciny otrzymywał Wejwara filiżankę czarnej kawy, którą przynosiła Pepcia, i cygaro, które podawał mu pan Kondelik.

Dziś Wejwara długo nie przychodził, z czego zadowolona się nawet czuła pani Kondelikowa, małżonek bowiem wysypiał się za wczorajszy wieczorek. Z drugiej jednak strony była ciekawa, co Wejwara powie na koszule, co na tę *wyszywaną*, nad którą sama Pepcia pracowała całe trzy tygodnie.

Nareszcie o trzeciej zadzwieczał dzwonek i nieśmiało wszedł Wejwara. Ach, nieśmiało! W straszliwym zakłopotaniu, jak świadczyła jego twarz, ni-by krwią polana.

Nie przeoczył bowiem, że pierwsze spojrzenie Pepci padło na jego — spodnie. Wie, szelma, co się wczoraj stało.

Uklonił się, pocałował w rękę matkę i córkę—i milczał.

— Jakże się panu spało, Franciszku?—zapytała pani i zaraz odpowiedziała sama:

— Dobrze, rozumie się. A oto, jaki ładny dzień mamy, przejdziemy się, gdy tatko wstanie. Trochę sobie chrapnął. A ty, Pepciu, przynieś kawę — dla nas i dla tatusia, obudzimy go.

Ale nie trzeba było budzić mistrza. Może dzwo-

nek, rozmowa w jadalni przebudziła go, dość, że mistrz wchodził do pokoju, za nim Pepcia wniosła filiżanki z kawą.

— Chodź, chodź, tatusiu—wołała pani Kondelikowa—i wypij kawę, a potem pójdziemy użyć jeszcze dnia.

Panowie popijali kawę, damy się ubierały na spacer. Gdy Kondelik podał Wejwarze cygaro i sam także zapalił, spojrzała nań małżonka.

— Staruszk, w tej koszuli nie możesz iść. Cały gors pogniotłeś sobie we śnie, a tu masz sos od obiadu—musionsz wziąć inną.

— No, to wezmę inną—odparł mistrz monotonnie, i dopiwszy kawę, zniknął w sypialni.

Pepcia odnosiła filiżanki, matka wyszła za nią do kuchni.

— Co mówił Wejwara na koszule?—pytała z zaciekawieniem córkę.

— Nic, mamusiu, ani słowa...

— Może go posłaniec nie zastał w domu — pomyślała matka.

— Przecież przychodzi do domu zawsze po obiedzie—rzekła Pepcia.

— To prawda—rzekła pani, jakby do siebie.

— On jest jakiś stropiony — zauważyła Pepcia.

— To ten nieszczęśliwy dzień wczorajszy—do dała matka.—Zapytaj go się sama wprost.

Pepcia powróciła do pokoju; Wejwara przeglądał album. Znał wszystkie te twarze już na pamięć, ale kiedy nie wiedział, co robić, przyglądał się zawsze galeryi rodzinnej.

— Byłbyś pan nas dopiero urządził, gdybyś był nie przyszedł—przemówiła doń Pepcia. — Czy zastał pana posłaniec jeszcze w domu?

— Tak, Pepciu...

— Doręczył naszą odpowiedź?

— Tak, Pepciu.

— Doręczył panu... także... cośmy... posłały?—ciągnęła Pepcia powoli.

— Tak, Pepciu—odpowiedział monotonna Wejwara i musiał odkaslnąć, tak go ścisnęło w gardle.

— Nie gniewał się pan?

— Dlaczego bym się miał gniewać, Pepciu?

— Wie pan, mamusia mówi, że to taki stary zwyczaj rodzinny...

— Ja także myślałem, że to jakiś stary zwyczaj...

— Aby pan długo żył.

— Tak, Pepciu...

— A tę najładniejszą włoży pan sobie do ślubu...

Wejwara nie odpowiedział zaraz, ale dopiero odkaslnąwszy rzekł:

— To jest, Pepciu droga, jeśli tak trzeba, wezmę ją, ale sędzę, że będą dla mnie... bardzo... duże... szczególnie u szyi...

Pani Kondelikowa, wchodząc do pokoju, usłyszała ostatnie słowa.

— Jakże, Franciszku, duże? To być nie może, przecież szyliśmy podług pańskiego kołnierzyka, ma pan trzydzieści osiem centymetrów...

— Owszem, mamusiu, ale te mają przynajmniej czterdzieści sześć...

— Jezus, Marya! jakże to może być?

— No, na nocne będą dobre, mamusiu—mówił Wejwara bardzo zakłopotany; — myślałem, że to są nocne, ale kiedy sobie Pepcia życzy, abym wziął jedną do ślubu, więc to zrobię...

W tej chwili wyszedł z sypialni mistrz Kondelik i już na progu wołał:

— Coś mi wetknęła za przekłętą koszulę, Betty, przecież jej nie dopnę...

Pani Kondelikowa spojrzała na małżonka i omal się nie zatoczyła.

— Kondeliku, Jezus, Marya, zkądś ty ją wziął?

Mistrz miał na sobie bielutką, krochmaloną koszulę, z gorseem bogato wyszywanym w kłoski i wściekle ściągał końce karczka, których nie mógł dopiąć.

— Zkądś ją wziął?

— No, zkąd! Z komody, gdzie są koszule!

Pani Kondelikowa pośpieszyła do sypialni, szuflada komody skrzypnęła i za chwilę powróciła z pięciu nowiutkimi koszulami w rękach, wołając prawie z płaczem:

— Teraz rozumiem, Pepil! To są koszule Wejwary. Chryste Panie, jam to wkładała do pudełka nad wieczorem, po ciemku już—jam się pomyliła, te tu pozostały, a Franciszkowi posłałyśmy stare koszule tatki, które były przygotowane do reparacyi. O, dla Boga, wołałabym się zapaść w ziemię.

I nagle krzyknęła na małżonka:

— Zdejmiesz ją zaraz, Kondeliku! To jest

Wejwary ślubna koszula, tej nie wolno mieć nikomu na ciele oprócz narzeczonego, na Bogal jakbyś oczu nie miał...

Kondelik patrzył na małżonkę, na córkę, narreszcie utkwiał wzrok w Wejwarze.

— Dostałeś w prezencie moje stare koszule? A toś pan miał uciechę, Franciszku! No, ale teraz, Wejwaro, jesteś pan górą, to wyborne *pendent* do pańskich spodni wczorajszych, niech spróbują robić wymówki.

— Idź już, przebierz się—wołała pani Kondelikowa pogniwana, zawstydzona, a gdy mistrz zniknął, podeszła do Wejwary.

— Prawda, że się pan nie gniewasz, Franciszku? Mój Boże, nieboraku, otrzymałeś stare gałgany...

— Nie zastanawiałem się nawet nad tem, że zaszło nieporozumienie — odrzekł szczerze Wejwara — rozmyślałem tylko nad znaczeniem tej posyłki...

— Podarte koszule mają tylko jedno znaczenie, Wejwaro — mówił Kondelik na progu sypialni, już przebrany — że je trzeba naprawić. Trochę się zdziwiłem, że mam takie nowiuteńkie koszule.

— Ach! ty stary dziwaku—srożyła się pani Kondelikowa — na stare lata może jeszcze będę cię ubierała w wyszywane koszule!

— Słuchaj, Betty, że narzeczonego i narzeczoną przed weselem siedemkroć głupieją, to stara prawda, a na Pepci i na Wejwarze stwierdziłem ją sam. Ale żeby głupiały także przyszłe teściowe, nie słyszałem jeszcze. Gdzie miałaś oczy?

— Dobrze, iż się wszystko wyjaśniło—przerwała Pepcia, ażeby załagodzić sprawę i przeciąć dalsze rozprawy rodziców.

Mistrzowi Kondelikowi pomyłka przyczyniła się do nabrania dobrego humoru. Ubrawszy się i włożywszy właśnie czwarty pierścień, pochylił się do Wejwary i szepnął żartobliwie:

— Nietylko teściowa, ale i teść chce panu dopomóc, zatrzymaj przeto sobie te stare koszule, kupię pół tuzina nowych...

— Stary gaduła—sierzdziła się pani, i zwróciła się do Wejwary:

— Kasia rano przyjdzie do pana, Franciszku, zabierze stare, a nowe zostawi. Wyszywaną trzeba jednakże wyprać nanowo. A teraz chodźmy!

Towarzystwo ruszyło w kierunku Kamiennego mostu, na Mniejsze miasto, najpierw na spacer, a potem na Wikarbę. Lubił pan Kondelik tę miejscowość.

XXV.

Pierwsze podarki ślubne.

Wielki dzień w rodzinie Kondelików zbliżał się szybko; chylił się już ku końcowi tydzień przedostatni. Pani Kondelikowa pamiętała o wszystkim, nawet o tem, aby się goście weselni po zabawie dobrze wyspali. Ślub Wejwary naznaczono na sobotę, na dzień świętej Elżbiety, imieniny pani Kondeliko-

wej. Zawiadomienia, nad których stylizacją pracował Wejwara z całym skupieniem, już rozesłano, już zaproszono gości na wesele, już miał ksiądz tej niedzieli narzeczonego z narzeczoną po raz trzeci zrzucić z kazalnicy.

U Kondelika roboty malarskie dawno były dokończone, przynajmniej te główniejsze, a teraz się tylko dorabiało resztę. Mistrz Kondelik nazywał to pogardliwie „plewami”, drobiazgi pozostawiał zupełnie swojemu majstrowi, a sam poświęcił swój czas narzeczonym.

— Nareszcie tatko się ruszył — zauważyła pani Kondelikowa widząc, że małżonek okazuje większe zajęcie, niż przedtem. — Dowcipkował ciągle, zbywał śmiechem, a teraz dopiero zobaczy, że trzeba robić.

W słowach pani Kondelikowej tkwiła myśl ukryta, pan Kondelik bowiem szczególnie w ostatnich dniach dopuszczał się różnych małych złośliwości, do których okazyę dawała mu owa fatalna pomyłka pani Kondelikowej z koszulami ślubnymi. Codziennie wspomniał o tem, za każdym razem z innym docinkiem, a najbardziej gniewało panią, że nie krępował się wcale obecnością Wejwary.

— Staruszkę — mawiała kwaśno — tobieby się to nie wydarzyło, ty jesteś nieomylny, jak papież. Na moje kłopoty spoglądasz z góry, jak z obłoków, i cieszyłbyś się niezmiernie, gdyby mnie spotkał jaki ważny wypadek. Takimi jesteście wszyscy mężczyźni, daj Boże, aby pod tym względem nie był Wejwara do innych podobny, a wierzę mocno, że nie będzie.

Odwróciła się nasrożona i nieraz przez cały wieczór nie odezwała się do męża.

Ale pan Kondelik „pracował”. Co dzień bywał w mieszkaniu przysłych małżonków na Winohradach, spędzał tam całe godziny i ciągle coś „ulepszał.” Wbijać różne gwoździe i haczyki, wkręcać szrubki i kótecza do drzwi, do okien, do wentylatorów, to było ulubione zajęcie. Co dzień chwalił się nową jakąś zdobyczą, to zawiadamiał Wejwarę, że mu przy-mocował do drzwi patentowany łańcuch, aby mu się nikt nie zakradł do mieszkania, nawet gdy się przez zapomnienie na klucz nie zamknie; to przyprowadził mechanika i kazał urządzić dzwonki elektryczne.

W to wszystko, co widział podczas malowania u ludzi, chciał zaopatrzyć Wejwarę. Nie jedna próba mu się nie udała, ale takimi niepowodzeniami nie chlubił się naturalnie.

Co chwila biegł na probostwo lub do zakrystyana, dokąd nie było daleko.

— Dziś mnie znów rozgniewali—oznajmił wieczorem, gdy przyszedł Wejwara. — Byłem się rozmówić względem powleczenia klęcznika i kobierca na schody i co pan sądzi, ile też chce zakrystyan za aksamitny pokrowiec na klęcznik? Dwanaście reńskich! Dwanaście reńskich! Odpowiedziałem mu, że dwanaście reńskich nie dam, ale aksamitny pokrowiec chcę mieć bądź co bądź, a około klęcznika musi być kobierzec, aby się nikt nie zaziębił.

— Słuchaj, staruszku — mówiła za każdym razem pani Kondelikowa—obyś tylko czego nie popsuł. Pamiętaj, że wyprawiamy tylko jedno wesele. Z ko-

ściołem nie wypada się targować. Idzie mi także o ludzkie języki, pragnęłabym, ażeby ślub wypadł porządnie. Droga przez kościół pójdzie Pepcia tylko raz i nie więcej...

— No, no, tylko raz! A gdyby Wejwara umarł, to poszłaby po raz drugi!

— Kondeliku—zawołała karcącym głosem—nie bluźnij! pozostaw mnie, postaram się o wszystko.

— Aha! — mówił mistrz Kondelik — ty chcesz mieć sama zasługę, a potem robi się znów coś takiego, jak z temi koszulami...

Ze względu na Wejwarę, starała się zapanować nad sobą, rzekła więc tylko:

— Poczekaj, jeszcze my z ciebie śmiać się będziemy.

I rzeczywiście tak się stało.

W sobotę, właśnie na tydzień przed weselem, przyszedł mistrz w południe do domu wybornie usposobiony, a po zupie, gdy Pepcia poszła do kuchni po mięso, zatarł ręce i patrząc jak zwycięzca na żonę, pochwalił się:

— Poczekaj, Betty, zobaczysz. Dziś kupiłem coś dla tych młodych...

— Co takiego? — zapytała pani i położyła łyżkę.

— No, zobaczysz! Zaraz tu przyniosą.

— Co znów, na Boga! przyniosą! Musi to być coś dużego...

— Eee, nie jest to duże, ale trzeba się ostrożnie obchodzić, i ładne jest także.

Pani Kondelikowa nie mogła nawet jeść w niecierpliwem oczekiwaniu.

Doczekała się przecie. O godzinie 2-jej weszło dwóch posłańców z jakimiś dużymi przedmiotami, starannie opakowanymi, i kładli je ostrożnie na stole.

— Cóż to niesiecie?—spytała zaafierowana pani.

— Lampy, proszę pani.

Mistrz drzemał na kanapie w sypialni, a pani nie czekając aż się przebudzi, wyjmowała z papierów lampy.

Majolikowe spody, klosze z mieniającego się wszystkimi barwami szkła, lampy wielkie, na metr wysokie. Można było oczy wypatrzyć.

Pepcia je obskakiwała, dziwiła się, cieszyła, coraz nowe piękności na nich znajdując, ale pani Kondelikowa nie radowała się wcale.

— Gdybyż tatko choć słówkiem napomknął — rzekła poważnie.

— Mamusiu—przecież są ładnel...

— Ładne, to prawda, ale ile kosztowały pieniędzy—i napróżno, napróżno.

— Dlaczego napróżno? — zabrzmiał nisko bas pana Kondelika, który się przebudził i stał na progu.

— Dlaczego, Kondeliku? Po cóż tam mają gaz w całym mieszkaniu, co? I w przedpokoju i w kuchni—wszędziel

— U was, kobiet, są długie włosy, ale rozum... Gaz! Owszem, jest gaz, ale w suficie. A cóż bę dzie, gdy Wejwara zapragnie pisać przy stole obok okna, jakże tam sobie ten żyrandol przeniesie? A cóż, gdy Pepcia będzie chciała szyć przy swoim stoliku? Czem sobie poświeci? A cóż, gdyby się stało coś w gazowni i w całym mieście zgasto

światło, czem będą świecili? W każdym domu musi być jakaś lampa i dlatego je kupił. Ale, że to ty nie kupiłaś, więc źle. Ale ja pamiętałem i to Wejwarę ucieszy.

— Mnie nie cieszy Kondeliku. Nie mówię, że nie powinni mieć lamp, ale przecież lampy kupuje sobie każda pani dopiero *po weselu*.

— Dlaczegoż to?

— Dlaczego?—pomyślała przez chwilę, czy ma rzec, dlaczego, ale przez ostrożność nie rzekła tego, by się nie przegadać. Odpowiedziała więc tylko: — No, zobaczysz.

O ile mistrz Kondelik cieszył się przedtem na zrobienie niespodzianki, o tyle teraz byłby najchętniej lampy wyrzucił za okno. Jakież te kobiety wstrętne, a on dał trzydzieści reńskich!

Zaraz po kawie wyszedł na spacer.

Wieczorem powrócił jednocześnie z Wejwarą, z którym się spotkał przed domem.

Wszedłszy do kuchni, o mało nie upadł, dzięki ogromnej pacy, która stała obok drzwi.

— Co to jest do dyabła?—zapytał się gniewny.

— To przysłał pan budowniczy Beczka—oznajmiała pani Kondelikowa —Oto jego karta wizytowa.

Pan Kondelik porwał kartę i czytał:

— „Proszę, aby panna narzeczona przyjęła małą pamiątkę do młodego domostwa”.

— Co też tam jest w tej pacy—zastanawiał się Kondelik.—Poczekaj pan, Wejwaro, znajdę dłuto i obcęgi, pomożesz mi pan, zobaczymy zaraz...

— Daj spokój, staruszk, zrobi się po kolacy.
Ostygłaby nam!

Mistrz Kondelik jadł łapczywie, aby się jaknajprędzej zabrać do otworzenia paki. Ogromnie był ciekawy, co przysłał stary jego znajomy i przyjaciel Beczka, którego wszystkie domy, jakie przez lat dwadzieścia wybudował, były wymalowane przez Kondelika. Ledwie też odłożył widelec, zabrał się do dzieła. Na wierzchu paki wymalowana była butelka na znak, że wewnątrz jest coś kruche.

— Pewnie jakiś garnitur szklany, lub serwis— odgadywał mistrz, wyciągając ostrożnie gwoździe.

Nareszcie oderwał wieko i zaczął wyrzucać siano, którem przedmioty w pacę były obłożone. Wejwara odbierał z rąk Kondelika rzeczy i pozbawiał je opakowania papierowego. Pecią pochylała się nad paką, pełna ciekawości, pani Kondelikowa stała nad nimi wyprostowana, z założonymi rękoma, jak wieszczka. Coś przeczuwała.

Z siana, z trocin, z bibuły i z grubego papieru wynurzyły się części dwu — dużych, bogatych lamp naftowych.

Wejwara ustawiał je powoli na stole, składał i zakręcał, mistrz Kondelik, nie mówiąc nic, pchał znów siano w pustą pakę, a gdy się wyprostował, patrzył na lampy uparcie, nie wiedząc, coby rzec.

— Patrzcie, patrzcie — wtrąciła pani Kondelikowa — lampy! I ładne lampy. Które też są ładniejsze...

Poszła do sypialni i powróciła z jedną z tych, które przed południem kupił mistrz Kondelik. Postawiła ją obok lamp pana Beczki i patrzyła z uwagą.

— Będziecie mieli ładne lampy, Wejwaro—rzekła zupełnie dobrodusznie, ale w duchu się uśmiechała.—Te oto kupił wam tatko rano. Będziecie mieli czem świecić. Gaz macie tam także — oj będzie światła...

Mistrz Kondelik nie mówił nic, ale czuł, jak go droga małżonka kole temi dobrodusznemi słowy. Zdawało mu się, że już pojmuje słowa swej połowicy; „lampy kupuje sobie każda pani dopiero po weselu”.

A pani Kondelikowa, jakby odgadując, o czem myśli małżonek, potakiwała głośno:

— Tak, staruszkul Widzisz, dlatego ci mówiła w południe, teraz mają dwie pary...

— Już trzy, mamusiu—rzekł pocichu Wejwara.

— Jakto, Franciszku?

— Koledzy w biurze także mi dziś podarowali parę lamp naftowych, posłali mi je do mieszkania.

— A cóż to, czy szkuta się rozbiła z lampami—krzyknął mistrz.

— A widzisz, staruszkul—objaśniła pani—jeszcze nigdy nie widziałam wesela, aby narzeczona nie otrzymała kilku lamp. Gdy kto nie wie, co posłać, kupuje lampę. Wszystkim nowożeńcom dają lampy! zwykle po jednej, a naszym dzieciom odrazu po dwie. Gdyby to jeszcze były lampy do kuchni, do piwnicy, pożyteczne, ale kupiłeś kandelabry, któremi się nie świeci, które się stawia na komody, na szafy, wszędzie przeszkadzają i są do niczego...

Mówiła to dobrodusznie, bez wyrzutu, wystarczało jej, że postawiła na swoim i że tryumfowała nad małżonkiem. Cieszyło ją nawet, że i on coś spła-

tał. To jest znów ze strony tatki *pendent* do tych koszul ślubnych.

— Nie sądzicie, że to już koniec—dodała—nadesła jeszcze kilka, wiem o tem z góry—i zwracając się do Pepci pouczała:

— Te lampy stanąć muszą na miejscu najwidoczniejszym, ażeby ofiarodawcy widzieli, gdyby do nas który z nich wypadkiem przyszedł; ale po weselu zapakujesz je ładnie, aby się nie zakurzyły, i gdy która z twoich przyjaciółek będzie wychodziła zamaż, pošlesz jej parę lamp... Inaczej mielibyście niby filię Ditmara... A jakąś lampkę do kuchni i do piwnicy tatko ci jeszcze kupi.

Mistrz Kondelik wziął szklanekę i napił się z głębi; radość, której się spodziewał z nowych lamp. piekielnie mu się popsowała. Wejwara mówił przez cały wieczór uspakajająco:

— W każdym razie będziemy mieli wyborną dekorację w mieszkaniu.

— Macie jej dosyć, Franciszku—zauważyła pani Kondelikowa, jakby nigdy nie — będziecie mogli oczy zadowolić do sytości...

XXXVI.

Ostatni dzień.

W piątek przed świętą Elżbietą w domu Kondelików panował nastrój prawie pobożny. Już w ostatnich dniach sprzątano usilnie, szorowano, myto. Po-

dłogi były jak stół, okna błyszcząły jak kryształ, za lustrami, za obrazkami powkładano zielone gałązki, a pani Kondelikowa co drugi dzień paliła na rozpalonym węglu drzewnym jałowiec, by wypędzić wszystką stęchłą jesienną z mieszkania, by tu było, jak w kościele. Wszak jutro będą się schodzili goście weselni! Już jutro!

Jednocześnie panował tu pośpiech tłumiony. Wszyscy chodzili na palcach, mówili szeptem, aby nie przebudzić czegoś nieznanego. Sam pan Kondelik zaprzestał swej zwykłej hałaśliwości i rubaszności, nie tupał, nie dowcipkował, aż się mu nawet robiło trochę ciasno, wołał przeto wyjść na miasto. Po śniadaniu i po obiedzie wstał, wrzucił na siebie surdut i wyszedł. Nie miał żadnego określonego celu, ale w domu go coś dusiło.

Pani Kondelikowa była mu za tę ucieczkę wdzięczną. W takich chwilach mężowie trochę przeskadzają, nie podobało mu się np. kadzenie. Gdy mistrz wyszedł, wyjęła z szafy czarny jego garnitur, nakazała Kasi, ażeby go dokładnie wyczyściła i zaniosiła do krawca do odprasowania. Biała kamizelka, czysto uprana, znajdowała się u krawca już od poniedziałku.

Pepcia jak niema chodziła dziś po pokojach, a zwracając się do matki z pytaniem, czyniła to półgłosem, prawie szeptem. Oczekiwała czegoś i bała się niemal.

Pani Kondelikowa spoglądała często na córkę i już, już chciała zawołać: Pepciul ałe usta zamykały się znów same. Może jeszcze nadejdzie stoso-

wniejsza chwila. Pepcia zuów ile razy spostrzegala że teraz moglaby matka przemowić, uciekala szybko, badź do sypialni, badź do kuchni, do Kasi. Kasia mimo roboty miala dysyc czasu i sposobnosc, azeby chwilami na panienke z boku popatrzec; a widzac jej milczenie, zacinala usta na ktorych pojawial sie dziwnie zlosliwy usmiech.

Przed weselem! Pepcie przebiegalo leciutkie drzenie po calym ciele, a chwilami czula, ze sie jej nogi uginaly. Czyzby to byly jeszcze dreszozce po kapieli, ktora jej mamusia rano tak starannie przygotowala, z mielonym „fijołkowym” korzonkiem i z dodatkiem francuskiego octu wonnego? Tego jeszcze tylko potrzeba, azeby sie w ostatni dzien miala przeziebic! Czy takie drzenie opanowuje kazda narzeczona? Pepcia nie pojmowala sama siebie, nie mogla sobie zdac sprawy z tego, czy powodem febry jest radość, czy strach. Czegoby sie mial bać? Czyz nie przezyła tylu dni? Czyz mógł nie nadejść dzien dzisiejszy? I dlaczego wlasciwie jest jej dzis tak dziwnie? Przecież to dzien zwykly, jak wszystkie, dotychczasowe, a dopiero jutro przyniesie zmianę w zwyklym trybie zycia. Chwilami opanowyal ja nagly strach. Jezeli juz dzis jest taka nieswoja, to co bedzie dopiero jutro, gdy ja ustroja w biale, atlasowe szaty, gdy ja wywioza w powozie do kościoła i gdy caly swiat bedzie ja palcami pokazywal sobie: Patrzcie, ta biala, to narzeczona.

Chcialaby znalezc ukojenie w robocie, lecz niestety! pozostawiono jej tylko drobnostki.

Pani Kondelikowa pozostawila sobie na dzien osta-

tni powlekaniu pierzyn, więc też po obiedzie, gdy mistrz się oddalił, podeszła do komody, gdzie leżały dawno przygotowane nowe powłoki, zawinięte w czyste płótno, przekładane różnemi wonnemi ziołami i starannie je włożywszy do koszyka, zawezwała Pepecię, ażeby się z nią udała na Winohrady.

Gdyby wypadło coś ważnego, Kasiu, to wiedz, że za godzinę, za półtóry powrócimy. Ale nikogo po nas nie posyłaj, a uważaj, żeby tu kto nie wszedł, gdy będziesz ciągle prawie na dworze. Nie zapomnij dobrze napalić w piecach.

Szły nie odzywając się prawie do siebie. Pani Kondelikowa pogrążyła się w myślach smutnych niemal. Oto po raz ostatni prowadzi córkę, pannę, dziecko, które dziś do niej jeszcze należy, a które jutro należeć będzie do Wejwary. Lubiała Wejwarę, ale w tej chwili zazdrościła mu trochę. Naturalny porządek rzeczy, a jednak tak dziwny!

W mieszkaniu zdjęła pani Kondelikowa płócienną pokrywkę z pierzyn, leżących tylko w żółtych wyspach na wysokich materacach, przejechała dłonią pierzyny i poduszki i z pomocą Pepci zaczęła wpychać je w bielutkie, adamaszkowe powłoki.

Pepcia na ulicy oddychała swobodniej i opuszczała ją lekliwość. Ale na Winohradach ogarnął ją strach ponowny. Cisza panowała we wszystkich pokojach, kroki brzmiały głucho, Pepci robiło się prawie straszno.

Patrzyła z ukosa na matkę i zdawało jej się, że mamusia wygląda dziś zupełnie inaczej, niż zwy-

kle. Co za niezwykła powaga i zamyślenie maluje się na twarzy.

Pepcia uie mogła znieść dłużej tego milczenia.

— Czy mamusia ma iglicę?—zapytała.

— Moje dziecię—rzekła matka — przecież tam jest stolik do szycia, a w nim wszystko, czego potrzeba.

Pani Kondelikowa odmierzyła tasiemkę, nawlekała, podała iglicę córce, a sama wzięła drugą.

Pośpiesznie i często zaczepiając, pracowała Pepcia iglicą, a gdy ukończyła pracę i gdy pani Kondelikowa pokryła łóżka przeszywanemi kapami z atlasu koloru wiśniowego, zapytała Pepcia, nie patrząc na matkę:

— Czy te łóżka powinny, mamusiu, tak stać obok siebie?...

Pani Kondelikowa równała pokrywki, gładziła je, choć już było wszystko wzorowo zrównane i odpowiedziała zwolna:

— Muszą, córuniu, muszą. To już taki zwyczaj, taka moda, a zresztą, zresztą... są już tak zrobione, wiesz? Tamta tylna krawędź, jest ślepa, uważasz, ta rzeźba jest tylko z zewnątrz, i gdyby je postawić inaczej, nie wyglądałoby to ładnie.

Pepcia nie odpowiedziała zaraz. Wyglądała oknem na dolinę Nusli, nad którą ciągnęły mgły jesienne, z którymi mieszał się ciemno-szary dym z wysokiego komina browaru, bębniła palcami prawej ręki po marmurowym blacie umywalki, zaciskała usta, a twarz jej chmurzyła się nieznacznie. Nareszcie otwały się usta:

— Ja myślałam ..

Nie dokończyła.

Pani Kondelikowa z zapartym oddechem czekała na dalsze słowa córki. Od rana pragnęła, ażeby jej córka dała sposobność, od rana spoglądała na Pepcię prawie magnetyzującym okiem, ażeby na niej pytanie wymusić. Tu, na tem miejscu powie jej wszystko. W domu wahała się trochę, tam patrzyła ciągle na Pepcię jako na dziecko; w otoczeniu, gdzie sama panowała i była najwyższą instancją, nie mogła się zdecydować na udzielenie ostatniej nauki. Tu inaczej. To nie jej mieszkanie, to dom Pepci i tu Pepcia przestaje być zależną, tu staje się podobną do niej, do matki, jak kobieta do kobiety, tu dorasta prawie do matki.

Patrzyła na Pepcię wyczekująco i jak przedtem w domu magnetyzowała wzrokiem, ażeby z niej wyciągnąć pytanie, ale Pepcia milczała.

Pani Kondelikowa podeszła do córki i pogłaskała ją po twarzy.

— No mów, o czem myślałaś, córuniu?

Pepcia nie odpowiedziała, ale lekkim ruchem głowy usunęła się z pod dłoni matczynej.

— Wiesz, córeczko, są niektóre rzeczy dziwne wogóle — spotka cię tu niejedno, czego nie znasz, ale inaczej być nie może. Wiesz, wyobraź sobie tylko, że będziecie od jutra należeli do siebie, ty i Wejwara, że będziecie mieszkali razem, jak w gniazdeczku, nie będzie tu ani tatki, ani mamusi, my już wogóle nie będziemy mieli prawa do ciebie, Wejwara będzie twoim mężem i panem...

— Ja wiem, mamusiu — wymówiła Pepcia bezwiednie prawie.

— No, widzisz, córuniu. Będziesz mu gotowała, paliła w piecach, będziesz się starała wogóle, ażeby miał, co mieć powinien, on zaś będzie ci dawał pieniądze na życie na wszystko...

— Ja wiem, mamusiu... tak samo, jak poprzednio—rzekła Pepcia.

— I będziecie się przytem kochali, córuniu, rozumiesz i jedno dla drugiego wszystko uczyni. We wszystkim musisz go słuchać, Pepciu, we wszystkim...

— Ja wiem, mamusiu — wyrwało się jakby z gniewem z ust Pepci, wyglądającej ciągle oknem i unikającej starannie oczu matki.

— No, wiesz i nie wiesz, jak każde dziewczę na twojem miejscu—mówiła dalej pani Kondelikowa, zakłopotana sama. — Wspomnij sobie o tem, Pepciu, gdy ci się będzie coś dziwnem wydawało, że jest to los wszystkich kobiet, i żeśmy to wszystko przeżyły. Jest to piękny stan, córuniu, gdy Pan Bóg da wszystko, czego do życia potrzeba, i gdy jest harmonia, jak mawiamy. Ale jednak nie każda wie, jakie to zadanie, choć tylko z początku... Cierpliwości, córuniu, a wszystko idzie później, jak po maśle. Nie zapomnij również, że się matka modli w domu za ciebie... Wiesz, dziecię kochane, są rzeczy, o których się przedtem nie mówi i mówić nie może, ale które nieodzownie trzeba przeżyć po ślubie...

Pepcia rada była, że szybko ciemnieje, że nie widać już jej twarzy, w której się krew paliła.

— Kochasz Wejwarę, prawda, Pepciu? — mówiła pani Kondelikowa tłumionym głosem i powoli przybliżała się do córki.

— Przecież wiesz o tem, mamusi...

— Bardzo go kochasz, prawda, Pepciu?

— Wiesz, mamusi...

— I gdyby chciał od ciebie nie wiem czego, nia odmówisz mu, prawda, Pepciu?

— A co mógłby?...

Pepcia posunęła dłonią po czole, doznała wrażenia, jakby się jej osunęły włosy i jakby jej tam przeszkadzały. Ale nie, włosy były w porządku.

— O to właśnie chodzi, Pepciu! Mąż ma wielkie prawa, nawet w Piśmie świętem napisane, a przed ołtarzem ksiądz ci powie: żona niechaj naśladuje męża swego w radości, kłopotcie, we wszystkim i zawsze. .

Pani Kondelikowa zamilkła. Gotowała się na tę chwilę przez całą dobę. Ufl jakież to trudne zadanie! Przybliżyła się i chciała ująć Pepcię za rękę, ale dłoń jej opadła. Gdyby jej się dotknęła i poczuła, jak córka drży, odrazu straciłaby odwagę. Znów widziała w Pepciu tylko dziecko.

Stanęła o krok od niej i mówiła dalej tłumionym, drżącym głosem:

— Jutro, Pepciu, przestaniesz być panienką podług prawa boskiego i ludzkiego, staniesz się małżonką człowieka, którego sobie sama wybrałaś, a na mocy prawa małżeńskiego, przybliży się do ciebie Wejwara...

— Mamusiul — wyrwało się Pepci z piersi ści-

śnionej, jakby błagała o miłosierdzie, a porwawszy matkę za rękę, pochyliła się aż na jej pierś i łkając, opierała się o nią.

Pani Kondelikowej ścisnęło się serce. Czując na dłoniach wilgotne łzy córki i w tej chwili także oczy jej zaszyły łzami. Podpierała dłońmi głowę Pepci i szeptała w płaczu:

— Uspokój się córuniu, inaczej być nie może, jesteśmy na to stworzone...

Do silnego wzruszenia, jakie ją opanowało, przyłączyła się radość, że ciężkie zadanie spełniła, że powiedziała córce, co jej powiedzieć musiała.

Ciemniało coraz więcej. Gdzieś pod nimi, czy nad nimi na piętrze bił zegar głębokim, melancholijnym dźwiękiem.

Pani Kondelikowa przypomniała sobie nagle o czemś i podnosząc głowę Pepci, zawołała:

— Ależ, Boże mój, dziecię, chciałam przecie jeszcze nakłaść do pieca, ażeby Kasia jutro tylko podpała, gdy przyjdzie. Idź, przynieś mi trochę wiórek i kilka drewek z kuchni...

Pepcia chętnie wyszła, osuszyła w kuchni oczy i wróciła po chwili, niosąc w ręku drzewo, a w drugiej świecę, ażeby mamusi było widno.

— Widzisz, widzisz, córuniu—mówiła pani Kondelikowa, schylając się do pieca i nakładając drzewo — będziecie tu żyli, jak w bajce! Nawet do nas nie zatęsknisz...

Pani Kondelikowa skończyła, wstała i patrzyła miłośnie na Pepcię, na którą padał złoty blask świe-

cy. Przy blasku tym jednak błyszczwały jeszcze łzy w oczach Pepci.

Teraz podeszła szybko do matki, zawiesiła jej się na szyi i całując namiętnie, mówiła.

— Tak się cieszyłam, a teraz tak mi smutno, mamusiul!

— Eł! cicho, dzieciaku—odrzekła pani Kondelikowa—to dlatego, że jesteśmy tu same. Chodźmy, wstąpimy jeszcze po jaki przysmak na kolację.

Wzięta płaszcz, pomogła Pepci wdziać zakieciik, wzięta potem świecę i poświeciła w przedpokoju. Tu postawiła świecę na małej szafeczce, zagaściła ją, zgmiotła palcami gorący knot i starannie zamknęła mieszkanie.

Chłodny, wilgotny wiatr odwiał trochę tego nie-miłego nastroju, w jakim znajdowały się w cichem, spokojnem mieszkaniu, reszta zniknęła w ruchu ulic Szafarzyka i Hawliczka, w szumie niezliczonych przechodniów, śpieszących we wszystkich kierunkach, w turkotaniu i dzwonieniu powozów tramwajowych, w migotliwym świetle latarń gazowych, których szybami wstrząsał wiatr.

Pani Kondelikowa po kilku krokach pochwyciła córkę pod lewą ramię, zawiesiła się na niej i przycisnęła ją mocno do siebie. Czuła, że Pepcia tuli się do niej.

Gdy tak szły blisko siebie, rozlewało się u obu od połączonych ramion ciepło coraz szerzej po całym cieple i chociaż słowa nie wymówiły, rozmawiały dalej tym niemym sposobem, jakim umieją rozmawiać

dwie dusze, mające w sobie nawzajem oporę, rozumiejąc się bez wydania choćby jednego dźwięku.

Już prawie na pograniczu Pragi wstąpiły do sklepu z delikatesami. Rozejrzawszy się, kazała sobie pani dać kawałek sera ementalskiego, pudełko sardynek i trzy śledzie „bez ości,” takie zwijane.

— Tatko to lubi, a Wejwara także.

Na ulicy pouczała Pecię:

— Gdy będziesz kupowała czasem dla Wejwary ser, bierz zawsze tylko ementalski, ten żółty i z dużymi oczkami, a gdy będzie u kupca wybór, to każ sobie dać taki spocony, bo to najlepszy. A sardynki kupuj mu tylko francuskie, wiesz, dalmackie są twarde, nie rozplływają się w ustach. Zresztą wy oboje tego dużo nie zjecie, ale gdy czasem kogo zaprosicie, to trzeba uważać. Gdy my do was przyjdziemy, to przyniesiemy z sobą!

Przechodziły już ulicę Żytnią.

— To sobie ciocia Kasia podje na sardynkach!

Na wieczór bowiem była zaproszona ciocia Urbanowa i pan Slawiczek, drużba Wejwary. Powinno być wesoło, bo to także stary zwyczaj—mówiła pani Kondelikowa — ażeby nie panowało usposobienie pochmurne. Miała przyjść także Amalka Myszkówna, druchna, ale wymówiła się—choć byłaby chętnie przyszła—tem, że suknia na jutro nie będzie gotowa. Peci zdawało się, że Amalka wstrzymuje się tylko ze względu na Hawrdę, który, jako człowiek zazdrosny, gniewałby się, że jego ubóstwiana będzie druchną i pójdzie pod rękę z innym mężczyzną. A na to nie

było rady. Sławiczkę dawno zaprosił Wejwara o Hawrdzie zaś nawet nikt nie pomyślał od owej przygody na wieczorku „Karafiatów.”

— Splatałyby nam znów jakiego figla — mówiła pani Kondelikowa.

Do domu przyszły po godzinie siódmej. Kasia kręciła się po kuchni, doglądając w piecyku pieczeni cieleceej. Sałatę przygotowała już w południe i to z ziemniaków ciepłych jeszcze, ażeby się w nie wpił ocet i oliwa.

— Taka jest najlepsza — pouczała matka Pepcie — tak powinnaś ją robić zawsze. Zimne smakuje jak pokrajane mydło i nic w sobie nie przyjma.

Pieczeń około siódmej się dopiekała, czerwieniła się po wierzchu, jak wiśnia, pachniała w kuchni i w ogrzanych pokojach aż miło, a pani Kondelikowa przeglądała w jadalni nakrycie stołu, czy wszystko w porządku.

Wtem powrócił pan Kondelik, wytrząsnął z siebie wilgoć ulicy, chwycił nozdrzami lubą woń pieczeni i miły zapach sałaty, i nim zdjął palto, zaczął grzebać w kieszeniach.

— Dziś, Betty, użyjemy sobie! Patrz, niosę kawał ementalskiego sera, dla was kanodki (sardynki), a dla wszystkich zawijane śledzie. Patrzcie!

I wyjmując, kładł zawiniątka na stole, a zawiniątka były duże; pan Kondelik, gdy kupował, to już kupował porcy obfite.

Pani Kondelikowej zbierało się na śmiech, ale się zaraz opanowała.

Pepcia już chciała powiedzieć, że kupiły także

to samo, ale matka mrugnięciem oczu zatrzymała ją w pół drogi, ażeby tatce nie popsuć humoru.

— No, dzieci, dopieroż to się dziwicie, co? Prawda, żeście o tem nawet nie pomyślały, he? Ale ojciec pamięta, jak zwykle...

Pani Kondelikowa uśmiechała się dobrodusznie i dała znak Pepci, ażeby pokładła przysmaki na jakie talerze, a potem wystawiła za okno. Za chwilę śpieszyła do kuchni, aby ukryć swoje zakupy. Przecież się to nie popsuje. Zje pojutrze, jutro bowiem zupełnie co innego pojawi się na stole.

XXVI.

Co sobie Wejwara przypomniał.

Duża wskazówka wahadłowego zegara zbliżała się do szóstki, za chwilę będzie pół do ósmej. Pani Kondelikowa co chwila śpieszyła do kuchni, otwierała drzwiczki piecyka, wysuwała pieczeń, ażeby się nie przypaliła i spoglądając ku drzwiom, powtarzała już po raz dziesiąty chyba:

— Teraz powinni już przyjść, pieczonka jak brzoskwinia, byle nam tylko nie zwietrzała. Powiedziałam przecie, że o pół do ósmej...

Wtem w sionce, posypanej piaskiem, zaszeleściły kroki i do kuchni weszła ciocia Urbanowa.

— Czy nie za późno, nie za późno?—wołała na progu, zmęczona wchodzeniem po schodach.

— W samą porę!—witała pani Kondelikowa.--

Wejwara przyjdzie lada chwila, a z nim pan Slawiczek. Dalej, dalej, Kasiu, zrzuć płaszcz.

— A tom rada, że was nie wstrzymywałam — mówiła ciocia — od rana do wieczora trzeba robić, a godziny lecą, jak woda. Ale zato pędziłam, aż nóg nie czuję...

— Ciekawy też jestem, jaką ciocia może mieć robotę — mruknął w pokoju mistrz do Pepci.

— Dobry wieczór, ludkowie! — wchodziła ciocia uśmiechając się do mistrza i do Pepci. — Oto jestem! Co za fatalna pogoda! Ale tu macie ciepłutko i zapachy, jak u biskupa. Aaah!

— Kasia wrzuciła się dziś w atłasy! — zanwazyła pani Kondelikowa, zdjawszy z Kasi płaszcz i wieszając go na wieszaku obok drzwi.

Ciocia Urbanowa miała na sobie świąteczny, czarny strój ze starego, ciężkiego atłasu, który już od lat dwadziestu różnemi przeróbkami przystosowywała do „ducha czasu” ale który mimo to zawsze przynajmniej o jakie pięć lat pozostawał w tyle za modą panującą właśnie.

Kasi pochlebiło, że pani domu zwróciła uwagę na jej strój galowy, uśmiechnęła się zadowolona i odpowiedziała skromnie:

— Wiesz przecie, Betty, że jeżeli kiedy powinienam to włożyć, to chyba przy takiej sposobności. Sądzę, że to już ostatnie moje uroczystości — potem włożycie mi te szaty do grobu. A czy pamiętasz, że tę właśnie suknię miałam także na chrzcinach Pepci? Wtedy była nowa.

Pani Kondelikowej zaiskrzyło się w oczach, gdy

spojrzała na córkę, a Pepcia, jakby przeczuwając, co mamusi przeleciało przez głowę, szybko pobiegła do kuchni:

Pani Kondelikowa, uśmiechając się błogo, mówiła półgłosem do Kasi:

— No, no, Kasiu, nie mów o ostatnich uroczystościach, da Bóg, że jeszcze się chrzcin doczekasz..

— I suknia cioci obchodzić będzie jubileusz! — dodał mistrz.

— Urwisie stary! — groziła palcem Kasia — bo-dajbym się tego tylko nie doczekała jeszcze u was! Będzie w domu miejsce...

— Proszę cię, na Boga, Kasiu! — zakrywała jej pani Kondelikowa usta dłonią, jakby przerażona. — Nie wywołuj wilka z lasu!...

— A czyż kobieta może robić co innego? — uśmiechnął się mistrz. — Zresztą pozwól, Betty, niech Kasia wywołuje.

— Stary z ciebie gaduła — gniewała się niby pani Kondelikowa. — Lepiej daj na piwo służącej, Wejwara przyjdzie lada chwila.

Wtem skrzypnęły drzwi kuchni i zabrzmiały męskie głosy.

— O wilku mowa... — zawołała ciocia Kasia i zajrzała do kuchni. — I oto są obaj.

— Wilcy? — wtrącił mistrz.

— Chodźcie, chodźcie! — witała w kuchni pani Kondelikowa. — Tatko się już niecierpliwił, a nie uspokoi się, dopóki nie będzie miał misy przed sobą.

Wejwara kłaniał się, za nim Sławiczek, cało-

wali w ręce matkę, Pepcie, a Wejwara jeszcze ciocie Urbanową. Okazywał jej szacunek, nie przeczuwając, jak jej pochlebia. Lubiła to, bardzo lubiła. Sławiczek szedł za Wejwarą, jak owieczka, i czynił wszystko za nim. Musi się nareszcie także wżyć w życie rodzinne, dotąd mało miał ku temu sposobności, a woń pieczeni cielecej tak mu lechtała go w nosie.

Pepci zaraz przy drzwiach wcisnął Wejwara w dłoń coś dużego w jedwab owiniętego. Był to bukiet z czerwonych kwiatów.

— Zrzućcie paltoty i siadajcie — mówiła pani Kondelikowa, popychając gości do pokoju.—Pomożesz mi, Pepciu.

Ciocia Kasia odebrała Pepci bukiet, i włożywszy go do wazonu, postawiła go na środek stołu. A że pani Kondelikowa zajęta była krajaniem pieczeni w kuchni, uśmiechało się Kasi, iż na chwilę może się zabawić w panią domu. Chrzęściła przyborami na stole, posuwała talerze, brała serwetki i znów je kładła na to same miejsce, a gdy siadł już mistrz Kondelik w swoim fotelu, rzekła do młodzian:

— Zatem, panie Wejwaro, pan tutaj, a tu pan Sławiczek, tak. Jesteście już chyba głodni, co? Trochę cierpliwości, ale potem trzeba dużo jeść, ażeby się Betty cieszyła.

O ile chodziło o Sławiczka, to ten był rzeczywiście stworzony na pociechę gospodyń. Nie mówił, nie marnował czasu, ale jadł.

Teraz i Wejwara mniej był nieśmiały, dziś na-

prawdę po raz pierwszy wydało mu się, że należy już do rodziny.

Gdy pani Kondelikowa przyniosła półmisek z pieczenia, a Pepcia salaterkę dymiących ziemniaków, traciła ją ciocia Kasia w bok i rzekła:

— Usiądź sobie obok narzeczonego, usiądź, Pepciu!

Pepcia usiadła, a ciocia Kasia wybiegła do kuchni za panią Kondelikową, która zapomniała sosyрки, przymknęła drzwi za sobą i pytała zaciekawiona:

— Czy ten bukiet, to niby na jutro, do ślubu?

— Co też ty mówisz? — odpowiedziała pani Kondelikowa. — To tylko na dziś, ślubny będzie biały.

Ciocia Kasia, ażeby nie powracać z niczem, wzięła druciany koszyczek z pokrajanym chlebem i śpieszyła znów do stołu.

Wejwara przebiegł teraz całe towarzystwo oczyma, jakby liczył i pochylił się do Pepci:

— Panna Myszkówna nie przyszła? Myślałem, a właściwie przyjaciel Sławiczek myślał, że będzie tu także, ażeby się mógł trochę zapoznać.

— Nie mogła—odpowiedziała z żalem Pepcia—nie przygotowała wszystkiego na jutro, byłaby chętnie, chętnie...

Pani Kondelikowa zauważyła rozmowę, choć szepciem prowadzoną i wmieszała się:

— Eh, niebym za to nie dała, że do nas przybiegnie, choć po kolacyi, jest zaproszona. A gdyby nie przyszła, to pan Sławiczek pozna ją jutro. Wesołe to dziewczę, nikogo się nie boi.

I dodawała z humorem:

— Ale względem jakiegoś bliższego zapoznania, to już za późno, dała słowo panu Hawrdzie.

Wejwara zarumienił się, przypomniawszy sobie fatalną przygodę z Hawrdą. Na szczęście przyszedł mu w pomoc Slawiczek, który połknąwszy jakiś kąsek, mówił nieśmiało:

— O tem nawet nie myślałem, szanowna pani, wiem dobrze, że kolega Hawrda... ja nie mam wcale szczęścia u panien... pragnąłem tylko poznać, ażeby jutro nie być obcym zupełnie...

— To drobnostka, panie Slawiczku—uspakajają go ciocia Urbanowa. — Amalka jest bardzo miłym dziewczęciem, nie będzie panu z nią nudno. Jeszcze jej pan Hawrda nie wiezie do ołtarza, nie z każdej chmury bywa deszcz, nie z każdej znajomości wesela..

Ostatnie słowa wymówiła ciocia Kasia poniekąd z gorzkim odcieniem. Może wspomniała swoje zawiedzione nadzieje w młodości. Miała i ona swoją miłość i do śmierci o niej nie zapomniała.

Pani Kondelikowa, znając tę starą elegię, powstała i znowu prosiła, ażeby wszyscy jedli, a przede wszystkim Kasia.

— Zmuszałaś ciągle nas, a teraz jesz sama, jak kanarek. Nie smakuje ci, a na ciebie tak liczyłam.

— Pewnie — uśmiechnął się mistrz Kondelik— ciotchna chce pościć na jutro. Dopiero się zadziwicie, gdy zobaczycie, jakie menu wybrałem.

— No?—pytała Kasia.

— E, nic nie powiem!—drażnił ją mistrz.—Ju-
tro zobaczysz! To będzie *nobl*, od osoby trzy reń-
skie.

— Ależ, Kondeliku!—napomniała pani—tego się
nie mówi!

— Dlaczego się nie mówi — bronił się Konde-
lik.—Cóż to szkodzi? Jest to sobie sprawa rodzinna,
więc można powiedzieć. Podjecie sobie dobrze.

— To dzieciak dopiero — uśmiechnęła się pani
Kondelikowa. — Nawet mnie nie powiedział, co wy-
brał. A jednak mogę się domyśleć: zupę, rybę, jaki
drób, pieczeń—no, co za cuda!

— Mamusia wie wszystko—szepiała Pepcia na
ucho Wejwarze. — Poszła się zapytać, ażeby tatko
czego nie spłatał. Wszystko było dobrze.

— Co tam szepcesz, żabo, do Wejwary?—wołał
mistrz.

— Et, nic, tatku. Gniewam się, że mi przy-
niósł taki pyszny bukiet—kłamała Pepcia.

— Wszak go pani dotąd nawet nie powąchała—
wyrzucał jej po cichu Wejwara.

— Nie powąchałam?—broniła się Pepcia—zaraz,
gdy mi go pan dał. A potem czasu nie było.

— I nie przyjrzała mu się pani—również z wy-
rzutem mówił Wejwara.

— Ciągłe na niego patrzeć! — twierdziła Pepcia.
Pani Kondelikowa spoglądała na narzeczonych,
nie wiedząc, o co chodzi.

— Widzisz, mamusiu, już mnie Wejwara stro-
żuje—skarżyła się Pepcia żartobliwie.—Już dziś!

— Ależ, Pepciu! — żebrał Wejwara i ścisnął

dziewczęciu rękę pod stołem. — Czy pani się gniewa?...

I pochyliwszy się do jej ucha szeptał:

— W tym bukiecie jest coś ukrytego.

Pepcia zerwała się z krzesła, porwała bukiet i starannie go oglądała. Rzeczywiście, tu w środku jest coś ukrytego. Pepcia ostrożnie rozgarnęła kwiaty i wyjęła z drucianego pleciwa małe puzderko z białego atlasu.

Ręce jej drżały, gdy je otwierała. Na białym aksamicie spoczywała piękna broszka, kształtu owalnego. Była to miniaturowa, malowana podobizna Wejwary, otoczona rzędem perełek i dwoma rzędami pięknych granatów.

Pepcia oglądała z zachwytem podarek, pani Kondelikowa już wstawiała z krzesła, ale pręcej podeszła ciocia Kasia i wzięła w ręce broszkę, Wejwary prezent ślubny.

— Franciszku, Franciszku — szeptała Pepcia. — taka wspaniała rzecz, pan mnie zawstydzą.

— Serduszko kochane, czy się to tylko pani podoba? — rzekł Wejwara, ściskając dłonie dziewczyny i pochylając się ku niej, a podczas gdy inni oglądali broszkę, dotknęły nagle usta Wejwary różowych warg Pepci.

— Nieszczęściel — krzyknął mistrz Kondelik i głowy narzeczonych odsunęły się od siebie.

— Co znowu? — spytała przerażona pani Kondelikowa.

— Wejwara coś połknął — zawołał mistrz Kondelik.

— Jezus Maryja, co połknął? — przeraziła się ciocia Urbanowa.

Mistrz wybuchnął rubasznym śmiechem, a narzeczeni siedzieli, zarumienieni po uszy, patrząc pod stół. Pani Kondelikowa zaczęła pojmować.

— Ah! ty narwańcze, Kondeliku! Podemną się aż nogi trzęsą!—strofowała małżonka.

— Wejwara także się zląkł, ale już przeszło, a teraz pokażcie mi takżel!

Ciocia Kasia podała mu broszkę, a Kondelik mówił:

— No, proszę, ładne granaty. Nie kupi się takich tuzin za dziesiątkę. To tak coś, jakby od Rumla, jego specjalność.

— Ale perły znaczą łązy—szeptała ciocia do pani Kondelikowej.

— Ale granaty znaczą miłość płomienną i radość!—odpowiedziała dobitnie pani Kondelikowa.

— Tak bywa w życiu — westchnęła ciocia — miłość, radość, płacz, inaczej być nie może ua tym padole.

— A wszystko razem jest to robota złotnika i to wyborna robota—zapieczętował wykład obu pań mistrz Kondelik, którego najwięcej zajmowała podobizna—jego specjalność.

— Ładnie kolorowana fotografia, co prawda, to prawda—pochwalał podobiznę.

— To nie fotografia tatusiu — rzekł nieśmiało Wejwara—jest to malowanie na kości słoniowej.

— Ręczne malowanie?—dziwił się mistrz i oddał broszkę, oglądając ją znowu uważnie.

— Tak jest — potakiwał Wejwara.

— A to szkło na niej jak ładnie szlifowane — podziwiała ciocia Kasia.

— To ładna rzecz, dziewczyno — mówił mistrz Kondelika. — Możecie nawet dać na wystawę.

Ślawiczek skorzystał z ogólnego ruchu, który Wejwara podarkiem swoim spowodował, ażeby sobie nałożyć jeszcze kawałek pieczeni i łyżkę sałaty. Broszkę obejrzy później, ona nie ucieknie.

Pani Kondelikowa spoglądała na Wejwarę z pewnym zakłopotaniem i nareszcie przemówiła:

— Franciszku drogi, sprawiłeś nam niespodziankę i zawstydziłeś nas. Pepcia przygotowuje dla pana także małą pamiątkę, ale niema jej jeszcze w domu. Monogram zrobią dopiero jutro...

— Tych monogramów nigdy nie zrobią w porę — mówił mistrz Kondelik — to znane rzeczy.

Wejwara zapewniał, że go to jutro podwójnie cieszyć będzie, a potem prosił Pepcię, ażeby sobie broszkę przypięła, czy jej będzie do twarzy. Pepcia uczyniła zadość właśnie w chwili, gdy mamusia z ciocią sprzątały ze stołu, a mistrz Kondelik znowu dolewał piwa. Przy lustrze w kącie przypięła ją sobie i tu jej Wejwara ukradł kilka buziaków. Cieszył się, jak dziecko, że go nikt nie widział. Ślawiczek obcierał sobie również usta, ale po kolacyi.

— Panie Ślawiczek — wołał mistrz — nie składaj pan broni. Kobiety uprzątną teraz ze stołu, a potem mamy jeszcze małe zakończenie: kawałek sera i morskiego zwierzęcia, dla konkoksyi żołądka. Popłócze-

my sobie winem, a potem dopiero będzie nam wesoło, jak się patrzy. Przecież to ostatni dzień Wejwary, do śmierci już taki wolny nie będzie.

— Co tatko mówi?—odezwała się nagle Pepcia i pochwyciła ojca dwoma palcami bardzo lekko za ucho.

— Co mówię? Oto radzę panu Slawiczkowi, ażeby się także ożenił, a on mi na to, że już niby takiej dziewczyny niema na świecie i że najprawdopodobniej pozostanie wdowcem. Swoją drogą nie słyszysz, że w kuchni ktoś dzwoni!

Spełniło się, co przepowiadała pani Kondelikowa. Była to Myszkówna, którą tu przyprowadziła służąca i po którą przyjdzie później brat. Nie mogła wytrzymać, więc wybrała się chociaż po kolacyi.

Na widok Amalki stopniał nareszcie pan Slawiczek, a gdy po godzinie przyszedł po nią brat, towarzystwo bawiło się jaknajlepiej.

Wejwara i Pepcia bardzo byli wdzięczni nowym gościom, mogli bowiem dopiero teraz poświęcić się sobie. Chwilami wybiegała Pepcia do przyległego pokoju, ażeby pokazać jakąś drobnostkę Amelce, a zawsze biegł za nią w ślad Wejwara i potem trwało bardzo długo, nim Pepcia powróciła. Była zawsze potem bardzo rumiana, a Wejwara wychodził za nią, jak cień, ale z wyrazem twarzy, który możnaby tłumaczyć mniej więcej słowami: ja nie, proszę państwa, zupełnie nie!

Ani Kondelik, ani Slawiczek z Amalką nie zwracali uwagi na wycieczki Pepci i Wejwary do drugiego pokoju. Za to pani Kondelikowa, choć nie patrzy-

ła prosto, dobrze obserwowwała, a po zniknięciu każdorazowem „dzieci” uśmiechała się i myślała sobie w duchu:

— Poczekajcie, kocięta, jutro, jutro...

Kto wszakże najuważniej śledził ucieczki kochanków i ktoby oczyma chętnie przewiercił ścianę, ażeby widzieć, co się tam właściwie dzieje, to ciocia Kasia. Echo dawno minionej przeszłości, coś, jak zapomniana piękna, a niedopowiedziana bajka, paliło mózg i ścisnęło serce.

Pani Kondelikowa zlustrowała towarzystwo całe, wreszcie rzekła:

— Brak nam tu jeszcze kogoś, Franciszku, i bardzo żałuję, że już dziś nie bawimy się razem.

Wejwara spojrzął na panią teściową.

— Mam na myśli rodzinę twoją, Franciszku, tak się cieszyłam.

— Nie mogli przybyć, mamusiu droga — tłómaczył Wejwara — dopiero jutro przyjedzie tatuś, a może i siostra. Mama nasza wogóle nie może przybyć, trudno dom opuścić, mają sklep. Bardzo prosiłem, ale musiałem w końcu sam przyznać, że to prawie niepodobieństwo. Jutro przyjedzie zatem ojciec, a mamusia odwiedzi nas później, gdy się już zupełnie zagospodarujemy.

— No, ja wiem, Franciszku — potakiwała pani Kondelikowa — jaka to szkoda, że mieszkamy tak daleko od siebie, jakby to pięknie było, gdybyśmy wszyscy byli w Pradze i mogli się częściej odwiedzać.

— Będziemy tu mieli ciebie, mamusiu — rzekł

Wejwara.—Państwo nam wynagrodzą brak mojej rodziny.

— My nie powinniśmy się wam naprzykrzać— wtrącił mistrz—kto sobie bierze córkę, nie bierze jeszcze całej rodziny. No! ale ja to mówię żartem.

.

Minęła jedenasta, towarzystwo było w najróżowszem usposobieniu, Amalka Myszkówna śmiała się ciągle, siedziała zupełnie blisko obok Sławiczka, którego oczy błyszczały dzięki winu Kondelika.

Młody brat Amalki, pan Adolf, oddawna już chciał coś powiedzieć, ale rozweselona siostrzyczka, kilka razy zakrywała mu usta, wołając:

— Będziesz ty milczał, ty, ty! Nigdy już i nigdzie nie pójdziesz ze mną.

Ale pana Adolfa świerzbil język i nareszcie wygadał się, że Amalka, biorąc zadanie druchny bardzo poważnie, poszła dziś rano do spowiedzi i komunii.

— To bardzo pięknie, panie Adolfe — rzekła pani Kondelikowa—to świadczy tylko, że pragnęła się zupełnie dobrze przygotować. Wszak Pepcia była także.

— Pan już także był u spowiedzi? — zapytała Pepcia Wejwarę.

— Byłem, zaraz rano — odpowiedział Wejwara i nagle zamilkł, zapatrzył się na Pepcię, przetarł dłonią czoło, jakby sobie coś przypomniał i czuł, że na czole występuje pot.

Pepci zrobiło się dziwnie, Wejwara bowiem od tej chwili nie przemówił, nie pytał i patrzył z roz-targnieniem, jakby błądził myślą. Bóg wie gdzie...

Kiedy to siedzenie przedłużać się zaczęło nad miarę, trąciła go Pepcia i wstawszy, poszła do przy-ległego pokoju.

Wejwara, jak we śnie, szedł za nią.

— Franciszku, co się panu stało? — zapytała tkliwie.

— Pepciu droga, nie, zupełnie nie...

— Wejwaro, panu coś jest. Mnie może się pan zwierzyć, mnie—nalegała Pepcia.

Wejwara patrzył na nią wzrokiem błagalnym i nagle złożony ręce mówił:

— Pepciu, niech pani się nie gniewa na mnie, stało się coś nadzwyczajnego...

— Na Boga, Wejwaro, co takiego? — krzyknęła Pepcia!

— Dopiero teraz sobie przypomniałem, gdyśmy rozmawiali o spowiedzi...

— ???

— Byłem rano u spowiedzi i ksiądz mi naka-zał, ażebym do Komunii przystąpił dopiero po mszy. Ale w kościele było tak zimno, a ja poszedłem dość wczesnie, pomyślałem więc sobie, że dobrzeby się było gdzie rozgrzać. Poszedłem do kawiarni, kelner postawił przede mną kawę, jak zwykle, ja ją w za-myśleniu wypilem, a potem poszedłem do Komu-nii... Zapomniałem o wszystkim, jak na śmierć, aż teraz...

— Mój Boże—rzekła Pepcia smutnym głosem—
to źle...

— Wiem o tem, ale już się stało...

— Cóż teraz będzie?

— Otóż właśnie, co teraz?

Nagle błysnęła myśl w głowie Pepci, pochwyciła Wejwarę obiema rękami i rzekła pośpiesznie:

— Już wiem, Franciszku.

— No?

— Nie mów pan nikomu ani słowa i jutro rano, wcześniej, idź do kościoła, wyświadczy się znów i przystąp do Komunii..

— Pepciu! — zawołał uradowany — jesteś moim aniołem stróżem.

— Ale nie wybiegnij pan znów na śniadanie — rzekła wesoło.

— Nie, nie, Pepciu, nie zdarzy mi się to już nigdy. Śmiertelne poty uderzyły na mnie z obawy, że będziemy musieli ślub odłożyć.

Po dwunastej godzinie rozchodziło się całe towarzystwo, ostatni wyszedł Wejwara, który jeszcze w sionce przy schodach otrzymał od Pepci gorący pocałunek, poczem szepnęła mu do ucha:

— Nie zapomnij pan, kochanie moje, jutro rano.

— Serduszko moje! — odpowiedział wdzięcznie Wejwara, pocałował ją w rękę i śpieszył za innymi.

Po raz pierwszy Pepcia okazała się wierną doradczynią i ucieczką w ciężkiem zmartwieniu.

Wejwara postanowił sobie nie zapomnieć o tem do śmierci.

XXVIII.

Do ołtarza.

Jakgdyby miała budzik w głowie, ocknęła się pani Kondelikowa w dzień weselny punktualnie o godzinie szóstej rano, pomimo, że goście siedzieli wczoraj aż po za północ, i pomimo, że ponad zwykłą miarę popijała piwa, wina, a w końcu i słodkiego wianiaczku. Jasnemi oczyma spoglądała na szary poranek; wyspała się dobrze, a jednak się jej zdawało, jakgdyby się była położyła przed godziną.

Pierwszą jej myślą była Pepcia. Wysunęła prawicę z pod pierzyny, przeżęgnęła się po trzykroć i ledwie poruszając ustami zaczęła odmawiać Ojciec nasz. Zmówiła trzy razy, a potem cicho, aby nie zbudzić małżonka, wy dostała się z łóżka.

Staruszek niech sobie jeszcze poleży z godzinkę.

Wczorajsze ciepło wywiały wiatr z sypialni przez noc, ale pani Kondelikowa nie czuła chłodu listopadowego. Przeświadczenie o ważności dnia dzisiejszego sprawiało, że krew żywiej krążyła w żyłach. Na pamięć znała ubiór poranny, wsunęła nogi w ciepłe bambosze i cicho przekroczyła próg sąsiedniego pokoju, gdzie spała Pepcia. Poraz ostatni się tu dziś wyspała! Nigdy już nie będzie dzieliła wspólnego mieszkania z rodzicami!

Usta pani Kondelikowej zadrgały i pogodnie usposobienie, w jakim się przebudziła, zmieniło

się nagle w smutne wzruszenie, a oczy zaczęły ją palić...

Weszła tu, ażeby Pepcię obudzić, ale nie uczyni tego. Niech się wyśpi, robaczek, poraz ostatni, niech się wyśpi szczęśliwie, błogo, jak dziecko. Tu sypiała, jak pisklę pod skrzydłami matki, ale dziś się to skończy.

Na palcach, uważając, aby nie potraćić, szła matka do kąta, gdzie stało łóżko córki; chciała się jeszcze przyjrzeć śpiącemu dziewczęciu.

Podczas tych kilku kroków, dzielących ją od łóżka, przeleciał jej przez głowę cały dotychczasowy bieg życia Pepci, od owego dnia, gdy się poraz pierwszy ozwał jej płacz cichy. Jak błyskawica mignęły przed oczyma duszy pojedyncze stacye życia drogiego dziewczęcia, gdy dostała pierwsze ząbki, gdy chorowała na trzonowe, gdy poważnie zabawiła się pierwszą lalką. Widzi Pepcię, jak jej poraz pierwszy towarzyszyła do szkoły, a po latach kilku białą ubraną do pierwszej komunii, widzi ją w pierwszej długiej sukience, na lekcyi tańca. Nagle zjawia się obok niej Wejwara, a od tej chwili Pepcia staje się inną...

Posunęła się bliżej, wyteżając wzrok, ażeby przeniknąć ciemności, gdy ozwał się głos:

— Toś ty, mamusiu?

— Czy nie śpisz, dziecię?

— Od kiedy już nie śpię!—rzekła Pepcia, siedząca na łóżku pod pierzyną, z kolanami przyciągniętymi pod brodę.

— Czemu nie śpisz? Nie chciałam cię budzić.

chciałam cię tylko zobaczyć, córuniu. Dziś trzeba ci się było dobrze wyspać, wieczorem może się to odbić na tobie.

— Nie mogę, mamusiu. Przebudziłam się i miałam takie uczucie, jakby mnie kto trącił.

— Ja także, dziecię, ja także. Widzisz, takie jesteśmy, my kobiety, sen mamy zajęczy. Tatko chrapie sobie jeszcze, a z pewnością Wejwara również.

— O nie! — odpowiedziała Pepcia zęicha. — On już jest z pewnością na nogach — — i w kościele...

— Coby tam robił?—dziwiła się matka.

Pepcia zwierzyła się matce o wypadku Wejwary.

— Widzisz, widzisz, jaki to dobry człowiek. Wszystko powie o sobie. Niema w tem przewinienia żadnego, nieświadomość grzechu nie czyni.

— Ale nie mów o tem tatusiowi, mamusiu! — ostrzegła Pepcia.

— Broń Boże! To nie dla tatki! Czy naprawdę nie usniesz więcej?

Pepcia, zamiast odpowiedzi, zeskoczyła z łóżka, porwała matkę za szyję i szeptała:

— Jakżebym chciała, mamusiu, ażeby to było od dziś za tydzień!

— Upłynie, nie zauważysz nawet, dziecię, ale skoro już wstałaś, to chodź, przygotowujemy śniadanie...

Kasia paliła już w kuchni i za chwilę zgrzytał młynek.

Około godziny ósmej wygrzebał się z pierzyn i pan Kondelik.

Tak miał wytrawiony żołądek po dniu wczorajszym, że odrazu zasiadł do śniadania, bez ogolenia nawet, co u niego było czemś niezwykłym.

Dzień wyjaśniał się coraz więcej, pani Kondelikowa mówiła do małżonka:

— Widzisz, jak to dobrze urządzić wesele po południu, staruszk. Człowiek się wyśpi i odpowiednio przygotowuje.

— Dziwię się też zawsze, że się ludziom chce wstawać do ślubu o szóstej rano, jabym się chyba nigdy nie był ożenił.

— Ej, stary, byłbyś się ożenił. Ale tak jest lepiej. Proszę cię, powiedz, czyś wszystko w Besedzie na czas oznaczony kazał zrobić?

— Powiedziałem, że wesele o czwartej.

— To dobrze, o czwartej pojedziemy do kościoła, ale obiad powinien być na piątą.

— Wszak oni wiedzą, Betty, co potrzeba—rzekł mistrz trochę zły.

Za nic w świecie nie byłaby chciała pani Kondelikowa wywołać dziś sporu, odezwała się też zupełnie dobrodusznie:

— No tak, staruszk, ale jednak lepiej będzie, gdy tam jeszcze raz zajrzysz po ogoleniu i ubraniu. Niechaj nie przegotują i nie przepieką. Prędzej, niż o piątej, z pewnością się nie skończy, a zaraz po przyjeździe z kościoła rzucić się na jedzenie nie wypada.

Cheąc się przypodobać małżonkowi, dodała jeszcze:

— Dobrze zrobiłeś, proponując urządzenie przyjęcia gości po za domem. Za wiele miałabym kłopotów, od rana byłabym zaprzężniona, a teraz jestem wolna, jak ptak. Z początku mi się to nie podobało, teraz mnie cieszy.

— No widzisz — uchwycił się tych słów mistrz Kondelik, chociaż nie był ten projekt bynajmniej jego zasługą — Wy, kobiety, zawsze jesteście takie, my się także trochę rozumiemy na rzeczy. Naturalnie, że to najrozsądniej! Będzie cicho, porządek, a gdy powrócimy do domu, nie znajdziemy mieszkania przewróconego do góry nogami. I gdziebyśmy także znaleźli obsługę!

— Mój Boże! ten powrót do domu... — westchnęła pani Kondelikowa.

Przeczuwała tęsknotę, jaka ją ogarnie po odejściu Pepci.

.

Z Pepcią obchodzili się dziś wszyscy poważnie i z uszanowaniem. Jest oblubienicą! Pani Kondelikowa nie spuszczała z niej oczu, a gdy się córka gdzie zapatrzyła, już podchodziła ku niej:

— Czego szukasz, córuniu, czego sobie życzysz? Powiedz tylko, dziś ci matka poraz ostatni posłuży.

— No, no — wtrącił mistrz Kondelik wesóło — no, no! Może nie poraz ostatni! Wszak ona cię będzie jeszcze potrzebowała nieraz, matko.

Pepcia udawała, że nie słyszy, ale twarz jej gorzała i pani Kondelikowa spojrzała na męża z wyrzutem. Rada była, gdy się wybrał do Besedy.

— Jeśli nie przyjdiesz wcześniej, to w każdym razie bądź punkt o dwunastej w domu. Dziś zjemy obiad o dwunastej, ale lepiej wróć wcześniej; mogą być jakie wizyty.

— Nie zależy mi na nich—odparł.

I poszedł.

.

O godzinie dziesiątej przyszła ciotuchna Urbanowa.

— Nie chcę ci się narzucać, Betty, ale wiem, jak to przy takim dniu bywa w domu, dwoje oczu uważnych i dwoje rąk chętnych nie są zbyt liczne. Pepcia ma na głowie wesele, Kaśka jest gapa, Kondelik uciekł, więc przyszedłam.

Pani Kondelikowa rada była rzeczywiście.

Drzwi się dziś nie zamykały. Co chwila przychodził to listowy, to posłaniec z telegramem, panie znajome składały życzenia, chociaż większą tu rolę grała ciekawość, niż dobre serce, a służące i posłańcy przynosili podarki od gości, zaproszonych na wesele.

Ciocia Urbanowa wszystko starannie oglądała i oceniała.

— Patrz, Betty, to już trzeci futerał z pół tuzinem łyżeczek do kawy! Dlaczego się ci ludzie nie porozumieli z sobą, byłby ktoś przysłał tuzin tych malutkich, wiesz, do czarnej kawy, lub do lodów...

— Moja Kasiu, kiedyż to człowiek jada lody!

— Prawda, że się ich ciągle nie jada, ale co Pepcia włoży do serwantki, dla oka ludzkiego?

— Ależ, Kasiu, dla oka ludzkiego takie wydatki są zbyteczne... — uspakajała ją pani Kondelikowa.

— No dobrze, dobrze, nie mój interes, ale jednak dziwi mnie: same łyżeczki do kawy, a wazowej łyżki ani jednej!

— Przecież Pepcia już ma łyżkę — zawołała pani Kondelikowa—sama pamiętałam o tem.

.

Pan Kondelik powrócił już o jedenastej, po chwili przyszedł Wejwara, który wziął na *cały* dzień dzisiejszy urlop.

Na wstępie zawiadomił, że właśnie przyjechał ojciec z siostrą.

— Boże mój! — wołała uradowana pani Kondelikowa—ciesz się więc, Pepciu, będziesz miała drugą druchnę!

Do tej chwili bowiem wątpliwem było, czy znajdzie się „druga para.” *Jedna* druchna nie wystarcza, jeśli wesele ma być okazałe, do tej zaś chwili nie było pewności, czy przyjedzie siostra Wejwary. Gdyby nie przyjechała, to na skutek postanowienia pani Kondelikowej, w drugą parę poszłaby z panem Hupnerem jedna z kuzynek Wejwary z Małej Strony. Troskliwa matka dbała naprzód o wszystko i dlatego tak radośnie przyjęła wieść o przyjeździe z ust Wejwary.

— A gdzie są?—zapytała się Wejwary.

— Teraz zaprowadziłem ich do siebie — rzekł narzeczony — potrzebny im spoczynek po podróży.

a siostra musi się przygotować. Przeprowadzę ich po południu.

— Tak radabym ich już teraz przyjęła u siebie! — żaliła się pani Kondelikowa — zjedliby z nami łyżkę zupy. Dużo tego wprowadzie nie mamy...

— Przy takim dniu nawet się przez roztargnienie dużo nie je — pośpieszyła ciocia Urbanowa.

— Ależ, mamusiu — zawołał Wejwara — na obiad pójdziemy gdziekolwiek razem. Zresztą *moi* pozostaną tu do poniedziałku.

Pepcia pociągnęła już Wejwarę za rękaw i odprowadziła go na bok.

— Czy pan byłeś, panie Wejwaro?

— Byłem, duszyczko — odpowiedział. — Wszystko już załatwione.

Pepcia wdzięcznie uściśnęła jego dłoń.

— A tu, Franciszku — ciągnęła go do stolika obok okna — tu oto jest mała pamiątka odemnie.

Otworzyła wieko dużego, kwadratowego pudełka, w którym spoczywało album, oprawne w plusz wiśniowy, na którym wyszywane były kwiaty. Po środku znajdowała się mała tarcza srebrna z monogramem Wejwary i datą dzisiejszą. Wyszywanie owo było robotą Pepci.

— Dopiero dziś rano przysłał księgarz — tłomaczyła się Pepcia.

Wejwara z zachwytem patrzył na kwiaty, wyszywane ręką ukochanej Pepci, i z łagodnym wyrzutem mówił:

— Ależ, Pepciu, tyle pracy się pani podjęła.

Przybliżyła się pani Kondelikowa i spoglądając na Wejwarę przez ramię, objaśniała:

— To takie album rodzinne, Franciszku, Pepcia nie mogła nic innego wymyślić..

Wejwara otworzył album; na pierwszej karcie ujrzał dużą, „buduarową” fotografię Pepci.

— Pepciu, Pepciu!—wołał Wejwara, całując ją w rękę.

Teraz podszedł także i pan Kondelik i, spoglądając bokiem na album, wtrącił:

— Bardzo to piękna rzecz, takie *rodzinne* album, ale kiedy się ono zapełni, Wejwaro? Macie miejsce na dwieście sztuk.

— Tylko znów nie powiedz czegoś sprośnego—zakrywała mu pani usta.

— Tyle pracy pani miała, kochanie moje — powtórzył Wejwara.

— Mnieby tem nikt nie zachwyił — wtrącił znów Kondelik — pacholek do butów jest ładniejszą rzeczą, a praktyczniejszą zwłaszcza, gdy jest wysoki, i gdy można się na nim oprzeć. Może tu również być zastosowana ręczna robota. Radziłem kupić pacholek do butów, ale kobiety mnie przegłosowały, więc masz album.

— Pocoś wracał do domu? — sierdziła się pani Kondelikowa—zawsze każdemu zepsujesz uciechę!

— Przecież to Wejwarę cieszył! — śmiał się mistrz — a pacholek do butów może mu Pepcia dać na gwiazdkę. Od tego niech pan nie ustępuje, panie Wejwaro!

.

O trzeciej ukazał się znowu Wejwara: przyjechał z ojcem i siostrą.

Powitanie było pośpieszne i rodziną Wejwary zajął się głównie mistrz Kondelik. Pepcia przy pomocy matki i ciotki kończyła w tylnym pokoju swoją tualetę weselną. Przed chwilą odeszła pani Skrzywankowa, fryzjerka, która całą godzinę pracowała nad modną koafiurą narzeczonej.

Nareszcie ukazała się Pepcia. Cała w bieli, jak każda panna młoda, twarz miała bladą. Stary pan Wejwara znał ją już z fotografii, ale nie wyobrażał sobie tak ładną, jak znalazł w rzeczywistości, czuł się też ogromnie zakłopotany, gdy Pepcia, ująwszy go za rękę prawą, szczerze ją pocałowała. Narzeczonego tak to wzruszyło, że oczy mu zaszyły łzami. Gorąco pragnął, aby wybór jego zadowolił rodzinę, radośnie też spoglądał na ojca, z którego twarzy wyczytał zadowolenie.

— To moja siostra, Pepciu—przedstawił Wejwara.

Pepcia objęła Tonię Wejwarównę, już również zaręczoną, i pocałowała ją gorąco. Wejwarze serce rosnęło w piersiach.

— Teraz powinieneś już wdziać frak, staruszk—szepnęła małżonkowi pani Kondelikowa.

— No, no, wezmę, za chwilkę. Znasz mnie dobrze i wiesz, że nie lubię być opięty...

Mistrz miał na sobie jeszcze surdut codzienny. Powoli i nań padało brzemień uroczystości chwili, więc starał się, ażeby jaknajdłużej obronić się od tego ciężaru.

— Jakże tam fiakry, Franciszku? — zbliżyła się pani Kodelikowa do Wejwary — czy zamówione i czy wiedzą, kiedy zajechać?

— Owszem, mamusiu — przyświadczył Wejwara. — Po pana budowniczego Beczkę i po pana radcę Wonaska pojedą prosto, po Sławiczka także, a potem przywiezie Sławiczek druchnę i powóz pojedzie znów po pana Hupnera...

Pan Beczka miał być świadkiem narzeczonej, pan radca narzeczonego.

— A krewni z Małej Strony? — przypomniała pani Kondelikowa, mając na myśli stryja Wejwary, rzeźbiarza.

— Po nich również pojedzie powóz prosto z domu — odrzekł Wejwara i dodał — może nawet wszyscy nie przyjadą...

Prawie go trochę kłopotalo, że krewnych może być poniekąd za dużo.

— Dopierożby nas urządzili! — zawołała pani Kondelikowa, jakby odgadywała myśl Wejwary — szczerzebym się gniewała.

Nie było powodu do gniewu: krewni z Małej Strony przyjechali pierwsi i w komplecie, rodzice i córeczki. Nastąpiło powitanie, ściskanie się starych braci Wejwarów i pani bratowej, ceremonialne powitanie kuzynek, onieśmiałonych trochę z początku. Ale wkrótce zwyciężyła prawdziwa ich natura i za chwilę śmiały się dziewczęta gdzieś w kącie, jak dzwoneczki. Pani Wejwarowa gromiła je surowemi spojrzzeniami, które skutkowały tylko chwilowo.

O pół do czwartej, prawie jednocześnie, ukazali się panowie Beczka, Wonasek i Sławiczek.

Sławiczek przedstawił się zaledwie i już znowu leciał po schodach, ażeby przywieźć swoją druchnę.

— A kto przywiezie panią Myszkową?—spytała pani Kondelikowa. — Obie się nie zmieszczą do jednego powozu... Amalka pogniotłaby sobie suknię...

Musiał to uczynić Wejwara, więc za chwilę turkotał drugi powóz po matkę druchny.

Ciocia Urbanowa, widząc to zwożenie gości, żałowała, że po obiedzie pod jakimkolwiek pretekstem nie powróciła do domu. Byliby po nią także przyjechalil Wprawdzie odwiozą ją do domu, ale to będzie już w nocy i nikt nie zobaczy.

O trzy kwadranse na czwartą zgromadzili się wszyscy goście. Jedliczka, który był zaproszony jako reprezentant robotników mistrza Kondelika, przyszedł pieszo, nie dopuścił, ażeby po niego przyjechał powóz.

W mieszkaniu powstał rejwach. Jedni usuwali się drugim, a wszyscy przeszkadzali sobie nawzajem.

Teraz już mistrz Kondelik nie mógł dłużej zwlekać, pośpieszył więc, ażeby się rzucić we frak...

Za chwilę wyjadą do kościoła.

Bawił trochę dłużej w sypialni i naraz odezwał się jego głos:

— Betty!

Pani pośpieszyła za małżonkiem.

— Na Boga cię proszę, Betty, czyja to kapota? To nie mój frak...

— No, leżało to tu od czasu, gdy krawiec przyniósł, staruszkul! Wszak spodnie i kamizelkę masz na sobie.

— No! mam, ale frak! To nie jest mój, spojrzysz-no, jestem jak na torturze. To frak jakiegoś dwudziestoletniego młodzieńca.

— Mój Boże, Kondeliku, dlaczego przedtem tego nie spostrzegłeś? Od rana leży tutaj! Zrzuć go więc i weź sobie czarny surdut — jest jak nowy...

— Zrzuć! Przecież ja tego nie mogę zdjąć z ciała! Spojrzyj tylko, jestem jak w pancerzu.

— Zatrzymaj go więc, staruszkul, przynajmniej do kościoła, a potem zajedziesz sobie do domu i zmienisz ubiór...

— Coś ty mi zrobiła, Betty, coś zrobiła! — narzekał mistrz. — Wydaję jedyną córkę z domu i muszę iść na taki ważny akt w obcej kapocie. Chryste Panie, te kobiety...

— Kondeliku, to twoja wina! — oponowała pani — chodź i nie mów nic, za godzinę zdejmiesz z siebie.

— Żeby tylko do tej pory był jeszcze cały, ja w nim nie mogę nawet...

Z bolesnym wyrazem twarzy powrócił mistrz do pokoju. Na szczęście nie miał czasu myśleć o tem. Ciocia Urbanowa przygotowała już klęcznik dla narzeczonych, ażeby odebrali błogosławieństwo rodziców.

Pan Kondelik robił przytem minę tak poważną, jakgdyby był uniknął co najmniej śmierci.

Ogromnie spoważniał pan Wejwara, mąż, jako prowincjonalista, milczący, ale współczujący bardzo drugim i gdy chodziło o rodzinę, pełen dobrych chęci.

— Na Boga, papo, co się stało!?

— Nie uwierzyłybyś pan temu! — zawołał mistrz Kondelik.

I już chciał opowiadać, gdy spostrzegł na progu Ferdynanda i innego jeszcze kelnera, niosących po wazie zupy, jakby świętość jaką.

— Poczekajcie, ojcie — przerwał — wprzód się posilimy, wytrawiło mnie porządnie, a mogliby nam zjeść inni...

Ojciec Wejwara powrócił na swoje miejsce, a mistrz Kondelik wyglądał niecierpliwie, aż dojdzie zupa do niego; płynęła mu ślinka. Kelnerzy zaczęli wszakże od końca stołu. Nim dojdzie do niego, potrwa dobrą chwilę, siedział bowiem ze swoją małżonką pośrodku, na „honorowem” miejscu.

— Niech dyabli wezmą te środkowe miejsca — mruczał półgłosem. — Czekałem wieczność całą, a teraz mi jeszcze najlepsze kawałki pobiorą, trzeba było sięść na brzegu...

Pani Kondelikowa łokciem trąciła małżonka, by nie sarkał tak głośno. Obawiała się, aby w swojej gadatliwości nie palnął głupstwa. Ogromnie rada była, że w tej chwili zabrzmiał głos pana Beczki, który pochylał się przez stół do Kondelika:

— Chwała ci, mistrzu, znakomity „porządek dzienny.” Któż to wybierał?

Pan Kondelik wypiął dumnie pierś.

— Komponowaliśmy to też z karczmarzem przez całe trzy tygodnie, przepiłem przytem pięć malowanych pokoiów. Zupa „z ragù!” (*ragoût*). Podjecie sobie! Taką jedliśmy tu na bankiecie, od tego czasu mam ją w pamięci.

I zwracając się do małżonki, napominał ją:

— Uważaj, stara!

— Na co?—spytała szorstko.

— Uważaj tylko!—powtórzył.

Nie napróżno tykał ślinkę Kondelik. Po zupie przynieśli sandacza w wonnem, świeżem maśle (mistrz Kondelik zauważył, że jest to sandacz ze stawów trzebońskich, nie taki zachlapany ulicznik praski, wypłukany w perfumach Boticza i w sosie z kanałów), potem pieczeń sarnią, indyka, ogromną piramidę jakiegoś kompotu, bażanta, marmelady, później sery i nareszcie trzy półmiski lodów, w postaci lwa, amora z łukiem i dwojga serc, srebrną strzałą przebitych (był to oryginalny pomysł pana Wacka, łagodna aluzya do państwa młodych, skończony symbolizm).

Goście jedli poprostu z nabożeństwem, ale żaden z nich nie dorównał panu architektowi Beczce, który pod względem jedzenia był skończonym wirtuozem. Po każdym numerze spoglądał znacząco na mistrza Kondelika, a w spojrzeniu tem było uznanie, zgoda jego z wyborem całego programu stołowego. Pan Kondelik rozumiał, a gdyby nie był rozumiał, architekt ruchami dopełniał niemą mowę. Ile razy odłożył widelec, podnosił prawicę, przyciskał duży

palec do serdecznego, potrzepał niemi i mlaskał językiem.

Mistrz Kondelik rósł w dumę, wydawało mu się teraz, jakby to naprawdę jego była zasługa, jakby wszystko on gotował i piekł, a zwracając się do małżonki, spytał:

— Zapamiętałaś sobie wszystko? Uważałaś?

— Czego chcesz, Kondeliku?

— Widzisz, tak się powinno gotować! Teraz widziałas, jadłaś, więc pamiętaj, ażebym to miał każdej niedzieli—drażnił ją mistrz.

— Zrobię, zrobię ci, gdy mi na to co miesiąc pięćdziesiątkę dołożysz. Inaczej znowu będziesz jadł gęś z kapustą i najwyżej jakie kuropatwy, postrzelone w brzuch.

Z innemi uczuciami śledził numer po numerze uczył stary pan Wejwara. Był to mały kupiec prowincjonalny, w którego rodzinie, choć syto, ale jednak skromnie i prosto jadano. Dzisiejszy stół zrobił na nim wielkie wrażenie.

Ocenił w duchu, co to wszystko kosztuje, i po każdej potrawie rosło jego uszanowanie dla rodziny, do której dostał się syn przez ożenek. Mają widocznie na to, myślał sobie, są zamożni, i teraz dopiero zupełnie był przekonany, że syn jego zrobił „dobrą partyę.” Wstał, podszedł ku pani Kondelkowej, potrząsnął jej ręką i mówił z najwyższem uznaniem:

— Co prawda, to prawda, pani mateczko, co prawda, to prawda, było to znakomite! To będą małżonce opowiadał!

Słowa te spadały na panią Kondelikową, jak balsam. Zapominała powoli o niemiłej przygodzie z frakiem i już znowu znajdowała się w błogiem usposobieniu matki panny młodej, której wszystko idzie wybornie.

Podeszła także ciocia Urbanowa i szeptała pani Kondelikowej do ucha:

— Betty, *nobl, nobl!* Tak nie jadłam jeszcze— i trzeba przyznać, że za trzy reńskie, to nawet nie drogo. Czy dopłaca do tego coś od siebie Beseda?...

— Uchowaj Boże! — broniła się prędko pani Kondelikowa.—Co też ty sobie myślisz!

— Myślałam, że niby swoim członkom daje takie premium...

Po obiedzie damy chrupały jeszcze jakieś cukry, panowie wybierali migdały w skorupkach i gryzli je, nastąpiła chwila ciszy i trawienia.

Stary pan Wejwara podszedł do mistrza Kondelika:

— Papo, miałeś nam opowiedzieć, co cię spotkało...

Pan Kondelik przybrał wyraz twarzy poważny, przebiegł oczyma towarzystwo, czy też jeszcze kto oprócz Wejwary słucha, i zaczął:

— Nie życzyłbym nikomu, aby się znalazł w takim, jak ja, położeniu. Już po drodze z kościoła ścisnęło mnie coś okropnie, a gdy jechaliśmy do Besedy, pomyślałem sobie: zajrzyj do domu. Dowiecie się, po co. Jadę, jadę, coraz mi ciasniej. Schodzę z powozu, idę na górę, otwieram drzwi do kuchni,

i ciągle nie mogę pozbawić się tego ucisku. Wchodzę do pokoju, ale teraz pochwyciło mnie to i trzyma za ręce, za piersi, za szyję, nie mogłem nawet odechnąć...

— O, na Boga, i co dalej?—zawołał pan Wejwara.

Całe towarzystwo zwróciło uwagę, usłyszawszy wykrzyknik pana Wejwary i uważnie zaczęło słuchać...

— No, jednym słowem, trzymało mnie to i nie chciało puścić, nie i nie...

— Co to było, tatku?—odezwała się Pepcia.

— Było to całe czarne, miało ciało i dwie ręce, ale było bez nóg i bez głowy.

— To jakiś figiel—zauważył pan Beczka.

— Ładny mi figiel — mówił z powagą mistrz— nie życzyłbym tego panu! Ja się rzucam, szarpie na wszystkie strony, chcę się uwolnić, a przecież nie jestem słaby i odwagę też mam, jak wiecie, ale ani rusz, trzyma mnie, nie puszcza, nareszcie rzuciło mnie w fotel, oddech mi słabnie, już się z wami wszystkimi żegnam, myślę o żonie, o córce i Wejwarze, o dzieciach...

Pani Kondelikowa trąciła małżonka w bok.

— Nie trącaj, myślałem o nich, gdy nagle, chwiała Panu Bogu! otwierają się drzwi do kuchni, i na progu stoi oto Betty, moja żona, jak anioł opiekuńczy.

— Ach ty, stary gaduło!—dąsała się pani.

— Widzi, co mnie trzyma—ciągnął mistrz, gestykulując rękami—przyskakuje ku mnie, łapie to za

jedną rękę, urywa, to łapie za drugą. urywa, potem porwała ogromny nóż, który leżał na stole, wbiła go temu czarnemu potworowi w grzbiet, rżnęła w dół — i rozcięła go na poły. Byłem wyswobodzony!

— A cóż to było, Chryste Panie! — krzyknęła ciocia Urbanowa, która słuchała z zapartym oddechem i z otwartymi ustami.

Nim mistrz Kondelik zdążył odpowiedzieć, podszedł doń z przedpokoju kelner Ferdynand, zawiadamiając, że jest tu jakiś pan, który chciałby z panem Kondelikiem pomówić słów kilka.

— Czegoż chce? — zdziwił się mistrz — przecież jestem na weselu, nie może chyba żądać, ażebym mu teraz coś wymalował...

— Już namalowałeś dosyć, gaduło! — wtrąciła nadąsana małżonka.

Mistrz wyszedł i długo nie powracał. Pani Kondelikowa ciekawie spoglądała ku drzwiom, nareszcie zwróciła się do Wejwary:

— Proszę cię, Franciszku, zajrzyj tam, czego chcą od tatki?

Wejwara powrócił za minutę. Uśmiechał się nie wyraźnie i prosił teściową:

— Proszę mamusi, niech mamusia pozwoli — i jednocześnie spojrzeniem wywołał budowniczego Beczkę.

Zasłużony mistrz ceremonii zrozumiał, że obecność jego jest tam także potrzebna, wyszedł z całą powagą za Wejwarą.

W przedpokoju stał mały, drobny mężczyzna, zarumieniony z pośpiechu, przez lewą rękę miał

przerzucony frak. Pan Beczka przyszedł właśnie w chwili, gdy mistrz może już po raz piąty wołał:

— Wyście mi dogodzili, kolego, wyście mnie ładnie ubrali!... Teraz go sobie zostawcie, teraz już go nie potrzebuję, spojrzycie tylko na mnie!...

— No tak, proszę pana, ja wiem, ale pan inżynier Kaczaba potrzebuje swego. Na szczęście, spostrzegł się w porę. Wyjeżdża rano na prowincję, także na jakieś wesele, i musi mieć frak...

— Ależ ja go tu nie mam — rzekł mistrz — w domu wszystko zamknięte...

— Możeby szanowny pan mógł posłać kogo, bardzobym prosił...

— No, posłałbym, Kaniczko, posłałbym — mówił mistrz Kondelik — ale nie życz pan go sobie nawet oglądać. Jest w czterech kawałkach, „moja” oto porozdzierała go jak gęś, zdejmowała go ze mnie jak skórę z węgorza, bez mała nie powieźli mnie na stacyę Pogotowia ratunkowego.

Krawiec Kaniczka stał, nie pojmując nic, ale już pojmował pan Beczka.

— Pan Kaczaba, inżynier? Ależ to mój dobry znajomy, pożycz mu pan tymczasem fraka pana Kondelika, on go odda.

— Owszem, szanowny panie — mówił zakłopotany krawiec — ale pan inżynier ma o czterdzieści centymetrów w pasie mniej.

— A nie masz pan innego fraka na składzie?

— Zkądbym go wziął? Już późno, noc, nie

mogę iść nawet do żadnego kolegi, a o szóstej rano pan Kaczaba jedzie...

Pan Beczka śmiał się na całe gardło, mistrz Kondelik uśmiechał się także, pani szeptała, nie wiedząc co robić, Wejwara tarł sobie czoło, czyby nie mógł jakoś dopomódz, nareszcie rzekł:

— Jabym — mówił nieśmiało — pożyczył panu inżynierowi choćby tę swoją czamare, i wziąłbym sobie tymczasem frak...

Pani Kondelikowa spojrzała wdzięcznie na zięcia.

— Proszę pana — odpowiedział krawiec rozpaczliwie — nie można. Pan inżynier jedzie na wesele pewnego oficera, musi mieć frak.

— Naturalnie, że musi mieć frak — mówił Kondelik bardzo gorliwie. — Inaczejby oficer nie wygrał wojny.

Pan Beczka klasnął nagle w dłonie.

— Poczekajcie, znajdzie się rada!

Wszyscy czterej z krawcem Kaniczką powrócili do sali, gdzie już towarzystwo oczekiwało niecierpliwie ich powrotu.

Pan Beczka prowadził Kaniczkę prosto do Slawiczka.

— Wstań, młody człowiecze, możesz ocalić ojczyznę.

Slawiczek powstał chętnie.

— Jakże się panu wydaje? — spytał Beczka Kaniczkę, pociągając Slawiczka za kołnierz.

Mistrz Kaniczka przeglądał toaletę Slawiczka, obrócił młodzieńca jakby manekina, znów oglądał, wyjął z kieszeni metr kauczukowy, zmierzył rękawy,

tył, zmierzył frak w pasie i odetchnął z głębi piersi.
Tenby pasował! Prawie jedną miara.

— Przyjacielu Sławiczk, zdejm pan frak—roz-
kazał pan Beczka.

Jak automat zdjął Sławiczek frak i już go pan
Beczka ubierał we frak pana Kondelika.

— Wyborniel — wołał pan Beczka — teraz
wyglądasz pan dostojniej.

W sali zabrzmiał śmiech towarzystwa, śmiał się
sam Sławiczek, który we fraku Kondelika wyglądał,
jakby w nim tonął.

— No widzicie mistrzu — mówił pan Beczka —
w domu go pan wyprasujesz, pan inżynier Kaczaba
nie nie straci, a gdy pan zreparujesz tamten, będzie
wszystko w porządku.

Kaniczka chciał już odejść, ale pani Kondeli-
kowa, w szlachetnym porywie serca nie pozwoliła
na to. Jedzenia pozostało dosyć, mieli więc przez
całą godzinę nowego gościa.

Mistrz Kondelik nie potrzebował więcej mówić
o swej przygodzie, wystarczyły odwiedziny Kaniczki.
Stary pan Wejwara zauważył, że nic podobnego jesz-
cze nie widział.

— Mnie się to także już nigdy nie powtórzy.—
śmiał się mistrz Kondelik — teraz będę ostrożnym
ze wszystkimi frakami.

— Najlepsze z tego wszystkiego — zwierzał
się Sławiczek panu Beczce — że ten mój frak wła-
ściwie także nie jest moim. Pożyczyłem go sobie od
naszego koncepisty.

Pan Beczka tłumił dłonią śmiech.

— Z tegoby można wykroić całą komedię: „Wesele w obcych frakach” — zawołał wesoło.

Trwało dość długo, nim się uspokoiła wesołość, wywołana przygodą frakową, a pan Beczka nie padał już śmiechu, zbliżała się bowiem chwila poważna, na stole ukazało się wino i pan Beczka przygotowywał pierwszy toast na cześć nowożeńców. Niktby go nie poznał w tej chwili. Twarz jego spowadniała, głos drżał umiejętnie, kiedy zaczął mówić o starym przyjacielu, który niezmordowaną pracą stał się mistrzem w swoim fachu (mistrz Kondelik w zakłopotaniu głaskał dłonią kamizelkę i kręcił wąsy), o statecznej jego małżonce (pani Kondelikowa patrzyła uparcie przed siebie, ale nie widziała nic). Oceniał wzorowe wychowanie, jakie otrzymała córka obojga (oczy pani Kondelikowej utonęły we łzach, Pepci spoczęły aż na podłodze). Pochylił się do Wejwary, który doskonale przygotowany w domu rodzicielskim, doprowadził do tego, że go królewskie miasto Praga uznało godnym podjęcia pracy dla kraju (ojcowskie serce starego pana Wejwary ulżyło sobie mocnem pociąganiem powietrza przez nos) i wezwał wszystkich do powstania z miejsc i życzenia nowożeńcom jak najserdeczniej wiecznego szczęścia, *na zdar!*

Goście wstali, garnęli się do nowożeńców, podobnych teraz do piwonii, tręcali się szklaneczkami i powtarzali za panem Beczką *na zdar!* szczęścia!

Ciocia Urbanowa pocałowała przy tem pannę młodą i powróciła do budowniczego.

— Panie Beczko — rzekła, biorąc go za rękę—

wybornie słyszałam kiedyś mowę doktora Riegera, gdy odsłaniali pomnik Jungmanna na placu Franciszkańskim, ale wtedy mi się tak nie podobało, byłoby mnie tam zagnietli. Wybornie, wybornie. Boże, jak ja lubię słuchać prawdziwych mówców! Dopiero wtedy człowiek poznaje, co to jest oświata, inteligencya.

Gdy umilkł trochę szum, wywołany pierwszym toastem, wstał nieśmiało zarządzający Jedliczka. Czuł, że nadeszła dla niego chwila stosowna.

„W imieniu pracujących” — jak mówił — uważa za obowiązek wznieść toast za zdrowie pana Kondelika i małżonki, z których pożycia czerpali zawsze wzór doskonałego połączenia sztuki malarskiej z cnotami rodzinnymi. Z tego połączenia wykwitnął najpiękniejszy deseń szablonu, jakim się kiedykolwiek pysznił pan Kondelik w swojej specjalności, panna Pepcia, która będzie ozdobą ścian nowego domostwa, założonego przez pana Wejwarę. Wznosi puchar za zdrowie panny młodej, jej rodziców i pana młodego.

Nowe trącania, wołania, deflada przed nowożeńcami i rodzicami panny młodej. Pan Beczka jakby był egzaminatorem, poklepał Jedliczkę poufale po ramieniu i rzekł:

— Dobrześ pan to powiedział, przyjacielu, bardzo dobrze.

Jedliczka uśmiechał się skromnie, było mu gorąco z radości, że już odbył pańszczyznę.

Znów powstał pan Beczka i pił za zdrowie rodziców Wejwary i całej rodziny, potem zdecydował

się stary pan Wejwara, by powiedzieć kilka słów, „na dobrą, nową przyjaźń”, potem pan radca pił „za szczęście całego towarzystwa, by się znów w takiej harmonii zeszło niezadługo”, potem odpowiedział pan Kondelik trochę niewyraźnie na toast Beczki i Jedliczki.

Przez cały ten czas kręcił się Slawiczek na krześle i bez ruchu, ściskając dłońmi głowę. Laury oratorskie innych nie dały mu spokoju, musiał także coś przemówić. Przeszkadzał mu trochę „cielisty” frak pana Kondelika, w którym nikał na poły, ale poprzednie toasty dodawały mu odwagi.

Zaczął półgłosem, duszony olbrzymią tremą, ale szczęśliwie zwyciężył początki zeglugi i mówił, szastając pauzami i dłuższymi przestankami. Zwiątał słowa swoje jak bukiet, lub lepiej jak duży wieniec, aż się chwilami znajdował w niebezpieczeństwie, że swoją nić czerwoną zgubi zupełnie. Wielbił piękną pannę młodą i wyrażał żal, że na potężnym tym pniu (panie Kondeliku!) łączącym się z świeżym bluszczem (panią Kondelikową!) wyrosła jedyna tylko róża, panna Józefina. Jakże byłby szczęśliwy, gdyby obok niej rumieniło się jeszcze jedno dziecię, po które mógłby sięgnąć on, nie się nie obawiając cierni.

— No, dyabli wiedzą, co Pan Bóg da — wtrącił pan Kondelik po cichu za co droga połowica dokładnie udepnęła go w nogę.

— Slawiczku, Slawiczku! — trącił mównicę budowniczy Beczka, któremu się te ciernie wydały nie-

bezpiecznemi, zauważył bowiem, że się pani Kondelikowa zarumieniła.

Ale stryj Wejwara, rzeźbiarz, któremu się porównanie niezmiernie podobało, uważał interwencyę pana Beczki za jakieś nieporozumienie i wołał:

— Wybornie, wybornie!

— ...A zatem — kończył Slawiczek — nie mając szczęścia, bym pił za zdrowie siostry panny młodej, czynię to za powodzenie szanownej i miłej druchny, panny Amalii Myszkówny.

Towarzystwo licznemi toastami już tak było oszołomione, że może nikt nie zrozumiał znaczenia słów Slawiczka, który cheiał tylko wybrnąć z kłopotów. Nie wiedział, nieborak, jakby się dostać narzeczcie do swojej druchny. Na jego szczęście, nie było czasu na rozbiór treści. Już brzęczało szkło, a pani Myszkowa uśmiechała się wdzięcznie. Ciocia Wejwarowa piła także, ale w tej chwili przebiegła jej przez głowę myśl, dlaczego właściwie jedna z jej córek nie jest druchną?

Pan Beczka zaproponował później zagadki, przypomniał sobie jakieś deklamacye, a gdy się i to wyczerpało, zasiadł do pianina w kącie i grał. Był wprawdzie lepszym budowniczym niż pianistą, ale goście wytańczyli się doskonale.

Było już po pierwszej po północy i jeszcze się nikomu nie śniło, aby myśleć o domu. Tylko Wejwara i Pepcia już dawno byli widocznie znudzeni i Wejwara co chwila pochylał się ku pannie młodej, szepcząc jej jakieś słówka do ucha, Pepcia nie odpowia-

dała, kiwała tylko główką, lub jakby zakłopotana, rozglądała się po sali.

Wejwara dobrze pamiętał, co mu rzekła matka Kondelikowa o północy.

— Franciszku — mówiła — ty i Pepcia, nie powinniście pozostać z nami do końca. Gdy będziecie zmęczeni, jedźcie do domu, ale ukradkiem, by tego nikt nie zauważył, rozpędzilibyście całe towarzystwo. Najlepiej wam będzie, gdy zostaniecie sami...

I ścisnęła mu dłoń, bardzo uprzejmie ją ścisnęła, a na Pepcię spojrzała wzrokiem pełnym współczucia.

Od tej chwili nie myślał Wejwara o niczem innym, jak o ucieczce. Sposobność wydarzyła się nareszcie. Pan Beczka wykonywał właśnie jakąś sztukę magiczną i całe towarzystwo skupiło się około niego. Teraz zatem...

Wejwara trącił Pepcię, zdawało się jednak, że tego Pepcia nie zauważyła, pociągnął więc ją za rękaw i szepnął: „Pepciu—Pepciu—chodźmy!...”

Pepcia patrzyła przed siebie, jak we śnie. Wyszli tylnymi drzwiami, a chód Pepci zdradzał jakby lekki opór.

W przedsionku, Wejwara pośpiesznie ubrał pannę młodą, by ich nikt nie spostrzegł i nie zatrzymywał, uniósł jej tren, otworzył drzwi i poprowadził ją ze schodów. Za minutkę siedzieli w powozie i już jechali obok jatek, koło wieży, ulicą Żytnią ku Winohradom.

Pepcia siedziała w kącie bez ruchu, jak posąg.

Wejwara zaraz na początku jazdy pochwycił ją za rękę, ścisnął dłoń i w krótkich przestankach pochylał się ku niej i pokrywał całusami. Z gardła wymykały się tylko pojedyncze słowa, bez związku; Pepcia nie odpowiadała, drżała lekko i chwilami zdawało się jakby chciała uwolnić dłoń z rąk Wejwary.

Powóz stanął w ulicy Czelakowskiego. Wejwara pomógł Pepci zejść, otworzył po cichutku bramę, i delikatnie, ostrożnie prowadził Pepcię, ażeby się nie potknęła.

Weszli na górę. Wejwara wyjął klucz z kieszeni i starał się otworzyć. Ale klucz nie chciał wejść w zamek. Wejwara powtórzył próbę, nareszcie zapalił zapałkę i świecił sobie, ażeby zobaczyć co przeszkadza i zobaczył rzecz dziwną. W zamku tkwił klucz, wewnątrz z przedpokojul

— Pepciu! — szepnął zmieszany Wejwara — we drzwiach jest klucz! Ktoś tam jest!

I w tej chwili skrzypnęły wewnątrz któreś drzwi.

XXXI.

Pod własnym dachem.

Przerażona Pepcia patrzyła na drzwi, a gdy się za nimi dał słyszeć szelest, opanował ją nagły strach. Pochwyciła Wejwarę za ramię i ciągnąc go od drzwi ku schodom, szeptała śpiesznie:

— Chodź pan prędko, proszę pana, weszliśmy do obcego domu!

W tej chwili zapomniła znowu, że od powrotu z kościoła mówią sobie „ty”.

— Nie weszliśmy, Pepciu, przecież innej bramy nie byłbym otworzył swoim kluczem — odpowiedział szeptem Wejwara!

— Jesteśmy zatem na innym piętrze — ciągnęła uparcie Pepcia, zmuszając ciągle Wejwarę do powrotu, nim się drzwi otworzą.

— Nie jesteście Pepciu — stłumionym głosem, ale dobitnie odparł Wejwara — jesteśmy na drugim, liczyłem schody...

— Omyliliśmy się co do drzwi w takim razie...

Wejwara podniósł rękę z zapalką. Dopalała się wprawdzie, ale wystarczyła jeszcze, by oświetlić białą, emaliowaną tabliczkę na drzwiach, na której ozdobnym pismem błyszczało: *Franciszek Wejwara*. Była to jedna z drobnych niespodzianek pana Kondelika, który tabliczkę sam obstałował i na drzwiach mieszkania przyszłego zięcia wczoraj, czy onegdaj przybił.

Wtem zapalka Wejwary dopalała się aż do końca palców. Rzucił resztę na ziemię, ogarnęły ich ciemności, ale równocześnie także zachrząścił klucz w zamku, drzwi się otwarły i do sieni wpadło z przedpokoju światło płomienia gazowego, który jasno oświetlał postać... pani Kondelikowej.

— Już jesteście, dzieci? — witała ich uprzejmie cofając się. — No to chodźcie, chodźcie...

— Mamusia! — zawołał Pepcia.

— To dopiero musicie się dziwić! — uśmiechnęła się pani Kondelikowa. Ale nagle rzekła z gniewem:— Głupia dziewczucha, ta Kaśka. Nakazałam jej, by poszła z wieczora i napaliła wam w pokojach. Kiedym sobie o tem o północy przypomniała i zapytałam ją, siedziała od piątej w kuchni Besedy i ciągle jadła, popatrzyła na mnie jak wyptosz. Jezus Marya, proszę pani, zapomniałam na śmierć! Wierzę. Koło niej biegali ciągle kelnerzy, bawiła się z nimi, ciągle hihhi, hahaha—a wy byście tu pomarzli! Jeszcze dobrze, że miała drugi klucz przy sobie! Wzięłam go, wykradłam się, siadłam do powozu—i teraz palę wam tu wszędzie. Będziecie mieli jak w łaźni. O tej porze jest w nieopalanym pokoju gorzej, niż na ulfcy, ściany całe zimne...

— Mój Boże! — rzekł Wejwara — a jam nawet nie nie zauważył...

— Że między wami nie siedzę, co? — śmiała się pani Kondelikowa — dobrze, że tego nikt nie zauważył.

— A mnie było tak żal, żem się z mamusią nawet nie pożegnała — mówiła Pepcia takim tonem, jakby się to nawet teraz niedało powetować.

— No widzisz, dziecko, pożegnasz się teraz. No, chodźcie chodźcie, i zrzucicie z siebie wierzchnie ubranie, odpocznijcie sobie...

Pani Kondelikowa otworzyła przed nowożeńcami drzwi do pokoju i przycisnęła się ku ścianie, pozostawiając im wolne wejście, jakby byli państwem, a ona odzwierną.

Weszli do jadalni i rozejrzeli się wokoło. Drzwi do salonu na lewo i do sypialni na prawo były po-
 otwierane naościę, we wszystkich pokojach palił się
 gaz. W salonie i w jadalni jasnym, białym płomie-
 niem, a w sypialni tłumiał światło barwny klosz. Było
 tam tak różowo, niebieskawo, zielonawo, tajemniczo,
 jak w bajce, jakby tęczowe oświetlenie, w którym się
 przedmioty niejasno odbijały, jakby były pociągnięte
 cieniutkiemi, z mgły tkanemi zawojami. Gdy tam
 Pepcia spojrziała, przebiegł po jej ciele chłód. Ale
 wnet potem zrobiło jej się gorąco.

— Za bardzo tu napaliłaś, mamusiu — mówiła
 roztargniona — tak gorąco!

— Więc rozbierz się, dziecię — mówiła matka
 dobrodusznie i już ściągała płaszcz z córki. — Ale go-
 rąco tu nie jest, Pepciu, to ci się zdaje, boś się
 zmęczyła po schodach, siedemnaście stopni, nie wię-
 cej córuniu.

— POCO wszystkie te drzwi pootwierane, i poco
 obie połowy? — pytała Pepcia.

— Właśnie dlatego, by wszędzie było jednakowe
 powietrze, córko moja. Wiesz, w ten sposób się najlepiej
 rozgrzewa mieszkanie. Potem sobie róbcie, jak chcecie.
 Od tej chwili, ty tu jesteś panią.

Z temi słowy brała pani Kondelikowa welon
 panny młodej i odpinała go. Prawie nieznacznie po-
 całowała ją i szepnęła na ucho:

— Wianuszek zostawię ci we włosach, zdejmie
 go Wejwara...

Pepcia patrzyła w tej chwili gdzieś — gdzieś da-
 leko, po przez te ściany. Może sama nie wiedziała

w tej chwili, że tak zupełnie bezwiednie rozpina się i zdejmuje bransolety.

Pani Kondelikowa położyła płaszcz Pepci na kanapę, starannie składała welon, by go położyć na wierzchu. Naraz zawołała:

— Patrz, Pepciu, ktoś ci welon naderwał, brak końca.

Rzeczywiście brakowało kawałka, pewno uczyniła to druchna, Amalka Myszkówna. Jeśli się druchnie powiedzie urwać kawał welonu panny młodej, by tego ta ostatnia nie zauważyła, wyjdzie także niedługo za mąż. Amalka widocznie pragnęła czepeczka.

Wejwara zrzucił palto i powiesił je na wieszaku w przedpokoju; był roztargniony. Od chwili, gdy im pani Kondelikowa otworzyła drzwi, zajmowała go tylko jedyna myśl. Nie przypuszczał, że ją tu zastanie, więc teraz rozstrzygał w duchu poważną kwestyę: czy pozostanie u nich pani teściowa, a w takim razie, gdzie będzie spała? Inaczej to sobie wyobrażał...

Pani Kondelikowa odstąpiwszy od Pepci, wzięła ozdobny haczyk stojący obok pieca, pogrzebała w piecu, przyłożyła łopatkę węgla, poszła to samo wykonać do saloniku i nareszcie do sypialni. Potem, rozglądając się po całym mieszkaniu, mówiła na pół do siebie, na pół do nowożeńców.

— Moje dzieci, macie wszystko w porządku. Rolety są spuszczone, woda do mycia w konewkach, do rana się dobrze w pokojach ociepli. Wodę do picia macie w kuchni na oknie, postawiła ją stróżka przed drzwiami, nim zamknęła bramy domu. Do śniadania masz wszystko przygotowane, Pepciu, młynek,

kawę w tej puszcze i ciasto także. Tak, dzieci, tak. Jeśli chcesz, Pepciu, przyłóż potem jeszcze, lub przyłóży Wejwara. Ale tu jest ciepłutko. No, a com jeszcze chciała. Jutro przyjdźcie do nas na obiad, nie zapomnijcie o tem. Do południa wystarczy wam czasu do rozgospodarowania się w domu. Ojciec Wejwara i Tonia przyjdą także. Nie zapomnijcie zakręcić gaz, dzieci, by się nie stało nieszczęście. Nakłopotalam się z tem, nim to wszystko pozapalałam! Hukało to jak z armat, ładne, ale nie chciałabym mieć w mieszkaniu. Zamknijcie lufcik w kuchni, by go czasem wiatr nie wyrwał. A przedpokój dobrze na klucz. Tak—a teraz mogę już iść...

— Dokąd pójdziesz, mamusiu?—zawoła wylęka Pepcia, wyrwana temi słowy z zadumy.

— No, dokąd, dziecko? Do Besedy! Gdziebym poszła? A potem z tatkiem do domu.

— Nie! — chwytła Pepcia matkę za rękę—nie chodź mamusiu. Pozostań z nami!

— Ależ dziecię, dziecię, coby tu robiła?—odpowiedziała matka.

— Ja się tu sama boję mamusiu! — wymówiła jednym tchem Pepcia.

— Czyż jesteś sama? Masz tu męża!—mówiła z powagą matka.

Pepcia zamilkła. Krwawy rumieniec oblał jej twarz.

— Kiedy to pierwszy raz...

— No, niby tak — odpowiedziała pani Kondelikowa, której się zaczął udzielać lęk córki—ale raz musi to być „po raz pierwszy”, to trudno moje dziecię...

— Mamusiul! — załkała Pepcia i położyła głowę na piersi matki.

Wejwara był w tej chwili w przyległym saloniku.

Pani Kondelikowa pochwyciła córkę obiema rękami za głowę i wycisnąwszy na jej czole gorący pocałunek, szeptała, opanowując własne wzruszenie:

— Pepciu, Pepciu, miej rozum! Przecież nie jesteś dzieckiem! Pamiętaj o wszystkim, com ci powiedziała...

— Mnie jest tak smutno, że mnie wszyscy opuszczacie... — mówiła Pepcia, łkając.

Pani Kondelikowa widziała, że teraz nadeszła ostateczna pora do odejścia. Współczuła z córką. Pocałowała ją raz jeszcze, wyrwała jej się z objęć i śpieszyła do przedpokoju po płaszcz. Ubrała się z pośpiechem, zawiązała sobie kapelusz, wzięła rękawiczki i zawołała:

— Franciszku, chodź mi poświecić ze schodów! Świeca jest w kuchni na stole, proszę cię!

Wejwara z radością śpieszył do kuchni.

Gdy wyszedł, pocałowała pani Kondelikowa po raz ostatni i prawie namiętnie córkę, przeżegnała ją po trzykroć, jeszcze raz ją pocałowała i rzekła szeptem:

— Już ani mrumru, Pepciu! Miej rozum!

I wyszła z pośpiechem do sieni.

— Masz klucz od domu? — pytała Wejwary.

— Mam, mamuniu.

— Więc chodź, bo jeszcze powóz odjedzie, już i tak klnie chyba, że długo siedzę.

Teraz przypomniał sobie Wejwara, że gdy wychodzili z powozu, jakaś inna dorożka przejeżdżała zwolna ulicą. Zapewne konie nie chciały ustać na miejscu.

Świeca płonęła jasno w dłoni Wejwary, gdy schodził przed panią teściową ze schodów, cienie obu postaci tańczyły po murze, cień baryery wyskakiwał i znowu opadał.

Cicho, cichutko otwierał Wejwara bramę i pochylał się, aby pocałować matkę w rękę. Czuł, że ta ręka drży.

Pani Kondelikowa ścisnęła mu prawicę, puściła ją, pogłaskała Wejwarę po twarzy i miała tylko tyle siły, by mu szeptem rzekła:

— Franciszku, bądź dla niej dobrym, miej cierpliwość... A nie zapomnijcie, że macie do nas przyjść jutro na obiad.

Wejwara nie mógł wydobyć głosu, łykał tylko ślinę i kiwał głową potakująco. Postawił świecę w kącie, otworzył bramę, wyszedł, rozejrzał się po ulicy. Powóz podjeżdżał właśnie pod dom, więc Wejwara otworzył drzwiczki, poczekał, aż teściowa wsiądzie, zamknął za nią, jeszcze się ukłonił i w trzech susach znowu był w domu.

Stangret trzasnął biczem, powóz turkotał ku Pradze. Pani Kondelikowej było niezmiernie smutno. Na zawsze, na zawsze wydała córkę swoją z domu. Prąd też wyskoczył jej z oczu, a wargi bez słowa poruszały się w modlitwie:

— Panie Boże, chroń ją!

Brama domu zaskrzypiała, Wejwara ostrożnie

kręcił kluczem, aby nikogo w domu nie przebudzić, potem pochwycił świecę i śpiesznie biegł na górę. Nareszcie, nareszcie będzie z Pepcią sam...

Wsunął się do przedpokoju, przycisnął drzwi, klucz w zamku obrócił dwa razy, ale on jeszcze ścisnął klucz, jakby chciał zamknąć na dziesięć spustów.

Postał chwilę, serce bowiem biło mu głośno w piersi, a następnie wolnym krokiem, jakby w ten sposób chciał się uspokoić, podchodził do pokoju.

Pepcia przyniosła sobie tymczasem z sypialni inkrustowane pudełko z malutkim kluczykiem, postawiła je na stoliku przy oknie i wkładała do niego biżuterię: bransolety, broszki, koleczyki, układając może po raz dziesiąty. Oby tego do rana nie skończyła!

Wejwara postawił świecę na stole i postął chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć.

Pepcia musiała przecież słyszeć, że powrócił, że wszedł, ale nie podniosła głowy od pudełka.

Wejwara nie wiedział, w jakim usposobieniu znajduje się Pepcia, zdawało mu się jednak, że atmosfera między nim a nią przepełniona jest elektrycznością.

Nareszcie odzyskał rezon.

— Mamusia jedzie teraz szczęśliwie do Bese-
dy — rzekł, a chociaż chciał powiedzieć głośno, czuł, że głos go zawiódł w tej chwili.

Pepcia nie odpowiedziała. Wejwara poczekał jeszcze chwilę i rzekł znowu:

— A teraz jesteśmy sami serduszko moje!

Pepcia i teraz zachowała milczenie, podszedł przeto ku niej, objął ją lekko w pasie i starając się oderwać ją od pudełka, mówił z prośbą w głosie:

— Czemu nic nie mówisz, serduszek moje?

Chętnie byłaby się oparła, ale nie mogła i szła obok Wejwary kilka kroków. Ale tu nagle, rozejrzawszy się po saloniku, rzekła:

— Trzeba to zagasić, panie Wejwaro!

— Owszem, zagaszę, dziecko, zagaszę! — i pobiegł do saloniku, zakręcił płomień, powrócił szybko i wyciągnął rękę ku kranikowi w jadalni.

— Nie, tu niech się jeszcze pali — zawołała Pepcia, przelękniona ciemnością w saloniku.

— Już mi znowu mówisz panie, Pepciu—z wyrzutem rzekł Wejwara.

— Przebacz!—mówiła Pepcia szeptem—nie mogę przywyknąć odrazu.

Wejwara objął Pepcię obiema rękami i gorąco ją pocałował.

— No, no, dziecko, musisz przywyknąć. Teraz mi się to „panie” wydaje takie chłodne. A nie rozbierzesz się, kochanie? Nie ciasno ci w tem? Taka jesteś opięta...

— Tak, Wejwaro, owszem...

Pepcia wywinęła się z objęć małżonka i szła do sypialni. Tymczasem Wejwara zapalał jedną z dużych lamp.

Słyszając brzęk szkła, spytała Pepcia z sypialni:

— Czemu zapalasz, Wejwaro?

— Abym mógł wszędzie pogasić, kochanie...

— Nie, nie, Wejwaro, niech się pali...

Nim jednak dopowiedziała, już zakręcił Wejwara gaz w jadalni.

— Ale na co, kochanie, na coby się tu paliło?...

— Chcę mieć widno, Wejwaro!—wołała Pepcia, ukazawszy się znowu na progu sypialni — chcę dużo światła!

Wejwara patrzył na nią zdziwiony.

— Światła? Przecież nie może się palić do rana kochanie. Wszak pójdziemy spać.

— Nie, Wejwaro — mówiła Pepcia, jakby się broniła—mnie się jeszcze nie chce spać, ja nie będę spała wcale, proszę cię, zapal znowu.

Ach, te elektryczne chmury, wzbierające między nimi! Wejwara czuł, że przy pierwszym spotkaniu prądów mogłoby dojść do wybuchu i jakkolwiek opierał się temu w duchu, jakkolwiek żądanie Pepci wydało mu się niedorzecznem, posłuchał i znowu zapalił gaz.

Stał teraz niezdecydowany pod lampą, patrząc na sypialnię i nic nie widząc.

Pepcia stała w kącie przy oknie, przed lustrem, a wchodząc, przymknęła za sobą lewą połowę drzwi.

Wejwara na palcach wyszedł do przedpokoju, zdjął czamareę, powiesił ją, poszedł do kuchni, zamknął lufcik, wziął butelkę z wodą i powrócił do jadalni.

Już go paliły stopy w nowych, ciasnych lakierkach. Radby je był zamienił na pantofle, ale pan-

tofie... były w sypialni, a tam się Wejwara wejść nie odważył.

Pepcia nie powracała. Chwilę jeszcze szeleściła atlasowa suknia, potem ucichło wszystko.

Wejwara czekał ciągle.

Nareszcie odważył się i wszedł do sypialni. Czuł, że od niego zależy przełamanie lodów nieśmiałości, przecież jest mężem!

Pepcia siedziała na krześle w całym ubiorze weselnym, przed lustrem, oddychając głęboko, jakby zmęczona.

— Pepciu!—zawołał Wejwara.—Co robisz? Czas uchodzi.

Jakby go prosiła o przebaczenie, rzekła Pepcia cicho:

— Zrobił mi się węzeł na tasiemce i nie mogę gorsetu rozsznurować... Gdyby tu była pozostała mamusia!—dodała z żalem.

— A czyż mnie tu niema, kochanie? Pomogę ci we wszystkim, jestem twoim mężem.

— Nie, nie, Wejwaro, zrobię to sama, gdy odpocznę—broniła się Pepcia, ale widząc, że się Wejwara jednak zbliża, powstała szybko i pobiegła do jadalni.

— Pepciu!—wołał Wejwara.

— Nie, Wejwaro, nie! Poczekaj, przecież mi się nie chce spać!

W jadalni usiadła na kanapie, wcisnęła się w kącik i pochwyciwszy obiema dłońmi róg stołu, który stał przed kanapą, starała go się przyciągnąć ku sobie, jakby się nim chciała zabarykadować. Nie

powiódł się ten zamiar, stół był ciężki, rozkładany.

Wejwara stanął na progu i widząc usiłowanie Pepci zabarykadowania się, zacisnął usta i na czole ukazała mu się nieznaczna zmarszczka.

W tej chwili przypomniał sobie towarzystwo weselne, z którego tak chętnie uciekał i nagle było mu tak, jakby na niego ze wszystkich kątów spoglądały znajome postacie z uśmiechem na obliczach.

Pepcia ucieka przed nim — Wejwara zawstydzil się samego siebie.

Teraz Pepcia spojrziała na Wejwarę i nie uszedł jej zmieniony wyraz jego twarzy.

— Pepciu — przemówił Wejwara, opanowując się całą siłą — czy pani sobie życzy, abym powrócił do Besedy?...

Takiego obrotu nie oczekiwała Pepcia, więc nie mogąc znaleźć prostej odpowiedzi, rzekła z łagodnym wyrzutem:

— Teraz znowu pan mnie nazywa panią, Wejwaro! — i dodała cicho: — Chodź, usiądź przy mnie, będziemy sobie opowiadali...

Wejwarze wrzała krew we wszystkich żyłach. Pośpieszył do żony, usiadł obok niej i wziął ją za rękę.

— O czem pragniesz pomówić, żonko złota! — mówił, a głos jego drżał od wzruszenia. — O czembyśmy mówili? Nie mamy o czem! O tobie? Mój Boże, wiesz, że jesteś moją myślą jedyłą, czy ohcesz, abym ci powtarzał, jak cię kocham? Pepciu, żono

złota, więcej cię kocham, niż życie swoje, ale to wszystko powiedziałem ci już po tysiąc razy. Dziś mówić nie umiem o niczem, Pepciu, dziś wszystkie słowa wydają mi się takie puste, takie jałowe. Całowałbym cię tylko, ale taka jesteś dziwna. Nie, Pepciu, nie tak sobie wyobrażałem nasz pierwszy wieczór. Nie, zupełnie inaczej. Myślałem, że z ufnością położysz główkę na mojem ramieniu, rada, iż jesteśmy nareszcie sami, bez tego wiecznego dozoru rodziców, zdala od całego świata, że znajdujemy się po raz pierwszy we własnym domu, słyszysz, Pepciu, po raz pierwszy. Chwila taka nie powróci już nigdy, nigdy w życiu, i choćbyśmy żyli jaknajdłużej, jaknajszczęśliwiej — ten wieczór przeżyjemy raz tylko, żonko złota. A ty masz oczy jakby szklane, nie patrzysz na mnie, wymykasz mi się z rąk. Czuję, dobrze czuję, że nóżki twe znoszą tortury w nowych trzewiczkach, cały dzień w nich chodziłaś aż do nocy. Godziny uchodzą, a ty nie powiesz: Wejwaro, Franciszku, zdejm mi je. Mój Boże, tak się cieszyłem, że ci je zdejmę!

To mówiąc, Wejwara puścił dłonie Pepci, osunął się z kanapy na podłogę, na kolana, i pochylając się do nóżek Pepci, otworzył klamry i delikatnie zdjął jej trzewiczki. Ręce drżały mu od wzruszenia, ale jeszcze więcej z radości, że się Pepcia nie broni.

— Widzisz, serduszko moje, bolało cię? a ja sądziłem, że powiesz szczerze: mężu, pomóż mi zdjąć stanik! Siedzisz, jak Copelia w balecie i martwisz mnie i opierasz się ciągle, a to przecież mój obowiązek.

Teraz Wejwara odsunął Pepcię delikatnie od kanapy i ręce jego nerwowo szukały pętelki, starając się ją rozwiązać. Lecz pętelka była zupełnie zaciągnięta na supeł.

— Widzisz, złotko moje, trzeba mnie było od razu zawołać, zaplątałaś tak, że z tem nie można...

Wejwara umilkł, nie wiedział bowiem na prawdę, co począć z tym przeklętym węzełkiem.

Usta pepci poruszyły się:

Wejwara pobiegł do stolika, pochwycił nożyczki i przeciął fatalną tasiemkę. Jego prawica wyciągała teraz tasiemkę i wreszcie uwolniła stanik.

— Pod szyją jest haftka—szepnęła Pepcia jeszcze ciszej.

Prawda, była tam haftka, ale już ją Wejwara rozpiął i biała szyja ukazała się jego oczom. Nie mógł się pohamować i pokrywał ją niezliczonymi pocałunkami... Potem chciał ściągnąć rękawy.

— Nie, Wejwaro—bronila się Pepcia—ja sama, poczekaj...

Powstała i z głową pochyloną szła do sypialni. Znów szeleścił atlas, a szelest ten upajał słuch Wejwary.

Skrzypnął zamek komody, Pepcia szukała nocnego kaftanika, nie spostrzegając, że troskliwa matka przygotowała już dawno wszystko na łóżku, że leżał tam na jedwabnej kołdrze, bielutki, otoczony zwiewnymi koronkami.

Trwało to chwilę, Wejwara nie oddychał prawie, by znów nie przywabić chmur, przed chwilą odpędzonych szczęśliwie. Wróciwszy, słychać było ty-

kotanie zegarka, który położył na stole przed kanapą. Po chwili, zarumieniona, jak róża, ukazała się Pepcia na progu, z głową pochyloną, w bieli. Ale teraz nie przysłaniał już ciała twardy atłas, podobny do pancerza. Miała na sobie miękki szlafrok lniany, wolny, pełen fałdów.

Gdy tu tak stała, pochylając głowę, na której ciemnych włosach świecił dotąd, niby szmaragd wieńiec myrtowy, pochłaniał ją Wejwara wzrokiem płomiennym. Nigdy—przebiegło mu przez myśl—nawet w najpyszniejszym ubiorze nie była Pepcia tak piękną, jak w tej chwili.

Skoczył ku żonie, pochwycił ją w objęcia, całował w usta, twarz, czoło, oczy, uszy i wołał w zachwycie:

— Nigdy nie byłaś tak piękną, jak teraz Pepciu, ty moja uparta, niegrzeczna dziewczyno, ty, ty, żono moja droga!

I znów całował ją gorąco, a na wargach czuł wilgotne, słone krople.

— Czemu płaczesz, kochanie?

— Myślę... o... mamusi...—szepnęła Pepcia.

— A mamusia myśli pewno o tobie, kapryśnico mała i nie przeczuwa, że mnie zmartwiłaś! Jutro jej się poskarżę...

Pepcia spojrzała teraz na Wejwarę pełnemi oczyma, tonącemi we łzach i rzekła z łagodnym wyrzutem:

— Już jutro?

— Nie, nie, nie! Nigdy, kochanie!—wołał Wej-

wara i biorąc ją za rękę, jedną po drugiej pokrywał całusami.

— A teraz—szepnęła Pepcia, kładąc głowę, jakby ją chciała schować na jego piersi — teraz zagaś. Szkoda gazu... W sypialni pali się lampa...

Wejwara zamknął jej usta długim, namiętym pocałunkiem. W głębokiej ciszy nocnej, w mieszkaniu gdzieś pod nimi, czy nad nimi bił zegar łagodnym, melancholijnym dźwiękiem 3-cią po północy, a zaraz po nim, jakby mu odpowiadał, odezwał się jasnym dźwiękiem zegar w jadalni.

.

Gdy Wejwara powracał z przedpokoju, gdzie zamknął gazometr, z świecą w rękę, nie stała już Pepcia na progu jadalni. Nie widział jej Wejwara także w sypialni. Ach, teraz! Tam, pod jedwabną kołdrą, przyciągniętą aż pod brodę, rysowało się ciało młodej kobiety, nad białym obrąbkiem kołdry płonęło dwoje ciemnych oczu, a nad nimi i nad białym czołem w ciemnych włosach w blasku lampy świecił Wejwarze zielony wianek myrtowy, jak z drogich kamieni uwity, jakgdyby szmaragdowy.

K O N I E C .



N. 1467/53



T r e ś ć

CZĘŚĆ I.

I.	Nasza rodzina	5
II.	Przyszło zaproszenie	12
III.	Przedłużona godzina	27
IV.	Powtórne spotkanie. — Tajemna wycieczka pana Kondelika	57
V.	Jak się stało, że Franciszkowi Wejwarze wolno się było starać o pannę Pecię	99
VI.	Po suchej ziemi	112
VII.	Koleją	123
VIII.	Wodą	138

CZĘŚĆ II.

IX.	Wieczór Sylwestrowy pana Kondelika	5
X.	Wycieczka zimowa, jubileuszowa	22
XI.	„Noc wenecka”	46
XII.	Po nocy weneckiej	66
XIII.	Dalsza przeszkoła	77
XIV.	W dzień zaręczyn	88
XV.	Przemówił	102
XVI.	Ręka w rękawie	112
XVII.	Kleks w kałamarzu	124
XXVIII.	Spóźniony projekt Wejwary	134
XIX.	Cdzie dyabeł nie może.	145

CZĘŚĆ III.

XX.	Badanie	5
XXI.	Wszystko w porządku	16
XXII.	Ostatnie kłopoty	29
XXIII.	Na pożegnanie	39
XXIV.	Ślubna koszula	52
XXV.	Pierwsze podarki ślubne	65
XXVI.	Ostatni dzień	73
XXVII.	Co sobie Wejwara przypomniał?	85
XXVIII.	Do ołtarza	100
XXIX.	Gdzie pan teść?	115
XXX.	Do domu!	128
XXXI.	Pod własnym dachem	143